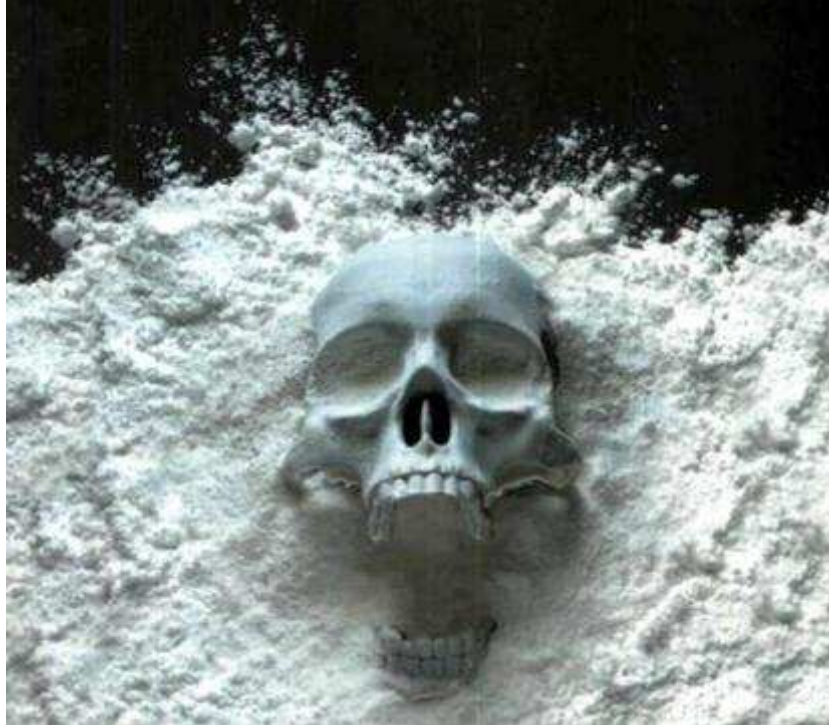


FREDERICK

FORSYTH

Kobra



**NAJNOWSZY SUPERBESTSELLER MISTRZA
THRILLERA POLITYCZNEGO,
AUTORA DNIA SZAKALA I PSÓW WOJNY**

Forsyth ponownie udowadnia, iż w gatunku thrillera politycznego nie ma sobie równych. Czytając jego książkę, trudno powstrzymać się od postawienia pytania – dlaczego opisany scenariusz nie jest realizowany w prawdziwym życiu?

Odpowiedź odnajdziemy na kartach tej trzymającej w napięciu, inteligentnej powieści.

Publishers Weekly

Frederick Forsyth jest niekwestionowanym mistrzem powieści sensacyjno-szpiegowskiej z międzynarodową intrygą.

Washington Post



FREDERICK
FORSYTH
Kobra

z angielskiego przełożył
ROBERT GINALSKI



Tytuł oryginału: THE COBRA

Copyright © Frederick Forsyth 2010 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Robert Ginalski 2010

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Zdjęcie autora: Ullstein Bild/BE & W

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-205-3

(oprawa twarda)

ISBN 978-83-7659-204-6

(oprawa miękka)

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I

oprawa miękka

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Książkę tę poświęcam Justinowi
i wszystkim młodym tajnym agentom
brytyjskim i amerykańskim,
którzy ryzykując życie, walczą z handlem narkotykami*

OSOBY

BERRIGAN BOB	zastępca dyrektora DEA
MANHIRE TIM	były funkcjonariusz celny, dowódca MAOC
DEVEREAUX PAUL	Kobra
SILVER JONATHAN	szef personelu Białego Domu
DEXTER CALVIN	członek kierownictwa Projektu Kobra
URIBE ÁLVARO	prezydent Kolumbii
CALDERÓN FELIPE	szef kolumbijskiej policji antynarkotykowej
DOS SANTOS	pułkownik, szef wywiadu, kolumbijska policja antynarkotykowa
ESTEBAN DON DIEGO	szef kartelu kokainowego
SANCHEZ EMILIO	szef produkcji, kartel
PEREZ RODRIGO	były terrorysta FARC, kartel
LUZ JULIO	prawnik, członek zarządu kartelu
LARGO JOSÉ-MARIA	szef dystrybucji, kartel
CÁRDENAS ROBERTO	członek zarządu kartelu
SUÁREZ ALFREDO	szef transportu, kartel
VALDEZ PACO	egzekutor, kartel

BISHOP JEREMY	ekspert komputerowy
RUIZ, ojciec CARLOS	jezuita z Bogoty
KEMP WALTER	UNODC
ORTEGA FRANCISCO	inspektor policji antynarkotyko-
wej z Madrytu	
MCGREGOR DUNCAN	specjalista od przerabiania stat-
ków	
ARENAL LETIZIA	studentka z Madrytu
PONS FRANCISCO	pilot szmuglujący kokainę
ROMERO IGNACIO	przedstawiciel kartelu w Gwinei Bissau
GÓMES DJALO	głowa państwa, Gwinea Bissau
ISIDRO, ojciec	ksiądz z Cartageny
CORTEZ JUAN	spawacz
MENDOZA JOÃO	były major sił powietrznych Bra- zylia
PICKERING BEN	major Special Boat Service
DIXON CASEY	dowódca oddziału drugiego SE- AL
EUSEBIO, OJCIEC	wiejski ksiądz z Kolumbii
MILCH EBERHARDT	inspektor celny z Hamburga
ZIEGLER JOACHIM	Wydział Celny i Kryminalny, Ber- lin
VAN DER MERWE	inspektor Wydziału Celnego i Kryminalnego, Rotterdam
CHADWICK BULL	dowódca oddziału trzeciego SE- AL

SKRÓTY I AKRONIMY

BAMS	wielkoobszarowy system rozpoznania morskigo
BKA	niemiecki Federalny Urząd Kryminalny
CIA	Centralna Agencja Wywiadowcza
CRRC	bojowa łódź pneumatyczna
DEA	Urząd ds. Walki z Narkotykami
FARC	Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii — partyzantka marksistowska
FBI	Federalne Biuro Śledcze
HMRC	Urząd Podatkowy i Celny Jej Królewskiej Mości
INS	Służba Imigracji i Naturalizacji
MAOC-N	Ośrodek Analiz i Operacji Morskich — Narkotyki
MI5	Służba Bezpieczeństwa (Wielka Brytania)
NSA	Agencja Bezpieczeństwa Narodowego
RATO	rakietowe przyśpieszacze startowe
RHIB	pneumatyczna łódź sztywnokadłubowa (USA)
RIB	sztywne pontony hybrydowe (Wielka Brytania)
SAS	Specjalna Służba Powietrzna, jednostka specjalna

SBS	Special Boat Service, jednostka specjalna Królewskiej Marynarki Wojennej
SEAL	siły specjalne marynarki wojennej USA
SOCA	Agencja ds. Przestępczości Zorganizowanej
UAV	bezzałogowy pojazd latający
UDYCO	Jednostka Antynarkotykowa, Madryt
UNODC	Biuro Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości
ZKA	niemiecki Federalny Urząd Celny

CZEŚĆ PIERWSZA

Pętla

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nastolatek umierał w samotności. Nikt o tym nie wiedział, zresztą mało kogo by to obeszło. Chude jak szkielet, wyniszczone przez narkotyki ciało leżało na cuchnącym sienniku w kącie obskurnego pokoju w pustostanie. Ten chlew mieścił się na jednym z niedokończonych osiedli mieszkaniowych, zwanych „projektami”, w waszyngtońskiej Anacostii. Stolica Stanów Zjednoczonych nie chlubi się tą dzielnicą, a turyści omijają ją z daleka.

Gdyby ten chłopak wiedział, że jego śmierć doprowadzi do wybuchu wojny, ani by tego nie zrozumiał, ani by go to nie obeszło. Do tego bowiem prowadzi zażywanie narkotyków przez młodych ludzi. Niszczy im mózgi.

• • •

Wydana pod koniec lata kolacja w Białym Domu była, jak na gościnność prezydenta, skromna. Po wypiciu aperitif w sali koktajlowej zasiadło do niej zaledwie dwadzieścia osób —

dziesięć par — z czego na osiemnastu zaszczyt ten wywarł ogromne wrażenie.

Wśród nich znalazło się dziewięciu najbardziej wpływowych wolontariuszy działających na rzecz Stowarzyszenia Kombatantów — ogólnokrajowej organizacji dbającej o dobrobyt tych, którzy nosili mundur dowolnego rodzaju sił zbrojnych.

Przez dziewięć lat poprzedzających rok 2010 wielu mężczyzn, a także kobiet wróciło do domu z Afganistanu czy Iraku z urazami fizycznymi bądź psychicznymi. Jako zwierzchnik sił zbrojnych prezydent chciał podziękować dziewięciu gościom ze Stowarzyszenia Kombatantów za to, co robili, zaprosił ich więc wraz z małżonkami na kolację przy stole, przy którym niegdyś jadał legendarny Abraham Lincoln. Na początek, oprowadzani przez Pierwszą Damę, zwiedzili apartamenty prywatne, po czym zaproszono ich do stołu, gdzie pod czujnym okiem majordoma czekali na podanie zupy. Dlatego kiedy starszawa kelnerka zaniosiła się płaczem, zapadła lekka konsternacja.

Kobieta płakała bezgłośnie, ale waza w jej dłoniach wyraźnie drżała. Siedząca naprzeciwko niej, po drugiej stronie okrągłego stołu, Pierwsza Dama przestała doglądać obsługi gości, gdy zobaczyła łzy płynące po twarzy kelnerki.

Majordom, który nie przegapiał niczego, co mogłoby urazić prezydenta, spojrzął w ślad za jej wzrokiem i bezszelestnie, acz szybko ruszył dookoła stołu. Stanowczym ruchem głowy nakazał najbliższemu kelnerowi przejąć wazę, zanim dojdzie do katastrofy, i delikatnie powiodł kobietę w kierunku drzwi wahałdowych prowadzących do kuchni i zaplecza.

Kelnerka usiadła w spiżarni, mamrocząc: „Tak mi przykro, tak mi przykro”. Jej ramiona dygotały. Mina majordoma świadczyła o tym, że nie jest w nastroju do żartów. Nie przystoi załamywać się w obliczu głowy państwa.

Pierwsza Dama dała mu znak, żeby wrócił doglądać podawania zupy, a sama podeszła do zapłakanej kobiety, która nie przestając przeproszać, ocierała oczy rękawem fartuszka.

W odpowiedzi na kilka łagodnych pytań kelnerka Maybelle wytłumaczyła powód swego niezwykłego zachowania. Policja znalazła zwłoki jej jedyne go wnuka, którego wychowywała, odkąd jego ojciec zginął dziewięć lat temu pod gruzami World Trade Center, gdy chłopiec miał sześć lat.

Wyjaśniono jej, jaką przyczynę śmierci stwierdził lekarz sądowy, i poinformowano, że ciało czeka na odbiór w miejskiej kostnicy.

W rezultacie Pierwsza Dama Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz starszawa kelnerka — potomkinie niewolników — pocieszały się wzajemnie w kącie spiżarni, a zaledwie kilka kroków dalej czołowi przedstawiciele Stowarzyszenia Kombatanów prowadzili napuszoną rozmowę przy zupie z grzankami.

Podczas kolacji nie poruszano innych tematów i dopiero dwie godziny po incydencie prezydent, zdejmując smoking w zaciszu prywatnych pokojów, zadał oczywiste pytanie.

Pięć godzin później, w prawie całkiem ciemnej sypialni, na którą padał tylko srebrny blask nieustannie wiszący nad Waszyngtonem i przenikający przez kuloodporne szyby oraz zasłony, Pierwsza Dama zorientowała się, że leżący obok niej mężczyzna nie śpi.

Prezydenta w znacznej mierze wychowała babka. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak ważna więź łączyła go z babcią, kiedy był jeszcze chłopcem. Dlatego chociaż zazwyczaj wstawał wcześnie, by systematycznie gimnastykować się dla zachowania formy, nie mógł teraz zasnąć. Leżał w ciemności i myślał.

Postanowił, że ten piętnastolatek nie trafi do jakiejś zbiorowej mogiły, lecz zostanie pochowany jak należy, na cmentarzu kościelnym zgodnym z jego wyznaniem. Intrygowała go jednak przyczyna śmierci tak młodego chłopaka, pochodzącego z wprawdzie biednej, ale z gruntu przyzwoitej rodziny.

Tuż po trzeciej opuścił z łóżka długie, chude nogi i sięgnął po szlafrok.

— Dokąd idziesz? — usłyszał obok siebie zaspany głos.

— Zaraz wracam — odparł, zawiązał pasek na supeł i poczłapał do garderoby.

Kiedy podniósł słuchawkę, na odpowiedź czekał raptem dwie sekundy. Jeśli nawet dyżurna telefonistka była śpiąca, jak to bywa w środku nocy, kiedy człowieka ogarnia kryzys, to nie dała tego po sobie poznać.

— Tak, panie prezydencie? — odezwała się dziarsko i pogodnie.

Lampka na pulpicie poinformowała ją, kto dzwoni. Człowiek z Chicago mieszkał w tym nadzwyczajnym budynku już trzy lata, wciąż jednak nie mógł się przyzwycząić do tego, że bez względu na porę dnia czy nocy dostanie wszystko, czego zapragnie — wystarczy tylko wyrazić życzenie.

— Złap mi dyrektora DEA, w domu czy gdzie tam może teraz być — poprosił.

Telefonistka nie okazała zdziwienia. Jeśli jest się nim, to choćby chciał wymienić uprzejmości z prezydentem Mongolii, należy mu to umożliwić.

— Natychmiast dzwonię — powiedziała młoda kobieta urzędująca kilka pięter niżej, w centrali telefonicznej. Szybko zaczęła stukać w klawiaturę komputera. Obwody scalone zrobiły, co do nich należało, i na ekranie wyświetliło się nazwisko. Na zapytanie o prywatny numer telefonu pojawiło się dziesięć cyfr. Numer ten należał do ładnego domu w Georgetown. Telefonistka nawiązała połączenie i czekała.

Dopiero po dziesiątym sygnale usłyszała zaspány głos.

— Mam na linii prezydenta, proszę pana — powiedziała.

Mężczyzna w średnim wieku otrzeźwiał natychmiast. Ten urzędnik państwowy, szef agencji federalnej oficjalnie zwanej Urzędem do spraw Walki z Narkotykami, natychmiast został połączony z pokojem na piętrze. Telefonistka nie podsłuchiwała rozmowy. Wiedziała, że gdy panowie załatwią, co mają do załatwienia, lampka na centralce zgaśnie i będzie mogła przerwać połączenie.

— Przepraszam, że zawracam panu głowę o tej porze — powiedział prezydent. Natychmiast usłyszał zapewnienie, że to żaden kłopot. — Potrzebuję informacji, a być może i rady. Czy możemy się spotkać o dziewiątej rano w Zachodnim Skrzydle?

Tylko przez grzeczność sformułował to w formie pytania. Prezydenci wydają polecenia. Usłyszał zapewnienie, że dyrektor

DEA stawi się w Gabinetcie Owalnym o dziewiątej. Prezydent rozłączył się i wrócił do łóżka. Nareszcie zasnął. W sypialni eleganckiego domu z czerwonej cegły w Georgetown zapaliły się światła. Dyrektor DEA zapytał żonę, która nic z tego nie pojmowała, co tu właściwie jest grane. Bo co ma sobie pomyśleć wyższy urzędnik państwowy wyrwany ze snu o trzeciej nad ranem przez najwyższego zwierzchnika, który w dodatku dzwoni osobiście? Tylko tyle, że coś się stało. Prawdopodobnie coś bardzo złego. Dyrektor już nie zasnął — zszedł do kuchni, nalał sobie soku, zaparzył kawę i poważnie zaczął się martwić.

• • •

Po drugiej stronie Atlantyku świeciło. W zacinającym deszczu, na ponurym szarym morzu u północnych wybrzeży Niemiec, przed portem Cuxhaven, m/v „San Cristóbal” przyjął na pokład pilota. Kapitan statku, José-Maria Vargas, trzymał ster, a stojący obok pilot cicho wydawał mu instrukcje. Rozmawiali po angielsku, bo język ten jest w powszechnym użyciu na morzu i w powietrzu. Dziób „San Cristóbal” zakręcił i statek skierował się do ujścia Łaby. Sześćdziesiąt mil dalej miał zawinąć do Hamburga — największego portu rzecznego w Europie.

„San Cristóbal”, frachtowiec o wyporności trzydziestu tysięcy ton, zarejestrowany był pod banderą panamską. Przed mostkiem, na którym dwaj mężczyźni przebijali wzrokiem mrok, wypatrując boi wytyczających głęboki kanał, stały ustawione piętrowo kontenery.

Pod pokładem było ich osiem pięter, a na górze jeszcze cztery. Szerokość statku umożliwiła wstawienie ośmiu rzędów kontenerów, po czternaście sztuk w rzędzie ciągnącym się od dziobu po mostek.

Dokumenty dowodziły, że jednostka wyszła w rejs w Maracaibo w Wenezueli, a następnie skierowała się na wschód, by uzupełnić ładunek osiemdziesięcioma kontenerami bananów z Paramaribo — stolicy i jedyne go portu Surinamu. Ale w papierach nie było ani słowa o tym, że jeden z ostatnio załadowanych kontenerów jest szczególny — oprócz bananów zawiera bowiem coś jeszcze.

Ten drugi ładunek przewieziono wysłużonym starym samolotem transportowym Transall — zakupionym z trzeciej ręki w Republice Południowej Afryki — z ustronnej hacjendy na północy Kolumbii, nad Wenezuelą i Gujaną, do równie ustronnej plantacji bananów w Surinamie.

To, co przywiózł wysłużony samolot transportowy, ułożono jak ceglany mur z tyłu stalowego kontenera, na całą szerokość i od podłogi po sufit. Gdy już ustawiono siedem rzędów takich „cegieł”, wstawiono fałszywą tylną ścianę, przyspawano ją, przeszlifowano i pomalowano wraz z resztą wnętrza. Dopiero wtedy załadowano stojaki z twardymi, zielonymi, niedojrzałymi bananami, by w chłodzie, ale niezamrożone, odbyły długą podróż do Europy.

Ciężarówki z płaskimi platformami warczały i prychały w drodze przez dżunglę, wioząc eksportowy towar na wybrzeże, skąd został przeniesiony na pokład „San Cristóbal”. Statek, nareszcie załadowany po brzegi, wyruszył do Europy.

Kapitan Vargas — marynarz o nieposzlakowanej uczciwości, niemający pojęcia o dodatkowym ładunku na pokładzie — był już w Hamburgu i za każdym razem zachwycał się sprawnością, z jaką działa ten kolos. Stary hanzeatycki port przypominał niejedno, lecz dwa miasta. W jednym mieszkają ludzie, skupieni wokół dwóch jezior utworzonych przez rzekę Alster, drugie zaś to ciągnący się kilometrami port, największy punkt odprawy kontenerowców na kontynencie.

Port, który rocznie odprawia trzysta tysięcy statków cumujących przy jednym z trzystu dwudziestu stanowisk i sto czterdzieści milionów ton towarów, do obsługi kontenerowców ma cztery osobne terminale. „San Cristóbal” przydzielono do Altenwerder.

Na wysokości Hamburga, który pojawił się na prawym brzegu, frachtowiec zwolnił do pięciu węzłów i dwóm mężczyznom przy sterze podano mocną, aromatyczną kolumbijską kawę. Niemiec z uznaniem pociągnął nosem. Deszcz ustał, słońce przebijało przez chmury, załoga nie mogła się doczekać zejścia na ląd.

Gdy „San Cristóbal” podpłynął do przydzielonej kei, dochodziło południe. Niemal natychmiast jedna z piętnastu suwnic Altenwerder zaczęła przenosić kontenery ze statku na nabrzeże.

Kapitan Vargas pożegnał się z pilotem, który zakończył zmianę i pojechał do domu w Altonie. Po wyłączeniu silników, kiedy niezbędne urządzenia przestawiono na zasilanie awaryjne, a marynarze, z paszportami w rękach, schodzili na ląd i ruszali do barów przy Reeperbahn, na statku zapanował

spokój — coś, co kapitan Vargas, dla którego „San Cristóbal” był zarówno miejscem pracy, jak i domem, lubił najbardziej.

Nie wiedział, bo i skąd, że jeden kontener — czwarty od mostka, drugi od góry i trzeci od prawej burty — ma z boku małe, oryginalne logo. Można je było dostrzec tylko przy bliższej inspekcji, bo kontenery morskie przeważnie są podrapane, zabazgrane i upstrzone kodami identyfikacyjnymi oraz nazwami firm właścicielskich. To konkretne logo miało postać dwóch koncentrycznych kół. W mniejszym widniał krzyż maltański, tajemny symbol Hermandad, czyli Bractwa — gangu stojącego za eksportem dziewięćdziesięciu procent kokainy trafiającej na rynek. I tylko jedna para oczu na nabrzeżu potrafiła rozpoznać ten znak.

Suwnica przenosiła kontenery z pokładu na przesuujące się zastępy wózków kołowych, zwanych automatycznie sterowanymi wózkami transportowymi, czyli ASWT. Zdalnie kierowane z wysokiej wieży na nabrzeżu, przewoziły stalowe skrzynie do magazynów. Wtedy to urzędnik kręcący się niepostrzeżenie między ASWT-ami zauważył znak z dwoma kołami. Zadzwoił do kogoś z telefonu komórkowego i czym prędzej wrócił do swojego biura. Wiele kilometrów dalej do Hamburga wyruszyła ciężarówka z platformą.

• • •

W tym samym czasie dyrektora DEA wprowadzono do Gabinetu Ovalnego. Bywał tu już kilkakrotnie, ale olbrzymie stare biurko, flagi na masztach i pieczęć republiki wciąż wywierały

na nim niezwykle wrażenie. Cenił władzę, a to miejsce było jej kwintesencją.

Prezydent, już po gimnastyce, prysznicu i śniadaniu, był ubrany swobodnie i nastawiony przyjaźnie. Wskazał gościowi jedną z kanap, a sam usiadł na drugiej.

— Kokaina — zagaił. — Chcę wiedzieć wszystko o kokainie. Macie na ten temat obszerny materiał.

— Całe szafy, panie prezydencie. Gdyby ustawić tezki grzbietami obok siebie, miałyby pewnie ze dwa metry długości.

— Za dużo — zaprotestował prezydent. — Musicie się zmieścić w góra dziesięciu tysiącach słów. Nie interesują mnie statystyki, wyłącznie fakty. Synteza. Co to takiego, skąd pochodzi (jakbym sam tego nie wiedział), kto ją produkuje, kto wysyła, kto kupuje, kto jej używa, ile kosztuje, na co przeznaczane są zyski, kto na tym korzysta, kto traci i co robimy w tej sprawie.

— Tylko kokaina, panie prezydencie? A pozostałe narkotyki nie? Heroina, PCP, czyli fenocyklidyna, zwana też anielskim pyłem, metamfetamina, wszechobecna marihuana?

— Tylko kokaina. I wyłącznie dla mnie. Tylko dla moich oczu. Muszę znać podstawowe fakty.

— Zlecę sporządzenie nowego raportu, panie prezydencie. Dziesięć tysięcy słów. Prosty język. Ścisłe tajne. Sześć dni, panie prezydencie?

Zwierzchnik sił zbrojnych wstał z uśmiechem i wyciągnął rękę. Spotkanie dobiegło końca. Drzwi już stały otworem.

— Wiedziałem, że mogę na pana liczyć, dyrektorze. Trzy dni.

Ford crown victoria dyrektora stał na parkingu. Kierowca na rozkaz zajechał przed drzwiami Zachodniego Skrzydła. Czterdzieści minut później dyrektor był już z powrotem na drugim brzegu Potomacu, w Arlington, i zaszył się w swoim apartamencie na ostatnim piętrze budynku przy Army Navy Drive 700.

Zadanie zlecone przez prezydenta powierzył szefowi sekcji operacyjnej, Bobowi Berriganowi. Młody człowiek, który zjadł zęby na pracy w terenie, a nie ślęcząc za biurkiem, ponuro pokiwiał głową i mruknął:

— Trzy dni?

Dyrektor przytaknął ruchem głowy.

— Nie jedz, nie śpij. Leć na kawie. Aha, Bob, tylko niczego nie próbuj łagodzić. Przedstaw to w jak najgorszym świetle. Może przy okazji uda się wyrwać z budżetu trochę grosza.

Były agent terenowy ruszył korytarzem, by przekazać asystentce, że ma odwołać wszystkie jego spotkania, wywiady i inne zobowiązania na najbliższe trzy dni. Cholerni biurokraci! — pomyślał. Zlecają zadanie, żądają tego, co niemożliwe, a sami wychodzą na kolację i kombinują, jak by tu więcej zarobić.

• • •

Przed zachodem słońca cały ładunek „San Cristóbal” znalazł się na nabrzeżu, ale nadal był na terenie portu. Ciężarówki z platformami zakorkowały trzy mosty, które musiały pokonać, by odebrać swój towar z importu. W sznurze pojazdów na

Niederfelde Brücke utknęła ciężarówka z Darmstadt, prowadzona przez kierowcę o śniadej cerze. W dokumentach stało, że jest obywatelem niemieckim tureckiego pochodzenia, a zatem należy do jednej z największych mniejszości etnicznych w Niemczech. Nie podawały one jednak, że jest też członkiem tureckiej mafii.

Na terenie portu nie groził zator, a odprawa celna konkretnego stalowego kontenera z Surinamu nie powinna napotkać przeszkód.

Do Europy przez Hamburg napływa taka masa towarowa, że skrupulatne zbadanie zawartości każdego kontenera jest po prostu niemożliwe. Niemiecka służba celna, ZKA, robi, co w jej mocy. Tylko pięć procent importu poddawane jest szczególowej inspekcji. Czasami odbywa się to na chybił trafił, ale poważnie na podstawie donosów, czegoś dziwnego w opisie ładunku, portu, z którego wypłynął statek (banany nie rosną w Mauretanii), albo nieprawidłowo wystawionych papierów.

Badanie może polegać na otwarciu kontenera poprzez złamanie pieczęci, mierzeniu go w poszukiwaniu sekretnych schowków, zrobieniu testów chemicznych na miejscu w laboratorium, użyciu psów policyjnych albo prześwietlaniu ciężarówki odbierającej towar. Codziennie prześwietla się dwieście czterdzieści ciężarówek. Ale jeden kontener z bananami nie powinien mieć takich problemów.

Tego akurat kontenera nie odstawiono do magazynu owoców i chłodni operatora terminali w Hamburgu, spółki HHLA, bo miał opuścić port na tyle szybko, że szkoda było zachodu.

Odprawa celna w Hamburgu odbywa się w dużej mierze w systemie ATLAS, opartym na łączności cyfrowej. Ktoś wprowadził dwudziestojednocyfrowy numer identyfikacyjny przesyłki do komputera ZKA i uzyskał świadectwo odprawy, zanim jeszcze „San Cristóbal” minął ostatni zakręt Łaby.

Kiedy turecki kierowca dopchał się wreszcie na przód kolejki przy bramie portu, jego stalowy kontener miał już zezwolenie na odbiór. Okazał dokumenty, człowiek w budce przy bramie wstukał dane do komputera, odnotował zwolnienie małej partii bananów z importu dla niewielkiej hurtowni owoców z Darmstadt i ruchem głowy kazał kierowcy jechać. Trzydzieści minut później Turek minął most prowadzący do rozległej sieci niemieckich autostrad.

Za plecami wiózł tonę czystej kolumbijskiej kokainy. Zanim trafi ona do sprzedaży detalicznej, zostanie „ochrzczone” — tak że zwiększy pierwotną objętość sześć-, siedmiokrotnie — przy użyciu chemicznych wypełniaczy takich jak benzokaina, kreatyna, efedryna, a nawet ketamina, czyli środek uspokajający dla koni. Ma to przekonać tych, którzy jej używają, że dostaną większego kopa, niż gdyby wciągnęli do nosa samą tylko dawkę kokainy zawartą w jednej działce. Poza tym objętość można zwiększyć zwykłymi nieszkodliwymi białymi proszkami, jak soda oczyszczona czy cukier puder.

Skoro tysiąc gramów zostaje przerobione na siedem tysięcy, a klienci płacą nawet po dziesięć dolarów za gram, kilogram kolumbijki osiąga w detalu cenę siedemdziesięciu tysięcy dolarów. Kierowca wiózł za plecami tysiąc kilogramów, wartych

na ulicy siedemdziesiąt milionów dolarów. Ponieważ towar oparty był na paście kupowanej od chłopów z kolumbijskiej dżungli po tysiąc dolarów za kilogram, wystarczyło to na przelot samolotu transportowego do Surinamu, na zapłatę dla plantacji bananów, niewielką kwotę za przewóz na pokładzie „San Cristóbal” oraz pięćdziesiąt tysięcy dolarów przelane na konto na Kajmanach, należące do skorumpowanego celnika z Hamburga.

Gangsterzy z Europy płacili za przerabianie twardych kostek w drobny, przypominający talk proszek, za zwiększanie jego objętości i dystrybucję. Ale ponieważ ogólne koszty transportu z dżungli do portu w Hamburgu wynosiły pięć procent, a kolejne pięć ponosili Europejczycy, wciąż zostawało dziewięćdziesiąt procent zysku do podziału między kartel a mafie i gangi w całej Europie i w Stanach Zjednoczonych.

Prezydent USA miał poznać te szczegóły z raportu, który — zgodnie z obietnicą — trafił na jego biurko trzy dni później.

Podczas gdy prezydent po kolacji czytał raport, kolejne dwie tony czystej kolumbijki potajemnie przejechały z Teksasu przez granicę w mieście Nuevo Laredo i zniknęły w głębi Ameryki.

*Szanowny Panie Prezydencie,
na pańską prośbę mam zaszczyt przedstawić raport na temat kokainy.*

POCHODZENIE: Kokaina pochodzi wyłącznie z rachitycznych, niczym niewyróżniających się krzaków koki, które od

niepamiętnych czasów porastają wzgórza i dżungle północno-wschodniej części Ameryki Południowej.

Liście tych krzaków od zawsze były żute przez tubylców, którzy odkryli, że zmniejszają nieustanny głód i poprawiają nastrój. Roślina kwitnie i owocuje rzadko. Jej łodygi i gałązki są zdrewniałe i nie mają żadnego zastosowania. Narkotyki zawierają wyłącznie liście.

375 kilogramów zebranych liści – ilość wypełniająca pakę półciężarówki – wystarcza do wyprodukowania dwóch i pół kilograma pasty koka (półproduktu), z której ostatecznie uzyskuje się kilogram czystej kokainy w postaci znanego białego proszku.

GEOGRAFIA: Obecnie około 10 procent światowej produkcji pochodzi z Boliwii, 29 procent z Peru i 61 procent z Kolumbii.

Jednakże gangi kolumbijskie skupują od dwóch mniejszych producentów półprodukt na etapie pasty, uszlachetniają go i w rzeczywistości sprzedają 100 procent gotowego narkotyku.

CHEMIA: Przeróbka zebranych liści w produkt końcowy wymaga zaledwie dwóch procesów chemicznych i oba są niezwykle tanie. To dlatego eliminacja źródła dostaw jak dotąd okazała się niemożliwa. Skrajne ubóstwo rolników z dżungli zmusza ich do uprawy twardego, niezwykle wytrzymałego zielska.

Surowe liście wrzuca się do starych beczek po ropie i moczy w kwasie (wystarczy tani kwas akumulatorowy), a ten wchłania kokainę. Następnie mokre liście wyciąga się,

wyrzuca i w beczkach zostaje coś w rodzaju brązowej zupy. Tę miesza się z alkoholem, a nawet benzyną, w celu wypłukania alkaloidów.

Oddzielone alkaloidy poddaje się działaniu zasad, na przykład wodorowęglanu sodu. W wyniku powstaje brudnobiałe szlam zwany pastą. To standardowy etap handlu kokainą w Ameryce Południowej. Właśnie tę pastę gangsterzy skupują od chłopów. Mniej więcej ze 150 kilogramów liści otrzymuje się jeden kilogram pasty. Chemikalia są łatwo dostępne, produkt zaś bez problemów przewożony jest z dżungli do rafinerii.

ETAP KOŃCOWY: W tajnych rafineriach, przeważnie ukrytych w dżungli, pastę przerabia się na śnieżnobiałe proszek – chlorowodurek kokainy (nazwa chemiczna) – poprzez dodawanie kolejnych środków chemicznych, takich jak kwas solny, nadmanganian potasu, aceton, eter, woda amoniakalna, węglan wapnia, węglan sodu, kwas siarkowy i benzyna. Mikstura ta zostaje poddana redukcji i po wysuszeniu osadu otrzymuje się proszek. Wszystkie niezbędne chemikalia są tanie i ogólnie dostępne, gdyż powszechnie używa się ich w legalnych gałęziach przemysłu.

KOSZTY: Rolnik uprawiający kokę, zwany cocalero, harując jak wół przez okrągły rok, osiąga ze swojego splechotka pola w dżungli sześć zbiorów, każdy po 125 kilogramów liści. Całkowita produkcja wynosząca 750 kilogramów liści przekłada się na pięć kilogramów pasty. Po odliczeniu kosztów własnych może zarobić maksymalnie pięć tysięcy dolarów

rocznie. Nawet po rafinacji jeden kilogram proszku kosztuje zaledwie około czterech tysięcy dolarów.

ZYSKI: Żaden inny produkt na świecie nie przynosi tak wysokich zysków. Już tylko po przebyciu trzech tysięcy mil z wybrzeży Kolumbii do Stanów Zjednoczonych albo pięciu tysięcy mil do Europy cena kilograma czystej kolumbijki wzrasta z czterech do sześćdziesięciu, siedemdziesięciu tysięcy dolarów. Ale na tym nie koniec. Zanim ten kilogram trafi do końcowego odbiorcy, jest „chrzczony” (rozcieńczany), tak że jego objętość i waga wzrastają sześć-, siedmiokrotnie bez obniżenia ceny za gram. Ci, którzy zażywają kokainę, płacą ostatniemu handlarzowi w łańcuszku około siedemdziesięciu tysięcy dolarów za kilogram proszku mieszczący się w torbie wielkości paczki cukru. Narkotyk, gdy opuszczał wybrzeże Kolumbii, kosztował zaledwie cztery tysiące.

SKUTKI: Wysokość zysków umożliwia głównym graczom zakup najnowocześniejszej technologii, sprzętu i uzbrojenia oraz zatrudnianie specjalistów. Stać ich na wynajęcie światowej klasy ekspertów, na łapówki dla urzędników państwowych (nieradko proceder ten sięga szczybla prezydentów państw) i wręcz walczą z zalewem ochotników, chętnych do pomocy w przewozie i dystrybucji ich produktu w zamian za udział w zyskach. Bez względu na to, jak wielu kurierów zostaje złapanych i wtrąconych do więzienia, i tak w kolejce czekają tysiące skrajnie biednych lub po prostu głupich ludzi, gotowych podjąć ryzyko.

STRUKTURY: Po zabójstwie Pabla Escobara z kartelu w Medellin i wycofaniu się braci Ochoa z Cali kolumbijscy gangsterzy podzielili się na setki minikarteli. Powstał jednak nowy gigantyczny kartel, który w ciągu ostatnich trzech lat zjednoczył i zdominował mniejsze grupy.

Dwóch niezależnych gangsterów, którzy próbowali się opierać, znaleziono martwych, z wyraźnymi śladami tortur, i na tym skończył się opór przeciwko zjednoczeniu. Ten megakartel nazwa się Hermandad, czyli Bractwo – działa jak wielka korporacja przemysłowa, wspierany przez prywatną armię strzegącą jego własności oraz oddział psychopatów, którzy wymuszają posłuch.

Bractwo nie produkuje kokainy. Skupuje tylko całą produkcję minikarteli, wszystek biały proszek. Proponuje „godziwą” (we własnym przekonaniu) cenę, ale nie na zasadzie „bierzesz albo spadasz”, tylko „bierzesz albo zdychasz”. Następnie rozprowadza towar po całym świecie.

ILOŚCI: Całkowita produkcja, wynosząca około 600 ton rocznie, mniej więcej w równych częściach trafia do Stanów Zjednoczonych i Europy – w zasadzie jedynych kontynentów, na których narkotyk ten ma wzięcie. Zważywszy na podaną wyżej skalę zysków, całkowity dochód liczy się nie w setkach milionów, lecz w dziesiątkach miliardów dolarów.

TRUDNOŚCI: Z powodu kolosalnych zysków między kartelem a odbiorcą końcowym występuje do dwudziestu ogniw pośrednich – a więc przewoźników, pośredników i detaliistów. Właśnie dlatego organy ścigania w każdym kraju napotykać takie trudności w dobraniu się do grubych ryb.

Te przebywają bowiem pod silną ochroną, z niezwykle brutalnością tłumią wszelki opór i nigdy nie tykają towaru osobście. Płatki wpadają bez przerwy i skazywane przez sądy trafiają do więzienia, rzadko jednak „sypią”, a ich miejsce natychmiast zajmują kolejni chętni.

KONFISKATY: Amerykańskie i europejskie organy ścigania są w nieustającym stanie wojny z branżą kokainową i stale przechwytyują transporty towaru oraz zajmują magazyny. Jednakże organom ścigania na obu kontynentach udaje się zlikwidować od dziesięciu do góra piętnastu procent rynku kokainy, co zważywszy na skalę zjawiska, stanowczo nie wystarcza. Żeby sparaliżować tę branżę, należałoby zwiększyć liczbę przejęć oraz konfiskat do osiemdziesięciu albo i więcej procent. Straty na poziomie dziewięćdziesięciu procent towaru doprowadziłyby do rozpadu karteli i przemysł kokainowy zostałby ostatecznie zniszczony.

KONSEKWENCJE: Zaledwie trzydzieści lat temu kokainę powszechnie uważano za „słodczyce do wężania” dla wyższych sfer, maklerów i ludzi z branży muzycznej. Dziś jest to poważna plaga ogólnonarodowa, wyrządzająca społeczeństwu katastrofalne szkody. Organ ścigania na obu kontynentach szacują, że około siedemdziesięciu procent przestępstw ulicznych popełnianych z chęci zysku (kradzieże samochodów, włamania, rozboje) ma na celu zdobycie pieniędzy na trwanie w nałogu. Jeżeli sprawca takich czynów jest uzależniony od szczególnie paskudnej pochodnej kokainy zwanej crackiem, kradzieżom może towarzyszyć nieczym nieuzasadniona przemoc.

Ponadto zyski z kokainy po wypraniu służą finansowaniu innych przestępstw, zwłaszcza handlu bronią (także dla celów przestępczych i terroryzmu) i żywym towarem, głównie nielegalnymi imigrantami oraz uprowadzonymi dziewczętami, które zmuszane są do niewolniczej pracy w branży pornograficznej.

PODSUMOWANIE: Jesienią 2001 roku nasz kraj słusznie był zdruzgotany zniszczeniem World Trade Center i atakiem na Pentagon, co pochłonęło blisko trzy tysiące ofiar śmiertelnych. Od tamtej pory ani jeden Amerykanin nie zginął na terenie kraju w wyniku inspirowanego z zagranicy terroryzmu, lecz wojna z terroryzmem trwa i trwać musi. Natomiast według ostrożnych szacunków w ciągu ostatniej dekady śmierć z powodu narkotyków poniosło dziesięć razy więcej ludzi, niż zginęło w zamachach z jedenastego września, z tego połowa w wyniku zażycia środka chemicznego o nazwie kokaina.

Panie Prezydencie, łączę wyrazy szacunku,

*Robert Berrigan
zastępca dyrektora (Operacje specjalne)
Urzędu do spraw Walki z Narkotykami*

Mniej więcej w czasie kiedy kurier dostarczał raport Berrigana do Białego Domu, pewien były funkcjonariusz celny, Brytyjczyk, siedział w nijakim biurze na nadbrzeżu Lizbony i z bezgraniczną irytacją gapił się na zdjęcie starego zdezelowanego trawlera.

Tim Manhire przez całe dorosłe życie zajmował się pilnowaniem

akczy, co zapewne nie należy do najbardziej poważanych zawodów, on jednak uważał to za z gruntu konieczne. Ściąganie podatków z nieszczęsnych turystów dla zachłannego rządu nie przyspiesza wprawdzie bicia serca, ale teraz praca w zakurzonych uliczkach portowej dzielnicy Lizbony miała mu to wynagrodzić z nawiązką. I pewnie tak by się stało, gdyby nie irytujący odwieczny wróg: brak dostatecznych środków.

Niewielka agencja, którą kierował, nazywała się MAOC-N — ot, kolejny akronim w świecie organów ścigania. W rozwinięciu nazwa ta brzmi Ośrodek Analiz i Operacji Morskich — Narkotyki. Agencja zatrudnia ekspertów z siedmiu krajów: oprócz Wielkiej Brytanii są to Portugalia, Hiszpania, Irlandia, Francja, Włochy i Holandia. Centrala mieści się w Portugalii, a dyrektorem jest Brytyjczyk, oddelegowany na to stanowisko z HMRC (Urzędu Podatkowego i Celnego Jej Królewskiej Mości) do SOCA (Agencji do spraw Przestępczości Zorganizowanej).

Zadaniem MAOC jest koordynacja działań europejskich organów ścigania i marynarki wojennej, mających na celu powstrzymanie przemytu kokainy z basenu Morza Karaibskiego przez Atlantyk na bliźniacze wybrzeża Europy Zachodniej i Afryki Zachodniej.

Tego słonecznego poranka powodem irytacji Tima Mahire'a był fakt, że widział, jak oto kolejna ryba z wielkim i cennym ładunkiem na pokładzie prześlizguje się przez oczka sieci.

Fotografia została wykonana z powietrza, tyle że poza

cykaniem ładnych zdjęć samolot patrolowy był zupełnie bezradny — nic więcej nie mógł zrobić. W ciągu kilku sekund przesłał więc zdjęcie do MAOC, którego siedziba mieściła się wiele mil dalej.

Fotografia przedstawiała trawler ciągnący włoki; napis na dziobie informował: „Esmeralda-G”. Natrafiono na niego przez czysty przypadek, gdy brzask rozproszył ciemność na wschodnim Atlantyku. Brak kilwaterników świadczył, że statek, który wcześniej niewidoczny płynął pod osłoną nocy, teraz stanął. Już sam ten fakt wystarczył Manhire'owi, który badał fotografię przez lupę, chcąc sprawdzić, czy załoga szykowała się do zakrycia kutra od dziobu po rufę niebieskim brezentem. Przemysłowcy kokainy na morzu wciąż tak robią, próbując uniknąć zdemaskowania.

Płyną nocami, a w dzień kiwają się cicho na falach pod brezentem zlewającym się z otaczającą wodą, przez co zauważenie ich z powietrza jest niezwykle trudne. O zachodzie słońca załoga ściąga brezent i rusza w dalszą drogę. Rejs trwa dłużej, ale tak jest o wiele bezpieczniej. Przyłapanie o świcie podczas zdejmowania brezentu zdradzało intencje załogi. To nie był kuter rybacki. Ładownie miał już wypełnione, prawdopodobnie toną białego proszku, wielokrotnie owiniętego w folię i zrolowanego w bele, żeby nie zniszczyła go słona woda. Towar ten spoczywał tam od załadowania przy molu ze spróchniałego drewna na rzece w Wenezueli.

„Esmeralda-G” najwyraźniej kierowała się do Afryki Zachodniej, zapewne do znanej z przerzutu narkotyków Gwinei Bissau. Manhire westchnął. Szkoda, że nie popłynęła dalej na

północ, obok należących do Hiszpanii Wysp Kanaryjskich albo portugalskiej Madery czy Azorów. Wówczas któreś z tych państw mogłoby wysłać w morze kuter straży przybrzeżnej i przejąć kontrabandę.

Ten statek był jednak daleko na południe, sto mil na północ od Wysp Zielonego Przylądka — tyle że na ich pomoc też nie można było liczyć. Brak sprzętu. Zwracanie się do zbankrutowanych państweczek położonych na krzywiznie Afryki między Senegalem a Liberią także nie miało sensu. One również stanowiły część tego samego problemu, a nie rozwiązanie.

Tim Manhire zwrócił się więc do marynarek wojennych sześciu państw europejskich oraz Stanów Zjednoczonych, te jednak nie miały w pobliżu żadnej fregaty, niszczyciela ani krążownika. „Esmeralda-G”, widząc fotografujący ją samolot, musiała sobie uświadomić, że została zauważona. Zrezygnuje więc ze sztuczki z brezentem i całą naprzód ruszy w stronę lądu. Zostało jej do przebycia zaledwie dwieście mil morskich — nawet ślimacząc się w tempie dziesięciu węzłów, i tak do rana znajdzie schronienie wśród mangrowców porastających bagniste wybrzeże Gwinei Bissau.

Jednak nawet przechwycenie statku na morzu nie oznaczało końca irytacji. Niedawno los uśmiechnął się do Manhire'a — francuska fregata zareagowała na jego prośbę i kierując się wytycznymi MAOC, znalazła czterysta mil od brzegu frachtowiec przewożący kokainę. Tyle że Francuzi, obsesyjnie przestrzegający formalnych subtelności, rozkazali doholować statek pojmanych przemytników do najbliższego „zaprzyjaźnionego” portu. Tak się złożyło, że było to kolejne plajtujące państwo —

Republika Gwinei.

Do zajętego statku musiał przylecieć z Paryża francuski sędzia pokoju, żeby dokonać *les formalités*. Miało to coś wspólnego z prawami człowieka — *les droits de l'homme*.

— *Droits de mon cul!* — burknął Jean-Louis, kolega Manhire'a z Francji. Nawet Brytyjczyk zrozumiał, że znaczy to „w dupie mam takie prawa!”.

W rezultacie statek został zatrzymany do wyjaśnienia, załoga postawiona w stan oskarżenia, a kokaina skonfiskowana. Nie minął tydzień, a statek odcumował i wypłynął w morze. Kierowała nim ta sama załoga, bez trudu zwolniona z aresztu za kaucją wyznaczoną przez sędziego pokoju, który w konsekwencji przesiadł się ze starego peugeota do nowego mercedesa, a skonfiskowany towar dziwnym trafem wyparował.

Dyrektor MAOC z westchnieniem wprowadził do akt nazwę i zdjęcie „Esmeraldy-G”. Jeśli jeszcze kiedyś ją zobaczą... Ale do tego nie dojdzie. Uprzedzeni o niebezpieczeństwie przemytnicy przerobią statek na kuter do połowu tuńczyków i zmienią nazwę, zanim jednostka znów wypłynie na Atlantyk. A nawet gdyby tego nie zrobili i „Esmeralda-G” pojawiłaby się na ich radarach, to czy szczęśliwym trafem znajdzie się kolejny samolot europejskiej marynarki wojennej, któremu uda się na nią trafić w chwili, gdy brezent będzie powiewał na wietrze? Szansa jak tysiąc do jednego.

Na tym polega główny problem, pomyślał Manhire. Minimalne środki i bezkarność przemytników. Nawet jeżeli zostaną złapani.

• • •

Tydzień później prezydent Stanów Zjednoczonych siedział sam na sam z dyrektorem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego — agencji bezpieczeństwa wewnętrznego, porównującej i nadzorującej działalność trzynastu głównych agencji wywiadowczych USA.

Dyrektor ze zdumieniem spoglądał na zwierzchnika sił zbrojnych.

- Pan mówi poważnie, panie prezydencie?
- Jak najbardziej. Co pan proponuje?
- No cóż, skoro zamierza pan podjąć próbę zniszczenia branży kokainowej, będzie pan miał przeciwko sobie najbardziej nikczemnych, brutalnych i bezwzględnych ludzi na świecie.
- Wobec tego przypuszczam, że potrzebujemy kogoś jeszcze lepszego.
- Raczej kogoś jeszcze gorszego, panie prezydencie.
- Mamy takiego człowieka?
- Cóż, przychodzi mi na myśl pewne nazwisko, a raczej związana z nim reputacja. Przez lata pracował jako szef kontrwywiadu CIA. To on pomógł osaczyć i zniszczyć Aldricha Amesa, gdy w końcu uzyskał na to zgodę. Następnie prowadził dla Firmy operacje specjalne. Był o włos od schwymania w pułapkę i zabicia Osamy bin Ladena, i to jeszcze w czasach sprzed

jedenastego września. Zwolniony ze służby dwa lata temu.

— Zwolniony?

— Wyrzucony.

— Za co?

— Za zbytnią brutalność.

— W stosunku do kolegów?

— Nie, panie prezydencie. W stosunku do naszych wrogów.

— Takie pojęcie nie istnieje. Chcę go mieć z powrotem.

Jak się nazywa?

— Zapomniałem, panie prezydencie. W Langley wszyscy używali jego przezwiska. Mówili na niego Kobra.

ROZDZIAŁ DRUGI

Człowiek, którego szukał prezydent, nazywał się Paul Devereaux; kiedy go wreszcie namierzono, akurat się modlił. Uważał modlitwę za rzecz najwyższej wagi.

Devereaux był potomkiem jednej z wielu rodzin ocierających się o arystokrację na tyle, na ile to było możliwe w stanie Massachusetts od roku 1776. Już jako bardzo młody człowiek dysponował prywatnym majątkiem, ale najbardziej wyróżniającą go cechą był intelekt.

Ukończył liceum w Bostonie, stanowiące wylegarnię narybku dla jednego z czołowych jezuickich uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych. Tam uznano go za człowieka o wyjątkowo wielkich talentach i ambicjach. Pobożność studenta dorównywała jego erudycji i poważnie rozważał poświęcenie się kapłaństwu jako jezuita. A jednak przyjął zaproszenie i wstąpił do innego ekskluzywnego towarzystwa — CIA.

Dla dwudziestolatka, który celująco i jakby od niechcenia przeszedł wszelkie egzaminy, jakie zdołali wymyślić jego

wykładowcy, i który co roku biegle opanowywał kolejny obcy język, była to kwestia służby Bogu i krajowi poprzez zwalczanie komunizmu i ateizmu. Po prostu wybrał drogę świecką, nie kościelną.

W Agencji awansował szybko, był bowiem nie do powstrzymania, a jeśli nawet bezstronny intelektualizm nie przysparzał mu w Langley popularności, to miał to gdzieś. Służył w trzech głównych wydziałach: Wydziale Operacyjnym (WO), Sztapie Wywiadowczym (dział analiz) i Sztapie Kontrwywiadowczym (bezpieczeństwo wewnętrzne). Przetrwał zimną wojnę aż do upadku Związku Radzieckiego w roku 1991 — na co poświęcił dwadzieścia lat ciężkiej pracy — i pozostał na stanowisku do roku 1998, kiedy to Al-Kaida wysadziła dwie amerykańskie ambasady, w Nairobi i Dar es-Salaam.

Devereaux już wtedy był doświadczonym arabistą, gdyż zdawał sobie sprawę, że wydział radziecki ma nadmiar pracowników, a praca w nim nie będzie już tak ciekawa jak kiedyś. Opanowawszy do perfekcji siedem dialektów arabskich, był idealnym kandydatem do jednostki operacji specjalnych powołanej w Agencji do zwalczania najnowszego zagrożenia — fundamentalizmu muzułmańskiego, który zrodził światowy terroryzm.

Jego przejście na emeryturę w 2008 roku odgrzało stare jak świat pytanie: Spadł sam czy ktoś go zepchnął? Rzecz jasna, obstawał przy pierwszej wersji. Życzliwy obserwator ogłosiłby remis. Devereaux był reprezentantem starej szkoły. Potrafił recytować Koran lepiej niż większość islamskich uczonych i przyswoił sobie co najmniej tysiąc najbardziej autorytatywnych

komentarzy. Otaczali go jednak bystrzy młodzi ludzie z uszami przyspawanymi do blackberry — urządzenia, którym gardził.

Nienawidził politycznej poprawności, wołał dworskie maniery i kurtuazję, z jakimi odnosił się do wszystkich, z wyjątkiem oczywistych wrogów jedyne go prawdziwego Boga oraz Stanów Zjednoczonych. Tych niszczył bez skrupułów. Do ostatecznego rozstania z Langley skłoniła go wypowiedź nowego dyrektora CIA, który stanowczo oświadczył, że w świecie współczesnym skrupuły są koniecznością.

Na odchodne urządził cichy koktajl — jeszcze jeden konwenans, którego nie znosił — i wycofał się do przepięknej rezydencji w Alexandrii. Tutaj mógł się zaszyć w swojej wspaniałej bibliotece i zająć kolekcją rzadkich dzieł sztuki islamu.

Nie był gejem, ale ponieważ nie miał żony, spekulacje na ten temat swego czasu były częstym tematem pogaduszek przy podajniku wody w korytarzach Starego Gmachu w Langley — stanowczo odmówił bowiem przeprowadzki do Nowego Gmachu. W końcu dyskutanci musieli jednak uznać to, co oczywiste — że wychowany przez jezuitów intelektualista, ascetyczny jajogłowy z Bostonu nie jest zainteresowany kobietami. Właśnie wtedy jakiś przemądrzały młodzian, który szybko piął się w górę, napomknął, że Devereaux ma tyle wdzięku co kobra. Przewisko się przyjęło.

Młody urzędnik z Białego Domu najpierw pojechał do rezydencji przy skrzyżowaniu South Lee i South Fairfax. Gospodyni, rozpromieniona Maisie, poinformowała chłopaka, że jej

pracodawca jest w kościele, i wskazała mu drogę. Kiedy młody człowiek wrócił do zaparkowanego przy krawężniku samochodu i się rozejrzył, pomyślał, że cofnął się o dwa stulecia.

Nic dziwnego. Alexandrię założyli angielscy kupcy w roku 1749. Była „przedwojenna” nie tylko w tym sensie, że istniała przed wojną secesyjną — poprzedzała nawet rewolucję amerykańską. Jako port rzeczny na Potomacu wzbogaciła się na handlu niewolnikami i cukrem. Statki z cukrem, posuwające się w górę rzeki z zatoki Chesapeake i wzburzonego Atlantyku, używały w charakterze balastu starych angielskich cegieł, i właśnie z nich kupcy pobudowali swoje wspaniałe rezydencje. Efekt zdecydowanie bardziej kojarzył się ze starą Europą niż z Nowym Światem.

Człowiek z Białego Domu usiadł z powrotem obok kierowcy i powiedział mu, jak ma dojechać na South Royal Street, a także kazał rozglądać się za katolickim kościołem pod wezwaniem Świętej Marii. Uchylił drzwi świątyni i przeniósł się z szumu ulicy do spokojnej ciszy nawy. Rozejrzawszy się, dostrzegł samotną postać klęczącą przed ołtarzem.

Bezszelestnie skradał się długą nawą pod ośmioma oknami witrażowymi. Wyczuł lekki zapach kadzidła i wosku z płonących świec wotywnych, gdy zbliżał się do siwowłosej postaci modlącej się na klęczkach przed ubranym na biało ołtarzem, zwieńczonym prostym złotym krzyżem.

Sądził, że nie było go słyhać, lecz postać uniosła rękę na znak, żeby nie przerywał ciszy. W końcu mężczyzna przed ołtarzem skończył modły, wstał, skłonił głowę, przeżegnał się i odwrócił. Człowiek z Pennsylvania Avenue chciał się odezwać,

ale druga ręka powędrowała w górę, wobec tego w milczeniu wrócili nawą do kruchty przy drzwiach prowadzących na ulicę. Dopiero wtedy starszy mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął. Otworzył drzwi kościoła i spostrzegł limuzynę po drugiej stronie ulicy.

— Przyjechałem z Białego Domu, proszę pana — poinformował go urzędnik.

— Mój młody przyjacielu, wiele rzeczy się zmienia, ale nie fryzury ani samochody — odparł Devereaux.

Jeśli urzędnik oczekiwał, że słowa „Biały Dom”, którymi z lubością szafował, wywrą należyty efekt, to się przeliczył.

— A cóż takiego Biały Dom chce przekazać staremu człowiekowi na emeryturze?

Urzędnik był skonsternowany. W społeczeństwie sfiksowanym na punkcie młodości nikt nie nazywał siebie starcem, nawet gdy miał siedemdziesiątkę na karku. Nie wiedział jednak, że w świecie arabskim starość traktuje się z szacunkiem.

— Prezydent Stanów Zjednoczonych pragnie się z panem zobaczyć.

Devereaux milczał, jakby przetrwał tę wiadomość.

— Bezzwłocznie, proszę pana.

— Wobec tego sądzę, że stosowny będzie ciemny garnitur i krawat, jeśli po drodze możemy wstąpić do mnie. Nie mam prawa jazdy, a zatem i samochodu. Liczę więc, że zawiezie mnie pan i odwiezie z powrotem?

— Ależ oczywiście, proszę pana.

— A zatem w drogę. Pański kierowca wie, gdzie mieszkam. Na pewno zajrzeliście tam i rozmawialiście z Maisie.

Spotkanie w Zachodnim Skrzydle było krótkie. Odbyło się w gabinecie szefa personelu, pragmatycznego kongresmana z Illinois, który od dwóch lat pracował dla prezydenta.

Prezydent podał gościowi rękę i przedstawił mu swojego najbardziej zaufanego współpracownika w całym Waszyngtonie.

— Chciałbym panu złożyć propozycję, panie Devereaux — rzekł prezydent. — W pewnym sensie to prośba. Nie, to bezsprzecznie prośba. Mam teraz spotkanie, z którego nie mogę się wymigać, ale to nie ma znaczenia. Wszystko wyjaśni panu Jonathan Silver. Będę wdzięczny za odpowiedź, kiedy uzna pan, że jest gotów mi jej udzielić.

Uśmiech, kolejny uścisk dłoni i prezydent zniknął. Silver się nie uśmiechnął. Jeśli w ogóle się cieszył, to wyłącznie na wieść, że któryś z przeciwników prezydenta ma poważne kłopoty. Wziął z biurka teczkę i wyciągnął ją do Devereaux.

— Prezydent byłby wdzięczny, gdyby najpierw pan to przeczytał. Tu i teraz. — Wskazał jeden ze skórzanych foteli w głębi pokoju.

Paul Devereaux wziął teczkę, usiadł, skrzyżował nogi i przeczytał raport Berrigana. Dziesięć minut później skończył i podniósł głowę.

Jonathan Silver odwał papierkową robotę. Podchwycił wzrok starego tajnego agenta i odłożył pióro.

— I co pan sądzi?

— Interesujące, aczkolwiek nie ma w tym nic odkrywczego. Czego pan ode mnie oczekuje?

— Prezydent chciałby wiedzieć jedno: Czy mając do

dyspozycji naszą technologię i siły specjalne, jest możliwe zniszczenie branży kokainowej?

Devereaux wbił wzrok w sufit.

— Odpowiedź po pięciu sekundach byłaby bezwartościowa. Obaj zdajemy sobie z tego sprawę. Potrzebuję czasu, żeby przeprowadzić coś, co Francuzi nazywają *projet d'étude*.

— Mam w nosie, jak to nazywają Francuzi — brzmiała odpowiedź. Jonathan Silver rzadko opuszczał Stany Zjednoczone, chyba że leciał do ukochanego Izraela. Jeśli już musiał wyjechać, nie znosił każdej minuty pobytu za granicą, zwłaszcza w Europie, a już szczególnie we Francji. — Potrzebuje pan czasu na badania, tak? Ile?

— Minimum dwa tygodnie. Będzie mi także potrzebne pisemne upoważnienie, nakazujące wszelkim władzom w tym stanie udzielania wyczerpujących i szczerych odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Bez tego moja opinia wciąż będzie niewiele warta. Zakładam, że ani pan, ani prezydent nie chcecie tracić czasu i pieniędzy na projekt z góry skazany na niepowodzenie?

Szef personelu przez dłuższą chwilę mierzył starego agenta wzrokiem, po czym wstał i wymaszerował z pokoju. Pięć minut później wrócił z pismem. Devereaux spojrział na nie pobieżnie i wolno pokiwał głową. List, który miał w ręku, pozwalał mu pokonać wszelkie bariery biurokratyczne w kraju. Szef personelu wręczył mu także wizytówkę.

— Moje prywatne numery telefonów. Domowy, służbowy i na komórkę. Rozmowy z każdym z nich są kodowane. Te połączenia są absolutnie bezpieczne. Proszę dzwonić o każdej porze

dnia i nocy, ale tylko w ważnych sprawach. Od tej pory prezydent nie ma z tym nic wspólnego. Czy chce pan zatrzymać raport Berrigana?

— Nie — odparł łagodnie Devereaux. — Znam go na pamięć. Tak samo jak pańskie trzy numery telefonów.

Oddał wizytówkę. W głębi ducha naśmiewał się z przechwałki o „absolutnie bezpiecznych” połączeniach. Kilka lat wcześniej brytyjski maniak komputerowy, dotknięty lekkim autyzmem, złamał wszelkie zabezpieczenia NASA i Pentagonu i wszedł do ich baz danych jak nóż w masło. A dokonał tego za pomocą jakiegoś tandetnego ustrojstwa, ze swojej sypialni w północnej części Londynu. Kobra wiedział, na czym polega prawdziwe zachowanie tajemnicy — między trzema ludźmi można utrzymać coś w sekrecie jedynie wtedy, gdy dwaj z nich nie żyją, a cała sztuczka polega na tym, żeby posiadać dane i zrobić swoje, zanim złoczyńcy się w tym połapią.

• • •

Tydzień po spotkaniu Devereaux z Silverem prezydent przebywał w Londynie. Nie była to wizyta państwowa, tylko jeden szczebel niżej — oficjalna. Mimo to wraz z Pierwszą Damą został przyjęty przez królową w Zamku Windsorskim i odświeżono prawdziwą starą przyjaźń.

Poza tym czekały go rozmowy robocze, koncentrujące się na kwestiach Afganistanu, gospodarki USA i Wielkiej Brytanii, Unii Europejskiej, globalnego ocieplenia i zmian klimatycznych oraz handlu. Prezydent i jego żona przyjęli zaproszenie na weekend od nowego brytyjskiego premiera, by przez dwa dni

odpoczęli w jego oficjalnej wiejskiej posiadłości — wspaniałej rezydencji z okresu Tudorów, zwanej po prostu Chequers (Warcaby). W sobotę wieczorem po kolacji obie pary siedziały przy kawie w Długiej Galerii. Było zimno, więc płomienie trzaskających na kominku polan rzucały migotliwe cienie na ściany ręcznie tłoczonych, oprawionych w marokiny starych ksiąg.

Nie sposób przewidzieć, czy dwaj szefowie rządów dogadają się na gruncie prywatnym i czy połączy ich zrozumienie i prawdziwa przyjaźń. Na dwoje babka wróżyła. Jak dowodzi historia, Franklin D. Roosevelt i Winston Churchill często nie zgadzali się ze sobą, a jednak się lubili. Ronalda Reagana i Margaret Thatcher łączyła szczerą przyjaźń, mimo przepaści dzielącej niewzruszone przekonania Angielki i rubaszne poczucie humoru Kalifornijczyka.

Na tym szczeblu między Brytyjczykami a Europejczykami z kontynentu rzadko panowało coś więcej niż tylko oficjalna uprzejmość. Pewnego razu kanclerz Niemiec Helmut Schmidt zjawił się z żoną, która była tak koszmarna, że schodzący na kolację Harold Wilson dał upust swojemu poczuciu humoru (co zdarzało mu się niezwykle rzadko) i zauważył kąśliwie w obecności zebranych oficjeli: „No cóż, orgietka z wymianą żon nie wchodzi w rachubę”.

Harold Macmillan nie znosił Charles'a de Gaulle'a (i wzajemnie), ale miał wiele sympatii dla znacznie młodszego Johna F. Kennedy'ego. Możliwe, że wynikało to ze wspólnoty językowej, choć niekoniecznie.

Zważywszy na przepaść dzielącą pochodzenie obu mężczyzn

wygrzewających się przy kominku tego jesiennego wieczoru, pod ochroną agentów Secret Service i żołnierzy SAS patrolujących w zapadającym zmierzchu okoliczny teren, dziwić może fakt, że zaledwie po trzech spotkaniach — jednym w Waszyngtonie, jednym na sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych i teraz w Chequers — połączyła ich całkiem prywatna przyjaźń.

Pochodzenie Amerykanina działało na jego niekorzyść — ojciec Kenijczyk, matka urodzona w Kansas, dorastał na Hawajach oraz w Indonezji i od najmłodszych lat walczył z bigoterią. Rodzicami Anglika byli makler i sędzia pokoju hrabstwa; za młodu chowany przez nianię, ukończył jedną z dwóch najdroższych i najbardziej prestiżowych szkół prywatnych w kraju. Z tego rodzaju pochodzenia czasami bierze się niewymuszony wdzięk, maskujący stalowy charakter. U niektórych ten urok działa, u innych nie.

Pozornie ci dwaj mężczyźni mieli ze sobą wiele wspólnego. Obaj byli przed pięćdziesiątką, mieli piękne żony, dzieci w wieku szkolnym, obaj ukończyli jedno z najlepszych uczelni na świecie i całe życie poświęcili polityce. Łączyła ich też niemal obsesyjna troska o zmiany klimatyczne, ubóstwo Trzeciego Świata, bezpieczeństwo narodowe i ciężki los, nawet w swoich krajach, tych, których Frantz Fanon nazwał „wykętym ludem ziemi”.

Podczas gdy żona premiera pokazywała Pierwszej Damie część najstarszych pozycji księgozbioru, prezydent zapytał szeptem swojego brytyjskiego odpowiednika:

- Miałeś czas rzucić okiem na raport, który ci dałem?
- Oczywiście. Robi wrażenie... i jest niepokojący. Dla nas jest to pierwszoplanowy problem. Ten kraj to największy odbiorca kokainy w Europie. Dwa miesiące temu agenci SOCA, nasi ludzie od przestępczości zorganizowanej, zdali mi relację z ubocznych przestępstw będących wynikiem zażywania kokainy. A dlaczego pytasz?

Prezydent wbił wzrok w kominek.

- W tej chwili jeden z moich ludzi bada, czy pewien pomysł jest wykonalny — powiedział, starannie dobierając słowa.
- Czy mając do dyspozycji całą naszą technologię i umiejętności sił specjalnych, da się zniszczyć tę branżę raz na zawsze.

Zaskoczony premier wlepił wzrok w Amerykanina.

- A ten twój człowiek... wyraził już swoje zdanie?
- Nie. Spodziewam się opinii lada chwila.
- I jego rady. Zastosujesz się do niej?
- Chyba tak.
- A jeśli uzna, że to jest wykonalne?
- Wtedy Stany Zjednoczone pewnie się na to porwą.
- Obaj wydajemy na walkę z narkotykami olbrzymie środki ze skarbu państwa. Moi eksperci jak jeden mąż twierdzą, że zniszczenie tej branży raz na zawsze jest niewykonalne. Przejmujemy transporty, łapiemy przemytników oraz gangsterów i wtrącamy ich do więzienia na długie lata... Ale to nic nie zmienia. Narkotyki wciąż płyną szerokim strumieniem. Skazanych zastępują nowi ochotnicy. W dodatku apetyt społeczeństwa wciąż rośnie.

— A jeżeli mój człowiek oceni, że plan jest wykonalny, czy Wielka Brytania nas poprze?

Żaden polityk nie lubi ciosu poniżej pasa, nawet jeśli dostaje go od przyjaciela. I nawet jeśli tym przyjacielem jest prezydent Stanów Zjednoczonych. Premier postanowił grać na zwłokę.

— Potrzebny byłby szczegółowy plan. I fundusze.

— Jeśli się na to zdecydujemy, będzie plan. Fundusze też się znajdują. Ale przydałyby mi się wasze siły specjalne. Wasze agencje do zwalczania przestępczości. Umiejętności waszego wywiadu.

— Musiałbym się skonsultować z moimi ludźmi — rzekł premier.

— Zrób to — odparł prezydent. — Dam ci znać, do jakich wniosków doszedł mój człowiek i czy przystępujemy do działania.

Cała czwórka udała się do łóżek. Rano mieli uczestniczyć w nabożeństwie porannym w miejscowym kościele normandzkim. Przez całą noc strażnicy będą patrolować teren, obserwować, sprawdzać, lustrować, i tak na okrągło. Uzbrojeni, w kamizelkach kuloodpornych, byli wyposażeni w noktowizory, skanery podczerwieni, czujniki ruchu i detektory termiczne. Lis, który by się tam zapuścił, wykazałby się skrajnym brakiem rozsądku. Nawet specjalnie ściągnięte ze Stanów Zjednoczonych limuzyny były pilnowane przez całą noc, żeby nikt nie miał do nich dostępu.

Parze z Ameryki, jak wszystkim przywódcom państw, dostał się pokój Lee, noszący nazwisko filantropa, który w roku 1917

podarował Chequers narodowi, dokonawszy w posiadłości gruntownej renowacji. Wciąż stało w nim łóże z baldachimem pochodzące, chyba niezbyt dyplomatycznie, z czasów Jerzego III. Podczas drugiej wojny światowej radziecki minister spraw zagranicznych Mołotow spał w tym łóżku z pistoletem pod poduszką. Tej nocy, w roku 2010, obyło się bez pistoletu.

•••

Okolo trzystu kilometrów na południowy zachód od portu i miasta Cartagena w wybrzeże Kolumbii wciną się zatoka Urabá — pasmo nieprzebytych, malarycznych bagien namorzynowych. Gdy Air Force One podchodził do lądowania z parą prezydencką wracającą do kraju z Londynu, dwie dziwne łodzie wypłynęły ukradkiem z niewidocznej rzeki i skręciły na południowy zachód.

Jednostki te, wykonane z aluminium i wąskie jak ołówek, miały blisko dwadzieścia metrów długości i wyglądały na wodzie jak igły, ale napędzane były czterema umieszczonymi obok siebie silnikami zaburtowymi Yamaha 200. W branży kokainowej zwano je „ścigaczami”, bo ich kształt i moc silników miały spowodować, że prześcigną wszystko, co porusza się po wodzie.

Pomimo długości tych łodzi na pokładzie było niewiele miejsca. Większość zajmowały olbrzymie dodatkowe zbiorniki na paliwo. Każda z nich wiozła też po sześćset kilogramów kokainy w dziesięciu dużych plastikowych beczkach, hermetycznie uszczelnionych, by zabezpieczyć zawartość przed morską

wodą. Żeby ułatwić ich przenoszenie, beczki były okryte siatkami z niebieskiej plastikowej liny.

Między beczkami a zbiornikami na paliwo w niewygodnej pozycji kuciała czteroosobowa załoga. Ale ci ludzie nie byli tu dla wygody. Przy sterze czuwał znakomity fachowiec, który bez trudu mógł prowadzić ślizgacz ze stałą prędkością czterdziestu węzłów, choć gdyby przyszło uciekać przed pościgiem, zdołałby – jeśli stan morza by na to pozwolił – przyspieszyć nawet do sześćdziesięciu węzłów. Do towarzystwa miał trzech osiłków. Zapłata, jaką im obiecano za siedemdziesiąt dwie godziny niewygody i ryzyka, stanowiła dla nich prawdziwą fortunę, choć był to zaledwie drobny ułamek jednego procentu wartości towaru ukrytego w tych dwudziestu beczkach.

Wypłynawszy za płycznę, kapitanowie zwiększyli prędkość do czterdziestu węzłów, ruszając w długą podróż po płaskim jak stół morzu. Ich celem był punkt na oceanie położony na wprost portu Colón, siedemdziesiąt mil morskich od wybrzeży Panamy. Tam czekało ich spotkanie z frachtowcem „Virgen de Valme”, który miał nadpłynąć Morzem Karaibskim od wschodu, kierując się do Kanału Panamskiego.

„Ścigacze” miały do pokonania trzysta mil morskich, więc nawet przy prędkości czterdziestu węzłów nie mogły dotrzeć na miejsce spotkania przed wschodem słońca. Dlatego następnego dnia staną, kołysząc się w duchocie i upale pod niebieskim brezentem, aż zapadnie ciemność i będą mogły ruszyć w dalszą drogę. Następnie o północy załoga dokona przeladunku towaru. O tej porze upływał bowiem wyznaczony termin.

Frachtowiec czekał już na zbliżające się „ścigacze”, mrugając światłami w ustalonej sekwencji. Tożsamość potwierdzono, wykrzykując zawczasu uzgodnione, choć kompletnie pozbawione sensu zdania. Łodzie przybiły do burty statku, po czym ochoczo wciągnięto dwadzieścia beczek na pokład. W ślad za nimi powędrowały puste zbiorniki na paliwo, które wkrótce opuszczono z powrotem, pełne po brzegi. Wymieniono pozdrowienia po hiszpańsku i „Virgen de Valme” odpłynęła w kierunku Colón, a „ścigacze” zawróciły do domu. Jeszcze jeden dzień będą się kiwały na falach, niewidoczne na tle oceanu, a trzeciego dnia przed świtem, sześćdziesiąt godzin po wypłynięciu w podróż, wrócą do swoich namorzynowych bagien.

Zapłata w wysokości pięciu tysięcy dolarów dla każdego z członków załogi oraz po dziesięć tysięcy dla obu kapitanów była dla tych ludzi bająnską sumą. Towar, który przeszmyglowali, w Stanach Zjednoczonych zostanie sprzedany w detalu za blisko osiemdziesiąt cztery miliony dolarów.

Gdy „Virgen de Valme” dopłynęła do Kanału Panamskiego, była tylko jednym z wielu frachtowców czekających w kolejce na przeprawę, no chyba że ktoś zapaściłby się pod zęzę najniższej ładowni. Nikt tego jednak nie zrobił. Nie sposób było tam przeżyć bez aparatów tlenowych — a tylko załoga miała takie aparaty, udające sprzęt przeciwpożarowy.

Przepłynąwszy przez Kanał Panamski na Pacyfik, frachtowiec skręcił na północ. Minął Amerykę Środkową, Meksyk i Kalifornię. W końcu, na wysokości Oregonu, dwadzieścia beczek wyciągnięto na pokład i ukryto pod brezentem. W bez-

księżycową noc „Virgen de Valme” okrążyła Cape Flattery i wpłynęła w cieśninę Juan de Fuca, wioząc dostawę brazylijskiej kawy do Seattle, dla wybrednych smakoszy w amerykańskiej stolicy tego napoju.

Jednak zanim statek skręcił w cieśninę, załoga wytaszczyła za burtę dwadzieścia beczek, odpowiednio obciążonych łańcuchami, tak by łagodnie opadły trzydzieści metrów na dno. Wtedy kapitan wykonał jedno połączenie z telefonu komórkowego. Nawet jeśli nasłuch Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w stanie Maryland rejestrował tę rozmowę (a rzeczywiście ją nagrywał), to jej treść była niegroźna, takie tam gadanie o niczym. Że niby samotny marynarz za kilka godzin spotka się ze swoją dziewczyną.

Dwadzieścia beczek oznakowano małymi, pomalowanymi na jaskrawe kolory bojami, które o świetle podskakiwały na szarej wodzie. Znaleźli je czterej ludzie z kutra do połowu krabów, bo też wyglądały dokładnie jak boje oznaczające węćierze do połowu homarów. Nikt ich nie zauważył, gdy wyciągali beczki z głębiny. Gdyby ich radar wykrył fregatę patrolową w promieniu kilku mil, nie zbliżyliby się do tego miejsca. Ale ponieważ nadajnik GPS wskazywał położenie kokainy z dokładnością do kilku metrów, mogli wybrać odpowiednią chwilę.

Przemytnicy wrócili z cieśniny Juan de Fuca w gąszcz wysepek na północ od Seattle i przybili do brzegu na kontynencie, w miejscu gdzie trakt rybacki prowadził nad wodę. Czekala tam na nich duża ciężarówka do przewozu piwa. Po przeniesieniu do samochodu beczki pojedą w głąb lądu jako część trzystu ton kokainy szmuglowanych do Stanów Zjednoczonych co roku.

Wszyscy biorący udział w tym procederze otrzymają z góry ustalone kwoty. Poławiacze krabów nigdy nie poznają nazwy statku ani właściciela ciężarówki wożącej piwo. Te informacje do niczego nie były im potrzebne.

Z chwilą znalezienia się narkotyku na terytorium Stanów Zjednoczonych zmieniał się właściciel towaru. Do tej pory należał on do kartelu i to kartel opłacał wszystkich zamieszanych w ten interes. Ale poczynając od ciężarówki do przewozu piwa, towar przechodził na własność amerykańskiego importera i teraz to on winien był kartelowi olbrzymie pieniądze.

Cena za tysiąc dwieście kilogramów czystej kolumbijki była wynegocjowana z góry. Płatki muszą płacić sto procent należności z chwilą złożenia zamówienia. Grube ryby płacą pięćdziesiąt procent z góry, a resztę po dostawie. Następnie importer sprzedaje kokainę z kolosalnymi marżami narzuconymi na każdym etapie pomiędzy ciężarówką a nosami klientów w Spokane czy Milwaukee. Odpala działkę pośrednikom i figurantom, dzięki którym nie trafia w orbitę zainteresowania FBI czy DEA. Wszystkie transakcje prowadzi się wyłącznie w gotówce. Ale nawet po zapłaceniu kartelowi zaległych pięćdziesięciu procent należności amerykański gangster wciąż ma morze dolarów do wyprania. Rozprowadza je więc z dala od siebie, inwestując w setki innych nielegalnych przedsięwzięć.

A rzekomo nieszkodliwy biały proszek niszczy życie kolejnych ludzi jak Ameryka długa i szeroka.

•••

Paul Devereaux stwierdził, że na dokończenie badań potrzebuje czterech tygodni. Dwukrotnie dzwonił do niego Jonathan Silver, ale stary agent nie dał się popędzać. Dopiero kiedy był gotowy, ponownie spotkał się z prezydenckim szefem personelu w Zachodnim Skrzydle. Miał ze sobą cienką teczkę. Gardził komputerami, uważając, że nie zapewniają za grosz bezpieczeństwa, dlatego też zapamiętywał niemal wszystko, a jeśli miał do czynienia z umysłem mniejszego kalibru, pisał zwięzłe raporty eleganckim, staroświeckim językiem.

— No i? — zapytał ostro Silver, który w swoim mniemaniu szczyił się tym, że jest rzeczowy i nie owija w bawełnę, choć zdaniem innych był po prostu niegrzeczny. — Wyrobił pan sobie jakiś pogląd?

— Owszem — odparł Devereaux. — Przy zachowaniu i rygorystycznym przestrzeganiu pewnych warunków można zniszczyć branżę kokainową jako część masowego rynku handlu narkotykami.

— Jak?

— Po pierwsze, jak tego nie robić. U samego źródła. Wytwórcy są poza zasięgiem. To tysiące biednych jak myszy kościelne chłopów, tak zwanych *cocaleros*, uprawiających ziele na tysiącach poletek w dżungli. Niektóre poletka nie mają nawet akra powierzchni. Dlatego dopóki jakiś kartel zechce kupować ich nędzną pastę, dopóty będą ją produkować i dostarczać kupcom w Kolumbii.

— Czyli spuszczenie łomotu chłopom odpada?

— Można próbować. Obecne władze kolumbijskie naprawdę

się starają, w przeciwieństwie do poprzednich i większości sąsiadów. Ale Wietnam powinien nauczyć nas wszystkich podstawowej prawdy o dzungli i jej mieszkańcach. Próba wytłoczenia mrówek za pomocą zwiniętej gazety to nie jest rozwiązanie.

— A więc laboratoria, w których przeprowadzają rafinację? Czy kartele?

— To również nie wchodzi w rachubę. Przypominałoby to próbę wyciągnięcia mureny z jej nory gołymi rękami. To ich terytorium, nie nasze. Na obszarze Ameryki Łacińskiej oni są panami, nie my.

— No dobra — rzucił Silver. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. — Na terenie Stanów Zjednoczonych, kiedy już cały ten szajs wylądował w naszym kraju? Ma pan pojęcie, jaką część dochodów państwa, ile dolarów wydajemy na nasze wszystkie organy ścigania? Pięćdziesiąt stanów plus federalni? Cholera, to cały nasz dług narodowy!

— Właśnie — przytaknął Devereaux. Mimo narastającej irytacji Silvera zachowywał niezmałony spokój. — O ile mi wiadomo, tylko rząd federalny wydaje na wojnę z narkotykami czternaście miliardów dolarów rocznie. A to i tak nic w porównaniu z dziurami w budżetach stanowych wszystkich pięćdziesięciu stanów. Dlatego tłumienie tej działalności na lądzie również nie przyniesie rezultatów.

— Wobec tego gdzie tkwi haczyk?

— Piętą achillesową jest woda.

— Woda? Chce pan rozcieńczać kokę wodą?

— Nie, mówię o szlakach morskich. Pomijając jedyną trasę

ładową z Kolumbii do Meksyku, która prowadzi wzdłuż Ameryki Środkowej i którą tak łatwo można kontrolować, że kartele przestały z niej korzystać, każdy gram kokainy wysyłanej do Stanów Zjednoczonych albo Europy...

— Daruj pan sobie Europę, to nie ich sprawa! — warknął Silver.

— ...musi przybyć nad morzem, po morzu albo pod nim. Nawet do Meksyku trafia z Kolumbii drogą morską. To jest tętnica kartelu. Jeśli się ją przetnie, pacjent umrze.

Silver odchrząknął, gapiąc się zza biurka na emerytowanego szpiega. Ten rewanżował mu się spokojnym spojrzeniem. Sprawiał wrażenie, że ma gdzieś, czy jego odkrycia zyskają poklask, czy nie.

— To co, mogę przekazać prezydentowi, że jest pan na tak i że podejmie się pan realizacji projektu?

— Niezupełnie. Istnieją pewne warunki. Obawiam się, że nie podlegają negocjacjom.

— To brzmi jak groźba. Nikt nie grozi Gabinetowi Ovalnemu. Weź pan na wstrzymanie.

— To nie groźba, tylko ostrzeżenie. Jeżeli moje warunki nie będą spełnione, cały projekt po prostu spali na panewce, co będzie równie kosztowne, jak żenujące. Oto te warunki.

Devereaux pchnął po biurku cienką teczkę. Szef personelu wziął ją, otworzył i zobaczył dwie kartki, które wyglądały jak wystukane na zwykłej maszynie do pisania. Pięć akapitów. Pounumerowanych.

Przeczytał pierwszy:

1. Muszę mieć zagwarantowaną całkowitą swobodę działania i absolutną dyskrecję. Jedyne jak najmniejsza grupa skupiona wokół zwierzchnika sił zbrojnych może wiedzieć, co się dzieje i dlaczego, bez względu na to, ilu ludzi będzie kręcić nosem albo stroszyć piórka. Ci poniżej szczebla Gabinetu Ovalnego mają wiedzieć wyłącznie to, co niezbędne, a zatem mieć minimum informacji potrzebnych do wykonania zadań, jakie się im zleci.

— W agencjach federalnych i strukturach wojskowych nie ma przecieków! — warknął Silver.

— Owszem, są — odparł niewzruszony Devereaux. — Spędziłem pół życia na zapobieganiu im albo na naprawianiu wyrządzonych przez nie szkód.

2. Będę potrzebował od prezydenta pełnomocnictwa dającego mi możliwość żądania i uzyskiwania bez sprzeciwu całkowitej współpracy wszelkich agencji rządowych oraz jednostek wojskowych, których współpraca okaże się niezbędna. Na początek wszelkie strzępy informacji napływające do różnych agencji, a dotyczące kampanii antynarkotykowej, mają być automatycznie przekazywane do centrali tego, co pozwoliłem sobie nazwać Projektem Kobra.

— Oni dostaną szalu — burknął Silver. Wiedział, że informacja to władza, a nikt nie ma ochoty dzielić się choćby

odrobiną swej władzy. Dotyczyło to zarówno CIA, DEA, FBI, NSA, jak i sił zbrojnych.

— Obecnie wszyscy podpadają pod przepisy Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i Ustawy Patriotycznej — zareplikował Devereaux. — Posłuchają rozkazu prezydenta.

— Te ustawy mają przeciwdziałać zagrożeniu terroryzmem — warknął Silver. — Przemyt narkotyków to tylko przestępstwo.

— Proszę czytać dalej — mruknął weteran CIA.

3. Sam dobiore sobie zespół. Nieliczny, ale wszyscy, których potrzebuję, muszą być oddelegowani do Projektu Kobra bez żadnych pytań i sprzeciwów.

Szef personelu nie zgłaszał zastrzeżeń, dopóki nie przeszedł do punktu czwartego.

4. Niezbędny budżet wynosi dwa miliardy dolarów, którymi będę dysponował bez jakiejkolwiek kontroli i rozliczania. Będę też potrzebował dziewięciu miesięcy na przygotowanie ataku oraz kolejnych dziewięciu na zniszczenie branży kokainowej.

Nieraz już prowadzono tajne akcje finansowane z tajnych funduszy, ale ten budżet był kolosalny. Szefowi personelu rozdzwoniły się w głowie dzwonki alarmowe. Czyj budżet trzeba będzie ograbić? FBI? CIA? DEA? A może Departament Skarbu wystąpi o dodatkowe środki?

— Wydatki muszą być pod kontrolą — oświadczył. — Księgowi nie ścierpią tego, że dwa miliardy dolarów wyparowały jak kamfora tylko dlatego, że pan się wybiera na zakupy.

— A zatem nici z interesu — odparł spokojnie Devereaux. — Sedno przedsięwzięcia sprowadza się do tego, że kiedy już podejmiemy akcję przeciwko kartelowi kokainowemu, oni nie mogą się zorientować, co ich czeka. Uprowadzony oznacza uzbrojony. Rodzaj nabytego sprzętu oraz dobór ludzi zdradzą nasze plany, a z chwilą gdy kontrolę przejmą księgowi, przeciek do któregoś z dziennikarzy śledczych albo do Internetu jest nieunikniony.

— Oni nie muszą przejmować kontroli, wystarczy zwykły nadzór.

— Na jedno wychodzi, panie Silver. Dopuszczając ich do projektu, spalimy naszą przykrywkę. A kiedy nie mamy przykrywki, już po nas. Niech mi pan wierzy, wiem coś na ten temat.

Były kongresman z Illinois wiedział, że w tej materii nie może się sprzeczać. Przeszedł do piątego warunku.

5. Konieczna będzie zmiana klasyfikacji kokainy z narkotyku klasy A, którego import jest przestępstwem, na zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Tym samym sprowadzenie, a nawet sam zamiar sprowadzenia kokainy stanie się aktem terrorystycznym.

Jonathan Silver wstał z krzesła.

— Czyś pan oszalał? To się wiąże ze zmianą prawa.

— Nie, do tego potrzeba tylko ustawy Kongresu. To prosta zmiana kwalifikacji pewnej substancji chemicznej. Wystarczy rozporządzenie wykonawcze.

— Jakiej substancji chemicznej?

— Chlorowodorek kokainy to tylko substancja chemiczna. Tak się składa, że jest zakazana i jej import narusza przepisy prawa karnego Stanów Zjednoczonych. Podobnie substancją chemiczną jest wąglík czy gaz paralityczno-drgawkowy. Tyle że pierwszy jest sklasyfikowany jako broń bakteriologiczna masowego rażenia, a gaz paralityczno-drgawkowy jako broń chemiczna. Najechaliśmy Irak właśnie dlatego, że Agencja, która po moim odejściu uchodzi za nasz wywiad, dała sobie wmówić, że ten kraj go ma.

— To było co innego.

— Nie, dokładnie to samo. Zmieńcie klasyfikację chlorowodoru kokainy na zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, a klocki domina zaczną padać jeden po drugim. Rzucanie na rynek tysiąca ton narkotyku rocznie przestanie być przestępstwem, stanie się aktem terrorystycznym. A wtedy będziemy mogli odpłacić zgodnie z prawem. Nasze siły są gotowe.

— Wszystko, co mamy w zanadrzu?

— Wszystko. Ale te siły są rozmieszczone poza naszymi wodami terytorialnymi i naszą przestrzenią powietrzną. I niewidoczne.

— Mamy potraktować kartel tak, jak Al-Kaidę?

— Ujął pan to brutalnie, ale celnie — przyznał Devereaux.

— A zatem pozostaje nam...

Siwowłósy bostończyk wstał.

— Pozostaje panu, drogi szefie personelu, zdecydować się, jak głęboko sięga pańska wrażliwość i wrażliwość człowieka po drugiej stronie korytarza. A kiedy już panowie to rozstrzygnięcie, niewiele będzie do dodania. Wierzę, że misja jest wykonalna, ale bez spełnienia moich warunków nie da się jej przeprowadzić. W każdym razie ja się tego nie podejmę.

Nie czekając na sygnał, że powinien już wyjść, zatrzymał się w progu.

— Proszę mi przekazać odpowiedź zwierzchnika sił zbrojnych w stosownym czasie. Będę w domu.

Jonathan Silver nie przywykł do tego, że jego gość wychodzi, a on gapi się na zamknięte drzwi.

• • •

W Stanach Zjednoczonych najważniejszym rozporządzeniem administracyjnym jest dekret prezydencki. Zazwyczaj dekrety takie są podawane do wiadomości publicznej, inaczej bowiem trudno byłoby ich przestrzegać, bywa jednak, że dekret prezydencki zostaje utajniony i wówczas zwany jest po prostu orzeczeniem.

Stary bonzo z Alexandrii nie wiedział tego, bo i skąd, ale udało mu się przekonać szefa personelu, który z kolei przekonał prezydenta. Po konsultacji z mocno zaskoczonym profesorem konstytucjonalistą kokainę po cichu przeklasyfikowano na toksynę i zagrożenie dla kraju. Jako taka stała się obiektem wojny z zagrożeniami dla bezpieczeństwa narodowego.

• • •

Daleko na zachód od wybrzeża Portugalii, niemal na równi z granicą hiszpańską, m/v „Balthazar” przedzierał się na północ, wioząc — zgodnie z deklaracją — towary powszechnego użytku do Europortu w Rotterdamie. Tym niewielkim statkiem o wyporności zaledwie sześciu tysięcy ton kierowała ośmioosobowa załoga plus kapitan — sami przemytnicy. Przystępcza strona ich działalności była do tego stopnia lukratywna, że kapitan maksimum za dwa lata zamierzał przejść na emeryturę i jako bogaty człowiek osiąść w ojczystej Wenezueli.

Teraz słuchał prognozy pogody dla Cabo Fisterra, leżącego zaledwie piętnaście mil morskich przed nimi. Przewidywano wiatr o sile czterech stopni w skali Beauforta i potężne fale, ale kapitan wiedział, że hiszpańscy rybacy, z którymi miał spotkanie na pełnym morzu, to dzielni żeglarze, radzący sobie w znacznie gorszych warunkach niż przy wiejącym obecnie rześkim wietrzyku.

Gdy zostawili daleko za sobą portugalskie Oporto i na wschodzie mieli niewidoczne hiszpańskie Vigo, rozkazał załozdze wytaszczyć cztery wielkie bele z trzeciej ładowni, gdzie leżały, odkąd wciągnięto je na pokład z kutra do połowu krewetek sto mil od brzegów Caracas.

Kapitan Goncalves był ostrożny. Odmówił wejścia do portu czy wypłynięcia w rejs z kontrabandą na pokładzie, a już szczególnie taką. Mógł ją załadować wyłącznie na pełnym morzu i przekazać dalej w ten sam sposób. Taka przezorność gwarantowała, że nie wpadnie, chyba że doniósłby na niego jakiś informator. Sześć pomyślnie zakończonych rejsów przez Atlantyk

pozwoili mu kupiĆ wspaniały dom, wychowaĆ dwie córki i wysłaĆ syna Enrique na studia.

Tuż za Vigo pojawiły się dwa hiszpańskie kutry. Kapitan Goncalves uparł się przy wymianie niewinnych, lecz absolutnie niezbędnych formułek powitalnych, gdy trawlerzy podskakiwały na falach obok jego statku. Kto wie, czy hiszpańscy celnicy nie przeniknęli w szeregi gangu? Może teraz tylko udają rybaków? Realnie rzecz biorąc, gdyby do tego doszło, powinni już przypuścić szturm, ale mężczyźni oddaleni o pół kabla od mostka Goncalvesa naprawdę byli tymi, z którymi miał się spotkać.

Po nawiązaniu kontaktu i potwierdzeniu tożsamości trawlerzy ruszyły kilwaterem ciągnącym się za frachtowcem. Kilka minut później cztery bele spadły przez reling rufowy do morza. W przeciwieństwie do tych zrzuconych pod Seattle te zaprojektowano tak, by unosiły się na wodzie. Podskakiwały więc na powierzchni, kiedy „Balthazar” skręcił na północ. Załogi trawlerów wciągnęły je na pokład, po dwie na każdą jednostkę, i wrzuciły do ładowni na ryby. Przysypano je dziesięcioma tonami makreli, po czym kutry ruszyły w drogę powrotną do domu.

Pochodziły z rybackiej wioski Muros na galicyjskim wybrzeżu. Gdy mijały w ciemności falochron i wpływały do portu, znów były „czyste”. Wcześniej, przed portem, inni ludzie wyciągnęli bele z morza na plażę, gdzie czekał już ciągnik z przyczepą. Żaden inny pojazd kołowy nie przebrnąłby przez mokry piasek. Cztery bele przeladowano z przyczepy ciągnika na ciężarówkę oblepioną reklamami atlantyckich krewetek

królewskich, a ta wyruszyła w drogę do Madrytu.

Madrycki przedstawiciel gangu importującego kokainę zapłacił im w gotówce, po czym udał się do portu, by rozliczyć się z rybakami. Do Europy trafiła kolejna tona czystej kolumbijki.

•••

Wiadomości przekazał telefonicznie szef personelu, a dokumenty dostarczył kurier. Pisemne upoważnienia dawały Paulowi Devereaux taką władzę, jakiej nikt poniżej szczebla Gabinetu Ovalnego nie miał od dziesięcioleci. Przelew funduszy miał nastąpić później, kiedy się zdecyduje, gdzie chce zdeponować dwa miliardy dolarów.

Jednym z pierwszych jego posunięć było odszukanie numeru telefonu, który trzymał przez lata, chociaż nigdy z niego nie skorzystał. Zrobił to dopiero teraz. Dzwonek zabrzączał w niewielkim parterowym domku przy bocznej uliczce w skromnej mieścinie Pennington w stanie New Jersey. Devereaux miał szczęście — po trzecim sygnale ktoś podniósł słuchawkę.

— Pan Dexter?

— A kto pyta?

— Głos z przeszłości. Nazywam się Paul Devereaux. Myślę, że pan pamięta to nazwisko.

Zapadła długa cisza, jakby rozmówcę ktoś walnął w żołądek.

— Panie Dexter, jest pan tam jeszcze?

— Jestem. A nazwisko pamiętam doskonale. Skąd pan ma ten numer?

— To bez znaczenia. Zapewne pamięta pan również, że moją specjalnością było zdobywanie poufnych informacji.

Człowiek z New Jersey pamiętał to aż za dobrze. Dziesięć lat wcześniej był najskuteczniejszym łowcą nagród, jakiego wydały Stany Zjednoczone. Niechcący wszedł jednak w paradę jajo-głowemu z Bostonu, który pracował poza centralą CIA w Langley w Wirginii i w rezultacie Devereaux próbował go zabić.

Ci dwaj mężczyźni byli do siebie tak podobni jak dzień i noc. Cal Dexter — żyłasty, jasnowłosy, przyjacielski i wiecznie uśmiechnięty skromny adwokat z Pennington — urodził się w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym w pełnej karaluchów dzielnicy nędzy w Newark. Jego ojciec, robotnik budowlany, podczas drugiej wojny światowej i wojny koreańskiej ciężko pracował, stawiając tysiące fabryk, stoczni i budynków rządowych u wybrzeży Jersey.

Niestety, po zakończeniu wojny koreańskiej możliwości pracy się skurczyły. Cal miał pięć lat, kiedy jego matka uciekła od pozbawionego miłości związku i zostawiła chłopca pod opiekę ojcu. Ojciec był surowy i często pięści szły w ruch — w świecie pracowników fizycznych było to jedyne prawo. Ale nie był zły i starał się wychowywać syna w duchu miłości do flagi państwowej Stanów Zjednoczonych, konstytucji i Joego DiMaggio.

W ciągu dwóch lat Dexter senior dorobił się przyczepy kempingowej, mógł więc swobodnie zmieniać miejsce zamieszkania

w zależności od tego, gdzie akurat była praca. Syn wychowywał się więc w takich warunkach — przenosił się z jednego placu budowy na drugi, chodził do tych szkół, które zgodziły się go przyjąć, a wkrótce znów ruszał w drogę. Była to epoka Elvisa Presleya, Dela Shannona, Roya Orbisona i Beatlesów, pochodzących z dalekiego kraju, o którym Cal nigdy nie słyszał. Była to także epoka Kennedy'ego, zimnej wojny i Wietnamu.

Nie odebrał w zasadzie formalnego wykształcenia, za to nabrał innych umiejętności — radzenia sobie na ulicy, zwyciężania w bijatykach. Tak jak matka, która go porzuciła, był niezbyt wysoki, miał raptem metr siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Nie był też tak masywny i muskularny jak ojciec, ale jego szczupłe ciało cechowała budząca postrach odporność, a pięściami posługiwał się jak mało kto.

Gdy miał siedemnaście lat, wyglądało na to, że pójdzie w ślady ojca i przez całe życie będzie przewalał łopatą ziemię albo prowadził śmieciarkę na placach budowy. Chyba że...

W styczniu 1968 roku skończył osiemnaście lat, a Wietkong rozpoczął ofensywę Tet. Cal siedział w barze w Camden i oglądał telewizję. Akurat leciał dokument na temat naboru do wojska. W programie wspomniano, że tym, którzy się wykażą, wojsko zapewni wykształcenie. Następnego dnia Cal wszedł do punktu rekrutacyjnego w Camden i zaciągnął się do wojska.

Starszy sierżant był znudzony. Przez całe życie wysłuchiwał młodziaków stających na głowie, byleby wymigać się od wyjazdu do Wietnamu.

— Chcę się zaciągnąć na ochotnika — oznajmił stojący przed nim chłopak.

Starszy sierżant podsunął mu formularz, nie spuszczać z niego oka, niczym fretka pilnująca, żeby nie uciekł jej królik. Siłąc się na uprzejmość, zaproponował chłopakowi, żeby zaciągnął się nie na dwa lata, tylko od razu na trzy.

— To szansa na lepszy przydział — wyjaśnił. — Większe możliwości zrobienia kariery. Zapisując się na trzy lata, może uda ci się nawet uniknąć wyjazdu do Wietnamu.

— Ale ja chcę walczyć w Wietnamie — odparł chłopak w brudnym dżinsowym kombinezonie.

Jego życzenie się spełniło. Po obozie dla rekrutów, na którym wyróżnił się wprawą w prowadzeniu wszelkich pojazdów naziemnych, przydzielono go do batalionu wojsk inżynierskich Pierwszej Dywizji Piechoty zwanej Wielką Czerwoną Jedynką, stacjonującej w Żelaznym Trójkącie. Właśnie tam zgłosił się na ochotnika do oddziału „szczurów tunelowych” i zapuścił w budzącą grozę sieć przerażających, czarnych i często śmiertelnych tuneli wykopanych przez Wietkong pod Cu-Chi.

Po dwóch turach samobójczych misji w tych piekielnych dziurach wrócił do Stanów Zjednoczonych obwieszony medalami jak choinka. Wuj Sam dotrzymał obietnicy. Calowi umożliwiono studia. Wybrał prawo i zrobił dyplom na Uniwersytecie Fordham w stanie Nowy Jork.

Nie miał pochodzenia, ogłady ani pieniędzy, by dostać się do którejś z wielkich firm na Wall Street. Związał się więc z organizacją Legal Aid oferującą darmową pomoc prawną i bronił

przed sądem tych, których los skazał na najniższą pozycję w amerykańskim systemie prawnym. Wśród jego klientów przeważali Latynosi, dlatego biegle nauczył się posługiwać idiomatycznym hiszpańskim. Poza tym dorobił się żony i córki, którą uwielbiał.

Możliwe, że przepracowałby całe życie wśród biedoty, której nie stać na adwokata. Był jednak tuż po czterdziestce, gdy uprowadzono jego córkę. Zmuszana do prostytucji dziewczyna została w końcu bestialsko zamordowana przez swojego alfonsa, skądinąd gangstera. Cal musiał zidentyfikować jej zwłoki na marmurowej płycie w Virginia Beach. Po tym przeżyciu odżył w nim „szczur tunelowy” – działający w pojedynkę zabójca.

Dzięki swoim dawnym umiejętnościom wytropił dwóch alfonsów zamieszanych w śmierć jego córki i zastrzelił wraz z ochroniarzami na chodniku w Panama City. Ale kiedy wrócił do Nowego Jorku, jego żona odebrała sobie życie.

Cal Dexter porzucił sale sądowe, na pozór zakończył karierę i został adwokatem od spraw cywilnych w zapadłej dziurze Pennington w stanie New Jersey. Tymczasem w rzeczywistości ponownie zmienił zawód. Został łowcą nagród, tyle że w przeciwieństwie do większości kolegów z tej branży pracował niemal wyłącznie za granicą. Jego specjalnością było odszukiwanie, porywanie i doprowadzanie na salę sądową w Stanach Zjednoczonych sprawców najohydniejszych zbrodni, którym zdawało się, że wybierając azyl w krajach niemających z USA umowy o ekstradycji, wymknęli się wymiarowi sprawiedliwości.

Swoje usługi reklamował z zachowaniem najwyższej dyskrecji, pod pseudonimem Mściciel.

W roku 2001 kanadyjski miliarder zlecił mu wytropienie sadyścycznego serbskiego najemnika, który zamordował gdzieś w Bośni jego wnuka, przebywającego tam w charakterze pracownika socjalnego. Dexter nie wiedział jednak, że niejaki Paul Devereaux użył tego zabójcy, Zorana Zilicia — wówczas już parającego się dorywczo handlem bronią — jako przynęty mającej zwabić Osamę bin Ladena na spotkanie. Spotkanie z pociśkiem samosterującym dalekiego zasięgu, który miał załatwić terrorystę raz na zawsze.

Dexter pierwszy dopadł Zilicia. Odszukał go w jakimś południowoamerykańskim państewku. Przedarł się tam, przystawił mu pistolet do skroni, uprowadził go i przewiózł z powrotem do Key West na Florydzie na pokładzie odrzutowca Zilicia. Devereaux, chociaż już wcześniej próbował wyeliminować łowcę nagród, który mu wchodził w paradę, nagle stwierdził, że dwa lata planowania wzięły w łeb. Wkrótce zresztą przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie — kilka dni później ataki z jedenastego września spowodowały, że bin Laden przestał się spotykać na niebezpiecznym terenie poza swoimi jaskiniami.

Dexter z powrotem przywdział starą skórę nieszkodliwego skromnego prawnika z Pennington. Devereaux zaś przeszedł na emeryturę i nareszcie mając czasu pod dostatkiem, wykorzystał go na wytropienie łowcy nagród zwanego po prostu Mścicielem.

Teraz obaj byli już na emeryturze — były „szczur tunelowy”, który zaczynał karierę jako zwykły szeregowiec, i wymuskany arystokrata z Bostonu.

Dexter spojrział na słuchawkę.

— Czego pan chce, panie Devereaux? — zapytał.

— Zostałem cofnięty z emerytury, panie Dexter. Odwołał mnie zwierzchnik sił zbrojnych we własnej osobie. Jest do wykonania pewne zadanie, które w poważnym stopniu dotyczy interesów naszego kraju. Prosił mnie, żebym się go podjął. Potrzebna mi prawa ręka, ktoś w rodzaju dyrektora. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby rozważył pan objęcie tego stanowiska.

Dexter zwrócił uwagę na język rozmówcy. Żadne tam „Chcę pana” czy „Proponuję panu”, tylko „Byłbym bardzo zobowiązany”.

— Musiałbym wiedzieć coś więcej. O wiele więcej.

— Oczywiście. Jeśli zechce pan przyjechać na spotkanie ze mną do Waszyngtonu, chętnie wyjaśnię panu niemal wszystko.

Stojąc przy frontowym oknie swojego skromnego domku w Pennington i spoglądając na opadłe liście, Dexter przemyślał sobie tę ofertę. Wkroczył w sześćdziesiąty pierwszy rok życia. Dbał o to, żeby być w formie, ale pomimo niedwuznacznych propozycji nie zamierzał się żenić po raz drugi. W sumie prowadził wygodny, wolny od stresów, spokojny żywot małomiasteczkowego burżuaja. I nudny.

— Przyjadę i posłucham, panie Devereaux. Nic więcej. Decyzję podejmę potem.

— Bardzo mądrze, panie Dexter. Podaję mój adres w Alexandrii. Czy mogę się pana spodziewać jutro?

Podyktował adres. Na zakończenie rozmowy Cal Dexter miał jeszcze jedno pytanie.

— Zważywszy na to, co nas połączyło w przeszłości, dlaczego wybrał pan akurat mnie?

— To bardzo proste. Jest pan jedynym człowiekiem, któremu udało się mnie przechytrzyć.

CZEŚĆ DRUGA

Syk

ROZDZIAŁ TRZECI

Ze względów bezpieczeństwa Hermandad, kartel nad kartelami kontrolujący całą branżę kokainową, nadzwyczaj rzadko spotykał się na posiedzeniach plenarnych. Przed laty było łatwiej.

Sytuacja zmieniła się, odkąd urząd prezydenta Kolumbii objął zagorzały przeciwnik narkotyków, Álvaro Uribe. Za jego rządów policję oczyszczono z niepewnych elementów i zaprowadzono porządki, które wyniosły na szczyt generała Felipe Calderóna i budzącego postrach szefa wywiadu policji antynarkotykowej, pułkownika Dos Santosa.

Obaj dowiedli, że nawet żyjąc z pensji policjanta, można być całkowicie odpornym na próby przekupstwa. Kartel nie był do tego przyzwyczajony i popełnił kilka błędów, w wyniku których stracił część ścisłego kierownictwa. Nauka nie poszła w las. Potem rozpętała się wojna totalna. Ale Kolumbia to wielki kraj, są tam miliony hektarów, gdzie można się ukryć.

Niekwestionowanym szefem Bractwa był don Diego Esteban.

W przeciwieństwie do poprzedniego barona narkotykowego, Pabla Escobara, don Diego nie był psychopatycznym zbirzem wyciągniętym ze slumsów. Pochodził ze starej rodziny ziemiańskiej. Wykształcony, uprzejmy i dobrze wychowany, był potomkiem długiej linii *hidalgos*, w którego żyłach płynęła czysta hiszpańska krew. Wszyscy zwracali się do niego po prostu „Don”.

To właśnie on, w tym świecie zabójców, dzięki sile osobowości zjednoczył rozproszonych kokainowych watażków w jeden syndykat, niezwykle skuteczny i zarządzany jak nowoczesna korporacja. Dwa lata wcześniej ostatni z tych, którzy opierali się zjednoczeniu pod jego skrzydłami, został skuty łańcuchami i w ramach ekstradycji odesłany do Stanów Zjednoczonych, skąd miał już nigdy nie powrócić. Był to Diego Montoya, szef kartelu z Norte del Valle, który samozwańczo obwołał się spadkobiercą gangów z Cali i Medellin.

Nikt nigdy się nie dowiedział, kto przez telefon dał cynk pułkownikowi Dos Santosowi, w wyniku czego najechano posiadłość Montoi, ale odkąd prasa opublikowała zdjęcia gangstera, ze skutymi rękami i nogami, wszelka opozycja wobec Dona ustała.

Kolumbię przecinają z północnego wschodu na południowy zachód dwa pasma wysokich gór, przedzielone doliną rzeki Magdalena. Wszystkie rzeki na zachód od pasma Cordillera Occidental uchodzą do Pacyfiku albo Morza Karaibskiego; te położone na wschód wpadają do Orinoko albo Amazonki. Wschodnia część kraju, poszatkowana siecią pięćdziesięciu rzek, to górzysty teren upstrzony hacjendami wielkości hrabstw.

Don Diego posiadał co najmniej pięć takich hacjend, które można było wytropić, i kolejne dziesięć nie do wyśledzenia. Każda wyposażona była w kilka pasów startowych.

Jesienią 2010 roku odbyło się spotkanie na Rancho de la Cucaracha, położonym pod San José. Pozostała siódemka członków zarządu, wezwana indywidualnie przez emisariuszy, przyleciała na pokładzie niewielkiego samolotu, zastosowawszy rozmaite środki ostrożności. Mimo że jednorazowe telefony komórkowe na kartę, wyrzucane natychmiast po użyciu, uchodziły za wyjątkowo bezpieczne, Don wolał wysyłać wiadomości przez starannie dobranych kurierów. Może i był staroświecki, za to nigdy nie został złapany ani podsłuchany.

Tego pięknego jesiennego dnia z samego rana osobiście powitał przybyłych w posiadłości, w której sypiał najwyżej dziesięć razy w ciągu roku, ale która utrzymywana była w stałej gotowości na jego przyjazd.

Kryta dachówką rezydencja, zbudowana zgodnie z wymogami starej hiszpańskiej architektury, latem zapewniała chłód. Fontanny na dziedzińcu szemrały cicho, pod markizami krążyli kelnerzy w białych marynarkach, roznosząc tace z drinkami.

Pierwszy dotarł z lotniska Emilio Sanchez. Podobnie jak inni szefowie działów, zajmował się tylko jednym aspektem działalności — produkcją. Miał za zadanie nadzorować wszelkie jej etapy, poczynając od dziesiątków tysięcy biednych jak myszy kościelne chłopów, *cocalero*, którzy uprawiali krzewy koki w Kolumbii, Boliwii i Peru. Skupował od nich pastę, sprawdzał jakość, płacił im i dostarczał tony czystej kolumbijki, zapakowanej i zrolowanej w bele, do rafinerii.

Taka operacja wymagała nieustającej ochrony, nie tylko przed stróżami prawa, lecz także przed bandytami wszelkiego autoramentu, żyjącymi w dżungli i gotowymi porwać się na kradzież towaru, żeby go potem odsprzedać. Prywatną armią dowodził Rodrigo Perez, niegdyś terrorysta z FARC. To dzięki niemu marksistowska partyzantka, która swego czasu budziła taki postrach, została przywołana do porządku i teraz pracowała dla Bractwa.

Zyski z handlu kokainą były tak astronomiczne, że istny ocean napływającej gotówki stanowił nie lada problem — należało wyprać brudne dolary, by znów były czyste. Dopiero wtedy można je było zainwestować w tysiące legalnych przedsięwzięć na całym świecie, oczywiście po odliczeniu kosztów własnych i wkładu w osobisty majątek Dona, obliczany na setki milionów dolarów.

Pranie pieniędzy odbywało się głównie przy współudziale przekupnych banków, których większość powszechnie uchodziła za z gruntu szacowne instytucje; ich przestępcza działalność jedynie generowała dodatkowe zyski.

Człowiek odpowiedzialny za pranie gotówki, podobnie jak Don, nie miał w sobie nic ze zwykłego zbira. Był prawnikiem, specjalistą z zakresu prawa finansowego i bankowego. Señor Julio Luz prowadził w Bogocie kancelarię na tyle prestiżową, że jeśli nawet pułkownik Dos Santos miał jakieś podejrzenia, nie mógł z tym pójść wyżej. Zjawił się jako trzeci. W chwili gdy Don witał się z nim serdecznie, z pasa startowego nadjechał czwarty SUV.

José-Maria Largo był szefem dystrybucji. Teren jego działań

obejmował świat konsumentów kokainy oraz setki gangów i mafii — klientów Bractwa, odbierających od niego biały proszek. To on dobił targu z gangami rozrzuconymi po całych Stanach Zjednoczonych, Meksyku i Europie. Samodzielnie oceniał wiarygodność mających długą tradycję mafii oraz nieustannie napływających nowych klientów, zajmujących miejsce tych, którzy zostali złapani i trafili do więzień za granicą. To on przyznał faktyczny monopol na terenie Europy groźnej 'ndranghecie — mafii kalabryjskiej działającej na czubku włoskiego „buta”, wciśniętej między neapolitańską kamorrę a sycylijską cosa nostra.

Ponieważ ich samoloty wylądowały niemal jednocześnie, wziął do samochodu pasażera, Roberta Cárdenasa — twardego, oszpeconego bliznami ulicznego zabijakę z Cartageny. Konfiskat towaru, jakich dokonywali celnicy i policja w setkach portów i na lotniskach Stanów Zjednoczonych i Europy, byłoby pięciokrotnie więcej, gdyby nie „ułatwienia” ze strony przekupnych urzędników. Miało to zasadnicze znaczenie dla działalności kartelu, i właśnie Cárdenas nadzorował te operacje, rekrutując i opłacając ludzi.

Ostatni dwaj uczestnicy spotkania spóźnili się ze względu na pogodę i odległość. Tuż przed podaniem lunchu zajechał skruszony Alfredo Suárez. Pomimo tego spóźnienia Don, jak zawsze uprzejmy, gorąco podziękował podwładnemu za starania, jak gdyby ten miał jakikolwiek wybór.

Umiejętności Suáreza odgrywały pierwszorzędą rolę. Jego specjalnością był transport — dopilnowanie tego, żeby towar został bezpiecznie przerzucony z rafinerii do punktu odbioru

za granicą, bez zakończonej konfiskatą wpadki. Podlegał mu każdy kurier, każdy frachtowiec, statek pasażerski czy prywatny jacht, każdy wielki bądź mały samolot czy okręt podwodny, wraz z ich załogami, stewardami i pilotami.

Latami toczono zaciekły spór, która metoda jest lepsza — wysyłanie kokainy małymi partiami za pośrednictwem tysięcy kurierów czy w wielkich ilościach, za to korzystając z mniejszej liczby przewoźników.

Jedni utrzymywali, że kartel powinien zalać dwa docelowe kontynenty tysiącami spisanych na straty, niemających o niczym pojęcia „mrówek”, szmuglujących po kilka kilogramów w walizkach czy choćby po kilogramie w żołądkach, w postaci pigulek. Rzecz jasna, część z nich musiała wpaść, ale większość powinna się przedostać przez kontrole. Ich masowy napływ miał pokonać ochronę. Przynajmniej w teorii.

Suárez był zwolennikiem drugiej ewentualności. Mając do dostarczenia po trzysta ton na każdy z dwóch kontynentów, skłaniał się do stu operacji przerzutu do Stanów Zjednoczonych rocznie i tyłuż do Europy. Każdy ładunek powinien ważyć od tony do dziesięciu ton, co uzasadniałoby poważne inwestycje i planowanie. Jeśli odbiorcy, po przejęciu towaru i uregulowaniu należności, chcieli podzielić dostawę na małe działki, to już było ich zmartwienie.

Tyle że wpadki, jeśli do nich dochodziło, były bolesne. Przed dwoma laty patrolująca wody Morza Karaibskiego brytyjska fregata „Iron Duke” zatrzymała frachtowiec i skonfiskowała na jego pokładzie pięć i pół tony czystej kolumbijki. Wartość przesyłki wynosiła czterysta milionów dolarów — i to liczona nie po

cenie detalicznej, tylko hurtowej, ponieważ kokaina nie została jeszcze „ochrzczone” i nie zwiększyła sześciokrotnie swojej masy.

Suárez był zdenerwowany. Spotkanie zwołano po to, żeby przedyskutować sprawę przechwycenia kolejnej olbrzymiej partii towaru. Należący do amerykańskiej straży przybrzeżnej kuter „Dallas” przejął dwie tony kokainy z pokładu statku rybackiego, który usiłował przemknąć się do rzeki w pobliżu Corpus Christi w Teksasie. Suárez wiedział, że chcąc obronić swoją filozofię działania, będzie musiał użyć całego daru przekonywania.

Jedynym, wobec którego Don zachowywał lodowaty dystans, był siódmy z gości — malutki jak karzeł Paco Valdez. Ale mimo że wyglądał groteskowo, nikt się z niego nie śmiał. Nigdzie i nigdy, także nie tutaj. Valdez był egzekutorem.

Nawet w kubańskich butach na podwyższonym obcasie miał raptem metr sześćdziesiąt wzrostu. Do tego nieproporcjonalnie wielką głowę i — o dziwo — dziecięcą buzię z wydętymi jak pączek róży ustami oraz ulizane czarne włosy. Tylko pozbawione wyrazu czarne oczy zdradzały, że w tym drobnym ciele kryje się psychopatyczny sadysta.

Don powitał go oficjalnym skinieniem głowy i wymuszonym uśmiechem. Nie uściśnął wyciągniętej do niego ręki. Wiedział, że tą samą ręką człowiek nazywany w światku przestępczym El Animal (Zwierzę) wyrwał żywemu mężczyźnie wnętrzności i wrzucił je do koksownika. Don nie miał pewności, czy egzekutor umył potem ręce, a był nadzwyczaj pedantyczny. Ale gdyby

szepnął nazwisko Suáreza do jego oklapniętego ucha, Zwierzę zrobiłby to, co trzeba.

Jedzenie było wyborne, wino z najlepszych roczników, rozmowa ożywiona. Alfredo Suárez obronił swoją pozycję. Jego metoda przesyłania wielkich transportów ułatwiała życie dystrybutorom, pomocnym urzędnikom za granicą, a także pranie pieniędzy. Te trzy argumenty przeważyły szalę na jego korzyść. Opuścił hacjendę żywy. Egzekutor był zawiedziony.

•••

W weekend brytyjski premier zwołał konferencję ze „swoimi ludźmi”, po raz kolejny w Chequers. Obecni po cichu przeczytali raport Berrigana, który im rozdano, a następnie krótszy dokument przygotowany przez Kobrę, precyzujący jego żądania. W końcu nadeszła pora, by każdy wyraził swoje zdanie.

Przy okrągłym stole w eleganckiej jadalni pełniącej także funkcję sali konferencyjnej zasiadał sekretarz Rady Ministrów nadzorujący administrację państwową, przed którym nie można było zataić żadnej większej inicjatywy. Obok siebie miał szefa SIS niepoprawnie określanej przez media jako MI6, w gronie pracowników i osób wtajemniczonych zwanej po prostu Firmą.

Gdy sir John Scarlett, kremlinolog, odszedł na emeryturę, proste słowo „szef” (w żadnym razie dyrektor generalny!) przeszło na arabistę biegle posługującego się arabskim i paszto, który miał za sobą lata służby na Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej.

Było też trzech wojskowych. A więc szef sztabu obrony, który w razie potrzeby miał później streścić przebieg spotkania szefowi sztabu generalnego, szefowi sił powietrznych oraz Pierwszemu Lordowi Admiralicji. Do tego dochodził dyrektor operacji wojskowych, a także dyrektor sił specjalnych. Wszyscy obecni wiedzieli, że każdy z trzech żołnierzy służył w siłach specjalnych. Młody premier, starszy od nich rangą, ale młodszy wiekiem, uznał, że jeżeli ta trójka plus szef administracji nie zdołają wywieść w pole niemilego cudzoziemca, to nikomu się to nie uda.

Służba w Chequers zawsze rekrutuje się spośród żołnierzy RAF. Gdy sierżant sił powietrznych podał kawę i wyszedł, rozpoczęto dyskusję. Sekretarz Rady Ministrów zgłosił zastrzeżenia natury prawnej.

— Jeżeli ten człowiek, tak zwany Kobra, zechce... — urwał, szukając właściwych słów — ...rozszerzyć kampanię wymierzoną w handel kokainą, do której i tak już zaangażowano wiele rozmaitych środków, istnieje ryzyko, że zwróci się do nas o złamanie prawa międzynarodowego.

— Amerykanie chyba już się tym zajęli — odparł premier. — Zmieniają klasyfikację kokainy z narkotyku klasy A na zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Dzięki temu kartel i wszyscy przemytnicy podpadną pod kategorię terrorystów. Na wodach terytorialnych Stanów Zjednoczonych i Europy pozostaną gangsterami, ale na wodach międzynarodowych to będą terroryści. A wówczas będziemy mogli robić to, co i tak już robimy od jedenastego września.

— Czy my także możemy zmienić tę klasyfikację? — zapytał szef sztabu obrony.

— Będziemy musieli — wyjaśnił sekretarz Rady Ministrów. — A odpowiedź brzmi: tak. To tylko instrument prawny, nie wprowadzenie nowego prawa. Do załatwienia po cichu. No chyba że media zwierzą trop. Albo miłośnicy zwierzątek.

— Dlatego kierując się zasadą, że każdy powinien wiedzieć tylko tyle, ile jest niezbędne, należy ograniczyć liczbę wtajemniczonych do jak najmniejszej grupy — rzekł szef wywiadu. — Ale nawet wtedy każda operacja będzie wymagała bardzo dobrej przykrywki.

— Przeprowadziliśmy od cholery nielegalnych operacji przeciwko IRA — włączył się dyrektor sił specjalnych. — A potem wymierzonych w Al-Kaidę. To, co wyszło na jaw, to tylko czubek góry lodowej.

— Panie premierze, czego właściwie chcą od nas nasi kuzyni? — zapytał szef sztabu obrony.

— Z tego, co na razie dowiedziałem się od prezydenta, chcą od nas danych wywiadowczych, wkładu własnego i informacji o prowadzeniu tajnych operacji — odparł premier.

Dyskusja toczyła się dalej. Pytań padało wiele, ale odpowiedzi mało.

— A czego oczekuje pan od nas, panie premierze? — chciał wiedzieć szef sztabu obrony.

— Waszej rady, panowie. Czy to jest wykonalne i czy powinniśmy się w to włączyć?

Trzej wojskowi pierwsi skinęli głowami. Potem facet z SIS.

Wreszcie sekretarz Rady Ministrów. Choć on akurat nie znosił tego typu rzeczy. Gdyby kiedyś wyszło to na jaw...

Później, kiedy już zawiadomiono Waszyngton, a premier ugościł zebranych rostbefem, nadeszła odpowiedź z Białego Domu. Oprócz „Miło widzieć was na pokładzie” zawierała pytanie, czy jeżeli przyślą do Londynu emisariusza, dostanie wstępną pomoc w postaci rady — na tym etapie nic więcej. Przesłano także jego fotografię. Zdjęcie zaczęło krążyć między zebranymi po lunchu, kiedy podano porto.

Przedstawiało portret byłego „szczura tunelowego”, Cala Dextera.

• • •

Podczas gdy w kolumbijskiej dziczy i sadach Buckinghamshire toczono narady, Kobra pracowicie spędzał czas w Waszyngtonie. Podobnie jak szef SIS po drugiej stronie Atlantyku, on także szukał jakiejś wiarygodnej przykrywki.

Założył organizację charytatywną mającą pomagać uchodźcom z Trzeciego Świata i w jej imieniu zawarł długoterminową umowę najmu obskurnego, ponurego magazynu w Anacostii, kilka przecznic od Fort McNair. Na ostatnim piętrze miały się mieścić biura, a na niższych — używana odzież, tropik, brezent, koce i namioty.

W rzeczywistości nie zamierzano prowadzić tam pracy biurowej w tradycyjnym sensie. Paul Devereaux przez lata pomstował na fakt, że CIA przekształca się z bezwzględnej agencji szpiegowskiej w rozdętą ponad miarę maszynę biurokratyczną. Nienawidził biurokracji, chciał jednak mieć — i dążył do tego

za wszelką cenę — centrum łączności lepsze niż wszyscy inni.

Jego kolejnym rekrutem po Calu Dexterze został Jeremy Bishop — podobnie jak on emeryt, ale jeden z najbardziej błyskotliwych speców od łączności i komputerów w całej historii Fort Meade w Marylandzie, czyli w centrali Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, olbrzymim kompleksie stacji podsłuchowych zwanym Pałacem Zagadek.

Bishop zaczął projektować centrum łączności, do którego na mocy dekretu prezydenta miały spływać wszelkie strzępy informacji na temat Kolumbii i kokainy, zbierane przez trzynaście amerykańskich agencji wywiadowczych. W tym celu potrzebna była druga przykrywka. Gabinet Ovalny powiadomił inne agencje, że szykuje raport końcowy, podsumowujący częściowe raporty na temat handlu kokainą, i że ich współpraca jest obligatoryjna. Agencje przystały na to, acz niechętnie. Kolejny zespół doradców. Kolejny dwudziestotomowy raport, którego nikt nigdy nie przeczytał. Co tu można dodać nowego?

Pozostawała kwestia pieniędzy. Gdy jeszcze Devereaux pracował w sekcji REW (Rosja/Europa Wschodnia), zetknął się z Benedictem Forbesem, byłym bankierem z Wall Street, którego Agencja pozyskała do przeprowadzenia jednej tylko operacji. Forbes uznał jednak, że jest to dużo bardziej podniecające niż ostrzeżenie społeczeństwa przed Bernieem Madoffem, i został na stałe. Było to za czasów zimnej wojny. Teraz i on przeszedł już na emeryturę, ale niczego nie zapomniał.

Specjalizował się w tajnych kontaktach bankowych. Prowadzenie tajnych agentów nie jest tanie. Trzeba mieć fundusze na

wydatki, pensje, premie, zakupy, łapówki. W tym celu pieniądze należy trzymać w taki sposób, żeby były łatwo dostępne zarówno dla własnego agenta, jak i dla pozyskanych do współpracy obcokrajowców. Łatwy dostęp wymagał tajnych kodów identyfikacyjnych. W tej dziedzinie Forbes był prawdziwym geniuszem. Nikt nigdy nie odkrył chomikowanych przez niego funduszy na czarną godzinę, chociaż KGB dążyło do tego za wszelką cenę. Śladem pieniędzy zazwyczaj udaje się trafić do zdrajcy.

Forbes zaczął wycofywać przyznane im dolary od skarbu państwa i lokować je tak, by w razie potrzeby były dostępne w każdej chwili. W epoce komputerów mogło to być gdziekolwiek. Papier był przeżytkiem dla matuzaleków. Kilka kliknięć w klawiaturę mogło ustawić człowieka na resztę życia i zapewnić mu emeryturę... jeśli tylko wiedział, które klawisze nacisnąć.

Kiedy już zorganizowano kwaterę główną, Devereaux wysłał Dextera w pierwszą zagraniczną misję.

— Pojedziesz do Londynu i kupisz dwa statki — oznajmił mu. — Wygląda na to, że Angole się do nas przyłączą. Skorzystajmy z nich. Oni są całkiem dobrzy w te klocki. Właśnie zakładamy firmę krzak. Będzie dysponowała funduszami. Formalnie to ona będzie nabywcą statków. A potem zniknie.

— Jakiego rodzaju statki? — zapytał Dexter, na co Kobra pokazał mu jedną kartkę, z własnoręcznie wystukanyimi na maszynie danymi.

— Zapamiętaj i spal. Potem zasięgnij rady Brytyjczyków. Na tej kartce jest nazwisko i numer domowy człowieka, z którym masz się skontaktować. Nie przelewaj niczego na papier,

a już w żadnym razie nie zapisuj w komputerze ani nie przekazuj przez telefon komórkowy. Wszystko trzeba mieć w głowie. To jedyne pewne miejsce, jakie nam jeszcze zostało.

Dexter nie wiedział, że numer, pod który miał zadzwonić, przydzielono wielkiemu zielonemu budynkowi z piaskowca, położonemu nad brzegiem Tamizy w kompleksie zwanym Vauxhall Cross. Ci, którzy tam urzędują, nigdy nie używają tej nazwy, mówią po prostu „biuro”. Mieści się tam kwatera główna tajnej brytyjskiej służby wywiadowczej — SIS.

Nazwisko na kartce, która miała zostać spalona, brzmiało Medlicott. Słuchawkę podniósłby zastępca szefa, który bynajmniej nie nazywał się Medlicott, ale użycie tego nazwiska zdradziłoby tożsamość dzwoniącego: jankesa, który przyjechał do Anglii i który tak naprawdę nazywał się Dexter.

Medlicott miał zaproponować Dexterowi spotkanie w klubie przy St James Street i przyprowadzić kolegę — niejakiego Cranforda, którego prawdziwe nazwisko brzmiało zupełnie inaczej. Lunch we trzech wynikał stąd, że to ten trzeci człowiek wiedział wszystko na temat statków.

Tę bizantyjską procedurę wymyślono podczas porannej odprawy w „biurze” dwa dni wcześniej. Na koniec nasiadówki szef zauważył:

— A właśnie, za dwa dni przylatuje pewien Amerykanin. Premier prosi, żebym mu udzielił pomocy. On chce kupić statki. Potajemnie. Ktoś z was zna się na statkach?

Przerwał, dając pozostałym czas do namysłu.

— Znam gościa, który jest prezesem wielkiej firmy mak-

lerskiej Lloyda w City — oznajmił kontroler półkuli zachodniej.

- To bliska znajomość?
- Kiedyś zламаłem mu nos.
- Zwykle świadczy to o zażyłości. Wkurzył cię?
- Nie. Graliśmy pod murem.

Odpowiedź nieco zmroziła atmosferę. Zwrot ten oznaczał, że obaj chodzili do najbardziej ekskluzywnej szkoły, Eton College — jedynego miejsca na świecie, gdzie gra się w dziwną, przypominającą rugby, choć na pozór pozbawioną reguł grę zwaną „pod murem”.

— Zaprosimy go na lunch razem z twoim znajomym od statków i przekonamy się, czy ta firma maklerska ułatwi mu dyskretny zakup. Pewnie zainkasuje za to godziwą prowizję. Rekompensatę za złamany nos.

Spotkanie dobiegło końca. Dexter zadzwonił o ustalonej porze ze swego pokoju w dyskretnym hotelu Montcalm. „Medlicott” przekazał Amerykanina koledze „Cranfordowi”, a ten zapisał jego numer telefonu i obiecał, że oddzwoni. Zrobił to godzinę później i umówił się na lunch następnego dnia w klubie Brooks, w towarzystwie sir Abhaya Varmy.

— Niestety, obowiązkowy jest garnitur i krawat — rzekł Cranford.

— Nie ma sprawy — odparł Dexter. — Zawiązanie krawata chyba nie przekracza moich możliwości.

Brooks to niewielki klub po zachodniej stronie St James Street. Jak wszystkie inne, nie ma tabliczki z nazwą. W powszechnej opinii jeśli ktoś jest członkiem albo został zaproszony,

to zna adres, więc nie ma potrzeby się reklamować; zwykle jednak można go rozpoznać po krzewach w donicach, stojących po obu stronach wejścia. Wszystkie kluby z St James mają swój charakter i własną klientelę — do Brooksa zachodzą głównie urzędnicy wysokiego szczebla, a od czasu do czasu trafi się jakiś szpieg.

Sir Abhay Vanna okazał się prezesem Staplehurst and Company — wielkiej firmy maklerskiej specjalizującej się w żegludze, z siedzibą w średniowiecznym zaułku koło Aldgate. Podobnie jak „Cranford” miał pięćdziesiąt pięć lat, był zażywny i jowialny. Zanim przybrał na wadze podczas niezliczonych kolacyjek biznesowych w City, grywał w squasha na poziomie mistrzowskim.

Podczas lunchu rozmowa zwyczajowo ograniczała się do gadania o niczym — o pogodzie, plonach, o tym, jak minął lot — i dopiero potem mężczyźni przenieśli się do biblioteki na kawę i porto. Z dala od uszu ciekawskich mogli odprężyć się pod baczny spojrzeniem arystokraty spoglądającego na nich z portretu na ścianie i przejść do interesów.

— Chcę kupić dwa statki. Po cichutku, dyskretnie, na fasadową spółkę zarejestrowaną w raju podatkowym.

Sir Abhay słuchał tego bez mrugnięcia okiem. Miał z tym do czynienia na okrągło. Rzecz jasna, z powodów podatkowych.

— Jakiego rodzaju mają być te statki? — zapytał. Ani przez chwilę nie zamierzał podważać wiarygodności Amerykanina. Wystarczyło mu, że zaręczył za niego „Cranford”, z którym chodził przecież do szkoły.

— Nie wiem — odparł Dexter.

— Kiepska sprawa — rzekł Abhay. — Skoro sam pan nie wie. Rodzajów statków jest do wyboru, do koloru.

— Pozwoli pan, że będę z panem szczery. Zamierzam zabrać je do jakiejś dyskretnej stoczni i przerobić.

— Aha, gruntowna przebudowa. Żaden problem. Jakie ma być ich końcowe przeznaczenie?

— Czy to zostanie między nami, panie Abhay?

Makler spojrział na szpiega, jakby chciał go zapytać, za kogo ten facet ich uważa.

— To o czym się mówi w Brooks, zostaje w Brooks — mruknął Cranford.

— A więc każdy z nich ma być pływającą bazą wypadową dla SEAL, komandosów marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Z zewnątrz nieszkodliwe, w środku śmiertelnie groźne.

Sir Abhay Varma się rozpromienił.

— A, szykuje się rozróżba, tak? No cóż, to nieco wyjaśnia sprawę. Całkowita przeróbka. Odradzałbym jakiegokolwiek zbiornikowce. Nie ten kształt, koszmarne roboty przy oczyszczaniu i za dużo rur. To samo dotyczy rudowców. Kształty mają odpowiednie, ale przeważnie są olbrzymie, większe, niż pan potrzebuje. Osobiście wybrałbym jakiś frachtowiec, na przykład do przewozu zboża. Jest ich pod dostatkiem. Są czyste, suche, łatwe do przeróbki i mają zdejmowane pokładowe, dzięki którym pańscy chłopcy będą mogli szybciej zejść na ląd albo dostać się z powrotem.

— Pomoże mi pan w zakupie dwóch takich jednostek?

— Nie jako Staplehurst, my zajmujemy się ubezpieczeniami, ale ma się rozumieć, znamy wszystkich w tej branży, na

całym świecie. Skontaktuję pana z moim dyrektorem generalnym Paul'em Agate'em. Jest młody, ale ma łeb na karku.

Wstał i wyciągnął wizytówkę.

— Proszę wpaść jutro do biura. Paul natychmiast się panem zajmie. Nikt w City nie doradzi panu tak jak on. Na koszt firmy. Dziękuję za lunch, Barry. Przekaż ukłony szefowi.

Na ulicy rozstali się i każdy ruszył w swoją stronę.

• • •

Juan Cortez skończył pracę i wychynął z wnętrzości parowca o wyporności czterech tysięcy ton, przy którym dokonywał cudów. Po ciemności panującej w dolnej ładowni jesienne słońce raziło w oczy. Było tak jasne, że spawacz miał ochotę sięgnąć po swój kask z czarną osłoną. Włożył jednak tylko ciemne okulary i czekał, aż źrenice przywykną do światła.

Brudny, przepocony kombinezon kleił się do jego niemal nagiego ciała. Pod nim miał na sobie tylko bokserki. W ładowni na dole panował morderczy upał.

Nie musiał czekać. Ludzie, którzy zlecili mu tę robotę, mieli się zjawić dopiero rano. Pokaże im swoje dzieło i objaśni, w jaki sposób obsługiwać sekretne, zamaskowane drzwi. Pusta przestrzeń za pancierzem wewnętrznego kadłuba była absolutnie nie do wykrycia. Dostanie za to sowitą zapłatę. Nie obchodziło go, jaką kontrabandę będą przewozić w schowku, który zmajstrował, a jeżeli durni *gringos* chcieli wciągać do nosa biały proszek, to też miał to gdzieś.

Jego obchodziło tylko to, by wierna żona Irina miała co włożyć na grzbiet, żeby na stole było pełno jedzenia, a w plecaku

jego syna Pedra nie brakowało podręczników. Schował zestaw narzędzi do szafki, którą mu przydzielono, i ruszył do swojego skromnego forda pinto. W ładnym parterowym domku, z którego każdy zwykły robotnik byłby dumny, czekał go długi, orzeźwiający prysznic, pocałunek od Iriny, uścisk Pedra, suty posiłek i kilka piw przed ekranem telewizora plazmowego. I tak oto ten szczęśliwy człowiek, najlepszy spawacz w Cartagenie, pojechał do domu.

•••

Cal Dexter znał Londyn, aczkolwiek niezbyt dobrze, ale centrum finansowego zwanego City albo Kwadratową Miłą nie znał wcale. Jednak czarna taksówka prowadzona przez rodowitego londyńczyka z East Endu, który wychował się trochę na wschód od Aldgate, bez problemu trafiła na miejsce. Podrzuciła go pod same drzwi morskiego maklera ubezpieczeniowego w wąskim zakątku, gdzie mieścił się klasztor z epoki Szekspira. Była za pięć jedenasta. Uśmiechnięta sekretarka zaprowadziła Dextera na pierwsze piętro.

Paul Agate zajmował niewielki gabinet, zarzucony papierami; ściany ozdabiały oprawione w ramki zdjęcia statków handlowych. Trudno było sobie wyobrazić, że przez tę klitkę przechodzą transakcje ubezpieczeniowe na grube miliony funtów. Jedynie ekran komputera najnowszej generacji świadczył o tym, że nie jest to miejsce, z którego dopiero co wyprowadził się Karol Dickens.

Z czasem Dexter zorientował się, jak zwodnicze jest londyńskie centrum finansowe, liczące setki lat, gdzie codziennie

przeprowadza się transakcje kupna, sprzedaży i pobiera prowizje liczone łącznie w dziesiątkach miliardów funtów. Agate miał około czterdziestu lat, był bez marynarki, w rozpiętej pod szyją koszuli i przyjacielski. Sir Abhay Varma z grubsza streścił mu, o co chodzi, ale nic więcej. Amerykanin chciał podobno kupić dwa frachtowce do transportu suchych towarów, najlepiej zbożowce, których na rynku było pod dostatkiem. Agate'owi nie wyjaśniono, jakie będzie ich przeznaczenie. Ta informacja do niczego nie była mu potrzebna. Firma Staplehurst miała służyć Amerykaninowi radą, pomocą i skontaktować go z kim trzeba w branży żeglugowej. Nabywca był przyjacielem przyjaciela sir Abhaya. Faktura nie była potrzebna.

— Suche towary? — powtórzył Agate. — Były zbożowce. Trafił pan w najlepszy moment. Przy obecnym stanie gospodarki światowej na rynku jest nadmiar tonażu, część na morzu, lecz większość w dokach. Ale potrzebny jest panu makler, inaczej zedrą z pana skórę. Zna pan kogoś takiego?

— Nie — odparł Dexter. — Może mi pan kogoś polecić?

— No cóż, to zamknięty światek, wszyscy się znają. W promieniu kilometra ma pan Clarksona, Braemara-Seascope'a, Galbraitha i Gibsona. Wszyscy zajmują się kupnem, sprzedażą, czarterami. Oczywiście odpłatnie.

— Oczywiście.

Zaszyfrowany przekaz z Waszyngtonu powiadomił Dextera, że na brytyjskiej wyspie Guernsey na kanale La Manche — dyskretnym rajem podatkowym, który Unia Europejska próbowała zlikwidować — otwarto nowy rachunek. Dostał też nazwisko

dyrektora banku, z którym miał się kontaktować, oraz numer potrzebny do uruchomienia funduszy z konta.

— Z drugiej strony dobry makler prawdopodobnie zaoszczędzi kupującemu nie tylko nadmiernych kosztów. Mam dobrego znajomego w Parkside i Spółka. Może się z panem spotkać od razu. Życzy pan sobie, żebym do niego zadzwonił?

— Bardzo proszę.

Agate rozmawiał przez telefon całe pięć minut.

— Pański człowiek to Simon Linley — powiedział, zapisując adres na jakimś świstku. — To pięćset metrów stąd. Po wyjściu proszę skręcić w lewo. Przy Aldgate znów w lewo. Przez pięć minut niech pan idzie prosto, a potem zapyta o Jupiter House. Każdy wskaże panu drogę. Powodzenia.

Dexter dopił kawę, podał maklerowi rękę i wyszedł. Wskazówki Agate'a były idealne. Piętnaście minut później dotarł do celu. Jupiter House był przeciwieństwem biur Staplehurst—ultranowoczesny budynek ze szkła i stali. Bezszelestne windy. Firma Parkside mieściła się na dziesiątym piętrze. Panoramiczne okna wychodziły na kopułę katedry Świętego Pawła, stojącej na wzgórzu trzy kilometry na zachód. Linley powitał gościa w drzwiach windy i zaprowadził do niewielkiej sali konferencyjnej. Podano kawę i ciasteczka imbirowe.

— Chce pan kupić dwa statki handlowe, najlepiej zbożowce? — upewnił się Linley.

— Nie tyle ja, ile moi stali klienci — uściślił Dexter. — Mają siedzibę na Bliskim Wschodzie. Zależy im na jak najdalej posuniętej dyskrecji. Dlatego korzystają z pośrednictwa firmy, której szefuję.

— Oczywiście. — Linley przyjął to bez zdziwienia. Niektórzy arabscy biznesmeni ukrywali część dochodów przed swoimi szejkami, a nie chcieli wylądować w wyjątkowo nieprzyjemnych więzieniach nad Zatoką Perską. Makler miał z tym do czynienia na co dzień. — Jak duże mają być te statki dla pańskich klientów?

Dexter nie znał się specjalnie na tonażach, ale wiedział, że w głównej ładowni musi się zmieścić niewielki śmigłowiec z rozłożonymi wirnikami. Podał listę wymiarów.

— Dwadzieścia tysięcy ton rejestrowych, czyli dwadzieścia osiem tysięcy ton wyporności — oznajmił Linley.

Zaczął wystukiwać coś na klawiaturze komputera. Wielki ekran stał na końcu stołu konferencyjnego, tak że obaj mogli go obserwować. Pojawiły się na nim oferty, do wyboru, do koloru. Fremantle w Australii. Droga Wodna Świętego Wawrzyńca w Kanadzie. Singapur. Zatoka Chesapeake w Stanach Zjednoczonych.

— Wygląda na to, że największy wybór ma COSCO, China Ocean Shipping Company z siedzibą w Szanghaju, ale my korzystamy z ich przedstawicielstwa w Hongkongu.

— Komuniści? — spytał Dexter, który zabił wielu komunistów w Żelaznym Trójkącie.

— Tym już od dawna się nie przejmujemy — odparł Linley. — Dziś to najbardziej drapieżni kapitaliści na świecie. Ale niezwykle skrupułami. Jeśli obiecują, że dostarczą towar, to pewne jak w banku. O, mamy też Eagle Bulk z Nowego Jorku. Miałby pan bliżej. Chociaż to pewnie nie ma znaczenia. A może zależy panu na tym?

— Moim klientom zależy tylko na zachowaniu w tajemnicy

tego, kto jest prawdziwym właścicielem — wyjaśnił Dexter. — Oba statki i tak zostaną odholowane do jakiejś dyskretnej stoczni i poddane gruntownej przebudowie i renowacji.

Zgraja cwaniaków, którzy prawdopodobnie zamierzają przewozić wyjątkowo trefny towar, pomyślał Linley. Dlatego chcą przebudować statki tak, żeby były nie do rozpoznania, załatwić im nowe papiery i dopiero wtedy wysłać w morze. No i co z tego? Na Dalekim Wschodzie pełno jest takich kombinatorów. Czasy są ciężkie, a żaden pieniądz nie śmierdzi.

— Rozumiem — powiedział. — Na południu Indii jest kilka bardzo fachowych i wyjątkowo dyskretnych stoczni. Mamy tam kontakty dzięki naszemu przedstawicielowi w Bombaju. Jeśli mamy występować w pańskim imieniu, musimy podpisać umowę i ustalić zaliczkę na poczet prowizji. Proponuję, żeby po dokonaniu zakupu zarejestrował pan oba statki na singapurską spółkę Thame. W ten sposób, mając nowe nazwy, obie jednostki znikną. Thame nigdy nikomu nie zdradza danych swoich klientów. Jak mogę się z panem kontaktować, panie Dexter?

Wiadomość od Devereaux zawierała także adres, numer telefonu i e-mail nowo nabytego bezpiecznego domu w Fairfax w Wirginii, który miał służyć jako skrzynka pocztowa i punkt odbioru wiadomości. Devereaux zajął się tym osobiście, więc punkt ten był nie do wykrycia i można go było zlikwidować w sześćdziesiąt sekund. Dexter podał namiary maklerowi. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin umowa została podpisana i odesłana. Fairfax rozpoczęło poszukiwania. Trwało to dwa miesiące, ale przed końcem roku dwa zbożowce zmieniły właściciela.

Jeden pochodził z zatoki Chesapeake w Marylandzie, drugi stał na kotwicy w porcie w Singapurze. Devereaux nie zamierzał trzymać załóg obu statków. Marynarze otrzymali sowiłą odprawę.

Transakcja w Ameryce, na własnym terenie, przebiegła gładko. Na statku pojawiła się nowa załoga. Żołnierze z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, udając marynarzy z floty handlowej, weszli na pokład, zaznajomili się ze statkiem i wypłynęli na Atlantyk.

Do Singapuru poleciała ekipa brytyjskiej Królewskiej Marynarki Wojennej, także w przebraniu załogi floty handlowej, i przejąwszy statek, wypłynęła do cieśniny Malakka. Ona miała przed sobą krótszy rejs. Oba statki zmierzały do małej śmierdzącej stoczni na wybrzeżu Indii na południe od Goi, używanej głównie do ślamazarnej rozbiórki przeznaczonych na złom wraków i znanej z karygodnego lekceważenia zdrowia, przepisów bhp oraz z nieustannie wyciekających toksycznych chemikaliów. Potworny smród był głównym powodem, dla którego nikt nigdy nie sprawdzał, co tam się właściwie dzieje.

Z chwilą gdy dwa statki Kobry wpłynęły do zatoki i rzuciły kotwicę, na dobrą sprawę przestały istnieć, ale ich nowe nazwy i dokumenty dyskretnie umieszczono w międzynarodowym Rejestrze Lloyd'a. Figurowały w nim jako zbożowce zarządzane przez Thame — singapurską spółkę akcyjną z ograniczoną odpowiedzialnością.

•••

Przez szacunek dla krajów sponsorujących uroczystość odbyła się ona w ambasadzie Stanów Zjednoczonych przy ulicy Abilio Macedo w Prai — stolicy Republiki Zielonego Przylądka — na wyspie Santiago. Ambasador Marianne Myles czyniła honory pani domu z właściwym sobie wdziękiem. Obecny był minister zasobów naturalnych oraz minister obrony Wysp Zielonego Przylądka.

Powagi przydawał przyłot amerykańskiego admirała, który podpisał umowę w imieniu Pentagonu, mimo że nie miał zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Jednak lśniące bielą tropikalne mundury admirała oraz adiutanta w stopniu chorążego wywarły, jak się tego spodziewano, należyte wrażenie.

Ambasador Myles zaproponowała napoje orzeźwiające i na stole konferencyjnym rozłożono niezbędne dokumenty. Obecny był przy tym attache wojskowy ambasady oraz cywil z Departamentu Stanu — Calvin Dexter.

Najpierw podpisy złożyli miejscowi ministrowie, potem admirał, a na końcu pani ambasador. Każdy egzemplarz opatrzone pieczęciami Republiki Zielonego Przylądka oraz Stanów Zjednoczonych i umowa o pomocy wzajemnej nabrała mocy. Z chwilą gdy weszła w życie, można było przystąpić do pracy.

Kiedy już dopełniono obowiązków, rozlano do kieliszków szampana, wzniesiono tradycyjne toasty, a starszy z ministrów Wysp Zielonego Przylądka palnął po portugalsku obowiązkową, w jego przekonaniu, mowę. Zmęczonemu admirałowi wydawało się, że tamten gada w nieskończoność, zwłaszcza że nie rozumiał ani słowa. Dlatego siedział z przylepionym do twarzy admirałskim uśmiechem i zachodził w głowę, po kiego ściągnięto go z

poła golfowego pod Neapolem i wysłano na jakieś nędzne wyspki położone na Atlantyku, trzysta mil od wybrzeży Afryki Zachodniej.

Podczas lotu adiutant usiłował mu wytłumaczyć przyczynę — rząd Stanów Zjednoczonych, z właściwą sobie hojnością wobec krajów Trzeciego Świata, postanowił pomóc Republice Zielonego Przylądka. Wyspy nie mają absolutnie żadnych zasobów naturalnych z wyjątkiem jednego — morza, w którym roi się od ryb. Marynarka wojenna republiki składa się z jednego kutra, a o siłach powietrznych lepiej nie mówić.

Światowy rozwój piractwa rybackiego oraz nienasycony apetyt Wschodu na świeże ryby powodowały, że dwustumilowa strefa wód terytorialnych, należących prawnie do Wysp Zielonego Przylądka, była plądrowana przez kłusowników.

Stany Zjednoczone miały przejąć lotnisko na ustronnej wyspie Fogo, którego pas startowy właśnie wydłużono dzięki dotacji z Unii Europejskiej. Tam amerykańska marynarka wojenna miała zbudować ośrodek treningowy dla pilotów, również w charakterze darowizny.

Następnie mieli tam wkroczyć instruktorzy pilotażu brazylijskich sił powietrznych (ponieważ oni także mówią po portugalsku), żeby na dwunastu samolotach treningowych Embraer Tucano wyszkolić grupę starannie dobranych kadetów z Wysp Zielonego Przylądka i stworzyć Rybacką Straż Powietrzną. Wówczas, mając do dyspozycji samoloty Tucano o zwiększonym zasięgu, mogliby patrolować ocean, wykrywać złoczyńców i naprowadzać na nich kuter straży przybrzeżnej.

Wszystko to bardzo piękne, przyznał admirał, chociaż nie

mógł pojąć, dlaczego oderwano go od golfa akurat w chwili, gdy przymierzał się do wbicia piłki do dołka.

Ściskając niezliczone ręce przy wyjściu z ambasady, admirał zaproponował facetowi z Departamentu Stanu, że podrzuci go na lotnisko limuzyną ambasady.

— A może zabierze się pan ze mną do Neapolu, panie Dexter? — zapytał.

— To miło z pańskiej strony, admirale, ale lecę do Lizbony, a potem do Londynu i Waszyngtonu.

Rozstali się na lotnisku w Santiago. Wojskowy odrzutowiec admirała odleciał do Włoch. Cał Dexter zaczął na rejsowy samolot linii TAP do Lizbony.

Miesiąc później olbrzymi okręt pomocniczy przywiózł inżynierów amerykańskiej marynarki wojennej na stożkowaty wygasły wulkan, pokrywający dziewięćdziesiąt procent powierzchni wyspy Fogo, której nazwa po portugalsku oznacza „ogień”. Okręt stanął na kotwicy przy brzegu jako pływająca baza dla inżynierów — kawałek ojczyzny z wszelkimi wygodami typowymi dla domu.

Żołnierze z Seabees — Batalionów Budowlanych Marynarki USA — szczył się tym, że potrafią zbudować wszystko i wszędzie, ale lepiej nie pozbawiać ich poprzerastanych tłuszczem steków z Kansas, frytek i pięciolitrowych słoików keczupu. Wiadomo, że na odpowiednim paliwie silnik pracuje wydajniej.

Robota była zakrojona na sześć miesięcy, ale istniejące lotnisko mogło przyjmować samoloty Hercules C-130, dlatego też nowe dostawy i wyjazdy na przepustkę nie stanowiły problemu.

Poza tym mniejsze statki zaopatrzeniowe miały przywozić dźwigary, belki, cement i co tylko potrzebne jest w budownictwie, a także żywność, soki, napoje orzeźwiające, a nawet wodę.

Nieliczni kreole mieszkający na Fogo zebrali się i pełni podziwu patrzyli, jak armia mrówek wylewa się tłumnie na brzeg i bierze w posiadanie ich nieduże lotnisko. Raz dziennie kursował samolot z Santiago, który odlatywał, gdy z pasa startowego uprzągnięto sprzęt budowlany.

Ukończony ośrodek szkolenia pilotów miał być wyposażony — niezależne od kilku bud dla pasażerów cywilnych — w sypialnie z prefabrykatów dla kadetów, domki dla instruktorów, warsztaty naprawcze i konserwacyjne, lotnicze zbiorniki paliwa dla turbośmigłowców Tucano oraz centralkę łączności.

Jeśli nawet któryś z inżynierów zauważył coś dziwnego, to nic na ten temat nie wspominał. Na prośbę cywila z Departamentu Stanu, niejakiego Dextera, który przylatywał i odlatywał samolotem cywilnym, zbudowano też kilka innych rzeczy. W skalnej ścianie wulkanu wybito gigantyczny dodatkowy hangar, zaopatrzone w stalowe drzwi. Do tego doszedł olbrzymi zapasowy zbiornik na paliwo lotnicze JP-5, którego tucano nie używają, oraz skład broni.

Gdy przetestowano wytrzymałość stalowych drzwi ukrytego w skale hangaru, starszy bosman O'Connor mruknął:

— Można by pomyśleć, że ktoś tu się wybiera na wojnę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na Plaza de Bolívar — placu nazwanym tak na cześć wielkiego wyzwoliciela — stoją budynki należące do najstarszych nie tylko w Bogocie, ale w całej Ameryce Południowej. To centrum Starego Miasta.

Konkwistadorzy, którzy tu przybyli, oprócz nienasyconej miłości do Boga i złota przywlekli ze sobą pierwszych katolickich misjonarzy. Część z nich, wyłącznie jezuici, w roku 1604 założyła w jednym rogu placu szkołę San Bartolomé, a niedaleko zbudowała kościół Świętego Ignacego, nazwany tak na cześć założyciela zakonu, Loyoli. W drugim rogu stoi Krajowy Prowincjałat Towarzystwa Jezusowego.

Minęło ładne kilka lat, odkąd prowincjałat oficjalnie przeniósł się do nowoczesnego gmachu w nowszej części miasta. Ale podczas piekielnego upału, pomimo zalet klimatyzacji najnowszej generacji, ojciec prowincjał, Carlos Ruiz, i tak wolał chłód kamiennych ścian i kamienne posadzki starych budynków.

Właśnie to miejsce wybrał na spotkanie z amerykańskim

gościem w wilgotny grudniowy poranek. Siedząc przy dębowym biurku, sprowadzonym przed wielu laty z Hiszpanii i niemal czarnym ze starości, ojciec Carlos znów bawił się listem polecającym z prośbą o to spotkanie. Dostał go od swojego brata w Chrystusie, dyrektora Boston College. Odmowa nie wchodziła w rachubę, ale ciekawość to nie grzech. Czego chciał ten człowiek?

Młody nowicjusz wprowadził Paula Devereaux. Prowincjał wstał i wyszedł mu na powitanie. Gość był mniej więcej w jego wieku, czyli miał z grubsza siedemdziesiąt lat, szczupły i pedantycznie ubrany w jedwabną koszulę, klubowy krawat i kremowy garnitur z tropiku. Żadnych dżinsów czy zarostu na twarzy. Ojciec Carlos Ruiz pomyślał, że dotychczas nie spotkał jankeskiego szpiega, ale list z Bostonu nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

— Ojcze, proszę wybaczyć, że już na wstępie zaczynam od takiego pytania, ale muszę je zadać. Czy możemy uznać, że wszystko, co zostanie powiedziane w tym pokoju, obejmuje tajemnica spowiedzi?

Ojciec Ruiz skłonił głowę i wskazał gościowi kastylijskie krzesło z siedzeniem i oparciem z niewyprawionej skóry. Sam znów usiadł za biurkiem.

— Jak mógłbym ci pomóc, synu?

— Prezydent poprosił mnie, ni mniej, ni więcej, żebym spróbował zniszczyć przemysł kokainowy, który w moim kraju wyrządza poważne szkody.

Powód jego pobytu w Kolumbii nie wymagał dalszych wyjaśnień. Słowo „kokaina” tłumaczyło wszystko.

— Próbowano tego już wcześniej. Wielokrotnie. Ale apetyt w pańskim kraju jest nienasycony. Gdyby nie ten olbrzymi apetyt, nie byłoby produkcji.

— To prawda — przyznał Amerykanin. — Popyt zawsze nakręca podaż. Ale prawdziwa jest także sytuacja odwrotna. Podaż również wzmacnia popyt. Prędzej czy później. Jeśli dostawy ustaną, apetyt też zgaśnie.

— W czasach prohibicji to się nie sprawdziło.

Devereaux przywykł już do tego ciosu. Prohibicja okazała się katastrofą. Stworzyła kolosalne podziemie, które po jej uchyleniu zajęło się wszelką inną działalnością przestępczą. Koszty, jakie przez lata ponosiły Stany Zjednoczone, liczone są w bilionach dolarów.

— Naszym zdaniem to nietrafne porównanie, ojcze. Istnieją tysiące źródeł kieliszka wina albo szklaneczki whisky.

Chciał przez to powiedzieć „ale kokaina pochodzi wyłącznie stąd”. Nie musiał jednak wyrażać tego na głos.

— Synu, my w Towarzystwie Jezusowym staramy się czynić dobro. Jednakże na własnej skórze w straszliwy sposób odczuliśmy, że mieszanie się do polityki i spraw państwowych zazwyczaj przynosi opłakane skutki.

Devereaux spędził całe życie w branży szpiegowskiej. Już dawno doszedł do wniosku, że największą agencją wywiadowczą na świecie jest Kościół katolicki. Dzięki swej wszechobecności widział wszystko, a poprzez konfesjonały dowiadywał się o wszystkim. Pomysł, że przez ponad półtora tysiąclecia nigdy nie popierał cesarzy i książąt ani się im nie przeciwstawiał, zakrawał na żart.

— Ale widząc zło, zwalczacie je — powiedział.

Prowincjał był zbyt przebiegły, żeby dać się złapać w tę pułapkę.

— Czego oczekujesz od Towarzystwa, synu?

— Ojcze, na terenie Kolumbii jesteście wszędzie. Działalność duszpasterska prowadzi waszych młodych księży w każdy zakątek dużych i małych miast...

— A pan by chciał, żeby zostali informatorami? Pańskimi? Dla kogoś urzędującego w dalekim Waszyngtonie? Oni również związani są tajemnicą spowiedzi. Pod żadnym pozorem nie mogą ujawnić tego, czego wysłuchują w konfesjonale.

— A jeśli wypływa statek z ładunkiem trucizny, która zniszczy życie wielu młodych ludzi, zostawiając za sobą pasmo nieszczęść, czy ta informacja również powinna pozostać nieujawniona?

— Obaj wiemy, że tajemnica spowiedzi to rzecz święta.

— Ale statek nie może się spowiadać, ojcze. Daję słowo, że żaden marynarz nie zginie. Mnie chodzi tylko o przechwytywanie statków i konfiskatę towaru.

Wiedział, że teraz i on będzie musiał się wypowiadać z grzechu kłamstwa. Ale innemu księdzu, daleko stąd. Nie tutaj. Nie teraz.

— To, o co pan prosi, wiąże się z niezwykłym ryzykiem. Ludzie stojący za tym przemytem, rzeczywiście ohydny, są niegodziwi do szpiku kości i wyjątkowo brutalni.

W odpowiedzi Amerykanin wyciągnął coś z kieszeni — niewielki telefon komórkowy.

— Ojcie, obaj wychowaliśmy się na długo przez wynalezieniem tego sprzętu. Teraz posługują się tym wszyscy młodzi ludzie oraz większość tych, którzy młodość mają już za sobą. W celu wysłania krótkiej wiadomości nie trzeba się odzywać...

— Wiem, co są SMS-y, synu.

— A zatem wie pan także, co to jest kodowanie. Ten telefon korzysta z takiego kodu, którego kartel w żaden sposób nie złamie. Proszę jedynie o nazwę statku z trucizną na pokładzie, który płynie do mojego kraju, żeby zniszczyć jego młodych obywateli. Z żądzy zysku. Dla pieniędzy.

Ojciec prowincjał pozwolił sobie na nikły uśmiezek.

— Jesteś dobrym orędownikiem swojej sprawy, synu.

Kobra miał ostatnią kartę do zagrania.

— W Cartagenie stoi pomnik świętego Piotra Klawera z Towarzystwa Jezusowego.

— Oczywiście. Jest naszym obiektem kultu.

— Setki lat temu walczył z plagą niewolnictwa. Handlarze niewolników zadali mu męczeńską śmierć. Ojcie, błagam. Handel narkotykami jest równie niegodziwy jak handel niewolnikami. To kupczenie ludzkim nieszczęściem. Nie tylko człowiek może uczynić drugiego człowieka niewolnikiem, także narkotyk może to sprawić. Handlarze niewolników zabierali i wykorzystywali ciała młodych ludzi. Narkotyki odbierają duszę.

Przez kilka minut ojciec prowincjał wyglądał przez okno na plac Simona Bolívara — człowieka, który uczynił ludzi wolnymi.

— Chciałbym się teraz pomodlić, synu. Czy mógłbyś wrócić za dwie godziny?

Devereaux spożył lekki lunch pod markizą kafejki w uliczce odchodzącej od placu. Kiedy wrócił, przywódca kolumbijskich jezuitów podjął decyzję.

— Nie mogę nikomu nakazać tego, o co pan prosi. Mogę jednak wyjaśnić księżom z mojej parafii, na czym panu zależy. Dopóki tajemnica spowiedzi nie zostanie naruszona, mają prawo decydować we własnym zakresie. Może pan rozprowdzić wśród nich te swoje małe urządzenia.

•••

Ze wszystkich kolegów Alfreda Suáreza w kartelu tym, z którym musiał współpracować najściślej, był José-Maria Largo, stojący na czele działu dystrybucji. Chodziło o to, żeby nie spuszczać z oka ani kilograma z każdego transportu. Suárez mógł wysyłać towar, partia po partii, ale kluczową sprawą była informacja o tym, ile z tego docierało do punktu odbioru przez mafię, a ile przechwytywały organy ścigania.

Na szczęście każda większa konfiskata towaru natychmiast była przez nie nagłaśniana w mediach. Chciały przypisać sobie zasługi, mieć prestiż u władz swoich krajów, no i stale zabiegały o większy budżet. Zasady Larga były proste i niezłomne. Wielcy klienci mogli płacić pięćdziesiąt procent wartości przesyłki (liczonej po cenie kartelu) przy składaniu zamówienia. Resztę regulowano z chwilą dostawy towaru, kiedy zmieniał on właściciela. Drobni gracze musieli wykładać z góry sto procent należności jako niepodlegającą zwrotowi kaucję. Jeśli gangi i

mafie w poszczególnych krajach narzucały w detalu astronomiczne ceny, to już ich sprawa. Jeśli nie zachowały ostrożności albo dały się spenetrować policyjnym informatorom i straciły towar, to także ich zmartwienie. Konfiskata dostawy po odbiorze nie zwalniała ich jednak z obowiązku uregulowania płatności.

Dopiero gdy policja rekwirowała towar zagranicznego gangu, na którym wciąż ciążył pięćdziesięcioprocentowy dług, a ten odmawiał zapłaty, należało wyegzekwować swoje. Don twardo obstawał przy straszliwym karaniu opornych, dla przykładu. Kartel miał prawdziwą obsesję na punkcie dwóch rzeczy: kradzieży majątku oraz zdrady. Ani jednego, ani drugiego nigdy nie wybaczano i nie puszczano w niepamięć, bez względu na to, jak wysokie koszty pociągał za sobą odwet. Kara musiała być wymierzona. Tak głośno prawo Dona... i przynosiło rezultaty.

Suárez dopiero po naradach z Largiem wiedział co do kilograma, jaka część wysłanego towaru została przechwycona przed przekazaniem go odbiorcy.

Informacja ta pokazywała, które metody wysyłki dają największe szanse na dotarcie do celu, a które najmniejsze.

Pod koniec roku 2010 Suárez ocenił, że straty towaru podczas transportu mieszczą się tradycyjnie w przedziale od dziesięciu do piętnastu procent. Zważywszy na fakt, że zyski opierały na kwoty równie wielocyfrowe, jak numery telefoniczne, było to do przyjęcia. On jednak zawsze chciał, by przechwycone transporty można było przedstawić liczbą jednocyfrową. Jeśli przechwycenie kokainy następowało wtedy, gdy należała jeszcze do kartelu, strata w całości szła na ich konto. A tego Don nie lubił.

Poprzednik Suáreza, którego poćwiartowane zwłoki rozkładały się właśnie pod nowym apartamentowcem, na przelomie stuleci przed dziesięć laty postawił wszystko na łodzi podwodnej. Pomysłowy plan przewidywał budowę w ustronnych rzekach zanurzalnych kadłubów, wyposażonych w silniki Diesla, które mogły pomieścić czteroosobową załogę, do dziesięciu ton ładunku plus żywność i paliwo, a potem zejść na głębokość peryskopową.

Nawet najbardziej udane z tych łodzi nigdy nie zanurzały się zbyt głęboko. Nie musiały. Ponad powierzchnię wystawała tylko kopuła obserwacyjna z pleksiglasu, przez którą kapitan wystawiał głowę, by móc sterować, oraz rura zasysająca świeże powietrze dla silnika i załogi.

W zamierzeniu te niewidoczne zanurzalne jednostki miały powoli — za to bezpiecznie — prześlizgiwać się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku z Kolumbii do północnego Meksyku i dostarczać olbrzymie ilości koki meksykańskim mafiom, których zadaniem byłoby przerzucenie jej dalej, przez granicę do Stanów Zjednoczonych. Plan działał całkiem niezłe... do czasu. Bo potem nastąpiła katastrofa.

Projekt i budowa łodzi były zasługą Enrique Portocarrera, który udawał niegroźnego rybaka poławiającego krewetki w Buenaventura u wybrzeży Pacyfiku na południu Kolumbii. Tyle że w końcu dopadł go pułkownik Dos Santos.

Albo mężczyzna pod naciskiem zaczął sypać, albo przeszukiwanie jego mieszkania dostarczyło jakichś śladów, w każdym razie odkryto główną bazę konstrukcyjną łodzi podwodnych i wówczas wkroczyła tam marynarka wojenna. Gdy kapitan

German Borrero skończył to, co miał do załatwienia, z sześćdziesięciu kadłubów na różnym etapie budowy zostały dymiące szczątki. Dla kartelu oznaczało to kolosalną stratę.

Drugi błąd poprzednika Suáreza polegał na tym, że nadzwyczaj duży procent towaru wysyłał do Stanów Zjednoczonych i Europy za pośrednictwem pojedynczych kurierów, przewożących jednorazowo nie więcej niż jeden, dwa kilogramy. W ten sposób do przewiezienia ledwo kilku ton należało zaangażować tysiące ludzi.

Muzułmański fundamentalizm spowodował uszczelnienie granic i zwiększenie środków bezpieczeństwa w krajach zachodnich — coraz więcej bagaży pasażerów prześwietlano, ujawniając ich nielegalną zawartość. Wobec tego zaczęto przeznaczać towar w żołądkach. Idioci gotowi podjąć ryzyko znieczulali sobie gardła nowokainą, po czym połykali do stu pigułek, z których każda zawierała około dziesięciu gramów kokainy.

Niektórzy dostawali krwotoku wewnętrznego i kończyli życie, tocząc pianę na podłodze terminalu lotniska. Innych wychwytywały spostrzegawcze stewardesy, zwracające uwagę na pasażerów, którzy odmawiali jedzenia i picia podczas wielogodzinnych lotów. Odstawiano ich wówczas na bok, podawano im syrop figowy i sadzano na toalecie z filtrem. Amerykańskie i europejskie więzienia pękały w szwach od tego typu „mrówek”. A jednak dzięki ich olbrzymiej liczebności oraz obsesji Zachodu na temat praw człowieka ponad osiemdziesiąt procent towaru przekraczało granice. I wtedy poprzednikowi Suáreza po raz drugi powinęła się noga.

Eksperymentalnie wypróbowano to w Manchesterze, i to

z sukcesem. Chodziło o nową aparaturę prześwietlającą, która nie tylko odzierała człowieka z ubrania i pokazywała go nagiego, lecz także ujawniała wszelkie implanty, rzeczy schowane w odbycie, jak również zawartość jelit. Urządzenie pracowało tak cicho, że można je było montować pod ladą budek funkcjonariuszy kontrolujących paszporty, tak by inny funkcjonariusz w innym pomieszczeniu mógł obserwować legitymującą się osobę od gardła po łydki. W miarę jak coraz więcej zachodnich lotnisk i terminali morskich instalowało tę aparaturę, procent zatrzymanych „mrówek” drastycznie podskoczył.

W końcu Don miał tego dość. Zarządził zmianę na stanowisku szefa tego działu... raz na zawsze. Przejął je Suárez.

Był gorącym orędownikiem wielkich transportów, a jego dane niezbiecie wskazywały, które trasy są najlepsze. Do Stanów Zjednoczonych najlepiej było kokę wysyłać statkami albo przetrzucać drogą powietrzną nad Morzem Karaibskim do północnego Meksyku lub południowych krańców USA. Przeważnie główną część trasy ładunki odbywały na statkach handlowych, a następnie przeladowywano je na morzu na mniejsze jednostki z rodzaju tych, których pełno jest na obu wybrzeżach — kurtury rybackie i ślizgacze, prywatne jachty i statki wycieczkowe.

Jeśli chodzi o Europę, Suárez gorąco faworyzował nowe trasy. Nie te bezpośrednio z Morza Karaibskiego do zachodniej i północnej Europy, gdzie konfiskaty przekraczały dwadzieścia procent, lecz na wschód, do szeregu zbankrutowanych państw składających się na wybrzeże Afryki Zachodniej. Skoro towar przechodził tam z rąk do rąk, a kartel otrzymywał

zapłatę, to podział koki na partie i przerzucenie jej na północ, pustyniami nad Morze Śródziemne, a stamtąd na południe Europy, było już zmartwieniem odbiorcy. Jako punkt docelowy największym poparciem Suáreza cieszyła się niewielka była kolonia portugalska: rozdarta wojną domową, zbankrutowana Gwinea Bissau, prawdziwe narkotykowe piekło.

•••

Dokładnie do takiego samego wniosku doszedł Devereaux, gdy siedział w Wiedniu z kanadyjskim tropicielem narkotyków Walterem Kempem z Biura do spraw Narkotyków i Przystępności ONZ. Dane UNODC były niemal identyczne z tymi, które miał Tim Manhire w Lizbonie.

Afryka Zachodnia, zaledwie kilka lat wcześniej debiutująca jako odbiorca kokainy dla Europy, zaczynała od dwudziestu procent, a teraz już przyjmowała ponad pięćdziesiąt. Żaden z dwóch mężczyzn przy stoliku w kawiarni na Praterze nie wiedział jednak, że Alfredo Suárez zwiększył tę ilość do siedemdziesięciu procent.

Siedem republik położonych na wybrzeżu Afryki Zachodniej należało do policyjnej kategorii „wartych zainteresowania”: Senegal, Gambia, Gwinea Bissau, Gwinea (była kolonia francuska), Sierra Leone, Liberia i Ghana.

Kokaina dostarczana do Afryki Zachodniej przez Atlantycką drogą morską bądź powietrzną przeciekała na północ na sto sposobów i przy zastosowaniu setek podstępów. Część przewożono kutrami rybackimi wzdłuż wybrzeża Maroka, a następnie starym szlakiem przemytu marihuany. Inne partie leciały

samolotami nad Saharą na wybrzeże Afryki Północnej, a stamtąd małymi statkami płynęły do hiszpańskiej mafii po drugiej stronie Słupów Herkulesa albo do kalabryjskiej 'ndranghety, czekającej w porcie Gioia.

Niektóre ładunki odbywały wyczerpującą podróż drogą lądową, przez całą Saharę z południa na północ. Wielkim wzięciem cieszyły się libijskie linie lotnicze Afriqiyah, latające z dwunastu głównych miast afrykańskich do Trypolisu, który od Europy dzieliła tylko woda.

— Gdy chodzi o przerzut na północ do Europy, wszyscy biorą w tym udział — powiedział Kemp. — Ale w odbiorze towaru zza Atlantyku bezsprzecznie przoduje Gwinea Bissau.

— Może powinienem się tam wybrać i rozejrzeć — mruknął Dexter w zadumie.

— Gdybyś tam jechał, bądź ostrożny — przestrzegł Kandyjczyk. — Załatw sobie dobrą przykrywkę. Nie od rzeczy byłoby też wziąć paru mięśniaków. Oczywiście najlepszy kamuflaż to czarni. Możesz takich załatwić?

— Nie po tej stronie wielkiej wody.

Kemp zapisał na papierowej serwetce nazwisko i numer telefonu.

— Spróbuj go złapać w Londynie. To mój przyjaciel. Jest z SOCA. I powodzenia! Przyda ci się.

Jak dotąd Cal Dexter nie słyszał o brytyjskiej Agencji do spraw Przystępczości Zorganizowanej, ale wkrótce miało się to zmienić. Przed zachodem słońca wrócił do hotelu Montcalm.

• • •

Z powodu dawnych związków kolonialnych portugalskie linie lotnicze TAP są jedynym dogodnym środkiem transportu umożliwiającym dotarcie do Gwinei Bissau. Po wizycie u lekarza i zaszczepieniu się przeciwko wszelkim chorobom, jakie zdołali wymyślić w Akademii Medycyny Tropikalnej, a także zaopatrzeniu w list od organizacji Bird Life International, która uznaje go za wybitnego ornitologa, specjalistę od ptaków zimujących w Afryce Zachodniej, „doktor” Calvin Dexter tydzień później wyleciał z Lizbony nocnym rejsem linii TAP do Gwinei Bissau.

Za jego plecami siedzieli dwaj kaprale z brytyjskiego pułku spadochroniarzy. Jak się dowiedział, SOCA zjednoczyła w zasadzie wszystkie agencje zajmujące się poważną przestępczością i walką z terroryzmem pod jedną flagą. Sieć kontaktów przyjaciela Waltera Kempa obejmowała starszego żołnierza, który przez większość kariery wojskowej służył w trzecim batalionie pułku spadochroniarzy. To on wytrzasnął Jerry'ego i Billa, odbywających służbę w kwaterze głównej w Colchester. Zgłosili się na ochotnika.

Teraz nie byli już Jerrym i Billem. Nazywali się Kwame i Kofi. Ich paszporty zaświadczały, że są rodowitymi obywatelami Ghany, a inne dokumenty potwierdzały, że pracują dla Bird Life International w Akrze. Tak naprawdę byli nie mniej brytyjscy niż Zamek Windsorski, ale rodzice jednego i drugiego pochodzili z Grenady. Powinni dać sobie radę, byleby tylko nikt nie zagadnął ich płynnie w języku twi, ewe albo asante. Nie znali także dialektów kreolskich ani portugalskiego, za to bez dwóch zdań wyglądali na Afrykanów.

Gdy odrzutowiec TAP wylądował na lotnisku w Bissau, minęła północ i było ciemno choć oko wykol. Większość podróżnych leciała dalej do São Tomé i tylko cieniutka strużka pasażerów wypłynęła z sali tranzytowej do stanowiska kontroli paszportowej. Na jej czele szedł Dexter.

Oficer na bramce uważnie obejrzał nowy kanadyjski paszport strona po stronie, zwrócił uwagę na gwinejską wizę, wziął w łapę banknot o nominale dwadzieścia euro i ruchem głowy kazał przejść dalej. Dexter skinął ręką na swoich dwóch towarzyszy.

— *Avec moi* — powiedział. — *Con migo*.

Ani francuski, ani hiszpański to nie portugalski, ale znaczenie słów było oczywiste. Poza tym Dexter wręcz tryskał dobrym humorem. Pogodny uśmiech przeważnie robi swoje.

Drogę zagroził mu wyższy stopniem funkcjonariusz.

— *Qu'est que vous faites en Guinée?* — zapytał.

Dexter z udanym zachwytem pogrzebał w torbie na ramieniu i wyciągnął garść broszurek przedstawiających czaple, warzęchy i inne z niezliczonych ptaków wodnych zimujących na rozległych bagnach i podmokłych terenach Gwinei Bissau. Oczy funkcjonariusza zaszkliły się ze znużenia. Ruchem ręki przepuścił całą trójkę.

Przed lotniskiem nie było taksówek. Ale stała tam ciężarówka z kierowcą, a w tym kraju pięćdziesiąt euro może wiele zdziałać.

— Hotel Malaika? — zapytał Dexter z nadzieją w głosie.

Kierowca skinął głową.

Gdy się zbliżali do miasta, Dexter zwrócił uwagę, że jest niemal kompletnie czarne. Palilo się zaledwie kilka świateł.

Czyżby godzina policyjna? Nie, to po prostu brak elektryczności. Po zapadnięciu zmroku tylko budynki z własnymi generatorami miały oświetlenie i zasilanie o dowolnej porze. Na szczęście należał do nich hotel Malaika. Cała trójka zameldowała się i w środku nocy zapadła w krótki sen. A tuż przed świtem ktoś zastrzelił prezydenta.

•••

Pierwszy zauważył to nazwisko Jeremy Bishop, komputerowy ekspert Projektu Kobra. Tak jak pasjonaci teleturniejów z wiedzy ogólnej szperają po słownikach, encyklopediach i atlasach, gromadząc fakty, o które nikt nigdy ich nie zapyta, tak Bishop, nieudzielający się towarzysko, w wolnym czasie przeszukiwał zasoby cyberprzestrzeni. Ale nie surfował po prostu po Internecie, to by było zbyt proste. Miał zwyczaj bez trudu i bez śladu włamywać się do baz danych innych ludzi i sprawdzać, co też tam mają.

W sobotę, późnym wieczorem, kiedy większość mieszkańców Waszyngtonu bawiła się na mieście w związku z początkiem okresu świątecznego, usiadł przed swoją konsolą i wszedł w listy przylotów i odlotów na lotnisku w Bogocie. Co chwila uparcie pojawiała się jedno nazwisko. Kimkolwiek był ten człowiek, regularnie, co dwa tygodnie, latał z Bogoty do Madrytu.

Wracał po niecałych trzech dniach, co dawało mu pięćdziesiąt godzin na pobyt w stolicy Hiszpanii. Za krótko na wakacje, za długo na przesiadkę do kolejnego celu podróży.

Bishop sprawdził jego nazwisko w kompendium ludzi znanych z jakichkolwiek powiązań z handlem kokainą, które

kolumbijska policja dostarczyła DEA, skąd kopia trafiła do kwatery głównej Kobry. Ale tam go nie było.

Włamał się więc do bazy danych linii lotniczych Iberia, z których usług człowiek ten korzystał za każdym razem. Nazwisko pojawiło się w kategorii stałych klientów mających specjalne przywileje, takie jak pierwszeństwo w rezerwacji lotów, które mają nadkomplet pasażerów. Zawsze podróżował pierwszą klasą, a loty powrotne, jeżeli nie zarządził inaczej, były rezerwowane automatycznie.

Bishop skorzystał ze swoich uprawnień i skontaktował się z ludźmi z DEA w Bogocie, a nawet z ekipą SOCA przebywającą w tym mieście. Nie znali tego człowieka, lecz DEA pośpieszył z informacją, że według miejscowych leksykonów jest to prawnik prowadzący ekskluzywną prywatną praktykę, który nigdy nie podejmuje się spraw kryminalnych. Bishop zabrnął w ślepy zaułek, ale że wciąż dręczyła go ciekawość, opowiedział o tym Devereaux.

Kobra zakonotował sobie te informacje, nie sądził jednak, żeby zasługiwały na szczególną uwagę. Taki strzał w ciemno był ździebko wątpliwy. Choć nie zaszkodzi wysłać proste pytanie do Madrytu. Za pośrednictwem ekipy DEA w Hiszpanii zwrócił się więc z prośbą, żeby dyskretnie śledzono tego człowieka podczas jego następnej wizyty w Madrycie. On, Kobra, byłby wdzięczny za informacje o tym, gdzie ten gość się zatrzymał, dokąd chodził, co robił i z kim się spotykał. I choć Amerykanie w Madrycie wznosili oczy do nieba, to zgodzili się poprosić o przysługę swoich hiszpańskich kolegów.

Jednostka antynarkotykowa w Madrycie nazywa się Unidad

de Drogas y Crimen Organizado, w skrócie UDYCO. Prośba wylądowała na biurku inspektora Francisco „Paco” Ortegi.

Jak wszyscy policjanci Ortega narzekał na nadmiar pracy, brak odpowiedniego sprzętu i stanowczo za niską pensję. Ale skoro jankesi żądali śledzenia Kolumbijczyka, nie bardzo miał jak odmówić. Największym indywidualnym konsumentem kokainy w Europie była Wielka Brytania, ale to przez Hiszpanię przechodziła większość towaru — kraj, w którym podziemie było rozległe i brutalne. Dzięki kolosalnym możliwościom Amerykanie przechwytywali czasem informacje warte tyle co czyste złoto i dzielili się nimi z UDYCO. Sporządzono więc notatkę, że jeśli za dziesięć dni Kolumbijczyk znów się pojawi, ma być dyskretnie śledzony.

Ani Bishop, ani Devereaux czy Ortega nie wiedzieli, że Julio Luz jest jedynym członkiem Hermandad, który nigdy nie zwrócił na siebie uwagi kolumbijskiej policji. Pułkownik Dos Santos doskonale znał pozostałych, ale nie prawnika, który zajmował się praniem pieniędzy.

• • •

Przed południem w dniu przylotu Dextera i jego ekipy do Bissau sprawa zabójstwa prezydenta została wyjaśniona i panika wygasła. Nie był to bowiem kolejny *coup d'état*.

Zabójcą, który strzelał do prezydenta, okazał się kochanek żony starego tyrana, znacznie od niego młodszej. Przed południem wraz z żoną prezydenta zaszyli się w buszu w głębi kraju i wszelki ślad po nich zaginął. Plemienna solidarność chroniła ich tak, jakby nigdy nie istnieli.

Prezydent wywodził się z ludu Pepel, a młodziutka żona i jej kochanek z ludu Balanta. Wojsko, w którym także przeważali żołnierze z plemienia Balanta, nie miało najmniejszej ochoty ścigać swoich. A zresztą prezydent nie cieszył się zbyt dużą popularnością. Prędzej czy później wybiorą następnego, ale i tak realną władzę w kraju sprawował dowódca sił zbrojnych, a jednocześnie szef sztabu generalnego.

W Mavegro Trading Dexter wypożyczył białego SUV-a; uczynny właściciel firmy skontaktował go z człowiekiem mającym do wynajęcia niewielką motorówkę kabinową. Wyposażona w silnik zaburtowy łódź miała także przyczepę i w poszukiwaniu ptaków brodzących bez trudu mogła kursować po rzeczach i zatoczkach położonego niedaleko wybrzeży Gwinei Bissau archipelagu Bijagos.

Na koniec Dexterowi udało się wynająć wolno stojący parterowy domek, położony naprzeciwko stadionu zbudowanego niedawno przez Chińczyków, którzy po cichu na nowo kolonizowali wielkie połacie Afryki. Wraz z dwoma pomocnikami zwolnił więc pokoje w hotelu Malaika i przeniósł się do domu.

Podczas przeprowadzki drogę zajechał im jeep wrangler, który zarzucając na zakręcie, wyskoczył przed nimi na skrzyżowaniu. Dwa dni w Gwinei Bissau wystarczyły Dexterowi, by zorientował się, że drogówka w tym kraju nie istnieje, a światła na skrzyżowaniach prawie nigdy nie działają.

Podczas gdy SUV i jeep skręcały gwałtownie, o włos unikając zderzenia, pasażer na przednim siedzeniu wranglera przyglądał się Dexterowi z odległości kilkunastu centymetrów, niewidoczny zza czarnych rolet. Podobnie jak kierowca, nie był

Afrykaninem ani Europejczykiem. Śniady, z czarnymi włosami związanymi w kucyk, zadawał szyku złotymi łańcuchami na szyi. Kolumbijczyk.

Jeep miał zamontowaną nad szoferką chromowaną listwę, do której przyczepiono cztery potężne reflektory. Dexter wiedział dlaczego. Większość transportów kokainy przybywała drogą morską, ale statki nie wpływały do nędznego portu w Bissau — odbiór i przerzucanie towaru odbywało się w zatoczkach między wyspami porośniętymi mangrowcami.

Transporty docierające drogą powietrzną albo zrzucano do morza w pobliżu czekających kutrów rybackich, albo leciały dalej, w głąb lądu. Dwudziestoletnia walka partyzancka Gwinei Bissau z Portugalią o niepodległość pozostawiła po sobie pięćdziesiąt pasów startowych, wykarczowanych w buszu. Czasami lądowały na nich samoloty z koką, po czym, puste i „czyste”, wracały na lotnisko, żeby uzupełnić zapas paliwa.

Lądowanie nocą było bezpieczniejsze, tyle że z braku zasilania na pasach startowych w buszu nie było żadnego oświetlenia. Ale baterie reflektorów na dachu czterech czy pięciu półciężarówek czekających na towar mogły doskonale oświetlić drogę podejścia przez kilka minut potrzebne do posadzenia samolotu.

Dexter wytłumaczył to ochraniającym go dwóm komandosom.

•••

W morowym powietrzu stoczni Kapoor na południe od Goi praca przy dwóch zbożowcach szła pełną parą. Szefem interesu

był Duncan McGregor, kanadyjski Szkot, który całe życie pracował w stoczniach w tropikach; miał skórę chorego na żółtaczkę w stadium terminalnym i takie same oczy. W perspektywie czekała go albo śmierć w wyniku gorączki błotnej, albo z przepicia.

Kobra chętnie zatrudniał jako najemników emerytowanych fachowców. Zwykle mieli czterdziestoletnią praktykę w zawodzie, zero zobowiązań rodzinnych i przeważnie potrzebowali pieniędzy. McGregor wiedział, czego od niego oczekują, ale nie miał pojęcia w jakim celu. Zważywszy na honorarium, nie zamierzał łamać sobie nad tym głowy, a już z pewnością nie był skłonny się dopytywać.

Podlegający mu spawacze i spece od cięcia stali byli miejscowi; do prac wykończeniowych najął znajomych Singapurczyków. Żeby mieli gdzie mieszkać, wynajął i sprowadził przyczepy mieszkalne — rudery tubylców z Goi nie wchodziły w rachubę.

Poinstruowano go, że z zewnątrz oba frachtowce mają pozostać w niezmienionej postaci. Do przeróbki było tylko pięć olbrzymich ładowni. Pierwsza od strony dziobu miała służyć za areszt dla więźniów, chociaż McGregor o tym nie wiedział. Należało wyposażyć ją w koje, latryny, kambuz, żeby było gdzie gotować, prysznic oraz mesę z klimatyzacją, a nawet telewizorem.

Sąsiednia ładownia też była przeznaczona na cele mieszkalne, tyle że lepiej wyposażona. Pewnego dnia mieli się tu zakwaterować komandosi z SBS — jednostek specjalnych brytyjskiej marynarki wojennej — albo z amerykańskich oddziałów SEAL.

Trzecią ładownię należało zmniejszyć, żeby móc powiększyć następną. Stalowe grodzie między ładowniami numer trzy i cztery trzeba było wyciąć i przesunąć. W trzeciej urządzono uniwersalny warsztat, a przedostatnią, obok przybudówki rufowej, pozostawiono pustą. Miała pomieścić niezwykle szybkie, niezatapialne sztywne pontony hybrydowe RIB, napędzane potężnymi silnikami. Nad nią miał stanąć jedyny żuraw bomo-wy.

Największa ładownia wymagała najwięcej pracy. Na podłodze zmontowano stalową płytę, którą następnie wciągnięto na górę za pomocą hydraulicznych wyciągarek, po jednej na każdy róg, tak że znalazła się na poziomie pokładu. To, co ustawiono by na tej ruchomej podłodze, można by wydzwignąć na świeże powietrze. A miał to być śmigłowiec szturmowy jednostki.

Przez całą zimę, w spiekocie słońca Karnataki, słychać było syk pochodni, warkot wiertel, szczęk metalu, stukot młotów — tak oto dwa niewinne frachtowce do przewozu zboża zmieniały się w pływające śmiertelne pułapki. A daleko stamtąd ich nazwy uległy zmianie, gdy właścicielem została utajniona spółka, zarządzana przez Thame z Singapuru. Na koniec przeróbki nowe nazwy statków miały się znaleźć na rufach, a ich załogi miały przylecieć, przejąć obie jednostki i ruszyć do pracy czekającej ich po drugiej stronie świata.

• • •

Cal Dexter przez tydzień się aklimatyzował i dopiero potem wypłynął łodzią w serce archipelagu Bijagos. Oblepił całego SUV-a kalkomaniami, które przywiózł ze sobą, z reklamami

Bird World International oraz Towarzystwa Przyrodniczego Audubona. Na tylnym siedzeniu demonstracyjnie, tak żeby zauważyć je każdy przechodzień, leżały egzemplarze najnowszych raportów Ghana Wildlife Society oraz absolutnie niezbędny przewodnik *Ptaki Afryki Zachodniej* Borrowa i Demeya.

Tymczasem dwaj śniadzi mężczyźni z wranglera, który omal nie zderzył się z SUV-em na skrzyżowaniu, zostali wysłani do domu ekipy Dextera na przeszeptugi. Wrócili do swoich mocodawców z wieścią, że obserwatorzy ptaków to w sumie nieszkodliwi idioci. W samym sercu terytorium wroga uchodzenie za idiotę jest najlepszą przykrywką.

Dexter na początek zajął się wyborem miejsca dla swojej łodzi. Pojechał z ekipą na zachód od miasta Bissau, do głęboko ukrytego w buszu Quinhamel — stolicy ludu Pepel. Za Quinhamel odszukał uchodzącą do morza rzekę Mansoa i położony na jej brzegu hotel z restauracją Mar Azul. Tutaj zwodował motorówkę z kabiną na rzekę i zakwaterował Jerry'ego w hotelu, żeby miał na nią oko. Sam wrócił z Billem, ale przed wyjazdem wszyscy trzej zjedli obfity lunch złożony z langusty oraz portugalskiego wina.

— Zimą przyjemniej tu niż w Colchester — uznali obaj komandosi. Szpiegowanie przybrzeżnych wysepek mieli rozpocząć następnego dnia.

Archipelag Bijagos składa się z czternastu głównych wysp, lecz w sumie obejmuje osiemdziesiąt osiem skrawków lądu rozrzuconych w odległości od dwudziestu do trzydziestu mil od wybrzeży Gwinei Bissau. Agencje zwalczające handel kokainą

fotografowały je z krążących na orbicie satelitów, ale jak dotąd nikt nie zapuścił się tam małą łódką.

Dexter przekonał się, że wysepki są bagniste, gorące, porośnięte namorzynami i malaryczne, ale cztery czy pięć z nich, tych najbardziej wysuniętych w morze, zdobyły luksusowe śnieżnobiałe wille na lśniących plażach, wyposażone w wielkie anteny satelitarne, najnowocześniejszą technologię i anteny radiowe wyłapujące sygnał odległych operatorów sieci komórkowych. Każda willa miała własną przystań i ślizgacz. Były to rezydencje Kolumbijczyków.

Poza tym Dexter naliczył dwadzieścia trzy osady rybaków, którzy ze swoimi świniami i kozami żyli na granicy minimum egzystencji. Ale były tam również łowiska, na które przyływały zagraniczne statki, żeby przetrzebić bogate zasoby ryb tego kraju. Dwudziestometrowe czółna z Gwinei, Sierra Leone i Senegalu przez piętnaście dni kręciły się z dala od bazy, wypakowane żywnością i zapasem paliwa.

Obsługiwały południowokoreańskie i chińskie statki bazy, których chłodnie musiały zamrozić cały połów, by dowieźć go kawał drogi z powrotem na Wschód. Dexter patrzył, jak jeden statek bazę obsługuje do czterdziestu członów. Ale ładunek, który miał nadzieję zobaczyć, dotarł dopiero szóstej nocy.

Zacumował swoją łódź w ciasnej zatoczce, pieszo przeszedł z ekipą na drugą stronę wyspy i ukrył się w nabrzeżnych namorzynach. Amerykanin i dwaj brytyjscy spadochroniarze leżeli zakamuflowani i z potężnymi lornetkami przy oczach patrzyli na zachodzące słońce. W ostatnich czerwonych promieniach

światła pojawił się przed nimi frachtowiec, który z pewnością nie był kutrem rybackim. Statek ustawił się między dwiema wysepkami i rozległ się szczepek łańcucha opuszczanej kotwicy. Wtedy pojawiły się czółna.

Nie były zagraniczne, tylko miejscowe, i nie miały osprzętu do połowu ryb. Było ich pięć, każde z czteroosobową załogą. Przy sterze dwóch z nich stali Latynosi.

Przy relingu z boku frachtowca pojawili się ludzie taszczący obwiązane grubym sznurem bele, tak ciężkie, że trzeba było czterech mężczyzn, by przerzucić je za burtę i opuścić do czekających czółen, które obciążone nowym ładunkiem kołysały się i niemal zanurzały pod powierzchnię.

Nie musieli zachowywać dyskrecji. Marynarze zaśmiewali się i przekrzykiwali wysokimi, piskliwymi głosami ludzi Wschodu. Jeden z Latynosów wdrapał się na pokład, żeby pogadać z kapitanem. Walizka pieniędzy przeszła z rąk do rąk — wynagrodzenie za przepłynięcie przez Atlantyk, był to jednak ledwie ułamek kwoty, jaką ten towar przyniesie w Europie.

Obserwując to przez lornetkę, Cal Dexter oszacował wagę bel, pomnożył ją przez ich liczbę i wyszło mu na to, że wyładowano dwie tony czystej kolumbijki. Ciemność się pogłębiała. Na frachtowcu zapalono część świateł. Na czółnach rozbłysły lampy. W końcu, gdy już transakcja dobiegła końca, włączono silniki zaburtowe i czółna z warkotem odpłynęły w stronę lądu. Na statku podniesiono kotwicę, frachtowiec zakołysał się na fali odpływu i skręcił na pełne morze.

Dexter zauważył czerwono-niebieską banderę Korei Południowej i nazwę statku: „Hae Shin”. Dał mu godzinę, żeby się

oddalił, po czym wrócili łodzią do Mar Azul.

— Chłopaki, widzieliście kiedy sto milionów funtów szterlingów?

— Nie, szefie — odparł Bill, używając zwyczajowej formułki, jaką kapral zwraca się do oficera w pułku spadochroniarzy.

— No toście właśnie widzieli. Tyle są warte dwie tony koki. Komandosi sposepniali.

— Na kolację zamawiam langustę. To nasza ostatnia noc tutaj.

Od razu poweseleli. Dwadzieścia cztery godziny później zwolnili domek, zwrócili łódź i SUV-a i wrócili do Londynu, z przesiadką w Lizbonie. Tej samej nocy, już po ich wyjeździe, mężczyźni w czarnych kominiarkach przypuścili szturm na willę, splądrowali ją, a na koniec podpalili. Tubylec z Bijagos zauważył pośród namorzynów białego człowieka.

• • •

Raport inspektora Ortegi był zwięzły i ograniczał się do faktów, a zatem doskonały. Kolumbijskiego prawnika Julio Luza określał wyłącznie jako „obiekt”.

Obiekt przyleciał na pokładzie rejsowego samolotu linii Iberia, który wylądował o godzinie dziesiątej. Zidentyfikowano go w przejściu prowadzącym z pierwszej klasy do podziemnego pociągu wahadłowego kursującego z terminalu numer cztery do głównej hali. Przez cały czas śledził go mój człowiek w mundurze personelu pokładowego linii Iberia. Obiekt nie zauważył

go, nie podejmował też żadnych prób uwolnienia się od ewentualnej inwigilacji. Niósł nesesor i torbę sportową. Nie miał walizek, tylko bagaż podręczny.

Po odprawie paszportowej przeszedł przez kontrolę celną zieloną linią, niezatrzymywany. Czekala na niego limuzyna – kierowca stał przed halą przylotów z tabliczką z napisem „Villa Real”. To jeden z lepszych hoteli w Madrycie, który po swoich specjalnych gości wysyła na lotnisko limuzyny.

Mój kolega po cywilnemu śledził limuzynę nieoznakowanym samochodem przez całą drogę do hotelu. Obiekt z nikim się nie spotkał, z nikim nie rozmawiał aż do przybycia do hotelu Villa Real przy Plaza de las Cortes 10.

Wylewnie powitany przez recepcjonistę, poprosił o „swoją pokój”, który – jak go zapewniono – czekał na jego przyjazd. Udał się na górę, w południe zamówił do pokoju lekki lunch, a potem najwyraźniej odsypiał całonocny lot. Następnie wypił herbatę w dostępnej tylko dla gości hotelowych kawiarni East 47, gdzie przywitał się z nim dyrektor hotelu, señor Felix Garda.

Ponownie udał się do pokoju, ale słyszano, jak zamawia stolik na kolację w wyśmienitej restauracji na parterze. Jeden z moich ludzi, podsłuchujący pod drzwiami, słyszał dobiegające z telewizora odgłosy meczu piłkarskiego, widocznie obiekt go oglądał. Ponieważ zakazano nam wzbudzania jego czujności bez względu na rozwój sytuacji, nie mogliśmy sprawdzić rozmów telefonicznych, zarówno przychodzących, jak i

wychodzących. (Oczywiście mogliśmy otrzymać ich wykaz, ale to by wzbudziło podejrzenia personelu hotelowego).

O dwudziestej pierwszej zszedł na kolację. Dołączyła do niego młoda kobieta w wieku dwudziestu kilku lat, w typie studentki. Podejrzewano, że może być tak zwaną dziewczyną do towarzystwa, ale nic na to nie wskazywało. Obiekt wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki list. Wysokogatunkowy kremowy papier. Kobieta schowała list do torebki, podziękowała i wyszła. Obiekt wrócił do pokoju, całą noc spędził sam.

O ósmej zjadł śniadanie na wewnętrznym patio, również na parterze, gdzie przysiadła się do niego ta sama młoda kobieta. Tym razem nie została dłużej, podała mu tylko list, wypila kawę i wyszła.

Oddelegowałem dodatkowego człowieka do śledzenia tej kobiety. Jest to z całą pewnością Letizia Arenal, lat dwadzieścia trzy, studentka malarstwa na Universidad Complutense. Mieszka sama w skromnej kawalerce niedaleko terenu uniwersytetu, utrzymuje się z niewielkiego kieszonkowego i wygląda na z gruntu porządną dziewczynę.

O dziesiątej obiekt wyszedł z hotelu i pojechał taksówką do Banco Guzman przy Calle Serrano. Ten mały prywatny bank obsługuje klientów z wyższych sfer, o których nic złego (jak dotąd) nie słyszano. Obiekt spędził tam cały ranek i najwyraźniej zjadł lunch z dyrekcją. Wyszedł o piętnastej. Przy drzwiach personel banku pomagał mu dźwigać dwie wielkie, sztywne walizki Samsonite. Nie udźwignąłby ich, ale nie musiał.

Jak na zawołanie podjechał czarny mercedes, z którego wysiadło dwóch mężczyzn. Wsadzili obie ciężkie walizy do bagażnika i odjechali. Obiekt nie zabrał się z nimi, lecz wezwał taksówkę. Mój człowiek zdołał sfotografować tych dwóch mężczyzn telefonem komórkowym. To znani gangsterzy. Nie mogliśmy śledzić mercedesa, ponieważ zjawił się tam niespodziewanie, a mój człowiek był pieszo, samochód zostawił za rogiem. Dlatego trzymał się obiektu.

Obiekt wrócił do hotelu, znów napił się herbaty, znowu oglądał telewizję, zjadł kolację (tym razem samotnie; obsługiwał go wyłącznie szef sali Francisco Paton). Noc spędził sam i o dziewiątej rano pojechał hotelową limuzyną na lotnisko. W sklepie wolnocłowym kupił litrową butelkę najlepszego koniaku, usiadł w poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy, wszedł do samolotu i zgodnie z rozkładem o dwunastej dwadzieścia odleciał do Bogoty.

Zważywszy na towarzystwo dwóch bandziorów z galicyjskiego gangu, señor Luz – jeśli tylko znów się pojawi – znajdzie się pod naszą baczna obserwacją. Walizki niewątpliwie mogły pomieścić dostatecznie dużo banknotów o nominale 500 euro, by wystarczyło na uregulowanie rachunków naszych głównych importerów z Kolumbijczykami. Proszę o radę.

— I co o tym sądzisz, Calvin? — zapytał Devereaux, witając się z Dexterem po jego powrocie z Afryki.

— To pewne jak dwa i dwa cztery, że prawnik jest zamieszany w pranie pieniędzy dla kartelu, chociaż najwyraźniej

tylko w Hiszpanii. Ale może inne europejskie gangi przekazują środki na Serrano Street, żeby uregulować długi. Wolałbym jednak, żeby przy jego kolejnej wizycie UDYCO nie wkraczała.

— Za jednym zamachem mogliby zgarnąć dwóch gangsterów, przekupnego prawnika, pieniądze i zamknąć skorumpowany bank. Czemu nie?

— Za dużo niewyjaśnionych wątków. List, dziewczyna. Dlaczego on się bawi w listonosza? I dla kogo? — wyliczał Dexter w zadumie.

— To czyjaś bratanica. A on wyświadcza przysługę przyjacielowi.

— Nie, panie Devereaux. Istnieje poczta, a w razie potrzeby listy polecone, e-maile, faksy, SMS-y, no i telefony. To sprawa osobista, ściśle tajna. Kiedy nasz przyjaciel Luz znowu pojawi się w Madrycie, chciałbym tam być. Z niewielką ekipą.

— Czyli mam poprosić naszych hiszpańskich kolegów, żeby się wstrzymali, dopóki nie będziesz gotowy? Skąd ta ostrożność?

— Nie należy straszyć płochliwej zwierzyny — odparł były żołnierz. — Zwierzę zabija się jednym strzałem w środek czoła. Nie ma bałaganu. Nie trzeba dobijać. Tylko żadnego pudłowania. Żadnych ran. Jeżeli zdejmujemy Luza już teraz, nigdy się nie dowiemy, kto wysłała kremowe koperty, do kogo i po co. A to długo nie dawałoby mi spokoju.

Przez dłuższą chwilę Paul Devereaux w zamyśleniu przyglądał się byłemu szczerowi tunelowemu.

— Zaczynam rozumieć, dlaczego Wietkong nigdy cię nie złapał w Żelaznym Trójkącie. Ty wciąż myślisz jak zwierzę w dżungli.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Guy Dawson podkołował na pas, delikatnie zatrzymał samolot, ponownie przyjrzał się migającym kontrolkom, zerknął na błyszczący w słońcu pas startowy, zgłosił się do wieży kontrolnej i czekał na zgodę na start.

Gdy ją uzyskał, przesunął do przodu dźwignie przepustnicy. Za jego plecami świst dwóch silników Rolls-Royce Spey przeszedł w ryk i stary blackburn buccaneer zaczął się toczyć. Wytrawny lotnik nawet po tylu latach zawsze napawał się tą chwilą.

Po osiągnięciu prędkości startowej dawny samolot szturmowy marynarki wojennej oderwał się od ziemi, dudnienie kół ustało i maszyna wzbila się w bezkresny błękit afrykańskiego nieba. Z tyłu lotnisko Thunder City, prywatna enklawa międzynarodowego lotniska w Kapsztadzie, szybko malało w oczach, aż w końcu całkiem znikło z widoku. Jeszcze podczas wznoszenia Dawson obrał kurs na Windhuk w Namibii — czekał go najkrótszy i najłatwiejszy odcinek długiej trasy na północ.

Dawson był zaledwie o rok starszy od wysłużonego samolotu szturmowego, który pilotował. Urodził się w roku 1961, gdy buccaneer był jeszcze na etapie prototypu. Maszyna rozpoczęła niezwykle karierę rok później, kiedy włączono ją do dywizjonu operacyjnego brytyjskiego lotnictwa morskiego (Fleet Air Arm). Samolot, zaprojektowany z myślą o zwalczaniu radzieckich krążowników klasy Swierdłow, okazał się tak znakomity, że pozostał w służbie do roku 1994.

Fleet Air Arm używało tych szturmowców do 1978 roku. W roku 1969 zazdrosne Królewskie Siły Powietrzne (RAF) opracowały własną wersję, pozbawioną wyposażenia morskiego, która została wycofana z użytku dopiero w roku 1994. Po drodze Republika Południowej Afryki nabyła szesnaście takich maszyn i wykorzystywała je operacyjnie do roku 1991. Nawet w gronie maniaków lotnictwa niewielu ludzi wie, że samoloty te służyły do przenoszenia bomb atomowych RPA. Dopiero w przededniu „tęczowej rewolucji” biała Republika Południowej Afryki zniszczyła sześć egzemplarzy (trzy, wypatroszone, trafiły do muzeum) i buccaneera wysłano na emeryturę. Tego dnia, w styczniu 2011 roku, Guy Dawson pilotował jedną z ostatnich trzech nadal latających sztuk na świecie, uratowaną przez entuzjastów lotnictwa — egzemplarz ten, trzymany w Thunder City, przeznaczono do lotów turystycznych.

Wciąż nabierając wysokości, Dawson skręcił niemal dokładnie na północ, oddalając się od błękitu południowego Atlantyku w stronę jałowych piasków o barwie ochry w Naniaqualand i Namibii.

Jego maszyna w wersji S.2, należąca niegdyś do RAF-u, wznosiła się na pułap dziesięciu tysięcy sześciuset metrów i osiągała prędkość osiem dziesiątych macha, spalając trzydzieści sześć kilogramów paliwa na minutę. Ale na ten krótki etap podróży miała go pod dostatkiem. Osiem zbiorników wewnętrznych w kadłubie plus jeden w drzwiach komory bombowej oraz dwa podwieszane pod skrzydłami mieściły w sumie dziesięć tysięcy czterysta kilogramów paliwa, co w sprzyjających warunkach wystarczało do pokonania czterech tysięcy dwustu kilometrów. Odległość do Windhuku wynosiła niecałe tysiąc osiemset kilometrów.

Guy Dawson był człowiekiem szczęśliwym. W 1985 roku, jako młody pilot sił powietrznych Republiki Południowej Afryki, dostał przydział do 24, dywizjonu – samej śmietanki lotnictwa RPA, mimo że w użyciu były także szybsze francuskie myśliwce Mirage. Buccaneer jest jednak zupełnie wyjątkowy.

Jedną z jego osobliwości była całkowicie zabudowana komora bombowa wyposażona w drzwi obrotowe. W lekkich bombowcach o zbliżonych rozmiarach większość uzbrojenia była podwieszana pod skrzydłami. Schowanie bomb we wnętrzu kadłuba zmniejsza opór powietrza, zwiększając zasięg i prędkość samolotu.

W RPA powiększyli jeszcze komorę bombową i zamontowali tam bomby atomowe, które w tajemnicy szykowali przez lata z pomocą Izraela. Inny wariant przewidywał instalowanie w niej olbrzymiego zbiornika paliwa, co zapewniało buccaneerowi niezrównany zasięg. To właśnie zasięg i wytrzymałość, dzięki

którym buccaneer godzinami mógł „szwendać się” w powietrzu, przesądziły, że na ten samolot padł wybór żyłastego, udzielającego wymijających odpowiedzi Amerykanina nazwiskiem Dexter, który w październiku odwiedził Thunder City.

Dawson w zasadzie wcale nie miał ochoty wydzierzawiać swojego „dziecka”, ale ogólnoświatowy kryzys finansowy spowodował, że jego inwestycje na poczet emerytury zmalały do ułamka tego, czego się spodziewał, a oferta Amerykanina była zbyt kusząca. Sfinalizowali więc jednoroczną umowę najmu za kwotę, która miała postawić Guya Dawsona na nogi.

Postanowił, że sam odstawi swój samolot do Wielkiej Brytanii. Na starym lotnisku RAF-u z okresu drugiej wojny światowej w Scampton w Lincolnshire mieściła się baza prywatnych wielbicieli buccaneerów. Oni także restaurowali dwie takie maszyny, ale jeszcze ich nie skończyli. Wiedział o tym, ponieważ obie grupy hobbystów były w stałym kontakcie. Amerykanin również o tym wiedział.

Dawsona czekała długa i uciążliwa podróż. Kokpit nawigatora za jego plecami przerobiono wprawdzie na potrzeby płacących za wycieczkę turystów, ale dzięki technologii GPS mógł sam przelecieć południowy Atlantyk z Windhuku na Wyspę Wniebowstąpienia — małą wulkaniczną plamkę na środku oceanu, należącą do Wielkiej Brytanii.

Jeszcze tylko nocleg, drugie tankowanie i znów skieruje się na północ, na lotnisko Sal na Wyspach Zielonego Przylądka, skąd poleci na hiszpańską Gran Canaria, a stamtąd do Scampton w Wielkiej Brytanii.

Guy Dawson wiedział, że jego amerykański mocodawca otworzył linie kredytowe na każdym przystanku, by mógł pokryć koszty paliwa i noclegu. Nie miał natomiast pojęcia, dlaczego Dexter zdecydował się na stary samolot szturmowy marynarki wojennej.

Powody były trzy.

Dexter szukał wszędzie, a zwłaszcza w rodzinnych Stanach Zjednoczonych, gdzie istnieje cała subkultura miłośników starych samolotów bojowych, utrzymywanych w stanie pełnej gotowości do lotu. Ostatecznie zdecydował się na południowoafrykańskiego buccaneera, bo model ten był mało znany. Spokojnie mógł uchodzić za egzemplarz muzealny, przewożony z miejsca na miejsce na wystawę.

Samolot ten był łatwy w utrzymaniu i tak wytrzymały, że prawie niezniszczalny. I wreszcie całymi godzinami mógł pozostawać w powietrzu bez lądowania.

Ale gdy Guy Dawson odprowadzał swoje „dziecko” do ojczyzny, tylko Dexter i Kobra wiedzieli, że ten egzemplarz buccaneera nie trafi do muzeum. On wracał na wojnę.

• • •

Gdy w lutym 2011 roku señor Julio Luz pojawił się w terminalu czwartym na lotnisku Bajasas w Madrycie, komitet powitalny był ciut większy niż poprzednim razem.

Cał Dexter, w towarzystwie inspektora Paco Ortegi, przechadzał się po głównej hali, spokojnie obserwując sznur pasażerów w drzwiach prowadzących z odprawy celnej. Obaj byli przy kiosku z gazetami — Dexter stał zwrócony plecami w stronę,

z której miał wyjść obiekt, a Ortega przeglądał jakieś czasopi-
smo.

Przed laty, kiedy po przejściu do cywila i ukończeniu prawa Cal Dexter pracował w Nowym Jorku jako adwokat w Legal Aid, doszedł do wniosku, że skoro większość jego klientów to Latynosi, warto byłoby porządnie nauczyć się hiszpańskiego. Tak też zrobił. Ortega był pod wrażeniem. Rzadko kiedy można spotkać jankesa przyzwoicie władającego kastylijskim, a dzięki temu sam nie musiał się zmagać z angielskim.

— To on — mruknął, ale ani drgnął.

Dexter nie miał kłopotu z rozpoznaniem obiektu. Jego kolega Bishop przesłał mu na komputer zdjęcie portretowe z archiwów palestry z Bogoty.

Kolumbijczyk trzymał się swoich zwyczajów. Nie wypuszczając z rąk nesaseru, wsiadł do podstawionej przez hotel limuzyny, pozwolił szoferowi schować torbę sportową do bagażnika i odpoczywał w drodze na Plaza de las Cortes. Nieoznakowany samochód policyjny wyprzedził limuzynę i Dexter, który już wcześniej zameldował się w hotelu, dotarł tam pierwszy.

Dexter ściągnął do Madrytu trzyosobową ekipę wypożyczoną z FBI. Biuro było ciekawe, po co mu oni, ale wszelkie pytania i obiekcje ucięło pełnomocnictwo od prezydenta. Jeden z tej trójki, bez względu na rodzaj zamków i zabezpieczeń, wchodził wszędzie. I to szybko. Na szybkość Dexter kładł szczególny nacisk. Opisał, z jakimi problemami mogą mieć do czynienia, ale spec od forsowania zamków zbył jego słowa wzruszeniem ramion. Tylko tyle?

Drugi fachowiec potrafił otworzyć kopertę, w kilka sekund zeskanować treść listu i zakleić ją bez pozostawiania śladów. Trzeci był zwykłym wartownikiem. Nie zakwaterowali się w Villa Real, lecz dwieście metrów dalej, i utrzymywali stałą łączność przez telefony komórkowe.

Gdy przyjechał Kolumbijczyk, Dexter czekał w holu. Znał numer pokoju prawnika i już wcześniej sprawdził, jak można się tam dostać. Mieli szczęście. Pokój mieścił się na końcu długiego korytarza, z dala od wind, co zmniejszało możliwość, że ktoś niespodziewanie wejdzie im w paradę.

Jeśli chodzi o śledzenie obiektu, Dexter od lat wiedział, że facet w długim płaszczu, udający, iż czyta gazetę w rogu holu, albo stojący bez celu w wejściu, rzuca się w oczy jak nosorożec na trawniku przed plebanią. Wolał ukrywać się na widoku.

Ubrany w krzykliwą koszulę, siedział zgarbiony nad laptopem i zbyt głośno rozmawiał przez telefon komórkowy z kimś, kogo nazywał swoim „pączusiem”. Luz zerknął na niego, otaksował go wzrokiem i przestał się nim interesować.

Prawnik postępował z regularnością metronomu. Zameldował się, zamówił lekki lunch do pokoju i został tam na długą sjęstę. O szesnastej pojawił się w kawiarni East 47, poprosił o dzbanek herbaty earl grey i zarezerwował stolik na kolację. Sprawiał wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z faktu, że w Madrycie istnieją inne wyborne restauracje oraz że rześki wieczór zachęca do spaceru.

Kilka minut później Dexter ze swoją ekipą stali w korytarzu prawnika. Wartownik pozostał przy windach. Gdy jadąca w górę winda stawała i otwierały się drzwi, pokazywał, że on jedzie na

dół. Wymiana uprzejmych uśmiechów i drzwi się zamykały. A kiedy przystawała winda zjeżdżająca na parter, powtarzał to samo, tyle że na odwrót. Nie uciekał się do żalonych sztuczek typu zawiązywanie sznurówki.

Sforsowanie elektronicznie zamykanych drzwi apartamentu zajęło ślusarzowi osiemnaście sekund, przy wykorzystaniu bardzo zmyślnej technologii. W środku cała trójka szybko wzięła się do roboty. Sportowa torba była starannie rozpakowana, jej zawartość albo wisiała w szafie, albo leżała porządnie złożona w szufladach. Neserer stał na komodzie.

Miał szyfrowy zamek z tarczami ponumerowanymi od zera do dziewięciu. Ślusarz podłączył urządzenie wzmacniające dźwięk, włożył stetoskop i ze słuchawkami w uszach ostrożnie przesuwiał tarcze, słuchając. Numerki kolejno wskakiwały na swoje miejsce, aż mosiężne zatrzaski odskoczyły.

W teczce znajdowały się głównie papiery. Skaner poszedł w ruch. Dłonie w białych jedwabnych rękawiczkach skopiowały wszystko do pamięci przenośnej. Listu nie było. Dexter, także w rękawiczkach, przejrzał przegródki neserera. Ani śladu listu. Ruchem głowy wskazał kilka szafek w apartamencie. Sejf hotelowy znajdował się w kredensie pod telewizorem plazmowym.

Był to całkiem porządny sejf, ale nie projektowano go z myślą o stawianiu oporu technologii, umiejętnościom i doświadczeniu kogoś szkolonego w laboratorium włamywaczy w ośrodku treningowym FBI w Quantico. Szyfrem okazały się cztery pierwsze cyfry numeru karty członkowskiej Julia Luza

z palestry Bogoty. W środku znajdował się list — długa, sztywna kremowa koperta.

Była zalepiona i dodatkowo zabezpieczona taśmą klejącą. Facet od dokumentów przyglądał jej się przez chwilę, po czym wyciągnął z torby jakieś urządzenie i przejechał nim po liście tak, jakby prasował kołnierzyk koszuli. Gdy skończył, koperta sama się otworzyła.

Dłonie w białych rękawiczkach wyjęły trzy złożone kartki. Kopista obejrzał je dokładnie przez lupę, szukając jakiegoś włosa albo cieniutkiego włókna bawełny, które miało ostrzegać, że ktoś się dobrał do listu. Niczego takiego nie znalazł. Nadawca najwyraźniej ufał prawnikowi, że przekaże epistołę w nienaruszonym stanie señoricie Letizii Arenal.

Po skopiowaniu kartek schowano je do koperty, którą zamknięto z powrotem za pomocą bezbarwnego, przezroczystego płynu. Następnie list odłożono do sejfu w to samo miejsce, sejf zamknięto, a tarcze ustawiono w takim położeniu, w jakim znajdowały się pierwotnie. Potem cała trójka spakowała swój sprzęt i wyszła.

Przy windach wartownik pokręcił głową. Ani śladu obiektu. W tej samej chwili winda ruszyła z parteru i zatrzymała się na piętrze. Czterej mężczyźni szybko wymknęli się przez drzwi prowadzące na schody i zeszli na parter. W samą porę — drzwi rozsunęły się i winda wypuła señora Luza, który wracał do siebie na kąpiel w aromatycznych olejkach i żeby przed kolacją pooglądać telewizję.

Dexter zabrał ekipę do swojego pokoju, skąd zawartość teczki przesłano dalej drogą elektroniczną. Przekazał inspektorowi

Ortedze wszystko oprócz listu, który przeczytał osobiście.

Nie zszedł do kolację, ulokował tylko dwóch swoich ludzi po drugiej stronie restauracji, naprzeciwko stolika Luza. Donieśli, że dziewczyna pojawiła się, zjadła kolację, wzięła list, podziękowała posłańcowi i wyszła.

Następnego dnia rano Dexter objął zmianę podczas śniadania. Patrzył, jak Luz zajmuje dwuosobowy stolik pod ścianą. Dziewczyna przysiadła się i podała mu list, który Luz schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Kobieta szybko wypila kawę, uśmiechem wyraziła podziękowanie i wyszła.

Dexter odczekał, aż Kolumbijczyk opuści restaurację, i zanim personel ruszył sprzątać zwolniony stolik, sam przeszedł obok niego i potknął się, strącając niemal pusty dzbanek po kawie na dywan. Przeklinając swoją niezdarność, wziął serwetkę ze stolika, żeby zetrzeć plamę. Nadbiegł kelner, upierając się, że to jego zadanie. Gdy młody człowiek się schylił, Dexter nakrył serwetką filizankę, z której piła dziewczyna, i schował ją, zawiniętą, do kieszeni spodni.

Kolejne przeprosiny, zapewnienia *de nada, señor*, aż w końcu Dexter wyszedł z sali restauracyjnej.

— Chciałbym, żebyście pozwolili nam zgarnąć ich wszystkich — oświadczył Paco Ortega, kiedy patrzyli, jak Julio Luz znika w Banco Guzman.

— Ten dzień wkrótce nadejdzie, Paco — uspokoił go Amerykanin. — Przyjdzie pora na twój ruch. Ale jeszcze nie teraz. Ta pralnia pieniędzy to wielka operacja. Bardzo wielka. W grę wchodzi inne banki w innych krajach. Chcemy dopaść wszystkich.

Pozwólcie nam koordynować akcję i zgarnąć całe to towarzystwo.

Ortega chrząknął na znak, że się zgadza. Jak każdy detektyw brał udział w tajnych operacjach trwających miesiącami, zanim można było przeprowadzić ostateczne uderzenie. Wymagało to cierpliwości, tyle że było irytujące jak cholera.

Dexter kłamał. Nic nie wiedział o innych operacjach prania pieniędzy poza związkiem Luza z bankiem Guzmana. Nie mógł jednak ujawnić, jaką burzę rozpęta Projekt Kobra, gdy człowiek z Waszyngtonu uzna, że jest gotowy.

Teraz pragnął wrócić do domu. Przeczytał list w swoim pokoju. Długi i czuły, wyrażał troskę o bezpieczeństwo młodej kobiety, o to, jak jej się wiedzie, i podpisany był po prostu „Tata”.

Dexter wątpił, by Julio Luz rozstał się z listem, który otrzymał w odpowiedzi, czy to w dzień, czy w nocy. Być może podczas powrotu pierwszą klasą do Bogoty utnie sobie drzemkę, lecz doprowadzenie listu z neseseru umieszczonego nad jego głową, na oczach personelu pokładowego, nie wychodziło w rachubę.

Ale zanim przystąpią do uderzenia, Dexter chciał się dowiedzieć jednego: kim byli Letizia Arenal i tata?

• • •

Kiedy Cal Dexter na początku marca wrócił do Waszyngtonu, surowa zima nieco zelżała. Już wkrótce lasy porastające część Wirginii i Marylandu wokół stolicy miały się pokryć mgiełką zieleni.

Ze stoczni Kapoor na południe od Goi nadeszła wiadomość od McGregora, który wciąż pocił się nad robotą w smrodzie toksycznych chemikaliów i malarycznym upale. Transformacja dwóch frachtowców do przewozu zboża dobiegała końca. Szkot oznajmił, że będą gotowe do odbioru w nowej roli w maju.

Zakładał, że statki zostaną przeznaczone do celów, o jakich go poinformowano. To znaczy, że jakieś nieprawdopodobnie bogate amerykańskie konsorcjum chce dołączyć do branży poszukiwaczy skarbów z dwoma statkami przystosowanymi do nurkowania głębinowego oraz wydobywania wraków. Pomieszczenia mieszkalne przeznaczone były dla nurków i załogi pracującej na powierzchni, warsztaty do naprawy sprzętu, a wielka ładownia dla niewielkiego śmigłowca obserwacyjnego. Była to wiarygodna przykrywka, tyle że niemająca nic wspólnego z prawdą.

Ostatni etap przekształcania zbożowców w statki pułapki miał się odbyć na morzu. Wówczas to koje zajmą uzbrojeni po zęby komandosi, a do warsztatu (arsenału) trafi wysoce niebezpieczny sprzęt. McGregor usłyszał w odpowiedzi, że sprawił się znakomicie i że oba statki przejmą dwie załogi z marynarki handlowej, które wkrótce przylecą.

Na wszelki wypadek dokumenty od dawna już były gotowe. Dwa poprzednie statki zniknęły, a te dwa, które miały wypłynąć w morze, przemianowano na m/v „Chesapeake” i m/v „Balmoral”. Właścicielem była firma reprezentowana przez kancelarię prawną z Aruby, pływały (ze względów praktycznych) pod banderą tej maleńkiej wysepki i miały być czarterowane

do przewozu zboża z bogatej w pszenicę północy na wygłodniałe południe. Prawdziwy właściciel i przeznaczenie jednostek pozostawały głęboko ukryte.

Laboratoria FBI dostarczyły doskonały wzorzec DNA młodej kobiety, która piła kawę z filizanki w Villa Real. Cal Dexter nie wątpił, że była Kolumbijką, co zresztą potwierdził już inspektor Ortega. Tyle że w Madrycie studiują setki młodych dziewczyn z Kolumbii. Dexter pragnął dopasować teraz DNA do którejś z nich.

W teorii co najmniej pięćdziesiąt procent DNA powinno pochodzić od ojca, a Dexter był przekonany, że ten przebywa w Kolumbii. Kim był ów człowiek, skoro mógł skłonić grubą rybę w świecie handlarzy kokainą (nawet jeśli chodziło tylko o „pracownika technicznego”) do odgrywania dla niego roli posłańca? I dlaczego nie korzystał z poczty? Był to wprawdzie strzał na chybił trafił, ale Dexter zwrócił się z tym pytaniem do pułkownika Dos Santosa, szefa wywiadu kolumbijskiej jednostki antynarkotykowej w Policia Judicial. Czekaając na odpowiedź, odbył dwie szybkie podróże.

Przy północno-wschodnim wybrzeżu Brazylii leży mało znany archipelag dwudziestu jeden wysepek, z których największa nazywa się tak, jak cała grupa: Fernando de Noronha. Ma dziesięć kilometrów długości, trzy i pół szerokości i powierzchnię dwudziestu sześciu kilometrów kwadratowych. Jedynym miastem jest tam Vila Dos Remedios.

Wyspa ta stanowiła niegdyś więzienie, podobnie jak francuska kolonia karna Diabelska Wyspa, dlatego tutejsze bujne lasy wycięto, żeby więźniowie nie mieli budulca do klecenia tratw

umożliwiających ucieczkę. Miejsce drzew zajęły krzewy i busz. Bogaci Brazylijczycy mają tu swoje letniskowe wille, gdzie mogą się zaszyć przed całym światem, ale Dextera najbardziej interesowało lotnisko. Zbudowane w 1942 roku przez Jednostkę Transportową sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, było doskonałą bazą wypadową dla amerykańskich samolotów bezzałogowych Predator czy Global Hawk, które nieprawdopodobnie długo mogą pozostawać w powietrzu i obserwować ziemię za pomocą kamer, radarów i detektorów termicznych. Dexter poleciał tam jako kanadyjski deweloper budujący ośrodki turystyczne, rozejrzał się, potwierdził swoje podejrzenia i wrócił. Z drugą wizytą wybrał się do Kolumbii.

W roku 2009 prezydent Uribe skutecznie rozprawił się wreszcie z terrorystyczną partyzantką FARC, która tak naprawdę specjalizowała się w porwaniach dla okupu. Ale jego wysiłki zmierzające do ukrócenia handlu kokainą w znacznym stopniu pokrzyżował don Diego Esteban i nadspodziewanie skuteczny kartel, który stworzył.

Tego roku Álvaro Uribe obraził skrajnie lewicowych sąsiadów — Wenezuelę i Boliwię — zapraszając do Kolumbii amerykańskie siły zbrojne, by pomogły mu i użyczyły swojej znakomitej technologii. Oddał im do dyspozycji siedem kolumbijskich baz wojskowych. Jedna z nich mieściła się w Malambo, na północnym wybrzeżu obok Barranquilla. Dexter, za aprobatą Pentagonu, udał się tam jako autor książek na temat obronności.

Skoro już znalazł się w tym kraju, skorzystał z okazji, by wybrać się do Bogoty i spotkać z groźnym pułkownikiem Dos

Santosem. Amerykańskie wojsko podrzuciło go do Barranquilli, skąd złapał samolot do stolicy. Różnica temperatur między wciąż ciepłym wybrzeżem a położonym w górach miastem wynosiła dwadzieścia stopni.

Ani szef operacji amerykańskiego DEA, ani dowódca brytyjskiej jednostki SOCA w Bogocie nie wiedzieli, kim jest Dexter ani co szykuje Kobra, ale obaj otrzymali rozkazy ze swoich centrali przy Army Navy Drive i Albert Embankment, że mają z nim współpracować. Wszyscy biegle mówili po hiszpańsku, a Dos Santos doskonale władał angielskim. Pułkownik zdziwił się, gdy nieznajomy wspomniał o próbce DNA dostarczonej dwa tygodnie wcześniej.

— Dziwne, że zjawił się pan akurat w takiej chwili — powiedział młody duchem, dynamiczny kolumbijski detektyw. — Właśnie dziś rano dopasowaliśmy próbkę do człowieka.

Jego wyjaśnienie było jeszcze dziwniejsze niż przyłot Dextera, choć to tylko zbieg okoliczności. Z powodu skąpstwa kolejnych rządów sprzed prezydentury Álvara Uribe technika identyfikacji DNA dotarła do Kolumbii z dużym opóźnieniem. Dopiero Uribe zwiększył budżet.

Mimo to Dos Santos z zapalem czytał wszystkie publikacje na temat nowoczesnych technik kryminalistycznych. Wcześniej niż jego koledzy po fachu zdał sobie sprawę, że pewnego dnia DNA stanie się potężnym narzędziem umożliwiającym identyfikację ludzi, zarówno żyjących, jak i martwych (a zwłok było coraz więcej). Dlatego zanim jeszcze laboratoria jego wydziału zyskały odpowiednie wyposażenie, zaczął zbierać próbki DNA przy każdej nadarzającej się okazji.

Pięć lat temu osoba z albumu zdjęć przestępców poszukiwanych przez wydział antynarkotykowy spowodowała wypadek samochodowy. Mężczyzna ten nigdy nie został oskarżony, skazany ani uwięziony. W Nowym Jorku każdy prawnik zajmujący się prawami obywatelskimi załatwiłby Dos Santosowi dyscyplinarne zwolnienie z pracy za to, co uczynił.

Jeszcze zanim Don stworzył swój kartel, pułkownik i jego koledzy byli przekonani, że jest on czynnym gangsterem najwyższego szczebla. Nie widziano go od wielu lat, a od dwóch w ogóle wszelki słuch po nim zaginął. Jeżeli był tak potężny, jak podejrzewali, to wciąż musiał zmieniać miejsce pobytu oraz przebranie i przenosić się z jednej kryjówki do drugiej. Porozumiewał się zapewne przez telefony komórkowe jednorazowego użytku, wyrzucane zaraz po rozmowie, miał ich pewnie z pół setki i stale odnawiał zapas.

Dos Santos udał się do szpitala i wykradł tampony używane do zatamowania krwotoku z nosa ofiary wypadku samochodowego. A gdy nowa technologia weszła do użytku, próbkę DNA opisano i wciągnięto do kartoteki. Pięćdziesiąt procent znajdowało się w próbce przesłanej z Waszyngtonu wraz z prośbą o pomoc.

Pułkownik sięgnął po teczkę i położył na biurku fotografię.

Twarz była prymitywna, pokryta bliznami, okrutna. Złamany nos, oczy jak kamyki, ostrzyżone na jeża siwe włosy. Zdjęcie zrobiono ponad dziesięć lat wcześniej, ale twarz postarzano, żeby pokazywała, jak ten człowiek powinien wyglądać dzisiaj.

— Jesteśmy przekonani, że ten mężczyzna należy do

najbardziej zaufanych współpracowników Dona. To właśnie jego agenci opłacają skorumpowanych urzędników za granicą, którzy pomagają kartelowi przemycać towar w portach i na lotniskach Ameryki i Europy. Tych, których nazywacie łapownikami.

— Uda się go znaleźć? — zapytał facet z SOCA.

— Nie, inaczej już bym go miał. Pochodzi z Cartageny, teraz to już szczwany lis. Szczwane lisy nie lubią się oddalać od swojej wygodnej siedziby, ale on żyje w głębokim ukryciu, jest niewidzialny.

Pułkownik odwrócił się do Dextera — źródła tajemniczej próbki DNA pochodzącej od bliskiej krewnej gangstera.

— Nigdy go pan nie znajdzie, señor. Zresztą nawet gdyby się to panu udało, pewnie by pana zabił. A gdyby zdołał go pan pojmać, i tak by się nie złamał. Jest twardy jak skała i kuty na cztery nogi. Nigdy nie podróżuje, wysyła ludzi, żeby odwalali robotę za niego. Domyślamy się, że Don ufa mu bezgranicznie. Obawiam się, że pańska próbka, choć interesująca, nic nam nie da.

Cał Dexter zwiesił głowę i spojrzał na nieprzeniknioną twarz Roberta Cárdenasa — człowieka, który trzymał w garści ludzi z Listy Łapowników. Kochającego tatę dziewczyny z Madrytu.

• • •

Na północno-wschodnim krańcu Brazylii rozciąga się rozległy górzysty teren, poprzecinany dolinami, z kilkoma wysokimi szczytami i gęstą dżunglą. Ale poza tym są tam też kolosalne rancza o powierzchni sięgającej pół miliona akrów, porośnięte trawą, obficie nawadnianą przez niezliczone, spływające z gór

potoki. Rozmiary i ustronne położenie tych posiadłości sprawiają, że w zasadzie są one dostępne tylko z powietrza. Dlatego każda z nich wyposażona jest w pas startowy, a niekiedy nawet kilka.

Podczas gdy Cal Dexter wracał rejsowym lotem z Bogoty do Waszyngtonu przez Miami, na jednym z takich pasów startowych akurat tankował samolot typu Beech King Air. Na pokładzie miał dwóch pilotów, dwóch pompiaży i tonę kokainy.

Podczas gdy pracownicy obsługujący pompę paliwa napełniali po brzegi zbiornik główny i dodatkowe, załoga samolotu drzemała w cieniu krytej liśćmi palmy przybudówki. Czekala ich długa noc. Neseser z opłatą za paliwo i postój, wypchany paczkami banknotów studolarowych, został już przekazany.

Jeśli nawet władze brazylijskie miały podejrzenia co do rancza Boavista, położonego w głębi łądu trzysta kilometrów od portowego miasteczka Fortaleza, to i tak niewiele mogły zrobić. Posiadłość znajdowała się na takim odludziu, że każdy obcy natychmiast rzucałby się w oczy. Obserwacja głównych budynków nie miała najmniejszego sensu — korzystając z nadajnika GPS, samolot z narkotykami mógłby się spotkać z dostawcą paliwa w dowolnym miejscu i nigdy by go nie zobaczyli.

Właściciele bez porównania lepiej zarabiali na opłatach za postój i tankowanie samolotów niż na prowadzeniu rancza. Z kolei dla kartelu te przystanki na długiej trasie do Afryki były absolutnie konieczne.

Beech C12, popularnie zwany king air, został zaprojektowany i zbudowany w fabryce firmy Beechcraft jako dziewiętnastomiejsowy turbośmigłowiec uniwersalny. Na całym świecie

sprzedawał się jak świeże bułeczki. Późniejsze wersje pozbawiono foteli i przerobiono na samolot transportowy do przewozu wszelkiego rodzaju ładunków. Ale wersja stojąca w popołudniowym słońcu w Boavista była jeszcze bardziej zmodyfikowana.

Samolotu tego nie projektowano z myślą, żeby pokonywał Atlantyk bez postoju. Maksymalny zapas paliwa wynoszący dwa i pół tysiąca litrów pozwalał dwóm kanadyjskim silnikom Pratt & Whitney pokonać odległość siedmiuset ośmiu mil morskich. Oczywiście przy spokojnej pogodzie, z maksymalnym obciążeniem, przy ustawieniu parametrów lotu na długi dystans i z zachowaniem zapasu na kołowanie, start, wznoszenie się i podejście do lądowania. Próba przelotu tym modelem z Brazylii do Afryki byłaby receptą na śmierć na środku oceanu.

W tajnych warsztatach kartelu, ukrytych w pobliżu pasów startowych w Kolumbii, egzemplarze do transportu kokainy przeszły gruntowną modernizację. Zmyślni rzemieślnicy wbudowali dodatkowe zbiorniki paliwa, ale nie podwieszane pod skrzydłami, lecz wewnątrz kadłuba. Zwykle instalowano dwa, po jednym z każdej strony luku towarowego, z wąskim przejściem na pokład załogowy na dziobie.

Technologia jest droga, praca ludzka — tania. Zamiast wlewać dodatkowe paliwo ze zbiorników zapasowych do głównych za pomocą elektrycznej pompy podłączonej do silników, na pokład zabierano dwóch peonów. I kiedy daleko na ciemnym niebie zbiorniki główne się opróżniały, ci dwaj zaczynali pompować ręcznie.

Trasa była prosta. Pierwszy odcinek prowadził z pasa startowego ukrytego w kolumbijskiej dżungli, którego położenie wciąż zmieniano, żeby nie zwrócić uwagi pułkownika Dos Santosa. Pierwszej nocy piloci pokonywali dwa tysiące dwieście kilometrów nad Brazylią, do Boavisty. Lecąc po ciemku na pulapie tysiąca pięciuset metrów nad koroną lasów deszczowych w Mato Grosso, byli w zasadzie niewidzialni.

O świcie załoga wcinała obfite śniadanie i przesyiała najgorszy upał. O zmierzchu king aira znów tankowano pod korek, żeby starczyło paliwa na tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt kilometrów — najkrótszą przeprawę z Nowego Świata do Starego.

Tego wieczoru, kiedy nad Boavistą zgasły ostatnie promienie światła, pilot king aira skrzył pod lekki wiatr, po raz ostatni sprawdził przyrządy pokładowe i samolot zaczął się toczyć. Całkowity ładunek, zgodnie z dopuszczalnym przez producenta maksimum, wynosił siedem i pół tysiąca kilogramów. Żeby oderwać się od ziemi, maszyna musiała rozpędzać się przez tysiąc dwieście metrów, ale do dyspozycji miała półtora kilometra wyrównanej walcem, płaskiej jak stół trawy. Kiedy na niebie rozbłysła gwiazda wieczorna, samolot wzbil się w powietrze nad Boavista i tropikalna ciemność zakryła go niczym kurtyna w teatrze.

Powiadają, że są starzy piloci i łysi piloci, ale starych łysych pilotów nie ma. Francisco Pons miał pięćdziesiątkę i latami startował i lądował na lotniskach, które nigdy nie znalazłyby się w oficjalnych rejestrach. Przeżył tylko dlatego, że był ostrożny.

Trasę miał starannie zaplanowaną, nie przeoczono żadnego szczegółu. Pons odmawiał lotów podczas burzliwej pogody, ale tej nocy prognozy zapowiadały na całej trasie miły wiatr w plecy o prędkości dwudziestu węzłów. Wiedział, że po drugiej stronie nie czeka go nowoczesne lotnisko, tylko kolejny pas wykarczowanego buszu, oświetlony reflektorami sześciu ustawionych w rzędzie samochodów terenowych.

Pamiętał sygnał w postaci kropka-kropka-kreska, który gdy będzie się zbliżał, mignie na znak, że w ciepłym aksamicie afrykańskiej nocy nie czeka na niego zasadzka. Jak zwykle, w zależności od pułapu chmur, miał lecieć na wysokości od tysiąca pięćset do trzech tysięcy metrów, znacznie poniżej poziomu, na którym niezbędny jest aparat tlenowy. Oczywiście w razie potrzeby leciałby i w chmurach, ale w świetle księżyca omijanie chmur było znacznie przyjemniejsze.

Po sześciu godzinach w powietrzu, nawet lecąc na wschód, ku wstającemu słońcu, i dodając trzy godziny wynikające z różnicy stref czasowych plus dwie na kolejne tankowanie z cystermy zaparkowanej w buszu, będzie już leciał z powrotem nad afrykańskim wybrzeżem, o tonę lżejszy i bez ładunku, zanim jeszcze nad Afryką zaróżowią się pierwsze promienie słońca.

No i ta zapłata! Dwaj pompierze z tyłu samolotu za trzy dni i noce mieli otrzymać po pięć tysięcy dolarów na głowę, co dla nich stanowiło niewyobrażalny majątek. Kapitan Pons — lubił, żeby go tak tytułowano — miał zgarnąć dziesięć razy więcej i wkrótce przejść na emeryturę jako prawdziwy bogacz. No ale w końcu przewoził ładunek, który w wielkich miastach europejskich ostatecznie osiągnie na ulicy cenę stu milionów dolarów.

Nie uważał, żeby robił coś złego. Po prostu wykonywał swoją pracę.

Pod prawym skrzydłem dostrzegł światła Fortalezy i wkrótce ciemność dżungli zastąpiła czerni oceanu. Godzinę później pod lewym skrzydłem mignęła Fernando de Noronha. Pons sprawdził godzinę i kurs. Lecąc z optymalną prędkością dwustu pięćdziesięciu węzłów, nie miał opóźnienia i zmierzał prosto do celu. Nagle pojawiły się chmury. Pons wzbił się na trzy tysiące metrów i leciał dalej. Dwaj peoni zaczęli pompować paliwo.

Pons kierował się na pas startowy Cufar — lądowisko w Gwinei Bissau, wykarczowane w buszu podczas wojny o niepodległość, którą wiele lat temu wszczął przeciwko Portugalczykom Amilcar Cabral. Zegarek wskazywał dwudziestą trzecią czasu brazylijskiego. Jeszcze godzina. Nad nimi świeciły jasne gwiazdy, poniżej warstwa chmur się przerzedzała. Doskonale. Peoni wciąż pompowali.

Pons znów sprawdził pozycję samolotu. Dzięki Ci, Panie, za GPS, wykorzystujący system satelitów, z których co najmniej cztery są widoczne w każdym punkcie globu, podarowany światu przez Amerykanów i bezpłatny. Dzięki niemu odnalezienie pasa startowego w ciemnym buszu było równie łatwe jak zlokalizowanie Las Vegas na pustyni Nevady. Pons wciąż leciał kursem 040°, tak jak przez całą drogę od wybrzeża Brazylii. Teraz zmienił kierunek o kilka stopni w prawo, zszedł na tysiąc pięćset metrów i ujrzał księżyc odbijający się w rzece Mansoa.

Po lewej zobaczył kilka słabych światełek w kraju, w którym poza tym panowały egipskie ciemności. Lotnisko — widocznie czekali na samolot z Lizbony, inaczej nie marnowaliby paliwa

do generatorów prądu. Zwolnił do stu pięćdziesięciu węzłów i spojrzął na wprost, wypatrując Cufar. W ciemności czekali tam jego koledzy z Kolumbii, nasłuchując buczenia silników Pratt & Whitney — dźwięku, który niósł się kilometrami, ponad recho-tem żab i bzyczeniem moskitów.

Przed nimi wystrzeliła w górę bateria świateł — pionowy słup z latarek Maglite o jasności miliona kandel. Kapitan Pons był za blisko. Błysnął światłami podejścia i zawrócił szerokim łukiem. Wiedział, że pas startowy biegnie dokładnie ze wscho-du na zachód. Przy bezwietrznej pogodzie mógłby lądować z dowolnego kierunku, ale ustalono, że jeepy będą czekały na zachodnim krańcu. Musiał więc zatoczyć koło nad ich głowami.

Wypuścił podwozie, podniósł klapy do lądowania, zmniejszył prędkość i zawrócił do końcowego podejścia. Przed nim rozbłysły wszystkie światła. Na dole było jasno jak w południe. Pons z hukiem przeleciał trzy metry nad terenówkami, z prędkością stu węzłów. King air wylądował przy regulaminowych osiemdziesięciu czterech węzłach. Zanim kapitan wyłączył silniki i urządzenia pokładowe, wranglery pędziły już po jego bokach. Z tyłu samolotu dwaj peoni, złani potem, ślaniali się ze zmęczenia. Pompowali paliwo przez ponad trzy godziny, a ostatnie sto dziewięćdziesiąt litrów chlupotało teraz w wewnętrznych zbiornikach.

Francisco Pons zabraniał palenia podczas lotu. Inni kapitanowie pozwalali na to, ryzykując, że najmniejsza iskra zamieni pełne oparów paliwa maszyny w latające kule ogniste. Gdy już bezpiecznie znaleźli się na ziemi, czterej mężczyźni nareszcie mogli zapalić.

Czekało na nich czterech Kolumbijczyków, dowodzonych przez Ignacia Romera, szefa wszystkich operacji kartelu w Gwinei Bissau. Ten transport był tak wielki, że zasługiwał na to, by odebrać go osobiście. Tubylcy wytaszczyli dwadzieścia bel, w których znajdowała się w sumie tona kokainy. Przeniesiono je do półciężarówki z oponami traktora i jeden z Kolumbijczyków odjechał z ładunkiem.

Na belach przycupnęło sześciu Gwinejczyków — żołnierzy wyznaczonych przez generała Djala Gómesa. Pod nieobecność choćby tytularnego prezydenta to on rządził krajem. Najwyraźniej nikt inny nie chciał się podjąć tego zadania. Dzierżawa tego państwa przeważnie była krótka. Cała sztuczka polegała na tym, żeby — jeśli się uda — jak najszybciej nakraść tyle, ile się da, i z całym majątkiem przejść na emeryturę na portugalskim wybrzeżu Algarve, w towarzystwie kilku młodych dam. Kłopot tylko w tym, czy „się uda”.

Kierowca cysterny podłączył przewody i zaczął tankować baki samolotu. Romero zaproponował Ponsowi filiżankę kawy ze swojego prywatnego termosu. Pons powąchał ją. Kolumbijska, najlepsza. Podziękował skinieniem głowy. Za dziesięć czwarta czasu miejscowego robota dobiegła końca. Pedro i Pablo, na odległość tracący potem i czarnym tytoniem, weszli do samolotu i ulokowali się z tyłu. Mogli odpocząć jeszcze przez trzy godziny, dopóki nie wyczerpią się główne zbiorniki. Potem czeka ich kolejne pompowanie paliwa aż do Brazylii. Pons i jego młody drugi pilot, który wciąż jeszcze uczył się fachu, pożegnali się z Romerem i wsiedli do kokpitu.

Wranglery znów ustawiły się tak, że kiedy włączą reflektory,

kapitanowi Ponsowi pozostanie tylko zawrócić, wzbić się w powietrze i polecieć na zachód. Za pięć czwarta poderwał maszynę, lżejszą teraz o tonę, i zanim jeszcze ciemność się rozproszyła, był już daleko nad oceanem.

Gdzieś w buszu, który zostawił za sobą, tona kokainy została przeniesiona do tajnego magazynu i ostrożnie podzielona na mniejsze porcje. Większość miała trafić na północ przy użyciu dwudziestu różnych metod i wykorzystaniu pięćdziesięciu kurierów. Właśnie to porcjowanie transportów przekonało Kobrę, że kiedy już dostawa dotrze do celu, przemytu nie da się powstrzymać.

Miejscowi pomagierzy w całej Afryce Zachodniej, aż do szczebla prezydenta, nie dostawali zapłaty w gotówce, lecz w kokainie. W jaki sposób przekują to na majątek, to już ich sprawa. Zorganizowali więc równoległe drugą nitkę przemytu, również prowadzącą na północ, tyle że znajdującą się w rękach i pod całkowitą kontrolą czarnych Afrykanów. Na tym etapie włączyli się Nigeryjczycy. To oni opanowali handel na rynku afrykańskim i rozprowadzali swój towar niemal bez wyjątku za pośrednictwem setek skupisk Nigeryjczyków rozrzuconych po całej Europie.

W roku 2009 coraz silniej dawały znać o sobie lokalne problemy, które w końcu doprowadziły Dona do szewskiej pasji. Niektórzy z jego afrykańskich sprzymierzeńców nie chcieli już współpracować tylko za prowizję. Marzył im się awans na poważnych graczy kupujących towar bezpośrednio u źródła i zamiana mizernych profitów na kolosalne zyski osiągane przez białego człowieka. Jednakże Don musiał obsłużyć swoich

europiejskich klientów, odmówił więc wyniesienia Afrykanów z roli służących do pozycji równorzędnego partnera. I właśnie ten uśpiony konflikt Kobra zamierzał wykorzystać.

• • •

Ojciec Isidro godzinami modlił się i zmagał ze swoim sumieniem. Zwróciłby się do ojca prowincjała, ale przecież dygnitarz udzielił mu już rady. Decyzję należało podejmować osobiście i ksiądz w każdej parafii miał w tej kwestii wolną rękę. Jednak ojciec Isidro nie czuł się wolny. Odnosił wrażenie, że się znalazł w pułapce. Dostał mały kodowany telefon komórkowy, łączący się tylko z jednym numerem. Numerem, pod którym miał się odezwać nagrany na taśmie głos, mówiący z silnym amerykańskim akcentem, ale płynną hiszpańszczyzną. Poza tym mógł wysłać SMS. Albo milczeć. Dopiero pewien nastolatek w szpitalu w Cartagenie pomógł mu podjąć decyzję.

Ojciec Isidro ochrzcił tego chłopca, a z czasem go bierzmował — był to jeden z wielu młodych ludzi w straszliwie biednej, robotniczej parafii, położonej przy nabrzeżu. Wezwany do udzielenia ostatniego namaszczenia ksiądz usiadł przy szpitalnym łóżku i przesuwając paciorki różańca, szlochał.

— *Ego te absolvo ab omnibus peccatis tue* — szepnął. — *In nomine Patris, et Filii et Spiritu Sancii.*

Nakreślił w powietrzu znak krzyża i w tym momencie chłopak umarł, wypowiedany. Siedząca w pobliżu siostra spokojnie zakryła białym prześcieradłem twarz zmarłego.

Śmierć czternastolatka spowodowało przedawkowanie kokainy.

— Za jakie grzechy? Co on złego zrobił? — zapytał ksiądz swojego milczącego Boga, wracając do domu zaciemnionymi ulicami stoczni i wspominając rozgrzeszenie, jakiego udzielił. Tej samej nocy zadzwonił.

Nie wierzył, że zawiódł zaufanie señory Cortez. Urodzona i wychowana w nadbrzeźnych slumsach wciąż była jego parafianką, mimo że przeprowadziła się już do pięknego domu na prywatnym osiedlu w cieniu góry Cerro La Popa. Jej mąż Juan, wolnomysliciel, nie uczestniczył w mszy. Ale ona przychodziła, razem z synem — ten miły chłopiec był rozbrykany i psotny, jak przystało na dziecko, ale miał dobre serce i był pobożny. Tego, co wyznała mu señora, nie usłyszał w konfesjonale, a ona błagała go o pomoc. Dlatego nie łamał tajemnicy spowiedzi. Zadzwonił więc i zostawił krótką wiadomość.

Cal Dexter odsłuchał ją dwadzieścia cztery godziny później. A potem spotkał się z Paulem Devereaux.

— W Cartagenie jest taki jeden facet, spawacz. Nazywa się Juan Cortez. Podobno to genialny rzemieślnik. Pracuje dla kartelu. Tworzy skrytki w stalowych kadłubach, tak zmyślne, że na dobrą sprawę są nie do wykrycia. Chyba powinienem się z nim spotkać.

— Zgadzam się — odparł Kobra.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Był to ładny domek, schludny i zadbane, z rodzaju tych, które świadczą, że ich właściciele z dumą awansowali ze zwyczajnych robotników na wykwalifikowanych rzemieślników.

Spawacza namierzył miejscowy przedstawiciel brytyjskiej SOCA. Ten tajny agent, Nowozelandczyk, tyle lat przepracował w Ameryce Południowej i Łacińskiej, że hiszpański stał się jego drugim językiem. Miał znakomitą przykrywkę jako wykładowca matematyki w Akademii Marynarki Wojennej. Posada ta pozwalała mu swobodnie poruszać się wśród miejscowych biurokratów. Dzięki temu jego znajomek z ratusza w Cartagenie odnalazł dom spawacza, sprawdzając rejestry płatników podatku gruntowego.

Odpowiedź agenta na zapytanie Cala Dextera była wzorem zwięzłości. Juan Cortez, pracujący na własny rachunek rzemieślnik w stoczni. Do tego dochodził adres oraz zapewnienie, że żaden inny Juan Cortez nie mieszka na prywatnych osiedlach zbudowanych na stokach Cerro La Popa.

Trzy dni później Cal Dexter przyleciał do miasta i jako niezbyt zamożny turysta zatrzymał się w tanim hotelu. Wynajął skuter, jeden z dziesięciu tysięcy takich pojazdów kursujących po mieście. Na mapie drogowej znalazł podmiejską ulicę w dzielnicy Las Flores, zapamiętał drogę i przejechał się po okolicy.

Następnego dnia przed świtem znów był na tej ulicy, skulony w ciemności, i naprawiał unieruchomiony skuter, którego wybebeszone części leżały na chodniku obok. Dookoła zapalały się światła — ludzie budzili się i zaczynali nowy dzień. Nie inaczej było pod numerem siedemnaście. Cartagena to południowokaraibski kurort, gdzie pogoda dopisuje przez okrągły rok. Wczesny marcowy poranek był przyjemnie ciepły, ale już niedługo miał zapanować upał. Pierwsi mieszkańcy zaczęli wychodzić do pracy. Kucający Dexter widział forda pinto zaparkowanego przed interesującym go domem; przez szczeliny w żaluzjach przebijało światło — rodzina zasiadła do śniadania. Za dziesięć siódma spawacz otworzył drzwi frontowe.

Dexter nie ruszył się z miejsca. I tak zresztą nie mógł go śledzić, skuter był unieruchomiony. Poza tym dzisiaj nie miał tego w planach, chciał tylko sprawdzić, o której spawacz wychodzi z domu. Liczył na to, że nazajutrz Juan Cortez okaże się punktualny. Patrzył, jak ford mija go i zakręca, wyjeżdżając na główną drogę. Następnego dnia od wpół do siódmej rano Dexter będzie czekał na tym rogu, tyle że w kasku, kurtce i na siedzeniu skutera. Ford skręcił i zniknął za rogiem. Dexter poskładał swój pojazd i wrócił do hotelu.

Przyjrzał się Kolumbijczykowi z bliska na tyle dokładnie, żeby go rozpoznać przy następnym spotkaniu. Znał także model i numer rejestracyjny jego samochodu.

Następnego dnia rano wszystko odbyło się tak samo. Zapaliły się światła, rodzina zjadła śniadanie, wyczuwała się. O wpół do siódmej Dexter czekał na rogu z włączonym silnikiem i udawał, że rozmawia przez telefon komórkowy, żeby nieeliczni o tej porze przechodnie nie nabrali podejrzeń. Nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi. Juan Cortez, za kierownicą forda, minął go powoli za kwadrans siódma. Dexter odczekał, aż oddali się o sto metrów, i ruszył za nim.

Spawacz minął dzielnicę La Quinta i skręcił na południe, na biegnącą wzdłuż wybrzeża autostradę Carretera Troncal West. Rzecz jasna, niemal wszystkie stocznie skupiły się nad brzegiem oceanu. Ruch na drodze się wzmógł, ale na wypadek gdyby śledzony spawacz był wyjątkowo spostrzegawczy, Dexter dwukrotnie schował się za ciężarówką, kiedy musieli stanąć na czerwonym świetle.

W pewnej chwili odwrócił wiatrówkę na lewą stronę. Przedtem była jasnoczerwona, teraz błękitna jak niebo. Na kolejnych światłach zrzucił ją i został w białej koszuli. Zresztą i tak wtopił się w tłum ludzi jadących na skuterach do pracy.

Droga ciągnęła się w nieskończoność. Ruch na drodze zmaleł. Ci, którzy jechali dalej, zmierzali do stoczni położonych przy Carretera de Mamonal. Dexter znów zmienił przebranie — wcisnął kask między kolana i włożył białą wełnianą czapkę. Człowiek, którego śledził, nie zwracał na niego uwagi, ale przy małym ruchu Dexter musiał zwolnić i trzymać się sto metrów

za nim. W końcu spawacz skręcił z szosy. Byli dwadzieścia dwa kilometry na południe od miasta. Minąwszy doki dla tankowców i zbiornikowców petrochemicznych, dojechali do warsztatów, w których naprawiano frachtowce uniwersalne. Dexter zauważył wielką tablicę reklamową przy wjeździe w alejkę prowadzącą do stoczni Sandoval. Na pewno jej nie zapomni.

Następnie wrócił powoli do miasta, rozglądając się za miejscem nadającym się do porwania. Znalazł je około południa — pusty odcinek jednopasmówki, z której niebrukowane ścieżki prowadziły w dół, do gęstych namorzynów. Pięćsetmetrowy prosty odcinek kończył się po obu stronach zakrętami.

Wieczorem tego dnia Dexter czekał na skrzyżowaniu u wylotu drogi prowadzącej ze stoczni Sandoval na autostradę. Ford pojawił się tuż po osiemnastej, w szybko gęstniejącym mroku, kilka minut przed zapadnięciem całkowitych ciemności. Był jednym z dziesiątków samochodów i skuterów wracających do miasta.

Trzeciego dnia Dexter wjechał na teren stoczni. Wyglądało na to, że nie ma tam żadnej ochrony. Zaparkował i zaczął się przechadzać bez celu. Wymienił wesołe *Hola!* z grupą mijających go stoczniowców. Znalazł parking dla personelu — ford czekał tam na właściciela, który z palnikiem acetylenowym pracował w pocie czoła w suchym doku. Następnego dnia rano Cal Dexter wrócił do Miami, by zwerbować ludzi i opracować plan.

Poleciał do kolumbijskiej bazy wojskowej w Malambo, gdzie

stacjonowały amerykańskie wojska lądowe, marynarka wojenna i siły powietrzne. Skorzystał z samolotu transportowego C-130 Hercules, który wystartował z bazy lotniczej Eglin na Florydzie. Prowadzono stamtąd tyle nielegalnych operacji, że Eglin potocznie określa się jako Centralę Szpiegów.

Na pokładzie herculesa miał niezbędny sprzęt oraz sześciu komandosów z Zielonych Beretów. Stacjonowali wprawdzie w Fort Lewis w stanie Waszyngton, ale ponieważ pracował już z nimi w przeszłości, jego życzenie zostało spełnione. W Fort Lewis mieści się centrala Pierwszej Grupy Sił Specjalnych zwanej Oddziałem Operacyjnym (OO) Alpha 143. Sześciu komandosów było specjalistami od gór, chociaż w Cartagenie żadnych gór nie ma.

Miał szczęście, że znalazł ich w bazie, gdzie akurat powrócili z Afganistanu na krótki okres nudy. Na propozycję udziału w nielegalnej operacji wszyscy zgłosili się na ochotnika, ale Dexter potrzebował tylko sześciu. Uparł się, że dwaj z nich muszą być Latynosami władającymi biegle hiszpańskim. Żaden z nich nie wiedział, o co chodzi, bo oprócz najbardziej niezbędnych szczegółów nic więcej wiedzieć nie musieli. Ale wszyscy znali zasady. Dowiedzą się tyle, ile potrzeba do wykonania misji. Nie więcej.

Dexter był zadowolony z tego, co ekipie zaopatrzeniowej Projektu Kobra udało się osiągnąć w tak krótkim czasie. Czarna furgonetka była wprawdzie produkcji amerykańskiej, ale połowa samochodów na drogach Kolumbii pochodziła ze Stanów Zjednoczonych. Papiery miała w porządku, a tablice

rejestracyjne były z Cartageny. Kalkomanie po bokach wozu reklamowały Lavandería de Cartagena. Furgonetki pralni zwykle nie budzą podejrzenia.

Dexter sprawdził trzy mundury policji cartageńskiej, dwa wiklinowe kosze na brudne ubrania, przenośne sygnalizatory drogowe i zamrożone zwłoki, obłożone suchym lodem w chłodzonej trumnie. Te miały czekać na pokładzie herculesa, aż będą potrzebne.

Kolumbijskie wojsko było niezwykle serdeczne, ale wyświadczyło już wiele przysług. Przeciąganie struny nie miało sensu.

Cał Dexter pobieżnie obejrzał trupa. Właściwy wzrost i budowa ciała, zbliżony wiek. Pechowy NN, który próbował koczować w lasach w stanie Waszyngton i zmarł z wyziębienia, a kiedy odnaleziono jego zwłoki dwa dni temu, przewieziono je do kostnicy w Kelso obok Góry Świętej Heleny.

Dexter przeprowadził ze swoją ekipą dwie próby generalne. W dzień i w noc obserwowali pięćsetmetrowy wąski odcinek autostrady, który wybrał na miejsce akcji. Trzeciego wieczoru byli gotowi. Każdy z nich wiedział, że kluczowe znaczenie mają prostota i szybkość. Trzeciego dnia po południu Dexter zaparkował furgonetkę w połowie długiego prostego odcinka autostrady, pięćdziesiąt metrów od bitej drogi prowadzącej do namorzynów.

O szesnastej pojechał motorowerem, który dostali wraz z resztą sprzętu, na parking dla pracowników stoczni Sandoval, przykucnął i spuścił powietrze z dwóch kół forda pinto — tylnego oraz zapasowego w bagażniku. Kwadrans później dołączył do reszty ekipy.

Na parkingu Sandoval Juan Cortez podszedł do swojego wozu, zobaczył kapeć, zaklął i otworzył bagażnik, by wyjąć koło zapasowe. Widząc, że to także jest sflaczałe, zaklął jeszcze gorzej, poszedł do magazynu i wrócił z pożyczoną pompką. Kiedy wreszcie mógł ruszyć w drogę, miał godzinę spóźnienia i było ciemno choć oko wykol. Jego koledzy z pracy już dawno zniknęli.

Pięć kilometrów od stoczni, niewidoczny w przydrożnych zaroślach, stał w ciszy mężczyzna w gogłach noktowizyjnych. Ponieważ koledzy Corteza już przejechali, ruch na drodze był niewielki. Człowiek w krzakach był Amerykaninem, mówiącym płynnie po hiszpańsku i ubranym w mundur miejscowego gli-niarza z drogówki. Zapamiętał forda pinto, którego Dexter pokazał mu na zdjęciach. Samochód minął go o dziewiętnastej pięć. Mężczyzna sięgnął po latarkę i trzy razy krótko błysnął.

W połowie prostego odcinka autostrady Dexter wziął przenośny sygnalizator, przeszedł na środek jezdni i zaczął nim kiwać na boki, z czerwonym światłem skierowanym w stronę zbliżających się reflektorów. Widząc przed sobą ostrzegawcze znaki, Cortez zwolnił.

Za nim mężczyzna stojący wcześniej w krzakach również ustawił na szosie przenośny sygnalizator, zapalił czerwone światło i przez ponad dwie minuty zatrzymywał kolejne dwa samochody jadące w kierunku miasta.

Jeden z kierowców wychylił się przez okno i zawołał:

— *Qué pasa?!*

— *Dos momentos, nada más* — odparł policjant. Dwie sekundy, nie więcej.

Pięćset metrów dalej od strony miasta drugi komandos w mundurze policjanta ustawił swój sygnalizator z czerwonym światłem i w ciągu ponad dwóch minut zatrzymał trzy samochody. Na środku prostego odcinka nikt nie mógł im przeszkodzić, a ewentualni naoczni świadkowie nic nie mogliby zobaczyć zza zakrętów.

Juan Cortez zwolnił i zatrzymał się. Do okna forda od strony kierowcy podszedł przyjaźnie uśmiechnięty policjant. Wieczór był ciepły, więc szyba była opuszczona.

— Czy mógłby pan wysiąść z samochodu, señor? — spytał Dexter, otwierając drzwi samochodu. Cortez zaczął protestować, lecz wysiadł. Nagle wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zapamiętał tylko dwóch mężczyzn, którzy wychynęli z ciemności, silne ręce, tampon nasączony chloroformem, krótką szamotaninę, utratę świadomości i ciemność.

W ciągu trzydziestu sekund dwaj porywacze zataszczyli drogą gruntową bezwładne ciało spawacza do furgonetki. Dexter usiadł za kierownicą forda i tą samą drogą usunął go z widoku. Potem truchtem wrócił na szosę.

Piąty komandos siedział za kierownicą furgonetki, a razem z nim szósty. Na skraju szosy Dexter przez krótkofalówkę wydał cicho instrukcje dwóm policjantom, którzy usunęli sygnalizatory z jezdni i przepuścili zatrzymane samochody.

Dwa wozy nadjechały ku Dexterowi od strony stoczni, a trzy od miasta. Ciekawscy kierowcy zobaczyli policjanta stojącego na poboczu autostrady i oszołomionego mężczyznę, trzymającego się za głowę obok motoroweru — był to szósty z komandosów, ubrany w dżinsy, trampki i krótką skórzaną kurtkę.

Policjanci niecierpliwie poganiali mijające ich samochody. Nie ma się na co gapić, to tylko wywrotka.

Po ich odjeździe przywrócono normalny ruch, aby kolejni kierowcy już nic nie widzieli. Sześciu mężczyzn przeniosło bitą drogą oba sygnalizatory i motorower do furgonetki. Nieprzytomnego Corteza zapakowali do wiklinowego kosza na brudną odzież. Z drugiego kosza wyjęli nieboszczyka w foliowym worku, który tymczasem zwiotczał i zaczął śmierdzieć.

Furgonetka i samochód zamieniły się miejscami i wyjechały tyłem na szosę. Bezwładnemu Cortezowi zabrano portfel, telefon komórkowy, sygnet, zegarek i medalion z patronem, który nosił na szyi. Wyjęty z torby trup był już odziany w szary bawełniany kombinezon, dokładnie taki, jaki nosił Cortez.

Zwłoki „ubrano” we wszystkie osobiste akcesoria spawacza, po których można go było zidentyfikować. Sadzając trupa za kierownicą forda, podłożono mu portfel pod zadek. Czterech silnych mężczyzn popchnęło samochód od tyłu tak, że wyrznął w drzewo na poboczu szosy.

Dwaj komandosi wyjęli z tyłu furgonetki kanistry z benzyną i wylali na forda kilkanaście litrów. Zbiornik paliwa w samochodzie miał eksplodować i zamienić go w kulę ognia.

Gdy skończyli robotę, sześciu żołnierzy wsiadło do furgonetki. Mieli zaczekać na Dextera przy szosie, trzy kilometry dalej. Minęły ich dwa samochody. A potem nic. Czarna furgonetka z pralni wycofała się na autostradę i odjechała. Dexter zaczął przy motorowerze, aż szosa będzie pusta, wyjął z

kieszoni kamień owinięty w nasączoną benzyną szmatę, podpałił go zapalniczką, cofnął się i rzucił go z odległości dziesięciu metrów. Rozległ się stłumiony syk i ford zamienił się w pochodnię. Dexter szybko odjechał.

Dwie godziny później furgonetka z pralni, niezatrzymywana, przejechała przez bramę bazy wojskowej Malambo. Skierowała się prosto do otwartych drzwi ładowni herculesa i wjechała po rampie do środka. Załoga samolotu, uprzedzona telefonicznie, zdążyła dopełnić formalności i włączyć silniki Allisona. Gdy zamknięto drzwi ładowni, pilot zwiększył moc silników, podkoleował na pas startowy i maszyna wzbija się w powietrze, kierując na Florydę.

W samolocie napięcie ustąpiło uśmiechom, ściskaniu dłoni i przybijaniu piątki. Przymulonego Juana Corteza wyjęto z kosza na brudy, położono delikatnie na materacu i jeden z komandosów, wykwalifikowany sanitariusz, zaaplikował mu zastrzyk — nieszkodliwy, ale zapewniający kilka godzin niczym niezmaćonego snu.

O dwudziestej drugiej señora Cortez odchodziła od zmysłów. Gdy była poza domem, mąż nagrał jej wiadomość na automatyczną sekretarkę. Tuż przed osiemnastą. Powiedział, że złapał gumę i spóźni się mniej więcej o godzinę. Ich syn już dawno wrócił ze szkoły, odrobił nawet pracę domową. Przez jakiś czas grał na gameboyu, w końcu jednak też zaczął się martwić i pocieszać matkę. Ona co chwila wydzwaniała na komórkę męża, ale nikt nie odbierał. Później, kiedy telefon strawiły płomienie, sygnał zamilkł. O dwudziestej drugiej trzydziści señora Cortez zawiadomiła policję.

Dopiero o drugiej w nocy ktoś z komendy głównej policji w Cartagenie skojarzył płonący wrak samochodu, który uległ wypadkowi i eksplodował na autostradzie do Mamonal, z kobietą w Las Flores, szalejącą z niepokoju, bo mąż nie wrócił z pracy w stoczni. Młody policjant z nocnej zmiany pomyślał, że przecież Mamonal leży tam, gdzie stocznie. Zadzwoił więc do kostnicy miejskiej.

Tej nocy przywieziono tam cztery ofiary śmiertelne: morderstwo podczas porachunków gangów w dzielnicy czerwonych latarni, dwa poważne wypadki drogowe oraz atak serca w kinie. O trzeciej w nocy patomorfolog wciąż kroił zwłoki.

Potwierdził, że dostał niemal zwęglone ciało z wraku jednego z samochodów, i chociaż nie da się rozpoznać twarzy, to jednak niektóre znalezione przy nim przedmioty zachowały się w stanie nadającym się do identyfikacji. Spakuje je do torby i rano prześle na komendę.

O szóstej rano rzeczy osobiste przebadano w komendzie głównej policji. Żadna z pozostałych ofiar nie spłonęła. Jedna kupka ocalałych przedmiotów wciąż zalatywała benzyną i ogniem. Był wśród nich stopiony telefon komórkowy, sygnet, medalion ze świętym, zegarek, na którego bransoletce zachowały się resztki tkanki, oraz portfel. Ostatni z tych przedmiotów ocalał przed płomieniami tylko dlatego, że martwy kierowca na nim siedział. Zawierał dokumenty, częściowo dające się odczytać. Prawo jazdy niewątpliwie należało do niejakiego Juana Corteza. A zrozpaczoną kobietą dzwoniącą z Las Flores była señora Cortez.

O dziesiątej rano do jej drzwi zapukali posterunkowy i sierżant policji. Mieli ponure miny. Posterunkowy odezwał się pierwszy:

— *Señora Cortez, lo siento muchissimo...* — Bardzo mi przykro.

Słyszając to, señora Cortez zemdląła.

Formalna identyfikacja nie wchodziła w rachubę. Następnego dnia, w towarzystwie dwóch podtrzymujących ją sąsiadów, señora Irina Cortez udała się do kostnicy. Z jej męża zostały tylko spalone, osmalone sadzą kości, stopione ciało, grudki węgla i obłąkańczo wyszczerzone zęby.

Z przerażeniem rozpoznała jednak zegarek, sygnet, medalion, stopiony telefon komórkowy i prawo jazdy. Lekarz przeprowadzający sekcję miał złożyć pisemne oświadczenie, że przedmioty te znaleziono przy zwłokach, a wydział ruchu drogowego potwierdzić, że ciało rzeczywiście wydobyto ze spalonego samochodu, prawdopodobnie należącego do Juana Corteza, który kierował nim owego wieczoru. Nic więcej nie było potrzebne, biurokraci mieli powody do zadowolenia.

Trzy dni później nieznany amerykański mieszkaniec puszczy spoczął w Cartagenie w grobie Juana Corteza — spawacza, męża i ojca. Irina była nieukojoną w żalu, Pedro chlapał cichutko. Uroczystość prowadził ojciec Isidro. On sam także przechodził osobistą golgotę.

Czy doprowadził do tego mój telefon? — zapytywał sam siebie w nieskończoność. Czyżby Amerykanie się wygadali? Nadużyli jego zaufania? Czyżby kartel się zorientował? Czy uznali, że Cortez chciał ich zdradzić, chociaż to on został zdradzony? Jak ci jankesi mogli być aż tak głupi?

A może to tylko zbieg okoliczności? Straszliwy, ale jednak tylko zbieg okoliczności? Wiedział, jak kartel traktuje tych, co do których miał choćby tylko cień podejrzenia, niepoparty dowodami. Ale jak mogli przypuszczać, że Juan Cortez nie był lojalnym rzemieślnikiem, chociaż pozostał nim do samego końca? Ojciec Isidro prowadził więc uroczystość dalej, patrzył, jak ziemia sypie się na wieko trumny, starał się pocieszyć wdowę i osieroconego syna i tłumaczył, że chociaż trudno zrozumieć to, co się stało, Bóg naprawdę ich kocha. A potem udał się do swojej spartańskiej siedziby, gdzie bez końca modlił się o przebaczenie.

• • •

Letizia Arenal była w siódmym niebie. Nie przeszkadzał jej nawet pochmurny kwietniowy dzień w Madrycie. Jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwa, tak rozpalona. Goręcej mogło jej być wyłącznie w jego ramionach.

Dwa tygodnie temu spotkali się na tarasie kawiarni. Widziała go tam już wcześniej — zawsze siedział sam, zawsze się uczył. Kiedyś przyszła z grupą kolegów ze studiów, rozeźmiani, sypiący żartami, a on zajmował sąsiedni stolik. Wtedy przełamali lody. Zima już minęła, ale taras był jeszcze oszklony. Gdy otworzyły się drzwi, podmuch wichru z ulicy zwał część jej papierów na podłogę. A wtedy on się schylił i je podniósł. Ona także przykucnęła, ich oczy się spotkały. Zastanawiała się, jakim cudem dotychczas nie zauważyła, że facet jest zabójczo przystojny.

— Goya — powiedział.

Pomyślała, że jej się przedstawia. Potem zobaczyła, że trzyma jedną z jej kartek. Zdjęcie obrazu.

— *Chłopcy zbierający owoce* — wyjaśnił. — Goya. Studiujecie pani malarstwo?

Kiwnęła głową. Wydawało się całkiem naturalne, że odprowadził ją do domu, że rozmawiali o Zurbaranie, Velázquezie, Goi. A jeszcze bardziej naturalny był delikatny pocałunek, jaki złożył na zziębniętych na wietrze wargach Letizii. Omal nie wypuściła klucza z ręki.

— Domingo — rzucił. Tym razem rzeczywiście się przedstawił, a nie mówił, że jest niedziela. — Domingo de Vega.

— Letizia — odparła. — Letizia Arenal.

— Panno Arenal, zapraszam panią na kolację — powiedział spokojnie. — Opór nie ma sensu. Wiem, gdzie pani mieszka. Jeśli mi pani odmówi, po prostu położę się pod pani drzwiami i umrę z zimna.

— To nie najmądrzejszy pomysł, señor de Vega. Zjem z panem kolację, żeby pana od tego uchronić.

Zabrał ją do starej restauracji, w której serwowano posiłki już w czasach, kiedy konkwistadorzy wyruszyli ze swoich siedzib w dziczy Estremadury, by starać się o przychyłność króla i prosić go o wysłanie na morze w celu odkrycia Nowego Świata. Kiedy opowiedział jej tę historię — wyssaną z palca, bo Sobrino de Botín przy Calle de los Cuchilleros jest wprawdzie stara, ale nie aż tak — wzdrygnęła się i rozejrzała, sprawdzając, czy dawni poszukiwacze przygód nadal tu jadają.

Powiedział jej, że pochodzi z Portoryko, że angielski jest jego drugim językiem, że zaczął się jako młody dyplomata

w Organizacji Narodów Zjednoczonych, a w przyszłości chce zostać ambasadorem. Za namową przełożonego wziął jednak trzymiesięczny urlop, żeby zająć się swoją prawdziwą miłością — studiowaniem klasycznego malarstwa hiszpańskiego w madryckim muzeum Prado.

Wydawało się więc całkiem naturalne, że wskoczyła mu do łóżka i że kochał się z nią tak, jak żaden mężczyzna przed nim (choć po prawdzie do tej pory miała tylko trzech).

Cal Dexter był prawdziwym twardzielem, ale zachował resztki sumienia. Wynajęcie zawodowego żigolaka uznałby pewnie za zbyt bezwzględne posunięcie, jednak Kobra nie miał takich skrupułów. Dla niego liczyło się zwycięstwo albo przegrana, ta zaś byłaby niewybaczalna.

Wciąż czuł głęboki respekt i podziw dla szpiega nad szpiegami — Markusa Wolfa, człowieka bez serca, który przez długie lata prowadził siatkę szpiegowską Niemiec Wschodnich, znacznie skuteczniejszą od służb kontrwywiadowczych wroga, czyli Niemiec Zachodnich. Wolf na szeroką skalę zastawiał łóżkowe pułapki, tyle że robił to odwrotnie, niż było w zwyczaju.

Normalnie odbywało się to tak, że olśniewająco piękne panienki uwodziły naiwnych waśniaków z Zachodu, a potem szantażowano ich kompromitującymi zdjęciami i zmuszano do współpracy. Wolf używał do tego ponętnych młodych mężczyzn. Nie do zwabienia dyplomatów o skłonnościach homoseksualnych (choć w razie potrzeby nie miał nic przeciwko temu), ale do uwodzenia niedostrzeganych, cierpiących na brak miłości starych panien, które jakże często pełniły funkcje

osobistych sekretarek wysoko postawionych osobistości w Republice Federalnej Niemiec.

Fakt, że kiedy te kobiety uświadamiały sobie własną naiwność, gdy docierało do nich, jak nieobliczalne szkody wyrządziły, wykradając tajemnice szefów, kopiując ich akta i przekazując je swoim adonisom, po czym jako ludzkie wraki lądowały na ławach oskarżonych w zachodnioniemieckich sądach albo dokonywały żywota w aresztach, oczekując na proces, w najmniejszym stopniu nie martwił Markusa Wolfa. Po to podjął Wielką Grę, żeby wygrać. I wygrał.

Nawet po upadku muru berlińskiego zachodnioniemiecki sąd musiał uniewinnić Wolfa, ponieważ nie zdradził swojej ojczyzny. Tak więc gdy inni siedzieli w więzieniach, on przeszedł na skromną emeryturę i po latach umarł z przyczyn naturalnych. Kiedy Devereaux przeczytał o jego śmierci, w duchu uchylił kapelusza i pomodlił się za starego ateistę. Teraz zaś bez wahania wysłał pięknego i rozpustnego Dominga de Vegę do Madrytu.

• • •

Juan Cortez powoli, stopniowo ocknął się ze snu i w pierwszej chwili wydawało mu się, że jest w niebie. Tymczasem był po prostu w pokoju, jakiego jeszcze nie widział — wielkim, tak samo jak podwójne łóżko, w którym leżał. Ściany było pomalowane na pastelowy odcień, a przez zaciągnięte żaluzje w oknach przebijało światło. Pomieszczenie to było apartamentem dla ważnych gości kasyna oficcerskiego w bazie sił powietrznych w Homestead, na południu Florydy.

Gdy mgła opadła, zauważył na krześle przy łóżku szlafrok frotte. Nogi miał jak z waty, ale opuścił je na podłogę i okrył się nim, bo zdał sobie sprawę, że jest nagi. Na nocnym stoliku stał telefon. Podniósł słuchawkę i wychrypiął kilkakrotnie *Oiga*, ale nikt nie odpowiedział.

Podszedł do jednego z wielkich okien, uchylił róg żaluzji i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył starannie przystrzyżony trawnik i maszt, a na nim łopoczącą flagę Stanów Zjednoczonych. Nie był w niebie, z jego punktu widzenia wręcz przeciwnie. Został porwany i trafił w łapy Amerykanów.

Słyszał przerażające opowieści o specjalnych transportach tajnymi samolotami do dalekich krajów, o torturach na Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej, o latach spędzanych w Guantánamo, amerykańskiej enklawie na Kubie.

Wprawdzie nikt nie odpowiedział na wezwanie Corteza przez stojący przy łóżku telefon, ktoś jednak zauważył, że się obudził. Otworzyły się drzwi i steward w białej marynarce wniósł tacę. Tacę z wyśmienitym jedzeniem, a Juan Cortez nie miał nic w ustach od siedemdziesięciu dwóch godzin, czyli od drugiego śniadania w stoczni Sandoval. Ale nie wiedział, że minęły już trzy dni.

Steward postawił tacę, uśmiechnął się i ruchem ręki wskazał mu drzwi łazienki. Cortez zajrzał do środka. Marmurowa łazienka dla rzymskiego cesarza, taka, jakie widywał w telewizji. Steward omiół ją ręką, na znak, że wszystko należy do gościa — prysznic, ubikacja, zestaw do golenia, cały ten kram — i wyszedł.

Spawacz zastanawiał się nad jajkami na szynce, sokiem,

grzanką, dżemem, kawą. Na sam zapach szynki i kawy pociekła mu ślinka. Doszedł do wniosku, że jedzenie pewnie jest nafaszerowane narkotykami, a może i zatrute. No i co z tego? I tak mogli z nim zrobić, co chcieli.

Zasiadł do posiłku, wracając do swoich ostatnich wspomnień: policjant nakazujący mu wysiąść z samochodu, stalowy uchwyt rąk łapiących go za tułów, duszący tampon przytknięty do twarzy, uczucie, że pada. Nie miał złudzeń co do powodu tego porwania. Pracował dla kartelu. Ale jakim cudem się o tym dowiedzieli?

Po posiłku skorzystał z łazienki, wziął prysznic i ogolił się. Stała tam butelka płynu po goleniu. Spryskał się nią obficie. Niech ich to kosztuje! Wychowano go w fałszywym przekonaniu, że wszyscy Amerykanie są bogaci.

Gdy wrócił do sypialni, stał tam jakiś mężczyzna — dojrzały, siwowłosy, średniego wzrostu, zylastej budowy ciała. Uśmiechnął się przyjaźnie, jak to Amerykanin, i powiedział po hiszpańsku:

— *Hola, Juan. Qué tal? — Cześć, Juan. Jak leci? — Me llamo Cal. Hablamos un ratito. — Jestem Cal. Pogadajmy.*

Podstęp, to jasne. Na tortury przyjdzie czas później. Usiedli więc w dwóch fotelach i Amerykanin wyjaśnił, co się stało. Opowiedział o porwaniu, o spaleniu samochodu i zwłokach za kierownicą. Zdradził, że identyfikacji ciała dokonano na podstawie portfela, zegarka, sygnetu i medalionu.

— A moja żona i syn? — zapytał Cortez.

— Cóż, są zdruzgotani. Sądzą, że wzięli udział w twoim pogrzebie. Chcemy ich tu do ciebie sprowadzić.

— Do mnie? Tutaj?

— Juan, przyjacielu, musisz się pogodzić z rzeczywistością. Nie możesz wrócić. Kartel nie uwierzyłby w ani jedno twoje słowo. Wiesz, co robią z ludźmi, którzy w ich przekonaniu przeszli na naszą stronę. A także z ich rodzinami. W takich sprawach postępują jak zwierzęta.

Cortez zaczął się trząść. Doskonale wiedział, jaką karę wymierza kartel. Słyszał o tym i dygotał na samą myśl. Odcięcie języka, powolna śmierć, zlikwidowanie całej rodziny. Drżał ze strachu o los Iriny i Pedra.

Amerykanin się pochylił.

— Pogódź się z rzeczywistością. Teraz jesteś tutaj. Nie ma już znaczenia, czy postąpiliśmy dobrze, czy źle... pewnie źle. Jesteś tutaj i żyjesz. Ale kartel jest przekonany, że zginąłeś. Wysłali nawet obserwatora na twój pogrzeb.

Dexter wyciągnął z kieszeni marynarki płytę DVD, włączył wielki telewizor plazmowy, włożył płytę i nacisnął przycisk pilota. Kamerzystą najwyraźniej był człowiek leżący na dachu wieżowca pół kilometra od cmentarza, ale ostrość była znakomita, mimo że obraz powiększono.

Juan Cortez oglądał własny pogrzeb. Montażysta filmu skupił się na szlochającej Irinie podtrzymywanej przez sąsiadów. Na synu Pedrze. Na ojcu Isidrze. Na trzymającym się na uboczu mężczyźnie w czarnym garniturze, krawacie i czarnych, zachodzących na skronie okularach. Ten człowiek o ponurej twarzy był obserwatorem wysłanym z rozkazu Dona. Nagle film się urwał.

— Sam widzisz — powiedział Amerykanin, rzucając pilota na łóżko. — Nie możesz wrócić. Ale oni nie będą cię ścigać. Ani teraz, ani później. Juan Cortez zginął we wraku spalonego

samochodu. To fakt. Teraz musisz zostać z nami, tutaj, w Stanach Zjednoczonych. Zajmiemy się tobą. Nie stanie ci się nic złego. Masz moje słowo, a ja nie rzucam słów na wiatr. Oczywiście, zmienisz nazwisko i może dokonamy drobnych korekt wyglądu. Mamy tu coś takiego jak Program Ochrony Świadków. Obejmiemy cię nim. Juanie Cortezie, staniesz się nowym człowiekiem, z nowym życiem w nowym miejscu. Z nową pracą, nowym domem, nowymi przyjaciółmi. Wszystko będzie nowe.

— Aleja nie chcę, żeby wszystko było nowe! — krzyknął Cortez w rozpacz. — Chcę wrócić do dawnego życia.

— To niemożliwe, Juanie. Twoje dawne życie skończyło się raz na zawsze.

— A moja żona i syn?

— Dlaczego nie mieliby ci towarzyszyć w twoim nowym życiu? W tym kraju jest wiele miejsc, gdzie słońce świeci tak samo jak w Cartagenie. Mieszkają tu setki tysięcy Kolumbijczyków, legalnych imigrantów, którzy ustawili się i żyją szczęśliwie.

— Ale jak mieliby się...?

— Sprowadzimy ich. Mógłbyś wychowywać Pedra tutaj. Kim by został, mieszkając w Cartagenie? Spawaczem tak jak ty? Harującym dzień w dzień w pocie czoła w stoczni? Tutaj za dwadzieścia lat może zostać, kim zechce. Lekarzem, prawnikiem, może nawet senatorem...

Spawacz z Kolumbii patrzył na niego osłupiały.

— Pedro, mój syn, senatorem?

— A czemu nie? W tym kraju każdy chłopak ma szansę wiele osiągnąć. Nazywamy to amerykańskim snem. Ale przyśługa za przysługę, będziesz musiał nam pomóc.

— Przecież ja nie mam nic do zaproponowania.

— Ależ masz, przyjacielu. Tutaj, w mojej ojczyźnie, białe proszki niszczy życie młodych ludzi, takich jak twój Pedro. Dociera statkami w skrytkach, których nie potrafimy znaleźć. Ale przypomnij sobie te statki, Juan, te, które sam przerabiałeś.

Cal Dexter wstał i poklepał Corteza po ramieniu.

— Słuchaj, muszę się zbierać. Przemyśl to sobie. Obejrzyj film. Irina cię oplakuje. Pedro płacze za tatą, który umarł. Gdybyśmy ci tu ich przywieźli, wszystko by się ułożyło. W zamian chcemy tylko kilka nazw. Wróć za dwadzieścia cztery godziny. Niestety, ty nie możesz stąd wyjść. Dla własnego dobra. Lepiej, żeby nikt cię nie zauważył. To mało prawdopodobne, ale możliwe. Dlatego siedź tu i myśl. Moi ludzie się tobą zaopiekują.

• • •

Tramp „Sidi Abbas” nigdy nie zwyciężyłby w konkursie piękności i jego całkowita wartość jako małego parowca handlowego była niczym w porównaniu z wartością ośmiu bel spoczywających w ładowni.

Wypłynął z zatoki Mała Syrta u wybrzeży Libii i zmierzał do Kalabрії we Włoszech. Wbrew nadziejom turystów Morze Śródziemne czasami bywa mocno wzburzone. Wielkie sztormowe fale okładały zardzewiały statek, który rżąc, brnął na wschód od Malty, w kierunku czubka włoskiego „buta”.

Te osiem bel w ładowni miesiąc wcześniej wylądowano — za pełną zgodą władz portowych w Konakry, stolicy Republiki Gwinei — z większego frachtowca, który przypłynął z Wenezueli.

Przewieziono je potem ciężarówkami z lasów deszczowych tropikalnej Afryki na północ, przez sawannę i rozpalone piaski Sahary. Taka podróż zniechęciłaby większość kierowców, ale twardziele prowadzący te samochody byli przyzwyczajeni do ciężkich warunków.

Przez wiele godzin i dni olbrzymimi ciężarówkami pokonywali wyboiste drogi i piaszczyste dukty. Na każdej granicy i każdym punkcie kontroli celnej należało posmarować wyciągnięte łapy — wtedy szlabany się podnosiły, a skorumpowani urzędnicy odchodzili z grubymi zwiwkami euro w banknotach o wysokich nominałach.

Trwało to miesiąc, ale z każdym metrem przybliżającym ich do Europy wartość każdego kilograma towaru ukrytego w ośmiu belach wzrastała, by w końcu osiągnąć astronomiczne ceny europejskie. Wreszcie ciężarówki zatrzymały się na zakurczonym przystanku przed wielkim miastem, prawdziwym celem ich podróży.

Mniejsze samochody, zdemolowane pick-upy, przewiozły bele z pobocza szosy wokół miasta do hałaśliwej wioski rybackiej — skupiska chat z suszonej na słońcu cegły, nad brzegiem pozbawionego ryb morza, gdzie w zdewastowanym porcie czekał już tramp „Sidi Abbas”.

W kwietniu tego roku tramp wyruszył w ostatni etap podróży, do kalabryjskiego portu Gioia, w którym niepodzielnie rządziła 'ndrangheta. To tu następowała zmiana właściciela. Alfredo Suárez z dalekiej Bogoty zrobił, co do niego należało; teraz resztą zajmowało się samozwańcze Onorata Società. Miało uregulować zaległe pięćdziesiąt procent należności i wyprać

kolosalny majątek za pośrednictwem włoskiej wersji banku Guzman.

Z Gioia, położonego raptem kilka kilometrów od siedziby prokuratora stanowego w stolicy Reggio di Calabria, osiem bel podzielonych na znacznie niniejsze paczki przewieziono na północ, do Mediolanu — włoskiej stolicy kokainy.

Kapitan „Sidi Abbasa” nie wiedział o tym, zresztą wcale go to nie obchodziło. Ucieszył się, gdy wreszcie minął falochron portu Gioia i zostawił za sobą wzburzone morze. Do Europy dotarły kolejne cztery tony kokainy. Tysiące kilometrów dalej Don był zadowolony.

• • •

Uwięziony w komfortowych warunkach, ale samotny Juan Cortez wielokrotnie obejrzał film z własnego pogrzebu. Za każdym razem widok zrozpaczonych twarzy żony i syna doprowadzał go do łez. Marzył o tym, żeby znów ich zobaczyć, przytulić syna, przespać się z Iriną. Wiedział jednak, że jankes miał rację — nigdy nie będzie mógł wrócić. Nawet gdyby odmówił współpracy i wysłał jakoś wiadomość do kartelu, i tak skazałby rodzinę na pewną śmierć albo i coś gorszego.

Kiedy Cal Dexter znów się pojawił, spawacz skinięciem głowy wyraził zgodę.

— Ale ja też stawiam warunek — oświadczył. — Przypomnę sobie nazwy statków dopiero wtedy, jak już uściskam syna i wycałuję żonę. Wcześniej nie pisnę ani słowa.

Dexter się uśmiechnął.

— O nic innego nie proszę — odparł. — A teraz do roboty.

Przyszedł inżynier dźwięku i nagrali taśmę. Technologia nie była najnowsza, ale Cal Dexter też nie, jak czasami sam z siebie żartował. On wolał starego pearlcodera — małego, niezawodnego i z mikrofonem tak mikroskopijnym, że można go było ukryć niemal wszędzie. Zrobili też zdjęcia — Corteza patrzącego w obiektyw i trzymającego przed sobą bieżące wydanie „Miami Herald” z dobrze widoczną datą oraz znamienia w kształcie bladuróżowej jaszczurki na prawym udzie, które spawacz miał od urodzenia. Dexter zabrał dowody i wyszedł.

• • •

Jonathan Silver tracił cierpliwość. Domagał się, żeby składano mu sprawozdania z postępów, tymczasem wyjaśnienia Devereaux były wkurzająco wymijające. Szef personelu Białego Domu bombardował go nieustannie pytaniami.

Ale poza tym oficjalne organy ścigania działały tak jak zawsze. Wydano olbrzymie sumy z pieniędzy podatników, a problem, zamiast maleć, narastał.

Aresztowania przemytników nagłaśniano jak to tylko możliwe. Jeśli udało się przechwycić transport, podawano wielkość i wartość — zawsze po cenach detalicznych, bo były wyższe niż hurtowe.

Tyle że w Trzecim Świecie skonfiskowane statki jakimś cudem wymykały się na pełne morze i rozplýwały w powietrzu; oskarżeni marynarze znikali po wpłaceniu kaucji, a co najgorsze, przejęte partie kokainy po prostu ginęły z policyjnych magazynów i handel toczył się dalej. Zirytowani wyrobnicy z DEA

odnosili wrażenie, że wszyscy biorą w łapę. To właśnie było meritum skargi Silvera.

Człowiek, który podniósł słuchawkę telefonu w swoim domu w Alexandrii, podczas gdy reszta społeczeństwa pakowała manatki i wyjeżdżała na Wielkanoc, był lodowato uprzejmy, ale nie zgadzał się na żadne ustępstwa.

— Podjąłem się tego zadania w październiku — oświadczył.
— Mówiłem, że na przygotowania potrzebuję dziewięciu miesięcy. W stosownym czasie wszystko się zmieni. Wesołych świąt. — I odłożył słuchawkę.

Silver się wściekł. Nikt nigdy go tak nie traktował. Oczywiście z wyjątkiem Kobry.

• • •

Cal Dexter znów poleciał do Kolumbii z przystankiem w bazie lotniczej Malambo. Tym razem, przy pomocy Devereaux, wypożyczył od CIA Grummana — odrzutowiec dla dyrekcji. Nie chodziło mu o wygodę, tylko o możliwość szybkiej ucieczki. W pobliskim miasteczku wynajął samochód i pojechał do Cartageny. Nie wziął żadnego wsparcia. Bywa, że sukces zapewniają tylko działania z zaskoczenia i szybkość. Gdyby potrzebował osilków ze spluwami, i tak by przegrał.

Był świadkiem, jak señora Cortez całowała męża na pożegnanie w progu domu, gdy wychodził do pracy, ale ona jego nie widziała. Była to Semana Santa i dzielnica Las Flores tętniła przygotowaniami do Wielkiej Niedzieli. Tylko nie pod numerem siedemnastym.

Dexter kilkakrotnie objechał okolicę, czekając, aż się ściemni.

Nie chciał parkować przy krawężniku, bo bał się, że zauważy go jakiś wścibski sąsiad i zacznie się czepiać. Chciał jednak zobaczyć, czy przed zaciągnięciem zasłon zapalą się światła. Przed domem nie było samochodu, a zatem nie mieli gości. Gdy zapaliło się światło, udało mu się zajrzeć do środka. Tylko señora Cortez i chłopiec, żadnych gości. Byli sami. Podeszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Otworzył mu syn — śniady, skupiony chłopak, którego widział na filmie z pogrzebu. Miał smutną minę. Nie uśmiechał się.

Dexter wyjął legitymację policyjną, mignął nią szybko i schował.

— *Teniente Delgado, Policía Municipal* — przedstawił się chłopcu. Blacha była kopią legitymacji policyjnej z Miami, ale dzieciak tego nie wiedział. — Mogę porozmawiać z twoją mamą?

Nie czekając na pozwolenie, spokojnie przecisnął się obok małego do przedpokoju.

Pedro pobiegł w głąb domu, krzycząc:

— *Mama, está un oficial de la policía!*

Señora Cortez wyszła z kuchni, wycierając ręce. Twarz miała mokrą od łez. Dexter uśmiechnął się łagodnie i wskazał salon. Tak jasno dał do zrozumienia, kto tu rządzi, że poszła tam, gdzie kazał. Kiedy już usiadła, a opiekuńczy syn przycupnął obok niej, Dexter przykucnął i pokazał jej paszport. Amerykański.

Wskazał orła na okładce, emblemat Stanów Zjednoczonych.

— Nie jestem kolumbijskim policjantem, señora. Jak pani widzi, jestem Amerykaninem. A teraz niech się pani weźmie

w garść. I ty też, synu. Pani mąż, Juan, nie zginął. Jest u nas na Florydzie.

— *No se puede* — wydukała. Niemożliwe. — Widziałam zwłoki...

— Nie, señora, widziała pani ciało innego mężczyzny, leżące pod prześcieradłem i spalone tak, że nie dało się zidentyfikować. Widziała też pani zegarek Juana, jego portfel, medalion, sygnet. Sam nam je dał. Ale to nie były jego zwłoki, tylko jakiegoś nieszczęsnego włóczęgi. Juan jest u nas na Florydzie. Przysłał mnie po was. Mam was zabrać. Zobaczcie...

Z wewnętrznej kieszeni wyjął trzy zdjęcia. Z jednego patrzył jak najbardziej żywy Juan Cortez. Drugie przedstawiało go, jak trzyma ostatni numer „Miami Herald” z dobrze widoczną datą. Na trzecim było jego zdjęcie. To zdecydowało. Nikt inny nie mógł o tym wiedzieć.

Kobieta znów się rozplakała.

— *No comprendo, no comprendo* — powtarzała.

Chłopiec pierwszy doszedł do siebie i zaczął się śmiać.

— *Papa está vivo!* — zapał. Tata żyje.

Dexter wyciągnął magnetofon i wcisnął klawisz odtwarzania. Mały pokój wypełnił głos „zmarłego” spawacza.

— Irino najdroższa, kochanie moje. Pedro, synu. To naprawdę ja...

Zakończył osobistą prośbą, żeby Irina i Pedro spakowali po jednej walizce z rzeczami, które są dla nich najcenniejsze, pożegnali się z domem pod numerem siedemnastym i pojechali z Amerykaninem.

Krzątanina trwała godzinę. Płacząc i śmiejąc się na przemian,

pakowali się i rozpakowywali, pakowali znowu, wybierali, wyrzucali, pakowali się po raz trzeci. Trudno pomieścić całe swoje życie w walizce.

Gdy byli gotowi, Dexter kazał im zasunąć zasłony, ale zostawić zapalone światła, żeby jak najpóźniej odkryto ich zniknięcie. Pod jego dyktando señora napisała list do sąsiadów i zostawiła pod wazonem na stole jadalnym. Wyjaśniała w nim, że wraz z Pedrem postanowili wyemigrować i zacząć nowe życie.

Na pokładzie wracającego na Florydę grummana Dexter wytłumaczył, że najbliżsi sąsiedzi dostaną od niej listy nadane z Florydy, w których napisze, że znalazła pracę jako sprzątaczką, są bezpieczni i wszystko jest w porządku. Gdyby ktoś się dopytywał o nich u sąsiadów, pokażą mu te listy. Znaczek będzie taki jak trzeba, ale nie będzie adresu zwrotnego. Nigdy jej nie wytropią, bo jej noga nigdy nie postanie na Florydzie.

A potem wylądowali w Homestead.

Rodzinne powitanie w apartamencie trwało długo, znów pośród śmiechu i łez. Pomodlili się w intencji tego, że znów są razem. Potem, tak jak obiecał, Juan Cortez usiadł, wziął papier i długopis i zaczął pisać. Formalnie rzecz biorąc, może i nie był zbyt wykształcony, za to miał fenomenalną pamięć. Zamknął oczy, cofnął się pamięcią o całe lata i zapisał pierwszą nazwę. A potem drugą. I następną.

Kiedy skończył i zapewnił Dextera, że to wszystkie statki, które przerobił, co do jednego, na jego liście figurowało siedemdziesiąt osiem pozycji. A skoro we wszystkich kazano mu zrobić supertajne schowki, to każdy z nich służył do przemytu kokainy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na szczęście dla Cala Dextera Jeremy Bishop prowadził życie towarzyskie bujne jak ogród na pustyni. Wielkanoc spędził w wiejskim hotelu, udając, że mu z tym dobrze, kiedy więc Dexter zadzwonił i bąknął ze skruchą, że ma pilną robotę, tyle że geniusz komputerowy musiałby mieć dostęp do swoich baz danych, propozycja spadła mu jak z nieba.

— Mam nazwy paru statków — wyjaśnił Dexter. — W sumie jest ich siedemdziesiąt osiem. Interesuje mnie wszystko na ich temat. Tonaż, rodzaj przewożonych ładunków, właściciel (jeśli się uda, chociaż będą to pewnie firmy krzaki). Przedstawiciel, obecny czarter, a przede wszystkim aktualna lokalizacja. Gdzie się teraz znajdują? Podawaj się za przedsiębiorstwo handlowe, choćby wirtualne, które ma transporty do przewiezienia. Pytaj o przedstawicielstwa. Jeśli namierzysz jednego z tej siedemdziesiątkióssemki, przestań badać możliwość czarteru. Nie pasuje ci tonaż, miejsce pobytu statku, czas, kiedy będzie

dostępny. Cokolwiek. Powiedz mi tylko, gdzie się znajdują te jednostki i jak wyglądają.

— Stać mnie na więcej — odparł uradowany Bishop. — Chyba uda mi się załatwić ci ich zdjęcia.

— Lotnicze.

— Lotnicze? Widok z góry?

— No.

— Statki rzadko kiedy fotografuje się pod tym kątem.

— Spróbuj. Skup się na tych kursujących między zachodnimi i południowymi Karaibami a portami w Stanach Zjednoczonych i Europie.

Jeremy Bishop, siedząc radośnie pośród swoich klawiatur i ekranów, w ciągu dwóch dni namierzył dwanaście statków z listy spisanej przez Juana Corteza. Przekazał Dexterowi szczegóły. Każda z tych jednostek albo przebywała w basenie Morza Karaibskiego, albo z niego wypływała bądź tam zmierzała.

Dexter wiedział, że niektóre statki wskazane przez spawacza nigdy nie pojawią się w rejestrach statków handlowych. Były to nędzne stare kutry rybackie albo trampy, zbyt małe, żeby branża marynarki handlowej zwracała sobie nimi głowę. Odszukanie jednostek z tych dwóch kategorii będzie najtrudniejsze, ale konieczne do powodzenia całej akcji.

O dużych jednostkach można było donieść lokalnym władzom celnym w punkcie docelowym. Prawdopodobnie przejmowały ładunki kokainy na pełnym morzu i pozbywały się ich w ten sam sposób. Ale i tak można je było skonfiskować, gdyby

psy policyjne wykryły ślady kokainy w tajnych schowkach na pokładzie, a to było raczej pewne.

Statki, które tak irytowały Tima Manhire'a i jego analityków z Lizbony, były najmniejszymi jednostkami, które wypływały z zarośli namorzynów i przybijały przy ujściu strumieni do drewnianych przystani Afryki Zachodniej. Okazało się, że dwadzieścia pięć z listy Corteza figurowało w spisach Lloyd'a. Pozostałe znikły z radaru. Jednakże wyłączenie z obiegu nawet dwudziestu pięciu spowodowałoby wielką dziurę w przemytniczej flocie kartelu. Tyle że jeszcze nie teraz. Kobra wciąż nie był gotowy. W przeciwieństwie do samolotów TR-1.

• • •

Na początku maja na Heathrow wylądował major João Mendoza, emerytowany pilot brazylijskich sił powietrznych. Cal Dexter spotkał się z nim przed drzwiami sali odprawy celnej w terminalu numer trzy. Nie miał kłopotu z rozpoznaniem go — zapamiętał twarz byłego pilota myśliwców ponaddziesięciokowych.

Sześć miesięcy wcześniej major Mendoza był obiektem długich i skrupulatnych poszukiwań. W końcu Dexter umówił się w Londynie na lunch z byłym szefem sztabu Królewskich Sił Powietrznych. Szef Marshall długo i poważnie zastanawiał się nad zasadniczym pytaniem.

— Nie sądzę — odparł w końcu. — Jak grom z jasnego nieba, co? Bez ostrzeżenia? Moim zdaniem nasi chłopcy mieliby z tym niejaki problem. To kwestia sumienia. Chyba nie będę mógł panu nikogo zarekomendować.

Taką samą odpowiedź Dexter uzyskał od generała brygady z sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, także emeryta, który podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej latał na myśliwcach F-15 Eagle.

— Niech pan pamięta, istnieją tylko jedno siły powietrzne, które zestrzela każdego przemytnika kokainy bez mrugnięcia okiem. Brazylijskie — powiedział mu Anglik, kiedy się rozstawali.

Dexter przetrząsał środowisko emerytowanych pilotów wojskowych w São Paulo i w końcu trafił na João Mendozę. Facet miał czterdzieści kilka lat i latał na myśliwcach Northrop Grumman F-5E Tiger, aż w końcu przeszedł na emeryturę, by pomóc w prowadzeniu interesów ojcu, który z wiekiem przestał sam sobie radzić. Tyle że jego trud poszedł na marne. W rezultacie kryzysu gospodarczego z roku 2009 firma została postawiona w stan upadłości.

João Mendoza, nie mając poszukiwanych na rynku pracy umiejętności, wyłądował w końcu za jakimś urzędniczym biurkiem i pożałował, że zrezygnował z latania. W dodatku wciąż opłakiwał młodszego brata, którego od czasu, gdy ich matka umarła, właściwie wychowywał sam, bo ojciec pracował po piętnaście godzin dziennie. W okresie kiedy pilot stacjonował w bazie myśliwców na północy, chłopak wyłądował w ryszotku i zmarł wskutek przedawkowania narkotyków. João nigdy tego nie zapomniał i nie wybaczył. W dodatku honorarium, jakie mu zaproponowano, było kolosalne.

Dexter wynajętym samochodem zawiózł Brazylijczyka na północ, na równiny nad Morzem Północnym. Brak wzgórz

i usytuowanie na wschodnim wybrzeżu uczyniły z tych okolic naturalne siedlisko baz bombowców podczas drugiej wojny światowej. Jedną z nich mieściła się w Scampton. W okresie zimnej wojny pełniła funkcję bazy wypadowej dla bombowców strategicznych serii „V”, które przenosiły brytyjskie bomby atomowe.

W 2011 roku ulokowało się tam wiele przedsiębiorstw cywilnych — wśród nich grupa miłośników modelu Blackburn Buccaneer, która powoli restaurowała dwie takie maszyny. Wystarczyło im sił, żeby doprowadzić je do takiego stanu, w którym mogły kołować, ale wzbić się w powietrze jeszcze nie zdołały. Potem, za pieniądze, które mogły rozwiązać większość ich problemów, podjęli się przeróbki buccaneera, którym Guy Dawson przyleciał cztery miesiące wcześniej z Thunder City.

Większość z tej grupy hobbystów nigdy nie latała myśliwcami. Byli to fachowcy od wyposażenia i monterzy, elektrycy i inżynierowie, którzy serwisowali te maszyny w czasach, gdy jeszcze latały w marynarce wojennej albo w RAF-ie. Mieszkali w okolicy i poświęcali weekendy i wieczory na mozolne doprowadzanie dwóch wysłużonych, ocalałych samolotów do pełnej sprawności.

Dexter i Mendoza spędzili noc w miejscowej gospodzie — dawnym zajęździe dla karoc, z niskim sufitem z ciemnych belek, trzaskającym na kominku ogniem, błyszczącymi mosiężnymi figurkami koni i sztychami myśliwskimi — która zafascynowała Brazylijczyka. Rano pojechali do Scampton na spotkanie z ekipą. Liczyła czternastu ludzi, zatrudnionych przez

Dextera za pieniądze Kobry. Z dumą pokazali nowemu pilotowi buccaneera, czego dokonali.

Główna zmiana polegała na uzbrojeniu maszyny. W czasach zimnej wojny buccaneer miał na wyposażeniu różną broń stosowaną w samolotach szturmowych, a zwłaszcza w samolotach przeznaczonych do zwalczania statków. Jako maszyna wozila w gondolach w kadłubie i pod skrzydłami przerażający arsenał bomb i rakiet, aż po taktyczne bomby atomowe.

W wersji, którą major Mendoza oglądał tej wiosny w hangarze w Lincolnshire, pośród hulających przeciągów, gondole przeznaczone na broń przerobiono na dodatkowe zbiorniki paliwa, co zapewniło maszynie imponujący czas przebywania w powietrzu. Z jednym wyjątkiem.

Mimo że buccaneer nigdy nie był myśliwcem przechwytyjącym, ekipa naziemna dostała jasne instrukcje. Samolot należało wyposażać w broń.

Pod każdym skrzydłem, na wspornikach dla podwieszanych rakiet, przymocowano nitami zestaw bojowy. Każde skrzydło uzbrojono w dwa trzydziestomilimetrowe działka Aden, których siła rażenia pozwalała zniszczyć dowolny cel.

Tyłnego kokpitu jeszcze nie przerobiono. Wkrótce znajdzie się tam kolejny dodatkowy zbiornik paliwa i supernowoczesny system łączności. Pilot tej maszyny nie będzie miał za plecami nawigatora — zamiast tego głos w słuchawce, dobiegający z odległości tysięcy kilometrów, będzie podawał mu dokładne namiary, dokąd ma lecieć, by znaleźć cel. Najpierw jednak musiał się przelecieć z instruktorem.

— Cacuszko — mruknął Mendoza.

— Cieszę się, że się panu podoba — usłyszał za plecami czyjś głos.

Odwrócił się i zobaczył szczupłą kobietę w wieku mniej więcej czterdziestu lat. Podała mu rękę.

— Jestem Colleen. Będę pańską instruktorką po zakończeniu przeróbek.

Kiedy jeszcze służyła w marynarce wojennej, komandor porucznik Colleen Keck nie pilotowała buccaneerów. W latach świetności tej maszyny kobiety nie latały w Fleet Air Ann. Siłą rzeczy wstąpiła więc do zwyczajnej marynarki wojennej, a z czasem przeniosła się do Air Arm. Najpierw zdobyła uprawnienia pilota śmigłowców, by w końcu osiągnąć swój upragniony cel — latać na odrzutowcach. Po dwudziestu latach służby przeszła na emeryturę i — ponieważ mieszkała w pobliżu — ni stąd, ni zowąd dołączyła do grupy miłośników buccaneerów. Były pilot takiej maszyny załatwił jej uprawnienia na bucca, zanim była zbyt stara, żeby latać.

— Nie mogę się doczekać — odparł Mendoza powolną, staranną angielszczyzną.

Cała grupa wróciła do gospody na przyjęcie na koszt Dextera, który rano zostawił ich, by wyleczyli kaca i rozpoczęli trening. Major Mendoza i sześćosobowa ekipa mechaników byli mu potrzebni na wyspie Fogo, gdzie mieli się zakwaterować ostatniego dnia czerwca. Poleciał z powrotem do Waszyngtonu — tu czekała na niego kolejna partia statków zidentyfikowanych przez Jeremy'ego Bishopa.

• • •

O TR-1 rzadko kiedy się mówi, a już prawie nigdy się go nie widzi. To niewidzialny następca słynnego samolotu szpiegowskiego U-2, który z Garym Powersem za sterami został zestrzelony nad Syberią w 1960 roku (swego czasu była to głośna sprawa) i który w roku 1962 wykrył radzieckie wyrzutnie pocisków raketowych na Kubie.

Podczas wojny w Zatoce Perskiej w latach 1990–1991 TR-1 był podstawowym samolotem szpiegowskim Stanów Zjednoczonych, szybszym i o jeszcze wyższym pułapie niż U-2, wyposażonym w kamery przekazujące obraz w czasie rzeczywistym, dzięki czemu nie trzeba było wracać do domu z rolkami filmu. Dexter poprosił o wypożyczenie takiej maszyny z bazy sił powietrznych USA w Pensacoli i właśnie ją podesłano. Zaczęła pracować w pierwszym tygodniu maja.

Przy pomocy niestrudzonego Bishopa Dexter namierzył twórcę i projektanta statków, którego geniusz polegał na tym, że potrafił rozpoznać niemal każdą jednostkę pływającą, patrząc na nią pod dowolnym kątem. Teraz pracował on wraz z Bishopem na piętrze magazynu w Anacostii; dół zajmowały stopy kociów przeznaczonych dla biedoty Trzeciego Świata.

TR-1 obejmował zasięgiem cały basen Morza Karaibskiego, w razie potrzeby uzupełniając paliwo w Malambo w Kolumbii albo w amerykańskich bazach wojskowych na Portoryko. Ten samolot szpiegowski fotografował porty i przystanie pełne statków handlowych i jednostki będące już na morzu, po czym wysyłał zdjęcia o wysokiej rozdzielczości.

Spec od statków oglądał te fotki przez silne szkło powiększające, w miarę jak Bishop zgrywał je na dysk komputera,

i porównywał ze szczegółami odkrytymi wcześniej przez Bishopa na podstawie nazw dostarczonych przez spawacza.

— Ten tutaj to na pewno „Selene” — mówił na przykład, wskazując jeden z około czterdziestu statków w jakimś karaibskim porcie. Albo: — O, jest, bez dwóch zdań. Poręczna wielkość, praktycznie goły.

— Jaki? — spytał osłupiały Bishop.

— Średni tonaż, tylko jeden żuraw, zamontowany na dziobie. To „Virgen de Valme”. Siedzi w Maracaibo.

Każdy z nich był ekspertem w swojej dziedzinie i jak to eksperci, zupełnie nie pojmowali specjalności tego drugiego. Ale wspólnymi siłami zidentyfikowali połowę floty pełnomorskiej kartelu.

• • •

Nikt nie jeździ na wyspy Czagos. To zabronione. Ta mała grupka atoli koralowych zagubiona na środku Oceanu Indyjskiego leży tysiąc mil na południe od czubka Półwyspu Indyjskiego.

Gdyby nie zakaz, tak jak na Malediwach mogłyby powstać tam ośrodki wypoczynkowe, a turyści korzystaliby z przejrzystych lagun, słońca przez cały rok i dziewiczych raf koralowych. Zamiast tego mają tam jednak bombowce. Konkretnie amerykańskie B-52.

Największym atolem archipelagu jest Diego Garcia. Podobnie jak reszta, jest własnością Brytyjczyków, ale wydzierżawioną na długie lata Stanom Zjednoczonym, które mają tam wielką bazę lotniczą oraz stację paliw dla marynarki wojennej. Jest

tak utajniona, że nawet rodowici wyspiarze, zupełnie niegroźni rybacy, zostali wysiedleni na inne wyspy bez prawa powrotu.

Zimą i wiosną 2011 roku na Eagle Island przeprowadzono brytyjską operację, aczkolwiek częściowo finansowaną z budżetu Kobry. Cztery okręty należące do sił Królewskich Statków Pomocniczych, wyładowane tonami narzędzi i sprzętu, kolejno rzuciły cumy u brzegu wyspy i wojska inżynieryjne marynarki zbudowały niewielką kolonię.

Nie miał to być ośrodek wypoczynkowy, choć nadawał się do zamieszkania. Składał się z szeregu domków skleconych w jeden dzień z elementów do samodzielnego montażu. Na dworze wykopano latryny. Zmontowano jadłodajnię wyposażoną w kuchnię, lodówki i stację odsalania wody. Wszystko było zasilane osobnymi generatorami.

Ukończona kolonia mogła przyjąć ponad dwustu mężczyzn, pod warunkiem że znalazłoby się wśród nich dostatecznie dużo inżynierów, kucharzy i złotych rączek, którzy zadbaliby o sprawne funkcjonowanie wszystkich urządzeń. W swojej uprzejmości marynarze zostawili nawet szopę z maskami, rurkami i płetwami. Ci, którzy trafią do tego miejsca odosobnienia, będą mogli nurkować z fajką na rafach. Poza tym była tam biblioteka z tanimi wydaniem książek po angielsku i hiszpańsku.

Dla marynarzy i inżynierów nie była to zbyt uciążliwa misja. Na horyzoncie leżała Diego Garcia — tropikalna Ameryka w pigułce, zapewniająca wszelkie wygody, jakich amerykańscy żołnierze oczekują z dala od domu... a jest tego niemało.

Brytyjscy marynarze byli tam mile widziani, więc chętnie przy-
pływali z wizytą. Spokój tropikalnego raję zakłócał tylko nie-
ustanny grzmot bombowców, startujących lub powracających z
lotów treningowych.

Eagle Island miała jeszcze jedną szczególną cechę. Od stałe-
go lądu dzieliło ją prawie tysiąc mil morza, w którym roiło się
od rekinów, a więc ucieczka stamtąd była praktycznie niemoż-
liwa. I o to chodziło.

•••

Wyspy Zielonego Przylądka to kolejny rejon, gdzie słońce
świeci przez okrągły rok. W połowie maja na wyspie Fogo ofi-
cjalnie otwarto nową szkołę pilotażu. I znów nie obyło się bez
ceremonii. Minister obrony specjalnie przyleciał z wyspy San-
tiago, żeby poprowadzić uroczystość. Na szczęście dla wszyst-
kich mówiono wyłącznie po portugalsku.

Po drobiazgowych testach rząd wytypował na kadetów lot-
nictwa dwudziestu czterech młodych tubylców. Nie każdemu
była pisana odznaka pilota, ale trzeba było mieć zapas, gdyby
nie wszystkim się udało. Z Brazylii przyleciało dwanaście
dwumiejscowych samolotów treningowych Tucano, które teraz
stały w równym rzędzie. Obok nich prężyło się na baczność
dwunastu instruktorów, wypożyczonych z brazylijskich sił po-
wietrznych. Brakowało tylko dowódcy, niejakię majora João
Mendozy. Zatrzymały go gdzieś obowiązki zawodowe, więc
miał dołączyć do swojej jednostki w ciągu miesiąca.

Nie robiło to żadnej różnicy. I tak pierwsze trzydzieści dni

było przeznaczone na naukę teorii i zapoznawanie się z samolotem. Poinformowany o tym minister poważnie skinął głową na znak, że wyraża zgodę. Nie musiał wiedzieć, że major Mendoza przyleci swoim prywatnym samolotem, który kupił po to, żeby latać w celach rekreacyjnych.

Gdyby jednak minister wiedział o tym prywatnym samolocie, być może zrozumiałby, dlaczego zbiornik paliwa JP8 dla samolotów treningowych był odseparowany od znacznie bardziej lotnego paliwa JP5, stosowanego w wyczynowych odrzutowcach marynarki wojennej. Ale on nigdy nie zapuścił się do dodatkowego hangaru za stalowymi drzwiami, wyrąbanego w litej skale. Na wieść, że to zwykły magazyn, stracił nim zainteresowanie.

Pełni zapału kadeci udali się do swoich sypialni, oficjalna delegacja wróciła do stolicy i następnego dnia zaczęły się zajęcia.

• • •

Tymczasem nieobecny dowódca jednostki leciał na wysokości sześciu tysięcy metrów nad szarym Morzem Północnym, kierując się na wschód od wybrzeży Anglii. Był to rutynowy lot ćwiczebny z instruktorem nawigacji. Komandor porucznik Keck siedziała w tylnym kokpicie. Tam nigdy nie było przyrządów pokładowych, dlatego instruktor musiał mieć do pilota absolutne zaufanie. Mogła jednak śledzić precyzję przechwytywania celów. To, co zobaczyła, wyraźnie ją ucieszyło.

Następnego dnia mieli wolne, bo decydujący nocny lot miał

się odbyć dopiero za dwa dni. A na koniec próba RATO — raketowych przyspieszaczy startowych — i trening strzelania do celu: pomalowanych na jaskrawe kolory beczek unoszących się na powierzchni w wyznaczonych miejscach, które rozmieścił należący do ich grupy szyper kutra rybackiego. Keck nie wątpiła, że jej uczeń zda egzamin celująco. Szybko zauważyła, że ma on latanie we krwi i że przywiązał się do starego bucca jak perkoz do wody.

— Startowałeś kiedyś z dodatkowym wspomaganie raketowym? — zapytała go w baraku załogi.

— Nie, Brazylia to bardzo duży kraj — odparł żartem. — Wszędzie mamy pod dostatkiem miejsca na długie pasy startowe.

— Twój bucc S dwa nigdy nie miał systemu RATO, ponieważ nasze lotniskowce były wystarczająco długie — wyjaśniła. — Ale w tropikach powietrze bywa zbyt gorące. Maszyna traci moc. A ten samolot służył w Republice Południowej Afryki. Wymaga wspomagania. Dlatego z braku wyboru musimy zamontować RATO. Wciśnie cię w fotel.

Rzeczywiście tak było. Udając, że olbrzymi pas startowy w Scampton jest za krótki na zwyczajny start, zamontowano małe rakiety za płożą ogonową. Colleen Keck pokrótce streściła procedurę startowania.

— Zatrzymaj się na samym końcu pasa. Zaciągnij hamulce ręczne. Zwiększ obroty silników Spye przy wciśniętych hamulcach. A kiedy poczujesz, że dłużej nie wytrzymają, zwolnij hamulce, daj pełną moc i wciśnij przycisk odpalający rakiety.

João Mendoza miał wrażenie, że pociąg wyrzwał go w plecy.

Buccaneer niemal stanął dęba i popędził asfaltem. Pas startowy tylko mignął przed oczami i nagle byli w powietrzu.

Nie chwaląc się tym przed komandor porucznik Keck, major Mendoza spędzał wieczory na studiowaniu pliku fotografii przesłanych mu do zajazdu przez Cala Dextera. Przedstawiały pas startowy w Fogo, układ świateł podejścia, próg pasa startowego na skraju morza. Brazylijczyk nie miał najmniejszych wątpliwości, że to będzie bułka z masłem, jak mawiają Anglicy przyjaciele.

• • •

Cal Dexter gruntownie zbadał trzy zdalnie sterowane samoloty — UAV, czyli bezzałogowe pojazdy latające produkowane w Stanach Zjednoczonych. W wojnie, którą szykował Kobra, miały odegrać zasadniczą rolę. W końcu odrzucił reapera i predatora, wybierając „rozbrojonego” global hawka. Miał on się zajmować wyłącznie obserwacją.

Korzystając z prezydenckiego upoważnienia Paula Devereaux, prowadził długie negocjacje z Northrop Grumman, producentem RQ-4. Wiedział, że wersja przeznaczona do „patrolowania wielkich akwenów morskich” została opracowana w roku 2006 i że marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych złożyła wielkie zamówienie.

Zażyczył sobie dwóch dodatkowych elementów wyposażenia i usłyszał, że nie powinno być z tym problemu. Stosowna technologia już istniała.

Po pierwsze, chciał mieć na pokładzie bank pamięci, w którym można by trzymać zdjęcia czterdziestu statków

sfotografowanych z góry przez samoloty szpiegowskie TR-1. Zdjęcia miały być zredukowane do pikseli przedstawiających pięciocentymetrowe fragmenty pokładów statków. Następnie aparatura miała porównywać te obrazy z bazą danych i informować ich agentów, urzędujących wiele kilometrów dalej, gdyby trafiły na zbieżność.

Po drugie, potrzebował aparatury zagłuszającej, tak żeby hawk mógł zakryć statek na dole kloszem, pod którym nie działałaby żadna łączność elektroniczna.

Hawk RQ-4 nie miał na pokładzie rakiet, ale wyposażony był we wszystko, czego potrzebował Dexter. Wznosił się na dziewiętnaście tysięcy metrów, dzięki czemu obserwowany obiekt w żaden sposób nie mógł go wykryć. W słońcu i w deszczu, przy chmurach i nocą mógł w ciągu dnia zbadać obszar ponad stu tysięcy kilometrów kwadratowych, a sącząc paliwo oszczędnie, pozostawał w powietrzu przez trzydzieści pięć godzin. W przeciwieństwie do pozostałych dwóch modeli rozwijał prędkość trzystu czterdziestu węzłów, znacznie większą niż obiekty, których poszukiwał.

Pod koniec maja dwa z tych cudów techniki były zmontowane i przydzielone do Projektu Kobra. Jeden miał działać z kolumbijskiej bazy nadmorskiej w Malambo, na północny wschód od Cartageny.

Drugi stacjonował na wyspie Fernando de Noronha przy północno-wschodnim wybrzeżu Brazylii. Każda z tych maszyn miała dla siebie osobny hangar, z dala od wścibskich oczu po drugiej stronie bazy lotniczej. Zgodnie z instrukcjami Kobry natychmiast rozpoczęły loty obserwacyjne.

Wprawdzie samoloty te startowały z baz wojskowych, ale sama analiza danych odbywała się daleko, w bazie sił powietrznych Stanów Zjednoczonych Creech na pustyni Nevady. To tutaj przy komputerach siedzieli wpatrzeni w ekrany specjaliści. Każdy miał przed sobą pulpit sterowniczy podobny do tych w kabinach pilotów.

Operatorzy widzieli na ekranie dokładnie to samo co hawk, patrolujący teren ze stratosfery. Część mężczyzn i kobiet w tym cichym, klimatyzowanym pomieszczeniu w Creech miała też przekaz z predatorów wiszących nad Afganistanem i górską granicą tego kraju z Pakistanem. Inni śledzili reapersy nad Zatoką Perską.

Wszyscy mieli słuchawki na uszach i mikrofony przy ustach, by odbierać instrukcje i informować przełożonych, gdyby w polu widzenia pojawił się poszukiwany obiekt. Pracowali w absolutnym skupieniu, ich zmiany były więc krótkie. Pomieszczenie w Creech było pierwszą linią przyszłych wojen.

Cal Dexter, z właściwym sobie czarnym humorem, nadał obu hawkom imiona, by łatwiej można je odróżnić. Ten wysunięty bardziej na wschód nazwał Michelle, od imienia Pierwszej Damy, a drugi — Sam, od imienia żony brytyjskiego premiera.

Każda z tych maszyn dostała osobne zadanie. Michelle miała patrzeć w dół, identyfikować i śledzić wszystkie jednostki handlowe wskazane przez Juana Corteza oraz wykryte i sfotografowane przez TR-1. Sam miała donosić o wszystkim, co wylatuje bądź wypływa z wybrzeża Brazylii na odcinku między

Natalem a Belém albo pokonuje Atlantyk w drodze na wschód i przekracza czterdziesty południk, kierując się do Afryki.

Stanowiska kontrolne w Creech obsługujące oba hawki Kobry utrzymywały bezpośrednią łączność z obskurnym magazynem na przedmieściach Waszyngtonu, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

•••

Letizia Arenal zdawała sobie sprawę, że postępuje źle, wbrew ścisłym poleceniom taty, ale nic na to nie mogła poradzić. Zabronił jej opuszczać Hiszpanię, ale się zakochała, a miłość była silniejsza nawet od jego instrukcji.

Domingo de Vega jej się oświadczył, a ona powiedziała „tak”. Nosiła na palcu pierścionek, który od niego dostała. On jednak, żeby nie stracić pracy, musiał wrócić do swoich obowiązków w Nowym Jorku, a w ostatnim tygodniu maja wypadały jego urodziny. Przysłał jej otwarty bilet na rejs liniami Iberia na lotnisko Kennedy'ego i błagał, żeby do niego przyleciała.

Formalności w ambasadzie amerykańskiej poszły jak po maśle — zwolniono ją z obowiązku posiadania wizy i dostała zielone światło od Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Bilet miała w klasie biznesowej, więc odprawa w terminalu numer cztery odbyła się prawie bez kolejki. Jej walizkę oznaczono przywieszką z nazwą nowojorskiego lotniska imienia Kennedy'ego i wrzucono na taśmociąg z innymi bagażami. Letizia nie zwróciła uwagi na stojącego za nią mężczyznę

z wielką torbą sportową, która była jego bagażem podręcznym, zresztą jedynym.

Nie wiedziała, że torba wypakowana była gazetami ani że ten człowiek odejdzie, gdy tylko ona przejdzie przez kontrolę osobistą i paszportową. Nigdy wcześniej nie widziała inspektora Paco Ortegi i już go więcej nie zobaczyła. On jednak zapamiętał każdy szczegół jedynej walizki Letizii, a także tego, w co była ubrana. Kiedy wysiadła z taksówki przy krawężniku, zrobiono jej zdjęcie przez teleobiektyw. Wszystkie te informacje znalazły się w Nowym Jorku, zanim jeszcze samolot młodej kobiety wystartował.

A jednak na wszelki wypadek inspektor Ortega stał przy oknie obserwacyjnym wychodzącym na lotnisko i patrzył, jak w oddali samolot Iberii ustawia się pod wiatr, zatrzymuje na chwilę i z rykiem silników odlatuje w kierunku wciąż ośnieżonych szczytów Sierra de Guadarrama i Atlantyku. Dopiero potem zadzwonił do Nowego Jorku i zamienił kilka słów z Calem Dexterem.

Odrzutowiec wylądował o czasie. Podczas gdy sznur pasażerów wylewał się z samolotu, obok stał mężczyzna w mundurze personelu naziemnego. Rzucił szeptem dwa słowa do telefonu komórkowego, nikt jednak nie zwrócił na to uwagi. Przecież wszyscy bez przerwy gadają przez komórki.

Podczas kontroli paszportowej Letizia Arenal musiała jak zwykle odcisnąć tylko oba kciuki na małej szklanej szybce oraz spojrzeć w obiektyw kamery w celu identyfikacji siatkówki.

Gdy przeszła dalej, urzędnik imigracyjny odwrócił się i bez słowa skinął głową mężczyźnie stojącemu w korytarzu, którym

pasażerowie zmierzali do kontroli celnej. Tamten odpowiedział takim samym gestem i niespiesznie ruszył za młodą kobietą.

Tego dnia ruch na lotnisku był wyjątkowo duży i bagaże zjawily się z dwudziestominutowym opóźnieniem. W końcu taśmociąg ożył z bulgotem i zaczął wyrzucać walizki na obrotowe koło. Walizka Letizii nie była ani na początku, ani na końcu — ot, gdzieś pośrodku. Kobieta zobaczyła ją, jak wypadła z otwartej gardzieli tunelu, i dostrzegła jasnożółtą nalepkę ze swoim nazwiskiem i adresem, którą oznaczyła bagaż, by łatwiej go rozpoznać.

Była to sztywna walizka na kółkach, tak więc Letizia zarzuciła torbę na zakupy na ramię i pociągnęła walizkę w kierunku zielonej linii. Prawie już przeszła przez kontrolę, gdy jeden z celników, którzy na pozór beczynn timerali obok, kiwnął na nią ręką. Nie ma się czym martwić, to tylko kontrola wyrywkowa. Za drzwiami, w głównej hali, czeka na nią Domingo. Trudno, poczeka kilka minut dłużej.

Przyciągnęła walizkę i położyła na stole, który wskazał jej celnik. Zatrzaski były zwrócone w jej stronę.

— Zechce pani otworzyć walizkę, proszę pani.

Uprzedzająco grzeczny. Oni wszyscy są uprzedzająco grzeczni i nigdy się nie uśmiechają ani nie żartują. Pstryknęła zatrzaskami. Celnik odwrócił walizkę przodem do siebie i otworzył. Na wierzchu zobaczył poukładane ubrania, które podważył dłońmi w rękawiczkach. Nagle przerwał. Letizia Arenal uświadomiła sobie, że celnik przygląda jej się ponad pokrywą walizki. Zakładała, że zaraz ją zamknie i ruchem głowy da znak, że może odejść.

On jednak zamknął walizkę, ale odezwał się lodowatym tonem:

— Pani pozwoli ze mną.

To nie była prośba. Kobieta uświadomiła sobie, że po bokach ma nagle olbrzymiego mężczyznę i krzepką kobietę, także w mundurach celników. Sytuacja była krępująca, przechodzący pasażerowie zerkali na nią kątem oka.

Pierwszy celnik zatrzasnął zamki walizki, podniósł ją i ruszył przodem. Pozostali bez słowa poszli za kobietą. Prowadzący celnik wyszedł przez drzwi w rogu hali. Weszli do pustego pomieszczenia, tylko na środku był stół, a pod ścianami stało kilka zwykłych krzeseł. Żadnych obrazów, jedynie dwie kamery zamontowane w przeciwnych rogach. Walizka spoczęła płasko na stole.

— Zechce pani jeszcze raz otworzyć swój bagaż.

Dopiero teraz Letizii Arenal zaświtało, że chyba coś jest nie tak, ale nie miała pojęcia, o co chodzi. Otworzyła walizkę i ujrzała tylko starannie złożone ubrania.

— Zechce je pani wyjąć.

Znalazła to pod lnianym żakietem, dwiema bawełnianymi spódnicami i kilkoma bluzkami — niewielką paczkę, wielkości kilogramowej torby cukru, pełną czegoś, co wyglądało na talk. Nagle zrozumiała. Poczwała omdlewający napad mdłości, jak po ciosie w splot słoneczny, a w jej głowie niemy głos wrzeszczał: Nie, to nie ja! Ja tego nie zrobiłam, to nie moje, ktoś musiał mi to podrzucić...

Krzepka kobieta podtrzymała ją, ale nie w porywie współczucia, tylko ze względu na kamery. Nowojorskie sądy mają

taką obsesję na punkcie praw oskarżonego, a obrońcy tak skutecznie wykazują choćby najdrobniejsze naruszenia procedury, by doprowadzić do oddalenia zarzutów, że z biurokratycznego punktu widzenia nie wolno zaniedbać nawet zupełnie błażej formalności.

Po otwarciu walizki i znalezieniu czegoś, co na tym etapie było jedynie nieokreślonym białym proszkiem, Letizia Arenal — w oficjalnej terminologii — „weszła do systemu”. Później przypominała sobie jak przez mgłę, że był to jeden wielki koszmar.

Zabrano ją do innego, lepiej wyposażonego pomieszczenia w tym samym terminalu. Stała tam bateria magnetofonów cyfrowych. Weszli kolejni mężczyźni. Kobieta nie wiedziała, że byli to agenci DEA oraz funkcjonariusze INS — Służby Imigracji i Naturalizacji. Wliczając do tego celników, zatrzymały ją trzy służby o różnej jurysdykcji.

Mimo że dobrze mówiła po angielsku, sprowadzono tłumacza języka hiszpańskiego. Odczytano przysługujące jej prawa, tak zwane Prawa Mirandy, o których nie miała pojęcia. Po każdym zdaniu padało pytanie: „Czy pani zrozumiała, proszę pani?”. Zawsze to uprzejme „proszę pani”, chociaż ich miny dobitnie świadczyły, że wszyscy obecni nią gardzą.

Gdzieś drobiazgowo sprawdzano jej paszport. Gdzie indziej takim samym zabiegom poddawano jej walizkę i torbę na ramię. Torebkę białego proszku wysłano do analizy, do laboratorium chemicznego mieszczącego się w innym budynku. Proszek okazał się czystą kokainą.

Kluczowe znaczenie miał fakt, że kokaina była czysta.

Małą ilość „ochrzczonego” proszku można by uznać za towar do użytku własnego, ale nie kilogram czystej kokainy.

W obecności dwóch kobiet poproszono ją o rozebranie się do rosołu, a wszystkie części ubrania zabrano. Do okrycia się dostała coś w rodzaju papierowego kombinezonu. Specjalnie przeszkolona lekarka przeprowadziła inwazyjne badanie wszystkich otworów jej ciała, nie wyłączając uszu. Teraz Letizia Arenal zanosila się niepowstrzymanym płaczem. Ale „system” dopiął swego. No i dla celów protokolarnych wszystko zostało zarejestrowane kamerą. Żaden wyszczekany prawnik nie wybroni tej suki.

W końcu najstarszy rangą agent DEA poinformował ją, że ma prawo do adwokata. Nie została formalnie przesłuchana, jeszcze nie. Nie naruszono przysługujących jej praw. Powiedziała, że w Nowym Jorku nie zna żadnego adwokata. Usłyszała na to, że dostanie obrońcę z urzędu, wyznaczonego przez sąd.

Co chwila powtarzała, że na zewnątrz czeka na nią narzeczony. Nie zignorowano tego, ależ skąd. Ktokolwiek na nią czekał, mógł być jej współnikiem. Starannie sprawdzono tłum ludzi przed wyjściem z sali odprawy celnej do hali głównej. Nie znaleziono Dominga de Vegi. Albo go wymyśliła, albo — jeśli był jej współnikiem — wziął nogi za pas. Rano zajmą się szukaniem dyplomaty o takim nazwisku pośród pracowników ONZ.

Rezygnując z prawa do obecności adwokata, młoda kobieta z uporem chciała wyjaśnić całą sprawę. Powiedziała im wszystko, co wiedziała, czyli nic. Nie uwierzyli jej. Nagle wpadła na pomysł.

— Jestem Kolumbijką. Chcę się spotkać z przedstawicielem mojej ambasady.

— Raczej z kimś z konsulatu, proszę pani. Ale jest dwudziesta druga. Spróbujemy złapać kogoś z samego rana.

Obiecał jej to agent FBI, chociaż tego akurat nie wiedziała. Przemyt narkotyków do Stanów Zjednoczonych jest przestępstwem federalnym, nie stanowym. Dlatego to federalni przejęli sprawę.

Lotnisko imienia J.F. Kennedy'ego podlega Wschodniej Dzielnicy Nowego Jorku (EDNY) i leży w gminie Brooklyn. Krótco przed północą Letizia Arenal trafiła w końcu do federalnego aresztu śledczego w tej dzielnicy, gdzie miała czekać do rana na wstępną rozprawę przed sądem.

Oczywiście założono jej kartotekę, która nadzwyczaj szybko puchła. „System” potrzebuje mnóstwa papierków. Zamknięta w dusznej pojedynczej celi, śmierdzącej potem i strachem, Letizia Arenal przepłakała całą noc.

Rano federalni złapali w konsulacie Kolumbii kogoś, kto zgodził się przyjść. Jeśli aresztowana liczyła na odrobinę współczucia, to srodze się zawiodła. Asystentka konsula patrzyła na nią z nieskrywaną odrazą. Dyplomaci nienawidzą tego typu historii.

Asystentka konsula była ubrana w surowy czarny żakiet. Bez mrugnięcia okiem wysłuchała opowieści Letizii, ale nie uwierzyła w ani jedno słowo. Z braku wyboru musiała jednak obiecać, że skontaktuje się z Bogotą i poprosi kolumbijskiego ministra spraw zagranicznych, by znalazł Julia Luza, prawnika prowadzącego prywatną praktykę. To jedyne nazwisko, jakie

przyszło do głowy pannie Arenal, kiedy myślała, do kogo się zwrócić o pomoc.

Rozprawa wstępna miała na celu jedynie ustalenie terminu dalszego pobytu kobiety w areszcie. Na wieść, że oskarżona nie ma adwokata, sąd nakazał znalezienie jej obrońcy z urzędu. Ściągnięto więc młodego człowieka, który dopiero co skończył prawo, dano im kilka minut sam na sam w celi i wrócono na salę sądową.

Obrońca bez sensu wystąpił o kaucję. Bez sensu, ponieważ oskarżona była cudzoziemką, nie miała pieniędzy ani rodziny, zarzucane jej przestępstwo należało do wyjątkowo poważnych, a prokurator jasno dał do zrozumienia, że śledztwo jest rozwojowe, bo podejrzewa, że oskarżona stanowi tylko część znacznie większej siatki przemytników kokainy.

Obrońca dowodził, że narzeczona ma oskarżonego, dyplomatę pracującego w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Na co jeden z federalnych podsunął kartkę prokuratorowi, który znów wstał, tym razem żeby ujawnić, iż w portorykańskiej misji przy ONZ nie pracuje ani nigdy nie pracował żaden Domingo de Vega.

— Niech pan nie zapomni wspomnieć o tym w pamiętnikach, panie Jenkins — wycedził sędzia. — Oskarżona pozostaje w areszcie. Następną sprawą.

Stuknięcie młotkiem i Letizia Arenal, wylewając świeży potok łez, została wyprowadzona. Tak zwany narzeczony, mężczyzna, którego pokochała, cynicznie ją zdradził.

Zanim odwieziono ją z powrotem do aresztu federalnego, po raz ostatni spotkała się ze swoim obrońcą, Jenkinsem, który wręczył jej wizytówkę.

— Proszę dzwonić o dowolnej porze, señorita. Ma pani prawo. To panią nic nie kosztuje. Adwokat z urzędu broni za darmo wszystkich, których nie stać na prawnika.

— Pan nic nie rozumie. Z Bogoty wkrótce przyleci señor Luz. On mnie uratuje.

Głupich nie sieją, sami się rodzą, pomyślał Jenkins, wracając miejskimi środkami transportu do nędznego gabinetu w gmachu zajmowanym przez kancelarie obrońców z urzędu. Julio Luz pewnie nie istnieje, tak samo jak nie ma żadnego Dominga de Vegi.

Tutaj akurat się mylił. Tego samego dnia rano señor Luz odebrał telefon od kolumbijskiego ministra spraw zagranicznych, po czym omal nie dostał ataku serca.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Julio Luz, adwokat z Bogoty, przyleciał do Nowego Jorku jako człowiek na zewnątrz spokojny, chociaż w głębi ducha trząsał się ze strachu. Od aresztowania Letizii Arenal na lotnisku Kennedy'ego przed trzema dniami odbył dwie długie, przerażające rozmowy z najbardziej bezwzględnyim człowiekiem, jakiego znał.

Wprawdzie zasiadał wraz z Robertem Cárdenasem na zebraniach kartelu, jednak przewodniczył im don Diego, którego słowo było prawem i który wymagał, by zachowywać się równie godnie jak on.

W domu na farmie, położonym ładnie kilka kilometrów od bitego traktu, Cárdenas nie podlegał takim ograniczeniom i nie musiał się hamować. Wściekał się i groził. Podobnie jak Luz nie wątpił, że przy bagażu jego córki ktoś majstrował, i wmówił sobie, że kokainę podrzucił jej jakiś wykolejony oprych pracujący w hali bagażowej na lotnisku Barajas w Madrycie.

Tak długo i barwnie opisywał, co zrobi temu bagażowemu, jak już go dopadnie, że Juliowi Luzowi zebrało się na mdłości. W końcu wypiechcili historyjkę, którą sprzedadzą władzom w Nowym Jorku. Żaden z nich nigdy nie słyszał o Domingu de Vedze i nijak nie mogli wymyślić, po co ona tam leciała.

W Stanach Zjednoczonych listy wysyłane przez więźniów są cenzurowane, więc Letizia nic nie napisała. Julio Luz wiedział tylko to, co przekazał mu minister spraw zagranicznych.

Bajeczka prawnika polegała na tym, że młoda kobieta to sierota, a on jest jej opiekunem prawnym. Stworzono dokumenty na poparcie tego twierdzenia. Nie można było skorzystać z pieniędzy, które dałoby się powiązać z Cárdenasem, wobec tego Luz podjął środki ze swojej kancelarii, a Cárdenas miał się z nim rozliczyć później. Luz miał się pojawić w Nowym Jorku z kasą, pełnomocnictwem upoważniającym do odwiedzin u podopiecznej w więzieniu i z misją znalezienia najlepszego adwokata od spraw kryminalnych, jakiego można załatwić za pieniądze.

Tak też zrobił, dokładnie w tej kolejności. Znalazłszy się sam na sam z rodakiem (mimo że rozmowie przysłuchiwała się siedząca w rogu hiszpańskojęzyczna funkcjonariuszka DEA), Letizia Arenal opowiedziała całą historię człowiekowi, z którym spotykała się tylko na kolacjach i śniadaniach w hotelu Villa Real.

Luz był przerażony nie tyle opowieścią o diablo przystojnym pseudodyplomacie z Portoryko ani bezgranicznie głupią decyzją dziewczyny, by wbrew wyraźnym zakazom ojca polecieć na

drugą stronę Atlantyku, ile wizją straszliwej furii jej ojca, gdy dowie się o wszystkim, a dowiedzieć się musiał.

Prawnik dodał dwa do dwóch i wyszło mu cztery. Ten dęty miłośnik sztuki „de Vega” najwyraźniej był członkiem madryckiego gangu przemytników narkotyków i dzięki talentom żigolaka rekrutował niczego niepodejrzewające młode kobiety jako kurierki do przewozu kokainy na teren Stanów Zjednoczonych. Nie wątpił, że zaraz po jego powrocie do Kolumbii cała armia hiszpańskich i kolumbijskich bandziorów zjawi się w Madrycie i Nowym Jorku w poszukiwaniu zaginionego „de Vegi”.

Głupiec zostanie złapany, wywieziony do Kolumbii, przekazany Cárdenasowi, a wtedy niech Bóg ma go w opiece. Letizia powiedziała, że ma jego zdjęcie w torebce i jeszcze jedno, większe, w mieszkaniu w Moncloa. Prawnik zanotował sobie w pamięci, żeby zażądać od niej wydania pierwszej fotografii, kazał też zabrać tę większą z mieszkania w Madrycie. Pomogą w poszukiwaniach łobuza, który doprowadził do tej katastrofy. Luz ocenił, że młody przemytnik nie ukryje się zbyt głęboko, bo chociaż stracił jeden ładunek, to nie wie, kto go ściga.

Poddany torturom de Vega wyjawia nazwisko bagażowego, który podrzucił w Madrycie torbę z kokainą. Jego zeznanie spowoduje, że w Nowym Jorku będą musieli odstąpić od oskarżenia. Tak przynajmniej rozumował Luz.

Później stanowczo zaprzeczano, że w torebce skonfiskowanej na lotnisku Kennedy'ego znaleziono zdjęcie jakiegoś młodego człowieka, a to z Madrytu już zniknęło. Dopilnował tego

Paco Ortega. Były jednak ważniejsze rzeczy. Julio Luz skorzystał z usług Bosemana Barrowa z kancelarii Manson Barrow, uchodzącego w manhattańskiej palestrze za najlepszego adwokata od spraw kryminalnych. Suma zaoferowana amerykańskiemu prawnikowi za to, żeby rzucił wszystko i wybrał się na drugą stronę rzeki do Brooklynu, była doprawdy imponująca.

Kiedy jednak następnego dnia wracali z więzienia federalnego na Manhattan, nowojorczyk miał poważną minę, choć w duchu rozpiełała go radość. Przed sobą widział długie miesiące pracy za astronomiczne honorarium.

— Señor Luz, będę brutalnie szczery. Sprawa nie wygląda dobrze. Osobiście nie wątpię, że to ten przemytnik kokainy, podający się za Dominga de Vegę, wpakował pańską podopieczną w tę katastrofalną sytuację i że ona nie miała o tym zielonego pojęcia. Została wrobiona. Oklepany numer.

— A zatem to dobrze — przerwał mu Kolumbijczyk.

— Dobrze jest to, że jej wierzę. To niezbędne, skoro mam ją reprezentować. Sęk w tym, że nie jestem sędzią ani ławą przysięgłych, a już na pewno nie agentem DEA, FBI ani prokuratorem okręgowym. Ale co najgorsze, nie dość, że ten cały de Vega zniknął, to jeszcze nie ma cienia dowodu na to, że w ogóle istnieje.

Limuzyna kancelarii prawnej przejeżdżała na drugą stronę East River; Luz posepnie wpatrywał się w szarą wodę.

— Przecież de Vega nie był bagażowym — zaprotestował.
— Musi być jeszcze inny człowiek, w Madrycie, który otworzył walizkę i włożył tę paczkę.

— Tego nie wiemy. — Adwokat z Manhattanu westchnął. — Równie dobrze mógł być bagażowym. Albo miał dostęp do hali bagażowej. Może przebrał się za pracownika Iberii czy celnika, który mógł się tam poruszać. A może wcale nie musiał się przebierać, tylko był jednym z nich. Ile energii włożą władze w Madrycie, żeby skierować swoje cenne zasoby do uwolnienia kobiety, którą i tak prawdopodobnie uważają za przemytniczkę narkotyków, w dodatku nie całkiem Hiszpankę?

Skręcili w East River Drive w kierunku śródmieścia Manhattanu — terytorium, na którym Boseman Barrow czuł się swobodnie.

— Mam fundusze — zaprotestował Julio Luz. — Stać mnie na wynajęcie prywatnych detektywów po obu stronach Atlantyku. Jak wy to mówicie, koszty nie grają roli.

Barrow uśmiechnął się promiennie do swojego towarzysza. Już czuł zapach nowego skrzydła w swej posiadłości w Hamp-tons. Sprawa będzie się ciągnąć miesiącami.

— Mamy jeden potężny argument, señor Luz. To jasne, że aparat bezpieczeństwa na lotnisku w Madrycie dał ciała, aż miło.

— Dał ciała?

— Spaprał robotę. W dzisiejszych paranoicznych czasach wszelki bagaż wysyłany drogą lotniczą do Stanów Zjednoczonych powinien być prześwietlany w miejscu nadania. Dotyczy to zwłaszcza Europy. Na mocy dwustronnych porozumień. W Madrycie powinni zobaczyć zarys torby. Poza tym mają psy przeszkolone do wykrywania narkotyków. Dlaczego psy

policyjne nie zareagowały? Wszystko to razem świadczy o tym, że narkotyki włożono do walizki po kontroli i odprawie bagażu...

— Czyli możemy wnosić o oddalenie zarzutów?

— Raczej o uznanie wpadki administracyjnej. Obawiam się, że oddalenie zarzutów nie wchodzi w rachubę. Natomiast jeśli nie pojawi się nowy niezbity dowód przemawiający na korzyść pańskiej podopiecznej, nasze szanse w sądzie wyglądają marnie. Nowojorska ława przysięgłych po prostu nie uwierzy, że na lotnisku w Madrycie czegoś nie spieprzyli. Weźmie pod uwagę znany materiał dowodowy, nie protesty oskarżonej. Na domiar złego pochodzącej z Kolumbii. Prześlizgnięcie się zieloną linią, kilogram czystej kolumbijki, potok łez... Niestety, z takimi rzeczami mamy tu do czynienia na okrągło. A Nowy Jork ma tego serdecznie dość.

Mecenas Barrow nie raczył wspomnieć, że zatrudnienie go tym bardziej nie przysłuży się sprawie. Kiepsko zarabiający nowojorczycey, a głównie tacy trafiają do ławy przysięgłych, tak niebotyczne pieniądze kojarzą zwykle z handlem kokainą. Naprawdę niewinny kurier byłby skazany na darmowego obrońcę z urzędu. Nie widział jednak powodu, żeby samemu załatwić sobie wykluczenie z tej sprawy.

— I co teraz będzie? — zapytał Luz. Na myśl, że przekazując złe wieści, będzie musiał stawić czoło Robertowi Cárdenasowi, znanemu z wybuchowego charakteru, dostał skrętu kiszek.

— No cóż, wkrótce stanie przed federalnym sądem okręgowym dla Brooklynu. Sędzia odmówi zwolnienia za kaucją.

To pewne jak dwa i dwa cztery. Przeniosą ją do jakiegoś aresztu federalnego na północy stanu, gdzie będzie oczekiwała na proces. Znam przyjemniejsze miejsca. Mówił pan, że ona nie wychowywała się na ulicy, tylko w szkole prowadzonej przez siostry zakonne? Mój ty Boże... W tych aresztach pełno jest agresywnych lesbijek. Mówię to z przykrością, ale w Kolumbii pewnie jest nie inaczej.

Luz ukrył twarz w dłoniach.

— *Dios mío!* — mruknął. — Długo tam zostanie?

— Obawiam się, że nie mniej niż sześć miesięcy. Prokuratura w nawale zajęć musi mieć czas na sporządzenie aktu oskarżenia. No i my także, na przygotowanie się do obrony. A pańscy prywatni detektywi na wygrzebanie wszystkiego, co się da.

Julio Luz również nie zamierzał być do końca szczery. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że kilku prywatnych detektywów to pestka w porównaniu z całą armią zbirów, którą Roberto Cárdenas spuści z łańcucha, żeby odnalazła mężczyznę, który zniszczył życie jego córce. Tu jednak się mylił. Cárdenas nie mógł sobie na to pozwolić, bo wtedy dowiedziałby się don Diego. Tymczasem Don nie miał pojęcia o córce Cárdenasa, a był człowiekiem, który lubił wiedzieć o wszystkim. Nawet Julio Luz sądził, że Letizia Arenal jest kochanką gangstera, a koperty, które jej dostarczał, zawierały pieniądze na utrzymanie. Miał jeszcze ostatnie, nieśmiałe pytanie. Limuzyna ze świstem zahamowała w brei przed luksusowym biurowcem, którego najwyższe piętro zajmowała niewielka, ale superluksusowa kancelaria prawna Manson Barrow.

— Señor Barrow, jakiego wyroku można się spodziewać, gdyby została uznana za winną?

— Trudno powiedzieć, to oczywiste. Zależy od tego, czy znajdują się okoliczności łagodzące, od tego, jak poprowadzę obronę, i od sędziego, który akurat będzie przewodniczył rozprawie. Jednakże w obecnej atmosferze mogą uznać, że koniecznie należy dać przykład. Odstraszający. W granicach dwudziestu lat w więzieniu federalnym. Bogu dzięki, że jej rodzice tego nie widzą.

Julio Luz jęknął. Barrow zlitował się nad nim.

— Ma się rozumieć, rzecz wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby dziewczyna poszła na współpracę. Wtedy dogadalibyśmy się w kwestii uzyskania łagodniejszego wyroku. DEA idzie na takie układy, bo chce mieć informatorów od środka, żeby złapać naprawdę grube ryby. Więc gdyby tak...

— Nic z tego — wydukał Luz. — Dziewczyna o niczym nie wie. Ona naprawdę jest niewinna.

— Tak, no cóż... Szkoda.

Luz mówił najzupełniej szczerze. Tylko on jeden wiedział, co ma na sumieniu ojciec uwięzionej dziewczyny, ale w żadnym razie nie ośmieliliby się jej tego powiedzieć.

•••

Z maja zrobił się czerwiec. Global hawk Michelle bezszelestnie krążył nad wschodnimi i południowymi Karaibami, niczym prawdziwy jastrząb unoszący się w prądach termicznych i nieustannie poszukujący zdobyczy. Nie był to pierwszy taki rejs.

Wiosną 2006 roku w ramach wspólnej akcji sił powietrznych i DEA wysłano global hawka z bazy na Florydzie nad Karaiby. Był to morski program demonstracyjny, wyłącznie tymczasowy. Ale podczas tego krótkiego lotu hawkowi udało się zaobserwować setki celów na wodzie i w powietrzu, co wystarczyło do przekonania marynarki wojennej, by złożyła wielkie zamówienie, bo BAMS – wielkoobszarowy system rozpoznania morskiego – ma przed sobą przyszłość.

Marynarkę wojenną interesowała jednak flota rosyjska, irańskie kanonierki, statki szpiegowskie z Korei Północnej. Natomiast DEA chodziło o przemytników kokainy. Kłopot w tym, że w roku 2006 hawk pokazywał to, co pokazywał, nikt jednak nie wiedział, kto jest kto – gdzie są złoczyńcy, a gdzie niewinni. Teraz, dzięki Juanowi Cortezowi, genialnemu spawaczowi, władze znały zarejestrowane u Lloyda statki handlowe, ich nazwy i tonaż. Było ich blisko czterdzieści.

W bazie sił powietrznych Creech w Nevadzie mężczyźni i kobiety na kolejnych zmianach obserwowali obraz przekazywany przez Michelle. Co dwa, trzy dni jej mikroskopijne komputery pokładowe dokonywały identyfikacji, porównując plany pokładów dostarczone przez Jeremy'ego Bishopa z pokładami jednostek poruszających się daleko w dole.

Gdy Michelle identyfikowała kolejny obiekt, z Creech dzwoniło do nędznego magazynu w Anacostii i mówiono na przykład:

— Zespół Kobra. Mamy m/v „Mariposa”. Właśnie wypływa z Kanału Panamskiego na Morze Karaibskie.

Bishop potwierdzał odbiór wiadomości i wprowadzał szczegóły obecnego rejsu „Mariposa”. Ładunek w drodze do Baltimore. Statek mógł wziąć kokainę w Gwatemali albo na morzu. A może jeszcze jej nie wziął. Mógł wieźć kokainę prosto do Baltimore albo zrzucić ją w środku nocy do ślizgacza gdzieś w czarnym bezmiarze zatoki Chesapeake. Albo w ogóle nie miał jej na pokładzie.

— Zawiadomić celników z Baltimore? Albo straż przybrzeżną z Marylandu? — zapytał Bishop.

— Jeszcze nie — padła odpowiedź.

Paul Devereaux nie miał zwyczaju tłumaczyć się podwładnym. Logikę swoich poczynań zatrzymywał dla siebie. Gdyby poszukiwacze trafili na tajne schowki albo udawali, że wykryli je dzięki psom, to po dwóch, trzech udanych akcjach kartel zorientowałby się, że nie jest to zbieg okoliczności.

Nie zamierzał konfiskować towaru i przekazywać go w prezencie innym, kiedy już transport trafi do odbiorcy. Importujące kokę gangi w Europie i Stanach Zjednoczonych chciał zostawić miejscowym władzom. Jego celem było Bractwo, w które można było uderzyć tylko wtedy, gdy konfiskata towaru odbywała się na morzu, przed zmianą właściciela.

Zgodnie z nawykiem z czasów, gdy jego przeciwnikiem było KGB i jego satelickie zbiry, skrupulatnie badał wroga. Ślęczał nad zbiorem mądrości Sun Tsu, zawartym w *Sztuce wojny*. Szanował starą chińską mądrość, nieustannie zalecającą: „Badaaj swojego wroga”.

Devereaux wiedział, kto stoi na czele Bractwa, przyjrzał się więc don Diegowi Estebanowi — właścicielowi ziemskiemu,

dżentelmanowi, uczonemu katolikowi, filantropowi, baronowi kokainowemu i zabójcy. Zdawał sobie sprawę, że wciąż ma nad nim przewagę, która jednak nie będzie trwała wiecznie. Wiedział o Donie, za to Don nie miał pojęcia o czekającym na niego Kobrze.

Po drugiej stronie południowego Atlantyku, tuż nad wybrzeżem Brazylii, global hawk Sam także patrolował stratosferę. Wszystko, co zobaczył, przekazywał na ekran w Nevadzie, skąd obraz trafiał do komputerów w Anacostii. Statków handlowych kursowało tu znacznie mniej — transport wielkimi frachtowcami z Ameryki Południowej do Afryki Zachodniej był niewielki. Te, które płynęły w rejs, fotografowano i chociaż z wysokości osiemnastu tysięcy metrów ich nazw zwykle nie dawało się odczytać, to jednak zdjęcia porównywano z aktami MO AC w Lizbonie, Biurem ONZ do spraw Narkotyków i Przestępczości z siedzibą w Wiedniu i brytyjską SOCA w Akrze, stolicy Ghany.

Pięciu zidentyfikowanym jednostkom dopasowano nazwy z listy Corteza. Patrząc na ekrany Bishopa, Kobra poprzysiągł sobie, że ich czas nadejdzie.

Sam zauważyła i zarejestrowała coś jeszcze — samoloty startujące z wybrzeża Brazylii i lecące prosto na wschód albo na północny wschód, do Afryki. Loty rejsowe były nieliczne i nie stanowiły problemu. Jednak profil każdego z nich i tak trafiał do Creech, a stamtąd do Anacostii. Jeremy Bishop szybko je zidentyfikował, podzielił według kategorii i pojawił się wzór.

Większość tych samolotów nie miała dostatecznego zasięgu. Nie mogłaby pokonać takiej odległości. Chyba że dokonano

w nich wewnętrznych przeróbek. Global hawk Sam otrzymał nowe instrukcje. Uzupełnił zapas paliwa w bazie na Fernando de Noronha, wrócił na miejsce i skupił się na małych samolotach.

Cofając się do źródła, jakby poruszał się od opony koła roweru po szprychach do piasty, Sam ustaliła, że niemal wszystkie te samoloty startowały z olbrzymiej posiadłości położonej w głębi lądu, za miastem Fortaleza. Satelitarne mapy Brazylii, zdjęcia przesłane przez Sam oraz dyskretne rozmowy w biurze geodezyjnym w Belém pozwoliły ustalić, co to za ranczo. Nazywało się Boavista.

• • •

Amerykanie zjawili się pierwsi, bo mieli przed sobą najdłuższy rejs. Dwunastu z nich przyleciało na lotnisko międzynarodowe Goa w połowie czerwca, w przebraniu turystów. Gdyby ktoś przetrząsnął ich bagaże — ale nikt tego nie zrobił — okazałoby się, że przedziwnym zbiegiem okoliczności cała dwunastka to wykwalifikowani marynarze floty handlowej. W rzeczywistości była to ta sama ekipa z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, która pierwotnie przyprowadziła zbożowiec przerobiony następnie na m/v „Chesapeake”. Wynajęty przez McGregora autokar przewiózł ich wzdłuż wybrzeża do stoczni Kapoor.

„Chesapeake” już czekał, a ponieważ na terenie stoczni nie było żadnych kwater, marynarze od razu weszli na pokład, żeby się dobrze wyspać. Następnego dnia rano rozpoczęli dwudniowe intensywne zaznajamianie się ze statkiem.

Nowy kapitan, najstarszy rangą, był komandorem marynarki wojennej, a jego pierwszy oficer miał stopień o jedno oczko niższy. Poza tym było tam dwóch poruczników, a pozostała ósemka składała się z marynarzy od starszego bosmana po majtków. Każdy specjalista zajął się swoim prywatnym królestwem: mostkiem, maszynownią, kuchnią, kabiną radiową, pokładem i pokrywami luków.

Ale kiedy zagłębili się do pięciu olbrzymich ładowni na zboże, zatkało ich ze zdumienia. Znajdowały się tam w pełni wyposażone koszary sił specjalnych, bez iluminatorów i naturalnego światła, a zatem z zewnątrz niewidzialne. Powiedziano im, że na morzu nie będą mieli powodu, żeby wychodzić ze swoich kwater. Komandos z SEAL sami mieli sobie gotować i dbać o wszelkie inne swoje potrzeby.

Ekipa miała się ulokować w normalnych pomieszczeniach dla załogi, bardziej przestronnych i wygodniejszych, niż mieliby, dajmy na to, na niszczycielu.

Znajdowała się tam także kabina gościnna z dwiema kojami, której przeznaczenie na razie nie było znane. Gdyby komandos z SEAL chciał się porozumieć z mostkiem, musiałby przejść pod pokładem przez czworo wodoszczelnych drzwi między ładowniami i dopiero potem wyjść na światło dzienne.

Nie wyjaśniono, bo wiedza ta do niczego nie była im potrzebna, przynajmniej na razie, dlaczego pierwszą ładownię od strony dziobu przekształcono w coś na kształt więzienia. Pokazano im za to, i to nieraz, jak zdejmować pokrywy luków dwóch z pięciu ładowni i wyciągać sprzęt potrzebny do akcji. Podczas długiego rejsu ćwiczyli tę czynność wielokrotnie — częściowo

dla zabicia czasu, a częściowo po to, by móc to robić dwa razy szybciej niż na początku i z zamkniętymi oczami.

Trzeciego dnia McGregor, o skórze jak pergamin, wysłał ich w morze. Stał na skraju najbardziej wysuniętej w morze ostrogi i kiedy „Chesapeake” ruszył i przepłynął pod nim, uniósł szklanę napełnioną bursztynowym płynem. Był przyzwyczajony do życia w upale, pośród malarii, w pocie i smrodzie, ale zawsze musiał mieć pod ręką flaszkę czy dwie płynu pochodzącego z gorzelnii na jego rodzinnych wyspach, Hebrydach.

Najkrótsza droga „Chesapeake” do celu prowadziła przez Morze Arabskie i Kanał Sueski. Ale na wypadek mało prawdopodobnego ataku ze strony somalijskich piratów przy Rogu Afryki, a także z powodu nadmiaru czasu postanowiono skrócić na południowy zachód do Przylądka Dobrej Nadziei, a potem na północny zachód do miejsca spotkania na morzu niedaleko Portoryko.

Trzy dni później zjawili się Brytyjczycy po m/v „Balmoral”. Było ich czternastu. Wszyscy służyli w Królewskiej Marynarce Wojennej i oni także, pod kierownictwem McGregora, przeszli dwudniowy proces osvajania się ze statkiem. Ponieważ amerykańska marynarka wojenna stanowczo zabrania używania alkoholu, Amerykanie nie kupili w strefie wolnocłowej na lotnisku żadnego trunku. Następcy Nelsona nie mieli takich ograniczeń, więc zaliczyli plus u McGregora, przywożąc mu kilka butelek whisky single malt z Islay, jego ulubionej gorzelnii.

Kiedy już byli gotowi, „Balmoral” także wyruszył w morze. Miał do pokonania znacznie krótszą trasę: wokół Przylądka Dobrej Nadziei i na północny zachód, do Wyspy Wniebowstąpienia, gdzie z dala od lądu i wścibskich oczu miał się spotkać z jednostką Królewskich Statków Pomocniczych, wiozącą uzupełnienie ekipy komandosów ze Special Boat Service oraz niezbędny do akcji sprzęt.

Kiedy „Balmoral” zniknął za horyzontem, McGregor zlikwidował, co było do zlikwidowania. Robotnicy zajmujący się przeróbką statku z zewnątrz i od wewnątrz już dawno wyjechali, a ich wynajęte przyczepy mieszkalne wróciły do właściciela. Stary Szkot mieszkał w ostatniej z nich, żywiąc się whisky i chininą. Bracia Kapoor otrzymali zapłatę z konta, którego nikt nigdy nie wyśledzi, i przestali się interesować dwoma statkami do przewozu zboża, które przerobiono na bazy dla nurków. Stocznia z powrotem zajęła się tym co zawsze: ćwiartowaniem statków pełnych toksycznych chemikaliów i azbestu.

• • •

Colleen Keck kucała na skrzydle buccaneera i wydymała policzki na wietrze. Nawet w czerwcu otwarte równiny Lincolnshire nie są zbyt ciepłe. Przyjechała pożegnać się z Brazylijczykiem, którego bardzo polubiła.

Obok niej, w kokpicie na dziobie samolotu szturmowego, siedział major João Mendoza i po raz ostatni sprawdzał przyrządy. Fotel z tylnego kokpitu, gdzie siadywała podczas lotów treningowych, już usunięto. Na jego miejsce wstawiono jeszcze

jeden dodatkowy zbiornik paliwa i radiowy aparat nadawczo-odbiorczy połączony ze słuchawkami pilota. Za ich plecami dwa silniki Spey warczały na jałowym biegu.

Gdy dalsze czekanie nie miało już sensu, Colleen Keck nachyliła się i cmoknęła pilota w policzek.

— Bezpiecznego lotu, João! — krzyknęła.

Widząc, że jej wargi się poruszają, odczytał słowa z ruchu ust. Uśmiechnął się do niej i uniósł prawą dłoń z wyciągniętym kciukiem. Wiatr, silniki za plecami i głos z wieży w słuchawkach nie pozwalały mu jej usłyszeć.

Komandor porucznik Keck zsunęła się ze skrzydła i zeskończyła na ziemię. Osłona z pleksiglasu przesunęła się do przodu i zatrzasnęła, zamykając pilota w jego własnym świetle, świetle drażka sterowego, przepustnic, przyrządów, celowników, wskaźników paliwa i TACAN — taktycznego systemu nawigacji powietrznej.

Major Mendoza poprosił o zgodę na start, otrzymał ją, skreślił na pas startowy, zatrzymał się, sprawdził hamulce, puścił je i samolot nabrał rozpędu. Kilka sekund później obsługa naziemna siedząca w furgonetce obok pasa startowego patrzyła, jak bliźniacze silniki turboodrzutowe Spey o ciągu 49.4 kiloniuтона każdy wzbijają buccaneera w niebo i maszyna kieruje się na południe.

Z powodu dokonanych zmian postanowiono, że major Mendoza wróci na środkowy Atlantyk inną trasą. Na portugalskich Azorach, w Lajes, leży baza sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, siedziba sześćdziesiątej czwartej eskadry, więc Pentagon, za pociągnięciem niewidzialnych sznurków, zgodził

się, żeby „muzealny zabytek”, wracający rzekomo do Republiki Południowej Afryki, uzupełnił tam zapas paliwa. Pokonanie tysiąca trzystu dziewięćdziesięciu pięciu mil morskich nie stanowiło problemu.

Tak czy owak Mendoza przenocował w kasynie oficerskim w Lajes, by o świcie wylecieć na Fogo. Nie chciał lądować w swojej nowej siedzibie po ciemku. Skoro świt wyruszył więc w drugi etap podróży, tysiąc czterysta trzydzieści dziewięć mil do Fogo, a zasięg jego maszyny wynosił dwa tysiące dwieście mil.

Niebo nad Wyspami Zielonego Przylądka było przejrzyste. Gdy obniżył lot z wysokości przelotowej na pułapie jedenastu tysięcy metrów, wyraźnie dostrzegł cały archipelag. Z trzech tysięcy metrów kilwatery nielicznych motorówek wyglądały jak białe pióra na niebieskiej wodzie. Na południowym krańcu archipelagu, na zachód od Santiago, zobaczył sterczący krater wygasłego wulkanu na Fogo oraz wciśnięty w południowo-zachodni skraj skały srebrzysty pas startowy.

Zataczając długi łuk nad Atlantykiem, obniżył wysokość jeszcze bardziej, cały czas mając wulkan pod lewym skrzydłem. Wiedział, że dostanie umówiony sygnał na ustalonej częstotliwości i że nie padnie po portugalsku, tylko po angielsku. On występował jako Pielgrzym, a centrala na Fogo jako Postęp. Wcisnął przycisk nadawania.

— Tu Pielgrzym, tu Pielgrzym. Postęp, słyszysz mnie?! — zawołał.

Rozpoznał po głosie człowieka, który mu odpowiedział — jeden z szóstki ze Scampton, wspierającej go ekipy technicznej.

Anglik, z akcentem z północnej części kraju. Jego kolega siedział w wieży kontroli lotów na lotnisku Fogo, obok miejscowego kontrolera lotów rejsowych.

— Słyszę cię doskonale, Pielgrzymie.

Facet ze Scampton, kolejny emeryt wynajęty przez Cala Dextera za pieniądze Kobry, wyglądał przez oszklone okno małej klockowatej wieży kontroli. Wyraźnie widział bucca, który zakręcał nad morzem. Podał mu instrukcje dotyczące lądowania: położenie pasa startowego, siłę wiatru i kierunek.

Na trzystu metrach João Mendoza wypuścił podwozie, ustawił klapy do lądowania i obserwował prędkość wiatru oraz tempo opadania. Przy tak znakomitej widoczności można się było obejść bez zaawansowanych przyrządów — leciał tak jak zawsze. Dwie mile przed lotniskiem wyrównał lot. Pod nim przetoczyły się spienione fale, koła stuknęły o asfalt tuż przy markerze oznaczającym początek pasa i samolot delikatnie wyhamował po pokonaniu odcinka równego połowie długości pasa startowego w Scampton. Żaden problem — maszyna była lekka, leciała na resztkach paliwa i bez uzbrojenia.

Kiedy samolot stanął dwieście metrów przed końcem pasa, z przodu podjechała mała półciężarówka, a siedzący z tyłu mężczyzna ruchem ręki kazał pilotowi jechać za nim. Ten odskołał od terminalu w kierunku budynków szkoły pilotażu i zgasił silniki.

Otoczyło go pięciu ludzi, którzy dotarli przed nim ze Scampton. Gdy wysiadał z samolotu, zgotowali mu wesołe powitanie.

Jeszcze jeden nadjeżdżał od strony wieży kontrolnej na wynajętym skuterze. Całą szóstkę dwa dni wcześniej przywiózł brytyjski hercules C-130. Wraz z nimi przyleciały rakiety do systemu RATO, narzędzia niezbędne do konserwacji bucca w jego nowej roli i przede wszystkim amunicja do działka Aden. W skład tej ekipy, która obecnie dostawała znacznie wyższe pensje niż sześć miesięcy wcześniej, wchodził monter, spec od konstrukcji lotniczych, rusznikarz („hydraulik”), ekspert od awioniki, radiowiec dbający o łączność, fachowiec od sporządzania nakresów oraz kontroler ruchu lotniczego, który dopiero co sprowadził Mendozę na ziemię.

Większość czekających ich misji, od startu po lądowanie, miała się odbywać w ciemnościach, czyli w trudniejszych warunkach, ale mieli jeszcze dwa tygodnie na ćwiczenia. Na razie zaprowadzili pilota do jego kwatery, gdzie czekał już na niego rozpakowany bagaż. Potem poszedł do głównej mesy, na spotkanie z pozostałymi brazylijskimi instruktorami i portugalskojęzycznymi kadetami. Nowy dowódca i jego „egzemplarz muzealny” nareszcie przybyli. Po czterech tygodniach nauki teorii i zaznajamiania się z samolotami młodzi żołnierze nie mogli się doczekać pierwszych lotów z instruktorem, zaplanowanych na rano.

W porównaniu z ich małymi samolotami treningowymi Tucano, o podstawowym wyposażeniu, dawny niszczyciel okrętów z marynarki wojennej wyglądał groźnie. Wkrótce jednak odholowano go do hangaru o stalowych drzwiach i usunięto z widoku. Po południu zatankowano maszynę, zamontowano rakiety i uzbrojono działka. Za dwa dni mieli zaznajomić się

z samolotem w warunkach nocnych. Kilku pasażerów, którzy wysypali się do terminalu cywilnego z samolotu kursującego z Santiago i z powrotem, niczego nie zobaczyło.

Wieczorem Cal Dexter zadzwonił z Waszyngtonu, odbył krótką rozmowę z majorem Mendoza i w odpowiedzi na kilka oczywistych pytań zalecił mu cierpliwość. Nie będzie musiał czekać długo.

• • •

Julio Luz starał się zachowywać normalnie. Roberto Cárdenas zobowiązał go do zachowania tajemnicy, ale myślał, że miałby oszukać Dona, choćby tylko nie wyjawiając mu wszystkiego, przerażała go. Oni obaj go przerażali.

Znowu co dwa tygodnie zaczął latać do Madrytu, jakby nigdy nic. Tym razem, przy pierwszej wizycie od pobytu w Nowym Jorku i kolejnej przygnębiającej godzinie tłumaczenia się przed Cárdenasem, znów znalazł się pod niewidoczną obserwacją. Nie miał pojęcia, tak samo jak znakomite kierownictwo hotelu Villa Real, że jego stały pokój jest na podsłuchu zainstalowanym pod nadzorem Cala Dextera przez dwóch fachowców z FBI. Każdy odgłos, jaki wydawał Julio Luz, był odsłuchiwany przez innego klienta hotelu, który wynajął pokój dwa piętra wyżej.

Człowiek ten siedział cierpliwie z „puszkami” na uszach, dziękując żyłastemu „eksszczurowi tunelowemu”, że zainstalował go w komfortowym pokoju, a nie — jak zwykle podczas obserwacji — w ciasnej furgonetce na parkingu, z podłą kawą

i bez żadnych wygód. Gdy obiekt wychodził do banku, na kolację albo śniadanie, mężczyzna mógł odpocząć przy telewizji albo pooglądać rysunki satyryczne w „International Herald Tribune” dostępnym w hotelowym kiosku. Ale tego dnia rano, gdy obiekt wybierał się na lotnisko w drogę powrotną, słuchał uważnie, ściskając w lewej ręce telefon komórkowy.

Osobisty lekarz prawnika ze zrozumieniem podszedłby do stałego problemu swojego pacjenta. Nieustanne podróże przez Atlantyk wywoływały u niego ciężkie zaparcia. Dlatego zawsze woził ze sobą zapas syropu figowego. Odkryto to podczas nalo-tu na jego pokój, gdy wyszedł do banku.

Zamówiwszy do łóżka dzbanek herbaty earl grey, prawnik jak zawsze udał się do marmurowej łazienki z wydzieloną ubi-kacją. Tam cierpliwie czekał, aż natura zacznie działać, co za-zwyczaj trwało około dziesięciu minut. W tym czasie, przy zam-kniętych drzwiach, nie słyszał tego, co dzieje się w sypialni. Właśnie wtedy podsłuchujący zadzwonił z telefonu komórko-wego.

Rano tego dnia ktoś cichutko wszedł do pokoju prawnika. Kod do drzwi zmieniał się za każdą wizytą (prawdę mówiąc, zmieniał się zawsze, gdy pokój zajmował inny gość hotelowy), ale nie stanowiło to problemu dla włamywacza, którego Cal Dexter znów wziął ze sobą. Puszysty dywan idealnie tłumił od-głos kroków. Dexter podszedł do komody po drugiej stronie pokoju, na której leżał nesoser. Miał nadzieję, że szyfr zamka się nie zmienił — i nie przeliczył się. Wciąż był to numer człon-kowski palestry. W ciągu kilku sekund Dexter otworzył nesoser,

zrobił, co miał do zrobienia, i zamknął teczkę. Ustawił pokrętła szyfru w poprzedniej pozycji i wyszedł. Za drzwiami łazienki señor Luz nadal się napinał na sedesie.

Gdyby prawnik miał bilet lotniczy w kieszeni, zapewne udałby się do poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy na lotnisku Barajas bez otwierania neseseru. Trzymał go jednak w kopercie w przegrodce neseseru. Otworzył go więc, czekając na wydruk rachunku.

O ile dziesięć dni wcześniej telefon od kolumbijskiego ministra spraw zagranicznych przyprowadził go o szok, o tyle to była prawdziwa katastrofa. Luz poczuł, że za chwilę zemdleje, miał wrażenie, że zaraz dostanie ataku serca. Odtrącił podany mu wydruk, cofnął się, klapnął na fotel w holu i z neseserem na kolanach, markotnie wbił wzrok w podłogę. Chłopiec hotelowy trzy razy musiał mu powtarzać, że limuzyna czeka już przed wejściem. W końcu Luz chwiejnie zszedł po schodkach i wsiadł do samochodu. Kiedy ruszali, obejrzał się za siebie. Czy ktoś go śledził? Czy go aresztują, zamkną w celi i torturami będą chcieli wymusić zeznania?

Tymczasem był bezpieczny jak nigdy. Dyskretnie śledzony po przylocie i podczas pobytu w Madrycie, teraz równie dyskretnie był pilnowany w drodze na lotnisko i aż do odprawy. Gdy limuzyna opuściła przedmieścia miasta, sprawdził raz jeszcze, czy nie doznał złudzenia optycznego. Nic z tych rzeczy. To leżało na samym wierzchu. Kremowa koperta, zaadresowana po prostu do „Taty”.

• • •

Prowadzony przez Brytyjczyków m/v „Balmoral” spotkał się z jednostką Królewskich Statków Pomocniczych pięćdziesiąt mil od brzegów Wyspy Wniebowstąpienia. Jak większość należących do tej formacji starych statków, także i ten wziął nazwę od imienia jednego z rycerzy Okrągłego Stołu — w tym wypadku był to „Sir Gawain”. Jego długa kariera jako dostawcy zapatrzona na morzu, w skrócie ZNM, zwanego także „kasą”, dobiegała końca.

Z dala od wścibskich oczu przeniesiono sprzęt ze statku na statek i na pokład wkroczyli komandosi z SBS.

Special Boat Service, stacjonująca dyskretnie na wybrzeżu Dorset w Anglii, jest znacznie mniejsza niż siły specjalne marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, SEAL. Rzadko kiedy liczy więcej niż dwustu „legitymowanych” agentów. I chociaż dziewięćdziesiąt procent wywodzi się z Królewskiej Piechoty Morskiej, to podobnie jak ich amerykańscy kuzyni działają na lądzie, morzu i w powietrzu. W górach i na pustyniach, w dżunglach, na rzekach i na otwartych oceanach. Teraz przybyło ich zaledwie szesnastu.

Dowódcą był major Ben Pickering, mający za sobą ponad dwadzieścia lat służby. Należał do małej grupy, która zimą 1991 roku była świadkiem masakry uwięzionych talibów przez siły Sojuszu Północnego w forcie Qalai Dżangi na północy Afganistanu. Wtedy był jeszcze nastolatkiem. Leżeli na szczycie muru fortecy, patrząc na krwawą jatkę, gdy Uzbeki pod dowództwem generała Dostuma wybijali w pień więźniów pojmanych po rewolucji talibów.

Jeden z dwóch obecnych tam agentów specjalnych CIA,

Johnny „Mike” Spann, zginął wcześniej z rąk talibów, a jego kolegę Dave'a Tysona porwano. Ben Pickering i dwaj inni wskoczyli do tego piekła, załatwili trzech talibów przetrzymujących Amerykanina i wyciągnęli go stamtąd.

Major Pickering brał udział w misjach w Iraku, Afganistanie (powtórnie) oraz Sierra Leone. Miał też bogate doświadczenie w przechwytywaniu nielegalnych transportów na morzu, nigdy jednak nie dowodził oddziałem na pokładzie tajnego statku pułapki, bo od czasów drugiej wojny światowej nigdy tego nie stosowano.

Gdy Cal Dexter, rzekomo sługus Pentagonu, wyjaśnił cel misji w bazie SBS, major Pickering odbył naradę wojenną ze swoim dowódcą i zbrojmistrzami, by ustalić, co będzie im potrzebne.

Do przechwytywania jednostek na morzu wybrał dwa sztywne pontony hybrydowe (RIB) długości ośmiu i pół metra, w „arktycznej” wersji wyposażenia. Zabierały one po ośmiu mężczyzn, siedzących w parach za dowódcą i sternikiem, który był rzeczywistym kapitanem pontonu. Ale oprócz tego miały miejsce dla pojmanego przemytnika kokainy, dwóch „szperaczy” z Urzędu Celnego Jej Królewskiej Mości oraz dwóch psów przeszkolonych do wykrywania narkotyków. Oni mieli płynąć za atakującym RIB-em znacznie wolniej, żeby nie wystraszyć psów.

„Szperaczami” byli eksperci od szukania tajnych schowków, poruszania się po najbardziej prymitywnych ładowniach i wykrywania wszelkich zmyślnych sposobów ukrywania nielegalnych transportów. Psy — cocker-spaniele — potrafiły nie tylko

wywąchać chlorowoderek kokainy okryty kilkuwarstwową powłoką, lecz także wyczuć zmiany zapachu powietrza. Otwierana niedawno zęza pachnie inaczej niż taka, której nie ruszono od miesięcy.

Major Pickering stanął obok kapitana na otwartym skrzydle mostka „Balmorala” i patrzył, jak jego RIB-y są delikatnie przenoszone na pokład frachtowca. Potem żuraw na „Balmoralu” uniósł skrzynie i opuścił pontony do ładowni.

Z czterech Szwadronów Szabli w SBS major dostał oddział ze Szwadronu M, specjalizującego się w zwalczaniu terroryzmu na morzu (MCT). To właśnie ci komandos weszli na pokład „Balmorala” w ślad za pontonami, a na końcu przeniesiono ich sprzęt.

Było go mnóstwo — karabiny szturmowe w wersji snajperskiej, broń krótka, sprzęt do nurkowania, wodoszczelne i nieprzemakalne skafandry i kombinezony, bosaki, drabiny i tona amunicji. Do tego dochodziło dwóch łącznościowców, którzy mieli utrzymywać kontakt z Waszyngtonem.

Personel pomocniczy składał się ze zbrojmistrzów i techników do utrzymywania RIB-ów w pełnej gotowości bojowej oraz z dwóch pilotów śmigłowców z brytyjskiego Korpusu Lotniczego, którzy mieli własnych inżynierów do konserwacji maszyny: małego śmigłowca, załadowanego na pokład na samym końcu. Był to amerykański little bird.

Królewska Marynarka Wojenna wolałaby sea kinga albo nawet lynxa, na przeszkodzie jednak stanęła wielkość ładowni.

Większe śmigłowce z rozłożonymi wirnikami nie przeszłyby przez luk hangaru pod pokładem. Ale produkowany przez Boeinga little bird mieścił się bez trudu. Jego główny wirnik miał tylko osiem metrów rozpiętości, a średnica głównego luku wynosiła dwanaście metrów.

Helikopter był jedynym sprzętem, którego nie udało się wtaszczyć nad wzburzonym morzem oddzielającym dwa statki. Uwolniony od ochronnego brezentu, którym był spowity podczas rejsu na Wyspę Wniebowstąpienia, wystartował z pokładu dziobowego „Sir Gawaina”, dwukrotnie zatoczył koło i usiadł na zamkniętym luku na dziobie „Balmorala”. Gdy oba wirniki, główny i na ogonie, przestały się obracać, poręczny mały śmigłowiec podniesiono za pomocą żurawia na pokładzie, ostrożnie opuszczono do powiększonej ładowni i umocowano.

Kiedy nie zostało już nic do przeniesienia, a zbiorniki paliwa „Balmorala” znów były pełne, statki się rozdzieliły. Jednostka Królewskich Statków Pomocniczych wracała na północ, do Europy, a statek pułapka, teraz już bardzo niebezpieczny, wyruszył na pierwszy patrol — na północ od Wysp Zielonego Przylądka, na środek Atlantyku między Brazylią a zbankrutowanymi państwami leżącymi na krzywiźnie wybrzeża Afryki Zachodniej.

Kobra podzielił Atlantyk na dwie części linią biegnącą na północno-północny wschód od Tobago, po wschodniej stronie Antyli, do Islandii. W sensie miejsca przeznaczenia kokainy rejon na zachód od tej linii nazwał Strefą Docelową USA; po wschodniej stronie leżała Strefa Docelowa Europa. „Balmoralowi”

przypadł Atlantyck. „Chesapeake”, który właśnie czekał na spotkanie z zaopatrzeniowcem u wybrzeży Portoryko, miał się zająć Karaibami.

• • •

Roberto Cárdenas długo, z wściekłością wpatrywał się w list. Czytał go już kilkanaście razy. W rogu pokoju siedział roztrzęsiony Julio Luz.

— To od tego łobuza de Vega — podsunął nerwowo prawnik. Całkiem poważnie zastanawiał się, czy wyjdzie stamtąd żywy.

— To nie ma nic wspólnego z de Vegą.

List, aczkolwiek nie wprost, wyjaśniał przynajmniej, co stało się z córką Cárdenasa. Nie będzie zemsty na de Vedze. De Vega nigdy nie istniał. Nie było żadnego bagażowego na lotnisku Barajas w Madrycie, który działając na własną rękę, podrzucił kokainę nie do tej walizki co trzeba. Rzeczywista była tylko perspektywa dwudziestoletniej odsiadki dla Letizii w amerykańskim więzieniu. Wiadomość przekazana w takiej samej kopercie jak te, których używał do przesyłania swoich listów, była prosta:

Chyba powinniśmy pogadać o Twojej córce Letizii. W niedzielę o szesnastej. Czekam u siebie w hotelu Santa Clara w Cartagenie. Pytaj o pana Smitha. Będę sam i bez broni. Zaczekam godzinę. Proszę przyjść.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Amerykańscy komandosi z SEAL wsiedli na pokład statku pułapki sto mil na północ od Portoryko. Statek zaopatrzeniowy załadowano w bazie USA w Roosevelt Roads na tejże wyspie.

Oddziały SEAL są przynajmniej czterokrotnie liczniejsze od brytyjskiej SBS. Podlegają Siłom Operacji Specjalnych Marynarki Wojennej USA, liczącym dwa i pół tysiąca ludzi, z których tylko nieco ponad tysiąc stanowią żołnierze jednostek uderzeniowych, a reszta to personel pomocniczy.

Ci, którzy noszą upragnioną odznakę zwaną Trójzębem SEAL, dzielą się na osiem plutonów, w skład których wchodzi po trzy zespoły liczące czterdziestu komandosów. Na m/v „Chesapeake” oddelegowano połowę tej liczby żołnierzy, wywodzących się z plutonu drugiego, który stacjonuje na Wschodnim Wybrzeżu w bazie Little Creek, w Virginia Beach.

Ich dowódcą był komandor porucznik Casey Dixon — kombatant, podobnie jak jego brytyjski odpowiednik na Atlantyku. Jako młody chorąży brał udział w Operacji Anakonda. W czasie

gdy człowiek z SBS obserwował w północnym Afganistanie masakrę w Qala-i Dżangi, chorąży Dixon polował na Al-Kaidę w jaskiniach Tora Bora w górach Safed Koh, tyle że operacja wzięła w łeb.

Dixon należał do oddziału lądującego na płaskowyżu wysoko w górach, gdy jego chinook został ostrzelany z karabinu maszynowego ukrytego w skalnym gnieździe. Śmiertelnie ranny olbrzymi śmigłowiec miotał się wściekle, a pilot usiłował odzyskać nad nim kontrolę. Ktoś z załogi pośliznął się na płynie hamulcowym zalewającym podłogę i wypadł przez tylną rampę w lodowatą ciemność na zewnątrz. Tylko lina, którą był przywiązany, uratowała go od roztrzaskania się o skały.

Ale komandos z SEAL, bosman Neil Roberts, próbował złapać kolegę i sam także wypadł. Nie był zabezpieczony liną, więc runął na skały znajdujące się ze dwa metry niżej. Casey Dixon rozpaczliwie próbował chwycić Roberta za uprząż, nie trafił i patrzył, jak ten spada.

Pilot opanował maszynę, nie na tyle, żeby ją uratować, ale by dotelepać się pięć kilometrów dalej i posadzić chinooka poza zasięgiem broni maszynowej. Tyle że bosman Roberts został sam pośród skał, otoczony przez dwudziestu zabójców z Al-Kaidy. SEAL szczycą się tym, że nigdy nie porzucają kolegów, obojętne żywych czy martwych. Dixon i pozostali przesiedli się do innego chinooka i wrócili, zabierając po drodze oddział Zielonych Beretów i brytyjskich komandosów z SAS. To, co się wydarzyło potem, przeszło w SEAL do legendy.

Neil Roberts wystrzelił rękę, by jego koledzy wiedzieli, że żyje. Zdawał sobie sprawę, że gniazdo karabinów maszynowych wciąż działa i może zmieść z nieba ewentualną pomoc. Granatami ręcznymi wykosił całą obsługę cekaemów, przy okazji zdradził jednak swoją pozycję. Al-Kaida przyszła po niego. Drogo sprzedał skórę, walcząc i zabijając do ostatniego naboju, aż w końcu zginął z nożem w ręku.

Dla Roberta pomoc nadeszła za późno, ale ludzie z Al-Kaidy wciąż tam byli. Przez osiem godzin między skałami toczyła się strzelanina, gdy zleciała się setka terrorystów, dołączając do sześćdziesięciu, którzy zwabili w pułapkę chinooka. Zginęło sześciu Amerykanów, a dwaj komandosi SEAL odnieśli ciężkie rany. Ale o poranku naliczyli zwłoki trzystu terrorystów. Poległych Amerykanów sprowadzono do domu, włącznie z Neilem Robertsem.

Casey Dixon zaniósł go do śmigłowca ewakuacyjnego, a że też został postrzelony w udo, z powierzchowną raną również poleciał do Stanów Zjednoczonych i tydzień później uczestniczył w nabożeństwie żałobnym w kaplicy na terenie bazy w Little Creek. Od tej pory za każdym razem, gdy patrzył na poszarpaną ranę na prawym udzie, przypominał sobie tę zwariowaną noc między skałami Tora Bora.

Dziewięć lat później stał jednak w ciepłym wieczornym powietrzu na wschód od wysp Turks i Caicos, doglądając przeładunku ludzi i sprzętu ze statku bazy do ich nowego domu — na były zbożowiec, teraz nazywający się „Chesapeake”. Patrolujący z wysoka teren EP-3 z Roosevelt Roads doniósł im, że na morzu jest pusto. Nikt ich nie obserwował.

Do ataku na wodach śródlądowych Dixon przywiózł jedną wielką pneumatyczną łódź sztywnokadłubową (RHIB) długości jedenastu metrów. Mogła pomieścić cały jego oddział i sunąć po spokojnej wodzie z prędkością czterdziestu węzłów. Wziął także dwa mniejsze zodiaki, zwane bojowymi łodziami pneumatycznymi (CRRC). Mają one niecałe pięć metrów długości, są równie szybkie jak RHIB-y i bez trudu mieszczą czterech uzbrojonych mężczyzn.

Na pokład przeniesiono też dwóch ekspertów od szukania statków z amerykańskiej straży przybrzeżnej, dwóch przewodników psów z urzędu celnego oraz dwóch pilotów z marynarki wojennej, czekających na lądowisku śmigłowców na pokładzie statku bazy. Siedzieli w swoim little birdzie — czymś, czego komandosi SEAL prawie nie widywali i nigdy wcześniej nie używali.

Jeżeli komandosów SEAL lokowano w śmigłowcach, były to wyłącznie nowe knight hawkki Boeinga. Ale ten niewielki śmigłowiec zwiadowczy był jedynym, którego rozstaw wirników umożliwił opuszczenie go do ładowni „Chesapeake” przez otwarty luk.

Wśród przenoszonego sprzętu tradycyjnie znalazły się niemieckie pistolety maszynowe Heckler & Koch MP 5A, ulubiona broń SEAL do walki na bliską odległość; sprzęt do nurkowania — typowe zestawy Draegera; karabiny dla czterech snajperów oraz mnóstwo amunicji.

W zapadającym zmroku krążący nad nimi EP-3 doniósł, że na morzu wciąż jest pusto. Little bird wzbił się w powietrze, zatoczył koło jak wściekła pszczoła i usiadł na „Chesapeake”.

Gdy oba wirniki znieruchomiały, żuraw pokładowy uniósł mały śmigłowiec i opuścił go do ładowni. Pokrywy pokładowe na szynach szybko zamaskowały luki ładowni, a dodatkowa powłoka zabezpieczyła je przez deszczem i rozbryzgami fal.

Obie jednostki rozdzieliły się i statek baza odpłynął w mrok. Na jego pokładzie jakiś trefniś nadał wiadomość, mrugając aldisem — urządzeniem znanym od stu lat. Odczytał ją kapitan marynarki wojennej na mostku „Chesapeake”. Treść brzmiała: „Z BOGIEM!”.

W nocy „Chesapeake” prześliznęła się między wyspami na terenie, który miał patrolować — basen Morza Karaibskiego i Zatokę Meksykańską. Gdyby ktoś dopytywał się o niego w Internecie, dostałby odpowiedź, że jest to jak najbardziej legalny zbożowiec, dostarczający pszenicę z Zatoki Świętego Wawrzyńca wygłodniałym odbiorcom w Ameryce Południowej.

Pod pokładem komandosi z SEAL po raz kolejny czyścili i sprawdzali broń; inżynierowie doprowadzali silniki zaburtowe i śmigłowiec do pełnej gotowości bojowej; kucharze przygotowywali napędce coś na kolację, jednocześnie zapełniając swoje szafki i lodówki; łącznościowcy zaś dostrajali sprzęt do dwudziestoczworgodzinnego nasłuchu na tajnym, kodowanym kanale, na którym nadawano z obskurnego magazynu w waszyngtońskiej Anacostii.

Wiadomość, na którą kazano im czekać, mogła przyjść za dziesięć tygodni, dziesięć dni albo dziesięć minut. A wtedy musieli być gotowi do walki.

• • •

Santa Clara to luksusowy hotel w samym sercu historycznego centrum Cartageny, przerobiony z kilkusetletniego klasztoru żeńskiego. Pełne szczegółowe dane na jego temat przekazał Calowi Dexterowi agent SOCA, który żył pod przykrywką jako nauczyciel kadetów w Akademii Morskiej. Dexter przestudował plany i uparł się na jeden konkretny apartament.

W umówioną niedzielę tuż po dwunastej w południe zameldował się pod nazwiskiem Smith. Doskonale zdawał sobie sprawę z obecności pięciu potężnych oprychów, którzy ostentacyjnie siedzieli na wewnętrznym patiu, mimo że nic nie pili, albo przeglądali notatki przypięte na tablicy w holu. Zamówił lekki lunch w atrium pod drzewami. Kiedy jadł, spomiędzy liści sfrunął tukan, usadowił się na krześle naprzeciwko i wbił w niego wzrok.

— Kolego, podejrzewam, że jesteś tu dużo bezpieczniejszy niż ja — mruknął Smith. Skończył jeść, podpisał rachunek wystawiony na numer pokoju i wjechał windą na ostatnie piętro. Pokazał się, by tamci zobaczyli, że przyjechał i że jest sam.

Devereaux w rzadkim przypływie troski zaproponował mu, żeby wziął w charakterze wsparcia komandosów z Zielonych Beretów z Fort Clark. Dexter odmówił.

— Nie powiem, są dobrzy, ale nie niewidzialni — wyjaśnił.
— Jeżeli Cárdenas coś zwietrzy, nie przyjdzie. Załóż, że chcę go zamordować albo uprowadzić.

Wychodząc z windy na czwartym, a zarazem ostatnim piętrze i idąc łącznikiem bez ścian do swojego apartamentu, myślał o tym, że poszedł za radą Sun Tsu. Zawsze rób tak, żeby przeciwnik cię nie doceniał.

Gdy dotarł do swojego pokoju, na końcu otwartego pasażu stał facet ze szmatą na kiju i kubłem. Grubymi nićmi szyte. W Cartagenie to kobiety zmywają podłogi. Wszedł do apartamentu. Wiedział, co zastanie, widział zdjęcia. Przestronny i widny pokój z włączoną na maksimum klimatyzacją, kamienna podłoga, meble z ciemnego dębu i szerokie drzwi balkonowe wychodzące na taras. Była piętnasta trzydzieści.

Wyłączył klimatyzację, rozsunął zasłony, otworzył szklane drzwi i wyszedł na balkon. Nad sobą miał czysty błękit kolumbijskiego nieba w lecie. Z tyłu, niecały metr nad jego głową, biegła rynna na skraju dachówek w kolorze ochry. Z przodu, cztery piętra niżej, lśnił w słońcu basen. Gdyby skoczył na główkę, być może doleciałby co najwyżej na płytką wodę, ale najprawdopodobniej roztrzaskałby się na kamieniach. Zresztą i tak nie miał tego w planach.

Wrócił do pokoju i przestawił fotel z uszakami tak, by otwarte drzwi balkonowe mieć z boku, za to dobry widok na wejście. Potem przeszedł przez pokój, otworzył drzwi na korytarz, które jak zawsze w hotelach były zaopatrzone w sprężyny i zamykały się same, uchylił je na pół centymetra i wrócił na fotel. Czekał ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. O szesnastej otworzyły się i na tle błękitu nieba na zewnątrz stanął Roberto Cárdenas — zawodowy gangster i wielokrotny zabójca.

— Señor Cárdenas, proszę wejść. Niech pan spocznie.

Ojciec młodej kobiety przebywającej w nowojorskim więzieniu zrobił krok w przód. Drzwi zatrzasnęły się za nim same, kliknęła zamek z brązu. Z zewnątrz można by je otworzyć albo za pomocą właściwej karty, albo tarana.

Cárdenas przywodził Dexterowi na myśl ciężki czołg na dwóch nogach. Był zwalisty, krzepki i na pozór nie do ruszenia, jeśli sam nie zechce się ruszyć. Pomimo pięćdziesiątki na karku był świetnie umięśniony i miał twarz żądnego krwi azteckiego boga.

Gangsterowi powiedziano, że człowiek, który podszedł jego madryckiego kuriera i wysłał jemu, Cárdenasowi, osobisty list, będzie czekał sam i bez broni, ale oczywiście w to nie uwierzył. Jego ludzie od świtu sprawdzali hotel i całą okolicę. Sam miał za paskiem na plecach glocka kalibru 9 milimetrów, a na łydce pod prawą nogawką spodni ostry jak brzytwa nóż. Omiótł pokój wzrokiem, szukając ukrytej pułapki albo czekającej na niego brygady Amerykanów.

Dexter zostawił drzwi do łazienki otwarte, mimo to Cárdenas szybko zajrzał do środka. Była pusta. Spojrzał na Dextera wzrokiem rozjuszonego byka na hiszpańskiej arenie, który widząc, że wróg jest mały i słaby, nie pojmując, dlaczego nie ma ochrony. Dexter ruchem ręki wskazał mu drugi fotel.

— Obaj wiemy, że czasami przemoc się oplaca — odezwał się po hiszpańsku. — Ale nie tym razem. Pogadajmy. Proszę usiąść.

Nie spuszczał Amerykanina z oczu, Cárdenas zajął miejsce w wyściełanym fotelu. Pistolet na plecach zmuszał go, żeby siedział lekko pochylony, co nie uszło uwagi Dextera.

- Masz moją córkę. — Facet nie należał do gadatliwych.
 - Pańską córkę ma nowojorski wymiar sprawiedliwości.
 - Oby nic jej się nie stało, w twoim własnym interesie.
- Julio Luz niemal się zsikał ze strachu, opowiadając mu o

tym, co usłyszał od Bosemana Barrowa na temat prowincjonalnych więzień dla kobiet.

— Nic jej nie jest, señor. Oczywiście, jest zrozpaczona, ale nikt jej źle nie traktuje. Przebywa w areszcie w Brooklynie, warunki są tam całkiem znośne. Prawdę mówiąc, przeniesiono ją na oddział dla osób, które próbowały popełnić samobójstwo...

Podniósł rękę, bo Cárdenas chciał się zerwać z fotela.

— To tylko podstęp. Dzięki temu ma osobny pokój w aneksie szpitalnym. Nie musi się zadawać z innymi więźniami, czyli, że tak się wyrażę, z motłochem.

Człowiek, który wyrwał się z rynsztoków dzielnicy latynoskiej i doszedł do pozycji jednego z głównych członków Bractwa — kartelu kontrolującego światowy handel kokainą — gapił się na Dextera, nie mogąc go rozgryźć.

— Głupiś, *gringo*. To moje miasto. Mogę cię załatwić już tutaj. Bez problemu. Po kilku godzinach w moim towarzystwie będziesz błagał, żebym ci pozwolił zadzwonić. Moja córka za ciebie.

— To prawda. Mógłby pan tak zrobić, a ja bym zadzwonił. Sęk w tym, że ludzie po drugiej stronie by się nie zgodzili. Też mają rozkazy. Pan jak mało kto rozumie, co znaczy absolutne posłuszeństwo. Ja jestem tylko pionkiem. Nie dojdzie do żadnej wymiany. Przenieśliby tylko Letizję na północ.

Czarne, pełne nienawiści oczy przeszywały go bez zmrużenia powieki, ale słowa Dextera zrobiły swoje. Cárdenas odrzucił pomysł, że szczupły, siwowłosy Amerykanin nie jest pionkiem,

tylko rozgrywającym. On nigdy nie zapuściłby się na terytorium wroga sam i bez broni, dlaczego więc jankes miałby tak postąpić? Porwanie nic by nie dało — żadnej ze stron. Jego nie można było uprowadzić, a porwanie Amerykanina nie miało sensu.

Cárdenas wrócił myślą do raportu Luza, podyktowanego za radą Barrowa. Dwadzieścia lat, przykładowy wyrok mający odstraszać innych. Brak obrońcy z prawdziwego zdarzenia, sprawa prosta jak drut, żaden Domingo de Vega nie zezna, że to był jego pomysł.

Podczas gdy gangster się zastanawiał, Cal Dexter prawą ręką podrapał się po klatce piersiowej. Na chwilę jego palce zniknęły pod klapą marynarki. Cárdenas pochylił się, gotów wyciągnąć schowanego glocka. „Pan Smith” uśmiechnął się ze skruchą.

— Moskity — wyjaśnił. — Nie chcą się ode mnie odczepić.

Cárdenasa to nie interesowało. Odprężył się, gdy prawa ręka gospodarza pojawiła się znów na widoku. Ale nie byłby tak spokojny, gdyby wiedział, że czubkami palców Amerykanin dotknął czułego przycisku cienkiego jak opłatek nadajnika przymocowanego w górnej kieszeni marynarki.

— Czego chcesz, *gringo*?

— No cóż — rzekł Dexter, nie zwracając uwagi na niegrzeczny ton. — Bez jakiejś interwencji ludzie, których reprezentuję, nie dadzą rady powstrzymać maszyny sprawiedliwości. Nie w Nowym Jorku. Tam nie da się kupić sądu ani zmienić biegu spraw. Wkrótce nawet łaskawe trzymanie Letizii na Brooklynie, z dala od kłopotów, także się skończy.

— Ona jest niewinna. Obaj świetnie o tym wiemy. Chcesz forsy? Dam ci tyle, że będziesz bogaty do końca życia. Tylko wyciągnij ją z tego. Chcę ją odzyskać.

— Oczywiście. Jak mówiłem, jestem tylko pionkiem, ale może się znajdzie jakiś sposób.

— Mów.

— Gdyby UDYCO w Madrycie znalazła tego skorumpowanego bagażowego, a on zeznałby pod przysięgą, że po przejściu bagażu przez zwyczajową kontrolę na chybił trafił wybrał walizkę i podrzucił do niej kokainę, którą miał odebrać jego kumpel w Nowym Jorku, to pański prawnik mógłby wtedy wnosić o natychmiastowe zwołanie posiedzenia sądu. Nowojorski sędzia z braku wyboru musiałby umorzyć sprawę. Bo ciągnięcie jej oznaczałoby, że nie wierzy naszym hiszpańskim przyjaciom zza Atlantyku. Szczerze mówiąc, uważam, że to jedyne wyjście.

Rozległ się niski pomruk, jak gdyby po błękitnym niebie w oddali przetoczył się grzmot.

— A ten... bagażowy. Można go odnaleźć i zmusić do zeznań?

— Można. Wszystko zależy od pana, señor Cárdenas.

Grzmot się nasilił. Tym razem przeszedł w rytmiczne dudnienie. Cárdenas powtórzył pytanie:

— Czego chcesz, *gringo*?

— Chyba obaj to wiemy. Chce pan zamiany? Proszę bardzo. Oto co pan ma zrobić w zamian za Letizję.

Dexter wstał, rzucił na podłogę mały kartonik, wyszedł za drzwi balkonowe i skręcił w lewo. Zza rogu dachu hotelu opadła

wijąca się stalowa drabinka sznurowa, powiewająca na wietrze wytworzonym przez wirniki śmigłowca.

Jasna cholera, jestem na to za stary! — pomyślał, wskakując na balustradę, a z niej na szczeble drabinki. Pomimo ryku wirników czuł, że Cárdenas wyszedł za nim na balkon. Czekał na kulkę w plecy, lecz strzał nie padł. A może i padł, ale za późno. I tak by go nie usłyszał, nawet gdyby Cárdenas wystrzelił. Poczul, że szczeble drabinki wpijają mu się w dłonie. Facet nad nim odchylił się daleko do tyłu, po czym blackhawk wystrzelił w górę jak rakietą.

Kilka sekund później opuszczono Dextera na piaszczystą plażę tuż za murem hotelu Santa Clara. Blackhawk siadł na piachu, Dexter na oczach kilku gapiów, wyprowadzających psy na spacer, podbiegł skulony do drzwi dla załogi i śmigłowiec znów wzbił się w powietrze. Dwadzieścia minut później powrócił do bazy.

• • •

Don Diego Esteban szczylił się tym, że zarządzał Hermandad tak, jak najbardziej dochodową korporacją na świecie. Pozwolił sobie nawet na fanaberię i zamiast samemu sprawować władzę, oddał ją w ręce zarządu — choć była to ewidentna nieprawda. Nalegał, że zebrania mają się odbywać raz na kwartał, mimo że dla jego kolegów oznaczało to niezbyt miłe dwa dni wymykania się agentom pułkownika Dos Santosa, którzy ich śledzili.

Miał zwyczaj samemu przekazywać (wyłącznie przez osobistych kurierów) nazwę jednej ze swoich piętnastu hacjend,

w której odbędzie się zebranie, i oczekiwał, że jego koledzy nie przywloką za sobą ogona. Czasy Pabla Escobara, kiedy co drugi policjant siedział w kieszeni kartelu, już dawno minęły. Pułkownik Dos Santos był nieprzekupnym psem gończym, za co Don z jednej strony darzył go szacunkiem, a z drugiej nienawidził.

W lecie posiedzenia zwoływał zawsze pod koniec czerwca. Teraz wezwał sześciu kolegów, pomijając egzekutora Paca Valdeza, zwanego El Animal, bo jego wzywał wyłącznie wtedy, gdy należało zaprowadzić dyscyplinę w łonie kierownictwa kartelu. Tym razem nie było takiej potrzeby.

Don z aprobatą wysłuchał sprawozdań o zwiększeniu produkcji przez chłopów, ale bez podniesienia ceny. Szef do spraw produkcji, Emilio Sanchez, zapewnił go, że chłopcy mogą wyhodować dość krzaków i sprzedać dość pasty, żeby zaspokoić dowolny popyt ze strony odgałęzień kartelu.

Rodrigo Perez mógł się pochwalić, że kradzieże towaru w firmie, przed wysyłką, znacznie zmniejszono dzięki przykładowemu ukaraniu w odrażający sposób tych, którym się zdawało, że potrafią przechytryć kartel. Prywatna armia, składająca się głównie z mieszkających w dżungli byłych terrorystów z FARC, spisywała się znakomicie.

Don Diego, wczuwając się w rolę dobrego gospodarza, osobiście dolał Perezowi wina do kieliszka, co było wyjątkowym zaszczytem.

Julio Luz, prawnik i bankier, który za nic nie potrafił spojrzeć w oczy Robertowi Cárdenasowi, doniósł, że dziesięć banków, za pomocą których prali miliardy euro i dolarów, cieszy

się ze współpracy i pragnie ją kontynuować. Żaden z nich nie wzbudził cienia podejrzeń ze strony nadzoru bankowego.

José-Maria Largo miał jeszcze lepsze wieści z frontu dystrybucji. Apetyt w dwóch strefach docelowych — Stanach Zjednoczonych oraz Europie — wzrósł do niespotykanego poziomu. Czterdzieści gangów i mafii, czyli odbiorcy kartelu, złożyło jeszcze większe zamówienia.

W obławie na dwa wielkie gangi, w Hiszpanii i Wielkiej Brytanii, ujęto wszystkich ich członków, postawiono przed sądem i wtrącono do więzienia, dlatego wypadły z gry. Ale ich miejsce natychmiast zajęli nowi zapaleńcy. W nadchodzącym roku zapowiadał się rekordowy popyt. Obecni wyciągali szyje, gdy Largo przedstawiał dane. Będzie potrzebował minimum po trzysta ton czystej kolumbijki, którą należy dostarczyć w niekniętym stanie do punktów odbioru na każdym z dwóch kontynentów.

W tym momencie uwaga skupiła się na dwóch ludziach, których zadaniem było zagwarantowanie bezpiecznych dostaw. Dlatego zrobienie afrontu Robertowi Cárdenasowi, którego międzynarodowa sieć przekupionych urzędników na lotniskach, w portach i terminalach na obu kontynentach miała kluczowe znaczenie dla powodzenia operacji, prawdopodobnie było błędem. Ale Don po prostu go nie lubił. Główną rolę powierzył więc Alfredowi Suárezowi, mistrzowi transportu towaru z Kolumbii do odbiorców na północy. Ten, dumny jak paw, jasno okazał swą służalczość wobec Dona.

— Zważywszy na to, co tu usłyszeliśmy, nie wątpię, że

sprostamy zapotrzebowaniu na sześćset ton. Jeżeli Emilio da radę wyprodukować osiemset ton, będziemy mieli dwudziestopięcioprocentowy zapas na wypadek przejęcia towaru, konfiskaty, kradzieży albo strat na morzu. Ale dotychczas nigdy nie straciłem aż tyle. Mamy sto statków obsługiwanych przez ponad tysiąc łodzi. Część naszych wyspecjalizowanych jednostek to wielkie frachtowce, które biorą ładunek na morzu i pozbywają się go przed wpływieniem do portu. Inne przewożą ładunki od nadbrzeża do nadbrzeża, a wtedy po obu stronach pomagają nam urzędnicy opłacani przez naszego nieocenionego Roberta. Niektóre statki przewożą kontenery, obecnie powszechnie używane do transportu wszelkiego rodzaju towarów, w tym takiego jak nasz. Inne z tej samej grupy mają tajne schowki, dzieło sprytnego spawacza z Cartageny, który zginął kilka miesięcy temu. Nazwisko wyleciało mi z głowy.

— Cortez — warknął Cárdenas, który pochodził z tego samego miasta. — Nazywał się Cortez.

— O właśnie. Zresztą nieważne. Dalej mamy mniejsze jednostki, parowce żeglugi nieregularnej, kutry rybackie, prywatne jachty. W sumie przewożą one i wyładowują na ląd niemal sto ton rocznie. No i wreszcie mamy ponad pięćdziesięciu pilotów pracujących na zlecenie, którzy albo lądują z towarem, albo zrzucają go z powietrza. Niektórzy z nich latają do Meksyku z transportami dla naszych meksykańskich przyjaciół, którzy następnie przerzucają je przez północną granicę do Stanów Zjednoczonych. Inni kierują się od razu do którejś z miliona rzeczek i zatok na południowym wybrzeżu USA. A trzecia kategoria lata przez ocean do Afryki Zachodniej.

— Czy od ubiegłego roku wprowadzono jakieś innowacje?
— spytał don Diego. — Nie bawi nas los naszej flotylli łodzi podwodnych. Wielkie koszty i wszystko na nic.

Suárez przełknął ślinę. Pamiętał, co spotkało jego poprzednika, który opowiadał się za wykorzystaniem łodzi podwodnych i armii jednorazowych kurierów. Kolumbijska marynarka wojenna wytropiła i zniszczyła łodzie podwodne, a nowa aparatura prześwietlająca, którą zaczęto stosować na obu docelowych kontynentach, zmniejszyła skuteczny przemyt w żołądkach kurierów do mniej niż pięćdziesięciu procent.

— Don Diego, tak naprawdę te metody to już przeżytek. Jak pan wie, jedna łódź podwodna, która była na morzu w czasie ataku marynarki wojennej, została później przechwycona, zmuszona do wynurzenia i zatrzymana na Pacyfiku u wybrzeży Gwatemali. Straciliśmy dwanaście ton. Co do reszty, zmniejszam ilość przewożoną przez jednego kuriera do kilograma. Ja się skupiam przede wszystkim na wysyłce na kontynenty docelowe stu transportów rocznie, ważących przeciętnie po trzy tony. Gwarantuję panu, don Diego, że potrafię bezpiecznie dostarczyć na każdy kontynent po trzysta ton, zakładając hipotetyczne straty w wysokości dziesięciu procent na skutek przechwycenia i konfiskaty plus pięć procent z powodu strat na morzu. To jest nic w porównaniu z dwudziestoma pięcioma procentami marginesu bezpieczeństwa, jaki zapewnia nam Emilio, produkując osiemset ton zamiast sześciuset, które musimy dostarczyć.

— Gwarantuje pan? — zapytał Don.

— Tak, don Diego, gwarantuję.

— Wobec tego trzymamy pana za słowo — mruknął Don.

W pokoju powiało chłodem. Tą pompatyczną tyradą uniżony Alfredo Suárez sam założył sobie stryczek na szyję. Don nie tolerował porażki.

Gospodarz spotkania wstał i uśmiechnął się pogodnie.

— Przyjaciele, zapraszam na lunch.

•••

Malutka, wyścielana folią koperta wyglądała całkiem pospolicie. Nadeszła pocztą poleconą na adres jednorazowego bezpiecznego domu, podany na kartoniku, który Cal Dexter upuścił na podłogę pokoju hotelowego. W środku była karta pamięci. Dexter dał ją Jeremy'emu Bishopowi.

— Co na niej jest? — zapytał komputerowy geniusz.

— Gdybym wiedział, tobym ci jej nie przynosił.

Bishop zmarszczył czoło.

— A nie prościej było włożyć ją do swojego laptopa?

Dexter poczuł się nieco zażenowany. Potrafił zrobić wiele rzeczy, po których Bishop wylądowałby na intensywnej terapii, ale jeśli chodzi o cybertechnologię, wiedział mniej niż nic. Przyglądał się, jak Bishop wykonuje dziecinnie proste — dla niego — czynności.

— Nazwiska — powiedział Bishop. — Wykaz nazwisk, głównie obcych. I miasta... lotniska, porty, terminale. Poza tym tytuły... na oko to jakieś stanowiska służbowe. Konta bankowe. Numery rachunków i wysokości depozytów. Kim są ci ludzie?

— Po prostu mi to wydrukuj. Tak, czarno-biały wydruk. Na papierze. Zrób przyjemność starcowi.

Podszedł do telefonu podłączonego do superbezpiecznej linii, wybrał numer domu na Starym Mieście w Alexandrii, a kiedy Kobra podniósł słuchawkę, powiedział:

— Mam Listę Łapowników.

•••

Tego samego dnia wieczorem Jonathan Silver zadzwonił do Paula Devereaux. Szef personelu był wyraźnie nie w humorze, z czego zresztą był znany.

— Pańskie dziewięć miesięcy minęło! — warknął. — Kiedy możemy spodziewać się jakiejś akcji?

— Miło, że pan dzwoni — odparł człowiek z Alexandrii kulturalnym głosem ze śladem bostońskiego akcentu. — Świetnie się składa. Otóż zaczynamy w poniedziałek.

— I co zobaczymy?

— Na początku nic — powiedział Kobra.

— A później?

— Drogi kolego, nie śmiałybym zepsuć panu niespodzianki — rzekł Kobra i przerwał rozmowę.

W Zachodnim Skrzydle szef personelu gapił się na brzęczącą słuchawkę w rękę.

— Rozłączył się — mruknął z niedowierzaniem. — Znowu.

CZEŚĆ TRZECIA

Uderzenie

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez przypadek to brytyjska Special Boat Service dopadła pierwszą ofiarę — po prostu znalazła się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie.

Wkrótce po tym, jak Kobra ogłosił otwarcie sezonu łowieckiego, global hawk Sam wykrył daleko w dole, na oceanie, tajemniczy statek, który nazwano Łotr Jeden. Szerokopasmowy skaner telewizyjny Sam zwięził się, gdy samolot opadł na pułap sześciu i pół tysiąca metrów — dość wysoki, by samolot pozostał niesłyszalny i niewidoczny. Obraz nabrał ostrości.

Łotr Jeden był za mały jak na statek pasażerski czy frachtowiec figurujący w rejestrach Lloyd'a. Była to albo mała jednostka handlowa, albo statek żeglugi przybrzeżnej, tyle że znajdował się wiele mil od jakiegokolwiek stałego lądu. Tak czy owak, Łotr Jeden przekroczył pięćdziesiąty piąty stopień długości geograficznej i kierował się na wschód, do Afryki. Poza tym zachowywał się podejrzanie.

Płynął nocą, a następnie zniknął. To mogło oznaczać tylko jedno — że o wschodzie słońca wyłączał silniki, załoga zakrywała go niebieskim brezentem w kolorze morza i przez cały dzień kołysał się na falach, prawie niemożliwy do wykrycia z powietrza. Jednoznaczny manewr. O zachodzie ściągano brezent i ruszano dalej na wschód. Łotr Jeden miał jednak pecha — Sam widziała w ciemności.

Trzysta mil od Dakaru m/v „Balmoral” skręcił na południe i dał całą naprzód, by przejąć statek. Na mostku obok kapitana stał jeden z amerykańskich łącznościowców, podając na głos wskazania kompasu.

Sam, szybując wysoko nad Łotrem, na bieżąco przekazywała dane do Nevady, a z kolei baza sił powietrznych Creech informowała Waszyngton. O świcie Łotr zwinął żagle i skrył się pod plandeką. Sam wróciła na wyspę Fernando de Noronha, żeby uzupełnić paliwo, i przed świtem była z powrotem nad oceanem. „Balmoral” płynął przez całą noc. Łotra złapano trzeciego dnia bladym świtem, daleko na południe od Wysp Zielonego Przylądka, ale wciąż jeszcze pięćset mil od Gwinei Bissau.

Statek miał się właśnie zamaskować, by przetrwać przedostatni dzień na morzu. Kiedy kapitan spostrzegł zagrożenie, było już za późno na rozpostarcie brezentu do końca albo zwiniecie go i udawanie, że nic się nie dzieje.

Wysoko w górze Sam włączyła zagłuszanie i Łotr znalazł się u podstawy stożka, który odciął go od wszelkiej łączności elektronicznej. Z początku kapitan nie próbował nawet wysłać wiadomości, bo nie wierzył własnym oczom. W ich kierunku pędził

mały śmigłowiec, niecałe trzydzieści metrów nad powierzchnią gładkiego jak stół morza.

Kapitan nie mógł w to uwierzyć z powodu odległości. Ten mały drobiazg nie mógł odlecieć aż tak daleko od lądu, a w zasięgu wzroku nie było innych statków. Nie wiedział, że dwadzieścia pięć mil dalej, dokładnie na wprost niego, czeka niewidoczny za horyzontem „Balmoral”. Kiedy więc uświadomił sobie, że lada chwila zostanie zatrzymany, było już za późno.

Pamiętał procedurę postępowania. „Najpierw będzie cię ścigał charakterystyczny szary okręt wojenny, szybszy od ciebie. Dogoni cię i każe ci się zatrzymać. Kiedy jeszcze będzie daleko, ukryjcie się za kadłubem statku i wyrzucicie beły z kokainą za burtę. Wymienimy je na nowe. Zanim wejdą na twój pokład, wyślesz nam napisaną wcześniej wiadomość do Bogoty”.

Dlatego, mimo że w zasięgu wzroku nie było żadnego okrętu, kapitan postąpił zgodnie z instrukcją. Nacisnął klawisz, ale wiadomość nie została wysłana. Sięgnął po telefon satelitarny, ale i on nie działał. Kazał jednemu ze swoich ludzi bez przerwy łączyć się przez radio, a sam wdrapał się po drabince na mostek i spojrzał przed siebie, na nadlatującego little birda. Piętnaście mil dalej, wciąż niewidoczne, z prędkością czterdziestu węzłów pędziły ku niemu dwa RIB-y, każdy z dziesięcioma ludźmi na pokładzie.

Mały śmigłowiec zatoczył koło nad statkiem i zawisł trzydzieści metrów przed mostkiem. Kapitan zobaczył skierowaną w dół okrągłą antenę, a za nią sztywną flagę. Rozpoznał ją.

Na spodzie śmigłowca wymalowano trzy słowa: Królewska Marynarka Wojenna.

— *Los Ingleses* — mruknął. Wciąż jeszcze nie miał pojęcia, gdzie znajduje się okręt, bo Kobra wydał precyzyjne instrukcje: za wszelką cenę oba statki pułapki mają pozostać niewidoczne.

Patrząc na śmigłowiec, ujrzał pilota — czarną sylwetkę na tle wschodzącego słońca — a obok niego wychylonego, zabezpieczonego uprzężą snajpera. Nie rozpoznał karabinu G3 z celownikiem optycznym, wiedział jednak, kiedy lufa broni mierzy dokładnie w jego głowę. Instrukcje, jakie otrzymał, były jasne: „Nigdy nie wdawaj się w wymianę ognia z marynarką wojenną dowolnego kraju”. W międzynarodowym geście podniósł więc rękę. Miał nadzieję, że pomimo braku potwierdzenia na swoim laptopie wiadomość, którą wysłał, dotarła do adresata. Ale nie dotarła.

Ze swej korzystnej pozycji pilot little birda widział nazwę na dziobie podejrzanego statku — „Belleza del Mar”, Piękność Morska, najbardziej optymistyczne miano na oceanach. Tymczasem był to kuter rybacki, zardzewiały, poplamiony, długości dwudziestu siedmiu metrów i cuchnący rybami. Na tym polegał cały dowcip. Tona kokainy w przewiązanych sznurem bełach znajdowała się pod gnijącymi rybami.

Kapitan spróbował przejąć inicjatywę i włączył silniki. Śmigłowiec skręcił i zawisł na trawersie, trzy metry nad powierzchnią wody i dziewięć metrów od burty „Belleza del Mar”. Z tej odległości snajper mógł odstrzelić kapitanowi dowolne ucho.

— *Paré los motores!* — ryknął ktoś przez głośnik z little birda. — Wyłączcie maszyny.

Kapitan wykonał polecenie. Poprzez grzmot śmigłowca niewiele słyszał, lecz widział rozbryzgi wody dwóch nadpływających pontonów szturmowych.

To również było niezrozumiałe. Gdzie jest okręt wojenny? Bez trudu pojął jednak poczynania załóg dwóch RIB-ów, które z rykiem silników podpływały pod burtę statku. Komandosi przyciągnęli się bosakami i szybko wskoczyli na pokład.

Byli młodzi, ubrani na czarno, zamaskowani, uzbrojeni i w świetnej formie. Kapitan miał tylko siedmioosobową załogę. Rozkaz, żeby nie stawiali oporu, był ze wszech miar trafny. Nie przetrzymaliby nawet kilku sekund. Dwaj komandosi podeszli do kapitana, a reszta pilnowała załogi, która stała z rękami uniesionymi wysoko nad głowy. Ten, który wyglądał na dowódcę, mówił tylko po angielsku, jego słowa tłumaczył kto inny. Żaden z nich nie zdjął czarnej maski.

— Kapitanie, uważamy, że przewozi pan nielegalne substancje. Narkotyki, konkretnie kokainę. Zamierzamy przeszkącić pański statek.

— To nieprawda, wiozę wyłącznie ryby. Poza tym nie macie prawa przeszukiwać mojego statku. To sprzeczne z prawem morskim. Zwycię piractwo.

Tak mu kazano powiedzieć. Niestety, otrzymane porady prawne nie były równie sensowne jak te, które kazały mu nie narażać życia. Nigdy nie słyszał o CRIJICA, a gdyby nawet, to i tak nic by z tego nie rozumiał.

Tymczasem major Ben Pickering działał absolutnie zgodnie

z prawem. Ustawa CRIJICA — Criminal Justice (International Cooperation) Act — z roku 1990 zawiera klauzule dotyczące przejęcia na pełnym morzu statków podejrzewanych o przewożenie narkotyków. Określa także prawa oskarżonego. Kapitan „Belleza del Mar” nie wiedział jednak, że on i jego statek po cichu zostali przeklasyfikowani na zagrożenie dla narodu brytyjskiego, jak pierwsi lepsi terroryści.

Na nieszczęście dla kapitana oznaczało to, że wszelkie zasady, w tym dotyczące praw obywatelskich, trafiły do kosza, tak samo jak jego kokaina trafiłaby za burtę, gdyby zdążył się jej pozbyć.

Komandosi z SBS ćwiczyli przez dwa tygodnie i plan działania mieli obliczony na raptem kilka minut. Siedmiu marynarzy i kapitana szybko przeszukano, sprawdzając, czy nie mają broni albo ukrytych nadajników. Telefony komórkowe skonfiskowano dla celów późniejszej analizy. Kabinę radiową rozbito. Ośmiu Kolumbijczykom skuto ręce kajdankami i założono kaptury. A gdy już nic nie widzieli i nie mieli możliwości stawiania oporu, zgromadzono ich i posadzono na rufie.

Major Pickering skinął głową, na co jeden z jego ludzi wyciągnął raketnicę. Raca poszybowała na wysokość stu pięćdziesięciu metrów i wybuchła w kuli ognia. Wysoko na niebie detektory termiczne global hawk wyłapały sygnał i człowiek przed ekranem w Nevadzie wyłączył zagłuszanie łączności. Major zawiadomił „Balmoral”, że droga wolna, statek pułapka wynurzył się zza horyzontu i zakotwiczył obok zatrzymanego kutra.

Jeden z komandosów miał na sobie pełny strój i ekwipunek nurka. Wyskoczył za burzę, żeby sprawdzić zanurzoną część kadłuba statku. Powszechnie stosowaną sztuczką jest transport nielegalnych ładunków w kopule przyspawanej do stępki, a nawet podwieszanie bel na nylonowych linkach trzydzieści metrów pod powierzchnią, tak że z góry były nie do wypatrzenia.

Nurek spokojnie mógł się obyć bez skafandra, bo woda była ciepła jak zupa. Słońce, które wzniosło się już wysoko nad wschodnim horyzontem, oświetlało wodę jak latarka. Komandos przez dwadzieścia minut buszował wśród wodorostów i pąkli porastających zapuszczony kadłub. Nie było przyspawanych pojemników, tajnych podwodnych skrytek ani zwisających linek. Ale major Pickering i tak wiedział, gdzie ukryto kokainę.

Po wyłączeniu zagłuszania mógł przekazać na „Balmoral” nazwę zajętego kutra. Figurował on na liście Corteza jako mała jednostka niewystępująca w spisach międzynarodowych — ot, po prostu zapyziały kuter z jakiejś wiochy na zadupiu. Ale nawet z tego zadupia odbywał już siódmy rejs do Afryki Zachodniej, za każdym razem przewożąc ładunek wart dziesięć tysięcy razy tyle co on sam. W odpowiedzi major otrzymał wskazówki, gdzie szukać.

Cicho wydał polecenia ekipie szperaczy ze straży przybrzeżnej. Facet z urzędu celnego tulił w ramionach swojego cockerspaniela. Otwarto luki ładowni i ukazały się tony ryb — już nieświeżych, choć jeszcze niewyjętych z sieci. Żuraw na pokładzie „Bellezy” wyciągnął ryby i wyrzucił do morza. Kraby na dnie oceanu w promieniu mili będą wdzięczne.

Kiedy już podłoga ładowni była pusta, szperacze zaczęli szukać tajnego schowka opisanego przez Corteza. Był genialnie ukryty, a smród ryb wyprowadziłby psy policyjne w pole. Zakapturzona załoga nie miała zielonego pojęcia, co odbywa się na statku, nie widziała też nadpływającego „Balmorala”.

Zrywaniem płyty zakrywającej schowek przy użyciu łomu zajęło dwadzieścia minut. Załoga — gdyby dano jej szansę — zrobiłaby to bez pośpiechu dziesięć mil od namorzynów na wyspach Bijagos i zrzuciła ładunek za burłę, do czółen czekających w ukryciu między mangrowcami. W zamian załadowałyby beczki z paliwem, zatankowała i ruszyła z powrotem do domu.

Otwarcie pojemników pod podłogą ładowni zaowocowało jeszcze gorszym smrodem. Szperacze mieli maski z wewnętrznym obiegiem powietrza. Wszyscy inni się cofnęli.

Jeden ze szperaczy, trzymany za nogi przez kolegę, zanurzył się do pasa, poświecił latarką, wgramolił się na górę i uniósł kciuk. Bingo! Opuścił się na dół z łomem i liną. Ludzie na pokładzie po kolei wyciągnęli dwadzieścia bel, ważących po pięćdziesiąt kilogramów. „Balmoral” stanął obok kutra, górując nad ludźmi na jego pokładzie.

Cała operacja trwała jeszcze godzinę. Załogę „Bellezy”, wciąż w kapturach, wtaszczono po drabince sznurowej na „Balmorala” i sprowadzono pod pokład. Gdy zdjęto im kajdanki i kaptury, byli w areszcie na dziobie, uwięzieni poniżej linii wodnej.

Dwa tygodnie później jednostka należąca do Królewskich Statków Pomocniczych przewiozła ich do brytyjskiej placówki w Gibraltarze, gdzie znów założono im kaptury i przeniesiono nocą na pokład amerykańskiego starliftera, którym polecili na Ocean Indyjski. Kiedy ponownie zdjęto im kaptury, zobaczyli tropikalny raj i usłyszeli instrukcję:

— Bawcie się dobrze, z nikim nie rozmawiajcie i nie próbujcie uciekać.

Dobra zabawa raczej nie wchodziła w grę, rozmawiać mogli tylko ze sobą, a o ucieczce nie było mowy.

Na pokład „Balmorala” trafiła także tona kokainy. Ona również była strzeżona aż do przekazania na morzu pod opiekę Amerykanów. Ostatnie zadanie na „Belleza del Mar” wykonał pirotechnik. Zszedł na piętnaście minut pod pokład, a po powrocie wyskoczył przez burtę do drugiego RIB-a.

Większość jego towarzyszy była już na statku. Little bird znów trafił do ładowni. Tak samo jak pierwszy RIB. Padła komenda „wolno naprzód!” i za rufą „Balmorala” pojawił się słaby kilwater. Drugi RIB popłynął za statkiem. Kiedy od brudnego, starego kutra dzieliło ich dwieście metrów gładkiej wody, pirotechnik wcisnął przycisk detonatora.

Specjalnie uformowane ładunki plastycznego materiału wybuchowego PETN, czyli pentrytu, który zostawił na kutrze, wydały tylko cichy trzask, a mimo to wyrwały w kadłubie dziurę wielkości drzwi od stodoły. W ciągu trzydziestu sekund kuter zniknął na zawsze i długo, w samotności opadał na dno oceanu, leżące na głębokości półtora kilometra.

Drugiego RIB-a wciągnięto na pokład i schowano do ładowni. Nikt na środkowym Atlantyku nic nie widział. „Belleza del Mar”, jej kapitan, załoga i ładunek rozplynęli się w powietrzu.

• • •

Minął tydzień, zanim strata „Belleza del Mar” w pełni dotarła do świadomości kierownictwa kartelu, a nawet wtedy jedyną reakcją była konsternacja.

Już wcześniej zdarzało się, że tracono statek wraz z załogą i ładunkiem, ale pomijając całkowite zniknięcie śmiertelnych pułapek, jakimi były łodzie podwodne zmierzające wzdłuż wybrzeża Pacyfiku do Meksyku, zawsze pozostawały jakieś ślady i wiadomo było, co się stało. Część mniejszych jednostek poszła na dno podczas sztormów. Pacyfik, nazwany przez Vasca Nuñeza de Balboę — pierwszego Europejczyka, który go zobaczył — Oceanem Spokojnym, bo owego dnia był gładki jak stół, potrafi nieźle dać w kość. Na sielskich Karaibach z folderów turystycznych także grasują szalone huragany. Aczkolwiek rzadko.

Prawie wszystkie ładunki stracone na morzu członkowie załogi wyrzucali za burtę, gdy okazywało się, że tak czy inaczej zostaną schwytani.

Pozostałą część zgarniały albo organy ścigania, albo marynarka wojenna. Statek konfiskowano, załoga czekała w areszcie na zarzuty i proces, po czym trafiała do więzienia, ale ludzi ci i tak byli spisani na straty, a ich rodziny dostawały hojne odszkodowanie. Wszyscy znali zasady.

Zwycięzcy zwoływali konferencje prasowe, pokazywali zbełowaną kokainę triumfującym mediom. Ale towar znikał na dobre tylko wtedy, gdy ktoś go ukradł.

Wszystkie kolejne kartele, które przejmowały kontrolę nad handlem kokainą, zawsze trawiła ta sama przypadłość psychiczna — obłądna paranoja. W tym gronie bezgraniczna podejrzliwość rozwija się natychmiast. W ich świecie istnieją dwie niewybaczalne zbrodnie — kradzież towaru i donoszenie władzom. Złodziej i kapuś są ścigani do skutku, zemsta dosięga każdego. Od tej reguły nie ma wyjątków.

Strata transportu docierała do świadomości kartelu aż tydzień, bo odbiorca w Gwinei Bissau, przedstawiciel kartelu Ignacia Romera, najpierw poskarżył się, że zapowiedziany statek po prostu się nie zjawił. O ustalonej porze przybył na umówione miejsce i czekał przez całą noc, ale „Belleza del Mar”, którą doskonale znał, nie przybiła do brzegu.

Dwukrotnie kazano mu potwierdzić tę informację, co też zrobił. Potem należało sprawdzić, czy nie zaszło jakieś nieporozumienie. Może „Belleza” popłynęła gdzie indziej? Ale skoro tak, to dlaczego kapitan się nie skontaktował? Miał zapisane w telefonie dwie nic nieznaczące, dwuwyrzowe wiadomości, które miał wysłać w razie kłopotów.

Następnie nadawca, Alfredo Suárez, musiał sprawdzić pogodę. Cały Atlantyk był płaski jak stół. Pożar na pokładzie? Przecież kapitan miał radionadajnik. A nawet gdyby musiał skorzystać z szalupy, to i tak zostawał mu laptop i telefon satelitarny. W końcu Suárez musiał zawiadomić Dona o stracie.

Don Diego przemyślał to sobie i zbadał wszelkie dowody, jakie dostarczył mu Suárez. Niewątpliwie wyglądało to na kradzież, a na czele kolejki podejrzanych stał kapitan statku. Albo ukradł cały transport, bo chciał ubić interes na boku z odbiorcą, który zdradził, albo został napadnięty na pełnym morzu, z dala od namorzynów, i zamordowany wraz z całą załogą. W rachubę wchodziły obie możliwości, ale trzeba je było rozpatrzyć po kolei.

Gdyby złodziejem był kapitan, to pewnie wcześniej powiedziałby o tym rodzinie albo skontaktował się z nią już po zdradzie. Miał żonę i trójkę dzieci mieszkających w tej samej bagnistej wiosce, w której trzymał swój kuter, nad rzeką na wschód od Barranquilli. Don wysłał El Animala, żeby z nią pogadał.

Z dziećmi poszło łatwo. Pochowano je. Oczywiście żywcem. Na oczach matki. Ale i tak nie chciała się przyznać. Umierała przez ładne kilka godzin, a mimo to wciąż twierdziła, że mąż nic jej nie powiedział i że nie zrobił nic złego. W końcu Paco Valdezowi nie pozostawało nic innego, tylko jej uwierzyć. Zresztą skoro umarła, i tak nie mógł jej już dłużej przesłuchiwać.

Don pogrążył się w smutku. Nieprzyjemna historia. W dodatku, jak się okazało, nie przyniosła rezultatów. Ale nieunikniona. Poza tym spowodowała jeszcze większy problem. Skoro nie kapitan, to kto? A jednak był w Kolumbii ktoś jeszcze bardziej zmartwiony niż don Diego Esteban.

Egzekutor najpierw zawiózł całą rodzinę kapitana głęboko do dżungli, a dopiero potem przystąpił do dzieła. Tyle że dżungla

nigdy nie jest całkiem pusta. Krzyki usłyszał pewien chłop, Indianin, i wyrztał spoza liści. A kiedy egzekutor i jego ekipa odjechali, wrócił do swojej wioski i opowiedział o tym, co zobaczył.

Wieśniacy zaprzęgli wołu do wozu, pojechali i przywieźli zwłoki całej czwórki do osady nad potokiem. Wyprawili im chrześcijański pogrzeb. Uroczystość poprowadził ojciec Eusebio, jezuita. Widok, jaki zobaczył, zanim zamknięto trumny, nappełnił go głęboką odrazą.

Po powrocie do misji otworzył szufladę biurka z ciemnego dębu i spojrzął na urządzenie, które miejscowy prowincjał rozdawał kilka miesięcy temu. Normalnie do głowy by mu nie przyszło, żeby go użyć, ale teraz rozpierała go złość. Być może pewnego dnia dowie się czegoś, co nie będzie objęte tajemnicą spowiedzi — a wtedy niewykluczone, że użyje tego amerykańskiego ustrojstwa.

• • •

Drugie uderzenie zapisano na konto SEAL. Także i tym razem była to kwestia znalezienia się we właściwym miejscu o odpowiedniej porze. Global hawk Michelle patrolował bezmiar południowej części Morza Karaibskiego, rozciągający się łukiem od Kolumbii po Jukatan. M/v „Chesapeake” płynął właśnie między Jamajką a Nikaraguą.

Dwa „ścigacze” wymknęły się z namorzynowych bagien w zatoce Urabá na wybrzeżu Kolumbii i pomknęły nie na północny zachód do Colón i Kanału Panamskiego, lecz na północny wschód. Czekająca je długa podróż, niemal na skraj ich zasięgu,

dlatego każdy wypakowany był beczkami z paliwem, nie mówiąc o tonie kokainy na śródokręciu.

Michelle zauważyła je dwadzieścia mil od brzegu. Wprawdzie nie rozwijały maksymalnej prędkości sześćdziesięciu węzłów, tylko płynęły czterdzieści węzłów, ale z wysokości szesnastu tysięcy metrów radary Michelle poznały, że muszą to być ślizgacze. Obliczywszy ich prędkość i kurs, Michelle ostrzegła „Chesapeake”, że pędzą w jego kierunku. Statek pułapka zmienił kurs, żeby je przechwycić.

Drugiego dnia załogi obu „ścigaczy” osłupiały tak samo jak kapitan „Belleza del Mar”. Jak grom z jasnego nieba pojawił się mały śmigłowiec i zawisł przed nimi nad pustym błękitnym morzem. To po prostu niemożliwe, skoro w zasięgu wzroku nie było żadnego okrętu.

Tubalny rozkaz z megafonu, żeby zgasili silniki i się zatrzymali, nie poskutkował. Załogi ślizgaczy — długich, smukłych aluminiowych kadłubów napędzanych czterema zaburtowymi silnikami Yamahy o mocy dwustu koni mechanicznych każdy — uznały, że zdołają prześcignąć śmigłowiec. Przyśpieszyły więc do sześćdziesięciu węzłów i pędziły z zadartymi dziobami, tak że pod powierzchnią znajdowały się tylko silniki, zostawiając za sobą olbrzymi spieniony biały kilwater. Skoro kuter przejęty przez Angoli nazwano Łotrem Jeden, „ścigacze” zyskały nazwy Łotr Dwa i Trzy.

Kolumbijczycy tylko się łudzili, że są szybsi od śmigłowca. Gdy przemknęli pod nim, little bird pochylił się w gwałtownym skręcie i ruszył w pościg. Leciał z prędkością stu dwudziestu węzłów, dwa razy szybciej od ślizgaczy.

Obok pilota z marynarki wojennej, trzymając karabin snajperski M-14, siedział mat Sorenson, najlepszy strzelec wyborowy w plutonie. Mając podpórkę i trzydzieści metrów do celu, nie sądził, żeby mógł chybić.

Pilot znów skorzystał z megafonu.

— Wyłączcie silniki i zatrzymajcie się albo otworzymy ogień — polecił po hiszpańsku.

„Ścigacze” nadal pędziły na północ. Załogi nie miały pojęcia, że w ich kierunku gnają trzy pneumatyczne łodzie sztywnokadłubowe z szesnastoma komandosami SEAL. Komandor porucznik Casey Dixon spuścił na wodę swojego wielkiego RHIB-a i oba mniejsze zodiaki, ale choć były szybkie, to jednak aluminiowe strzały przemytników były szybsze. Little bird musiał je więc spowolnić.

Mat Sorenson wychował się na farmie w Wisconsin, tak daleko od morza, jak to tylko możliwe. Może właśnie dlatego zaciągnął się do marynarki wojennej — żeby zobaczyć morze. Z życia spędzonego na głębokiej prowincji wyniósł jedną umiejętność — obchodzenia się ze sztucercem.

Kolumbijczycy znali zasady. Jak dotąd nie zatrzymał ich żaden śmigłowiec, ale zostali przeszkoleni na taką okoliczność — przede wszystkim mieli chronić silniki. Bez tych ryczących potworów na rufie byłiby bezbronni.

Na widok M-14 zwieńczonego celownikiem teleskopowym skierowanym w ich silniki dwaj ludzie z załogi rzucili się na nie, zakrywając je przed ogniem z karabinu własnymi ciałami. Organy ścigania nigdy nie strzelają człowiekowi prosto w tułów.

Błąd. Te zasady były nieaktualne. Na rodzinnej farmie mat Sorenson kosił króliki z odległości dwustu kroków. Teraz miał większy i bliższy cel, a jego warunki zatrudnienia były jasne. Pierwsza kula przeszła odważnego przemytnika, przebiła kapтур silnika i rozwalila blok silnika Yamahy.

Drugi przemytnik wrzasnął ostrzegawczo i cofnął się. W samą porę — kolejny pocisk przeciwpancerny roztrzaskał następny silnik. „Ścigacz” płynął dalej na dwóch silnikach, ale dużo wolniej — był zbyt obciążony.

Jeden z trzech pozostałych ludzi w ślizgaczach wyciągnął AK-47, na co pilot little birda skrzył gwałtownie i oddalił się. Z wysokości trzydziestu metrów widział czarne plamki — to pontony, rozbryzgując fale, odcinały przemytnikom drogę, rozwijając maksymalną prędkość.

Nieuszkodzony „ścigacz” również je zobaczył. Sternik nie zachodził już dłużej w głowę, skąd oni się wzięli. Po prostu byli, więc musiał próbować uratować ładunek i swoją wolność. Postanowił, że przemknie między nimi i ucieknie, korzystając z przewagi szybkości.

Niewiele brakowało, żeby mu się udało. Uszkodzony „ścigacz” zgasił pozostałe dwa silniki i się poddał, lecz pierwszy nadal pędził z prędkością sześćdziesięciu węzłów. Formacja SEAL rozdzieliła się, zrobiła gwałtowny zwrot i puściła się w pogoń. Gdyby nie śmigłowiec, przemytnik mógłby im zbiec.

Little bird przeleciał tuż nad płaskim jak stół morzem przed „ścigaczem”, skrzył o dziewięćdziesiąt stopni i wypuł sto metrów niewidocznej niebieskiej liny. Mały bawełniany spadochron na końcu pociągnął ją tak, że opadła na powierzchnię

wody. „Ścigacz” skręcił ostro, niemal się wymknął, ale ostatecznie dwadzieścia metrów pływającej na powierzchni liny wpadło pod kadłub i owinęło się wokół czterech śrub. Silniki Yamahy zakrzuszyły się, zakaszły i stanęły.

W tym momencie wszelki opór mijał się z celem. W obliczu plutonu uzbrojonego w pistolety maszynowe MP5 przemytnicy dali się przenieść na wielkiego RHIB-a, gdzie skuto ich kajdanami i włożono kaptury na głowy. Wtedy po raz ostatni widzieli światło dzienne, aż do czasu gdy wysiedli na Eagle Island w archipelagu Czagos, jako goście Jej Królewskiej Mości.

Godzinę później na wyspę zawinął „Chesapeake” i wziął siedmiu więźniów. Dzielny zastrzelony przemytnik dostał błogosławieństwo i kawał łańcucha, żeby szybciej poszedł na dno. Na pokład przeniesiono też dwie tony paliwa do dwusuwów (bo mogło się przydać), różną broń, telefony komórkowe (żeby sprawdzić wszystkie połączenia) oraz dwie tony zbelowanej czystej kolumbijki.

Następnie oba „ścigacze” podziurawiono i ciężkie silniki Yamahy pociągnęły je na dno. Szkoda było marnować sześć całkiem sprawnych i potężnych silników, ale instrukcje Kobry, niewidzialnego i nieznanego komandosom z SEAL, były jednoznaczne: nie wolno im zostawić nic, co dałoby się zidentyfikować. Mieli zgarnąć jedynie ludzi i kokainę i przechować przez określony czas. Cała reszta miała zniknąć raz na zawsze.

Little bird usiadł na luku dziobowym, wyłączył silniki i żuraw opuścił go do jego tajnej siedziby. Trzy pontony wyciągnięto

z wody nad burtą i opuszczono do osobnej ładowni, gdzie po umyciu przeszły przegląd. Komandosi zeszli pod pokład, żeby wziąć prysznic i przebrać się. „Chesapeake” odpłynął. Morze znów opustoszało.

Daleko stamtąd frachtowiec „Stella Maris IV” czekał i czekał. W końcu ruszył w dalszą drogę do Europortu w Rotterdamie, tyle że bez dodatkowego ładunku. Pierwszy oficer wysłał tylko zaskakujący SMS do swojej „dziewczyny” w Cartagenie. Że niby nie zdąży na randkę, bo nie dostarczyli mu samochodu.

Wiadomość przechwyciła Agencja Bezpieczeństwa Narodowego z siedzibą w bazie wojskowej w Fort Meade w stanie Maryland, skąd po rozszyfrowaniu przekazano ją Kобрze. Ten wyraził swą wdzięczność nikłym uśmiechem. SMS zdradził, że celem podróży „ścigaczy” była „Stella Maris IV”. Statek ten był na liście. Na niego także przyjdzie kolej.

• • •

Tydzień po otwarciu przez Kобрę sezonu łowieckiego major Mendoza dostał pierwszy rozkaz wylotu. Global hawk Sam zauważył mały dwusilnikowy samolot transportowy, który wystartował z rancza Boavista, na wysokości Fortalezy wyleciał nad rozległy Atlantyk i obrał kurs czterdzieści pięć stopni, prowadzący na wybrzeże Afryki gdzieś między Liberią a Gambią.

Obrazowanie komputerowe wykazało, że jest to transall, stary produkt współpracy francusko-niemieckiej zakupiony przez Republikę Południowej Afryki, który po zakończeniu czynnej służby sprzedawano w tym kraju z drugiej ręki cywilom.

Ten nieduży samolot był niezawodnym wołem roboczym. Zasięg nie pozwalał mu jednak na pokonanie Atlantyku nawet w najwęższym miejscu. A zatem wyposażono go w dodatkowe wewnętrzne zbiorniki paliwa. Przez trzy godziny transall bezproblemie leciał na północny wschód w niemal czarnej tropikalnej nocy, na pułapie dwóch i pół tysiąca metrów, ponad płaskim nawisem chmur.

Major Mendoza skierował dziób buccaneera na pas startowy i po raz ostatni sprawdził przyrządy. Nie słyszał mówiących po portugalsku kontrolerów z wieży, bo ta od dawna już była zamknięta. Ze słuchawek dobiegał ciepły głos Amerykanki. Dwaj amerykańscy łącznościowcy, których miał do dyspozycji na Fogo, odebrali przed godziną wiadomość i dali mu znać, że ma się szykować do lotu. Teraz przełączyli ją na jego słuchawki. Brazylijczyk nie wiedział, że ta kobieta jest kapitanem sił powietrznych Stanów Zjednoczonych i że siedzi przed ekranem w bazie Creech w Nevadzie. Nie wiedział, że obserwuje tam pulsujący punkcik oznaczający transportowego transalla i że wkrótce on również stanie się takim samym punktem na jej ekranie, a kobieta sprawi, że oba te punkty się spotkają.

Zerknął na personel naziemny stojący w ciemnościach lotniska na Fogo i zobaczył błysk oznaczający zgodę na start. Tak wyglądała jego „wieża kontrolna”, ale spełniała swoje zadanie. Uniósł kciuk na znak aprobaty.

Dwa silniki Spey zawyły głośniejąco, a bucc zadrżał, walcząc z hamulcami i próbując się uwolnić. Mendoza pstryknął włącznikiem RATO i zwolnił hamulce. Bucc wystartował do przodu,

wynurzył się z cienia wulkanu i pilot zobaczył połyskujące w świetle księżyca morze.

Ciąg rakiet wcisnął go w fotel. Samolot nabierał szybkości, aż przekroczył prędkość startową, hurgot kół ucichł i maszyna wzbiła się w powietrze.

— Wejdz na cztery i pół tysiąca metrów, kurs jeden-dziewięć-zero — polecił ciepły, słodki jak melasa głos.

Mendoza spojrział na kompas, ustawił samolot na sto dziewięćdziesiąt stopni i wzniósł się na pułap, jaki mu nakazano.

Po godzinie był czterysta pięćdziesiąt kilometrów na południe od Wysp Zielonego Przylądka i w oczekiwaniu zataczał powolne kółka. Zobaczył cel na godzinie pierwszej. Nad płaskim zwałem chmur pojawił się rogal księżyca, spowijając wszystko słabym białym światłem. Nagle Mendoza ujrzał przemykający pod nim cień, nieco po prawej, który kierował się na północny wschód. Brazylijczyk właśnie zataczał koło. Do końca więc kółko i pomknął za ofiarą.

— Cel masz dokładnie na wprost, tysiąc osiemset metrów pod tobą.

— Zrozumiałem, widzę go. Nawiązałem kontakt.

— Kontakt potwierdzony. Masz zgodę na atak.

Mendoza opadł na tyle, by w świetle księżyca wyraźnie zobaczyć sylwetkę transalla. Wcześniej dostał album ze zdjęciami samolotów, których najczęściej używa się do przemytu kokainy, a to niewątpliwie był transall. Ten model lecący w tym miejscu nie mógł być niewinny.

Odbezpieczył działko Aden, oparł kciuk na spuście i spojrział w celownik zmodyfikowany w Scampton. Wiedział, że jego dwa

działka są tak zestrojone, iż ich połączony ogień koncentrował się w odległości czterystu metrów.

Przez chwilę się wahał. W tej maszynie znajdowali się ludzie. A potem pomyślał o innym człowieku — o chłopcu leżącym na marmurowej płycie w kostnicy w São Paulo. O swoim młodszym bracie. I wystrzelił.

Jego amunicja była mieszanką pocisków rozpryskowych, zapalających oraz smugowych. Jaskrawa smuga miała pokazać mu linię strzału. Pozostałe dwa składniki niszczyły wszystko, w co trafią.

Brazylijczyk patrzył, jak dwie smugi czerwonego ognia oddalają się od niego i zbiegają w odległości czterystu metrów. Obie wbiły się w kadłub transalla po lewej stronie tylnych drzwi towarowych. Przez pół sekundy wydawało się, że samolot transportowy drży w powietrzu. A potem eksplodował.

Mendoza nawet nie zdążył zauważyć, jak transall przełamał się, rozpadł i runął do oceanu. Załoga najwyraźniej dopiero zaczęła pompować paliwo z rezerwy, więc zbiorniki wewnątrz kadłuba były pełne po brzegi. To właśnie w nie trafiły pociski zapalające i samolot się stopił. Spadł deszcz płonących odłamków i było po wszystkim. Zniknął jeden samolot, czterech ludzi i dwie tony kokainy.

Major Mendoza jeszcze nigdy nikogo nie zabił. Przez kilka sekund gapił się na dziurę w niebie, gdzie przed chwilą był transall. Całymi dniami zastanawiał się, jakie to będzie uczucie. Teraz już wiedział. Czuł jedynie pustkę. Ani radości, ani wyrzutow sumienia. Wielokrotnie powtarzał sobie: myśl o Manolu

na tej marmurowej płycie — miał szesnaście lat, nawet nie zdążył zakosztować życia.

— Cel zniszczony — oznajmił teraz pewnym głosem.

— Wiem — odpowiedziała kobieta z Nevady. Widziała, jak dwa pulsujące punkty zwały się w jeden. — Utrzymuj wysokość. Kurs trzy-pięć-pięć do bazy.

Siedemdziesiąt minut później Brazylijczyk patrzył, jak zapalają się dla niego światła na pasie startowym Fogo i gasną, gdy kołował do skalnego hangaru. Łotr Cztery znikł bez śladu.

Trzysta mil dalej, w Afryce, grupa mężczyzn czekała na pasie startowym w dżungli. Czekali w nieskończoność. O świcie wsiedli do swoich SUV-ów i odjechali. Jeden z nich wysłał zaszyfrowany e-mail do Bogoty.

• • •

Alfredo Suárez, szef ekspedycji towaru z Kolumbii do klientów, obawiał się o własne życie. Stracili zaledwie pięć ton. Zagwarantował Donowi, że dostarczy po trzysta ton na każdy docelowy kontynent i że dwieście ton zapasu w zupełności wystarczy na pokrycie strat podczas transportu. To akurat nie stanowiło problemu.

Don właśnie tłumaczył mu — osobiście i z mrozącym krew w żyłach spokojem — że Hermandad ma podwójny kłopot. Po pierwsze, wyglądało na to, że cztery różne transporty, wysłane trzema różnymi drogami, albo ktoś przejął, albo zniszczył. Dużo bardziej niepojęty — a Don nie znosił sytuacji, których nie pojmował — był fakt, że nie mieli najmniejszego śladu ani wskazówki, co poszło nie tak.

Kapitan „Belleza del Mar” powinien zgłosić, że ma taki czy inny kłopot. Ale nie zgłosił. Dwa „ścigacze” powinny skorzystać z telefonów komórkowych w razie wpadki, ale nie skorzystały. Również transall wystartował z pełnym zapasem paliwa i nic nie szwankowało, a jednak zniknął z powierzchni ziemi, nie nadawszy sygnału alarmowego.

— Przyznasz, mój drogi Alfredo, że to tajemnicza sprawa.

— Don był najbardziej przerażający, kiedy zbierało mu się na czułości.

— Tak jest, don Diego.

— Czy przychodzi ci do głowy jakieś wytłumaczenie?

— Żadne. Wszyscy przewoźnicy mają stosowne środki łączności. Komputery, telefony komórkowe, radionadajniki na statkach. I SMS-y z zaszyfrowaną wiadomością, że coś jest nie tak. Zawsze sprawdzali sprzęt i uczyli się wiadomości na pamięć.

— A mimo to milczą — mruknął Don w zadumie.

Wysłuchawszy raportu egzekutora, doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne, by kapitan „Belleza del Mar” sam stał za swoim zniknięciem.

Kapitan był całym sercem, oddany rodzinie, wiedział, co ją czeka, gdyby zdradził kartel, a przedtem sześciokrotnie z powodzeniem pływał do Afryki Zachodniej.

Dwa z tych trzech tajemniczych wypadków miały tylko jeden wspólny mianownik. Zarówno kuter rybacki, jak transall zmierzwały do Gwinei Bissau. Więc nawet jeśli los dwóch „ścigaczy”, które wypłynęły z zatoki Urabá, wciąż pozostawał zagadką, wyraźnie było widać, że w Gwinei dzieje się coś wielce niepokojącego.

— Alfredo, czy w najbliższym czasie planujesz kolejną wy-
syłkę do Afryki Zachodniej?

— Tak, don Diego. W przyszłym tygodniu. Pięć ton drogą
morską do Liberii.

— Zmień to na Gwineę Bissau. Masz jakiegoś młodego,
naprawdę zmyślnego chłopaka, któremu możesz zaufać?

— Álvaro. Álvaro Fuentes. Jego ojciec był szychą w starym
kartelu z Cali. Jest wręcz stworzony do tej roboty. I niezwykle
lojalny.

— Wobec tego pojedzie z tym transportem. Ma się kontak-
tować co trzy godziny, w dzień i w noc, przez całą drogę. Wia-
domości będą zapisane zawczasu w laptopie i komórce. Wy-
starczy tylko nacisnąć klawisz. A po naszej stronie ludzie cały
czas mają prowadzić nasłuch. Bez przerwy, na zmianę. Czy
wyrażam się jasno?

— Najzupełniej, don Diego. Tak się stanie.

• • •

Ojciec Eusebio w życiu nie widział czegoś takiego. Jego roz-
legła prowincjonalna parafia obejmowała wiele wiosek, za-
mieszkaną przez skromnych, ciężko pracujących biednych
ludzi. Nie dla niego jaskrawe światła i luksusowe przystanie
Barranquilla i Cartageny. Dlatego coś, co zacumowało u ujścia
rzeki wypływającej spomiędzy namorzynów i wpadającej do
morza, zupełnie tu nie pasowało.

Cała wioska wyszła na chwiejny drewniany pomost, żeby się
napatrzeć. Statek długości ponad pięćdziesięciu metrów lśnił
bielą. Miał luksusowe kabiny na trzech pokładach i był

wypucowany przez załogę do połysku. Nikt nie wiedział, do kogo należy, i nikt z załogi nie zszedł na ląd. Bo i po co? Żeby zobaczyć zabita dechami wiochę z jednym sklepikiem i biegnącą przez środek bitą drogą, po której snuły się kury?

Pocciwy jezuita nie wiedział, że statek zacumowany za dwoma zakrętami rzeki, które osłaniały go przed wykryciem od strony oceanu, był superluksusowym jachtem pełnomorskim firmy Feadship. Miał sześć urządzonych z przepychem prywatnych kabin dla właściciela i jego gości oraz dziesięcioosobową załogę. Powstał trzy lata wcześniej w holenderskiej stoczni na zamówienie właściciela. Gdyby wystawiono go w katalogu Edmondsona na sprzedaż (czego nie było w planach), cena wynosiłaby minimum dwadzieścia milionów dolarów.

To dziwne, ale większość ludzi rodzi się w nocy i większość też w nocy umiera. O trzeciej nad ranem ojca Eusebio obudziło pukanie do drzwi. Dobijała się do niego mała dziewczynka ze znanej mu rodziny, by powiedzieć, że dziadzio pluje krwią i mama obawia się, iż może nie dożyć ranka.

Ojciec Eusebio znał tego człowieka. Ten sześćdziesięcioletni mężczyzna wyglądał na dziewięćdziesiątkę i przez pół wieku palił najpodlejszy tytoń pod słońcem. Od dwóch lat pluł śluzem i krwią. Proboszcz włożył sutannę, wziął stulę i różaniec i szybko poszedł za dziewczynką.

Rodzina mieszkała nad samą wodą, w jednym z ostatnich domów wychodzących na rzekę. Rzeczywiście, starzec umierał. Ojciec Eusebio udzielił mu ostatniego namaszczenia i siedział przy nim, aż chory zapadł w sen, z którego już się nie obudził. Zanim starzec odszedł na dobre, poprosił jeszcze o papierosa.

Proboszcz wzruszył ramionami, więc córka pozwoliła ojcu zapalić. Ksiądz nic więcej nie mógł zrobić. Za kilka dni pochowa swojego parafianina. A tymczasem musiał wrócić i pospać jeszcze trochę.

Wychodząc, zerknął na wodę. Między mołem a zacumowanym jachtem wielka otwarta łódź z pyrkotaniem silnika wypływała w morze. Na pokładzie było trzech mężczyzn, a na ławce leżało kilka bel. Na rufie luksusowego jachtu paliły się światła — kilku członków załogi czekało na odbiór ładunku. Obserwując to, ojciec Eusebio splunął na ziemię. Pomyślał o rodzinie, którą pochował dziesięć dni wcześniej.

Po powrocie do siebie zaczął się szykować do snu. Przerwał jednak, podszedł do szuflady i wyciągnął amerykańskie urządzenie. Nie miał pojęcia, jak wysłać SMS, nigdy nie miał telefonu komórkowego. Ale zachował karteczkę, na której zapisał kolejność wciskania klawiszy, gdyby chciał skorzystać z tego małego ustrojstwa. Nacisnął je więc po kolei. Usłyszał kobiecy głos:

— *Oiga?*

Ksiądz nachylił się do telefonu.

— *Se habla español?* — upewnił się.

— *Claro, Padre* — uspokoiła go kobieta. — *Que quiere?*

Nie bardzo wiedział, jak to ubrać w słowa.

— Do mojej wioski przybił olbrzymi jacht. Chyba właśnie bierze na pokład wielką ilość białego proszku.

— Czy zna pan jego nazwę, ojciec?

— Tak, widziałem ją na rufie. Wypisana złotymi literami. Nazywa się „Orion Lady”.

Nagle opuściła go odwaga i szybko przerwał połączenie, żeby nie dać się namierzyć. Komputerowa baza danych w ciągu pięciu sekund zidentyfikowała telefon i osobę, która dzwoniła, oraz ustaliła dokładną lokalizację. Po kolejnych dziesięciu miała już dane „Orion Lady”.

Właścicielem jachtu okazał się Nelson Bianco z Nikaragui — multimilioner, playboy, gracz w polo i imprezowicz. Jednostki tej nie było na liście statków przerabianych przez spawacza Juana Corteza. Ściągnięto jednak ze stoczni plan pokładu i przekazano do global hawk Michelle. Samolot wykrył jacht przed świtem, gdy wypłynął z namorzynów na otwarte morze.

Rano przeprowadzono kolejne badania, w tym kalendarza imprez towarzyskich, i okazało się, że señor Bianco wybiera się do Fort Lauderdale na turniej golfa.

Gdy „Orion Lady” zmierzała na północny zachód, by ominąć Kubę od strony Jukatenu, statek pułapka „Chesapeake” wyruszył, by odciąć jej drogę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lista Łapowników zawierała sto siedemnaście nazwisk. Obejmowała urzędników na państwowych pensjach z osiemnastu krajów — Stanów Zjednoczonych i Kanady oraz szesnastu państw europejskich. Kobra uparł się, żeby przeprowadzić losowy sprawdzian, zanim wyrazi zgodę na zwolnienie panny Letizii Arenal z aresztu w Nowym Jorku. Wybrał Herr Eberhardta Milcha, starszego inspektora celnego w hamburskim porcie. Cal Dexter poleciał do hanzeatyckiego portu, żeby przekazać złe wieści.

Zebranie zwołane na prośbę Amerykanów w centrali dyrekcji urzędu celnego w Hamburgu przy Rödingsmarkt było nieco dziwne.

Obok Dextera zasiadał wysoki rangą przedstawiciel DEA w Niemczech, już wcześniej znany niemieckiej delegacji. Ten z kolei nie miał pojęcia, jaki jest status człowieka z Waszyngtonu, o którym nic nie słyszał. Ale instrukcje z Army Navy Drive,

gdzie mieści się centrala DEA, były zwięzłe i konkretne. Gość jest wpływowy, mają z nim współpracować i już.

Dwaj ludzie przylecieli z Berlina: jeden z ZKA — niemieckiego Federalnego Urzędu Celnego — a drugi z BKA, wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej niemieckiego Federalnego Urzędu Kryminalnego. Poza tym byli jeszcze dwaj miejscowi — hamburczycy z urzędu celnego i policji kraju związkowego. Pierwszy z nich odgrywał rolę gospodarza, spotkanie odbywało się w jego gabinecie. Najwyższy rangą był jednak Joachim Ziegler z wydziału celnego i kryminalnego, siedzący naprzeciwko Dextera.

Dexter się streszczał. Wyjaśnienia były zbędne, zebrali się sami profesjonaliści. Czterej Niemcy wiedzieli, że skoro Amerykanie proszą o przyjęcie ich dwóch ludzi, to znaczy, że dzieje się coś złego. Tłumacze też nie byli potrzebni.

Jankes zdradził tylko tyle, co przyjęto ze zrozumieniem, że DEA w Kolumbii dostał pewne informacje. Niewypowiedziane słowo „kret” zawisło w powietrzu. Na stole stała kawa, ale nikt nie pił.

Dexter podsunął kilka kartek Herr Zieglerowi, który przeczytał je uważnie i przekazał kolegom. Człowiek z hamburskiej ZKA zagwizdał cicho.

— Znam go — mruknął.

— No i? — zapytał Ziegler, głęboko zażenowany. Niemcy są niezwykle dumni z olbrzymiego, supernowoczesnego Hamburga. To straszne, że Amerykanie przynieśli mu coś takiego.

Człowiek z Hamburga wzruszył ramionami.

— Wszystkie szczegóły mają w kadrach. Jeśli dobrze

pamiętam, całe życie przepracował w służbie, zostało mu kilka lat do emerytury. Kariera bez skazy.

Ziegler postukał w leżące przed nim papiery.

— A jeśli dostaliście mylne informacje? Albo celowo wprowadzono was w błąd?

W odpowiedzi Dexter pchnął po biurku jeszcze kilka kartek. Asa atutowego. Joachim Ziegler przejrzał je uważnie. Wyciągi z kont. Z małego prywatnego banku na Wielkim Kajmanie. Tak tajne, jak to tylko możliwe. Ba, tylko czy są autentyczne... Każdy może zmajstrować dane bankowe, skoro nie sposób ich zwerfikować.

— Panowie, wszyscy znamy zasadę, że należy mówić tylko to co konieczne — odezwał się Dexter. — Nie jesteśmy nowicjuszami w naszym dziwnym fachu. Rozumiecie, oczywiście, że mam swoje źródło. Źródło, które musimy chronić za wszelką cenę. Co więcej, chyba nie chcecie wpakować się w aresztowanie człowieka i oskarżenie go na podstawie niesprawdzalnych zarzutów, które nie utrzymają się przed żadnym niemieckim sądem. Pozwólcie, że podsunę wam pewien fortel.

Zaproponował im ni mniej, ni więcej tylko tajną operację. Milch będzie musiał interweniować, żeby uchylić decyzję podwładnego. W ich sprzeczkę wtrąci się, całkiem przypadkowo, przechodzący akurat obok funkcjonariusz ZKA. Zdanie faceta z wydziału kryminalnego przeważy. Otworzą przesyłkę. Jeśli nic nie znajdą, to znaczy, że Amerykanie byli w błędzie. Przeproszą wszystkich serdecznie i po sprawie. Ale telefon domowy i komórka Milcha jeszcze tygodniami będą na podsłuchu.

Przygotowania zajęły tydzień, a kolejne siedem dni dopinali zasadzkę na ostatni guzik. Kontener, o który im chodziło, był jednym z setek wyładowanych z olbrzymiego frachtowca z Wenezueli. Tylko jeden człowiek dostrzegł dwa małe koncentryczne kółka z krzyżem maltańskim w środku mniejszego. Główny inspektor Milch osobiście zwolnił kontener z odprawy i pozwolił załadować go na czekającą ciężarówkę z platformą, która wybierała się w głąb kraju.

Kierowca, jak się okazało Albańczyk, stał już przed ostatnim szlabanem, gdy ten uniósł się i natychmiast opadł z powrotem. Młody celnik o różowej cerze ruchem ręki kazał ciężarówce zjechać do zatoki.

— Kontrola wyrywkowa — powiedział. — *Papieren, bitte.*

Albańczyk nie mógł wyjść ze zdumienia. Miał przecież dokument odprawy celnej, podpisany i ostemplowany. Posłusznie zjechał na bok i szybko zadzwonił z telefonu komórkowego. Siedząc w swojej wysokiej szoferce, poza zasięgiem słuchu, rzucił kilka słów po albańsku.

W Hamburgu wyrywkowa kontrola celna zwykle przebiega na dwa sposoby. Pobieźna to tylko prześwietlenie, poważna polega na otwarciu kontenera. Młody celnik tak naprawdę był funkcjonariuszem ZKA i dlatego wyglądał, jakby był świeży w tej pracy. Ruchem ręki kazał ciężarówce podjechać na miejsce przeznaczone do szczegółowej kontroli. Nagle przerwał mu o wiele wyższy stopniem celnik, który nadbiegł ze swojej budki.

Nowy, bardzo młody i niedoświadczony inspektor nie podważa zdania nadinspektora. Ten jednak zaczął się wyklócać.

Bronił swojej decyzji jak lew. Starszy celnik protestował. Zwolnił tę ciężarówkę na podstawie kontroli wrywkowej, którą przeprowadził osobiście. Nie ma potrzeby dwukrotnie robić tego samego. To czysta strata czasu. Nie zauważył, że od tyłu podjeżdża do niego mały sedan. Dwaj agenci ZKA po cywilnemu wysiedli i mignęli legitymacjami.

— *Was ist los?* — zapytał jeden z nich, nawet sympatycznie. W niemieckiej biurokracji stopień służbowy ma wielkie znaczenie. Ludzie z ZKA mieli ten sam stopień co Milch, ale skoro pracowali w wydziale kryminalnym, do nich należał decydujący głos. Wobec tego kontener otwarto. Sprowadzono psy i wyładowano zawartość. Psy zupełnie zignorowały ładunek, zaczęły natomiast obwąchiwać i obszczekiwać tylną ścianę kontenera. Ciężarówkę, w towarzystwie celników, odstawiono do w pełni wyposażonego warsztatu. Trzej ludzie z ZKA — dwaj jawni i młody tajniak, który podczas tej policyjnej pułapki zdobywał pierwsze szlify — wciąż stwarzali sztucznie miłą atmosferę.

Facet z palnikiem acetylenowo-tlenowym wyciął fałszywą tylną ściankę. Po zważeniu ukrytych za nią klocków okazało się, że są tam dwie tony kolumbijskiej *puro*. Albańczyk już wcześniej został zakuty w kajdanki. Udawano, że cała czwórka, w tym Milch, miała wyjątkowy fart i zgarnęła przemysł pomimo wcześniejszej, ale całkiem zrozumiałej pomyłki inspektora celnego. Ostatecznie importerem była szanowana hurtownia kawy w Düsseldorfie. Podczas świętowania tego przy kawie Milch przeprosił na chwilę, wyszedł do męskiej ubikacji i zadzwonił z komórki.

Błąd. Telefon był na podsłuchu. Każde wypowiedziane przez niego słowo słychać było w furgonetce zaparkowanej pół kilometra dalej. Jeden z mężczyzn przy stoliku z kawą także zadzwonił ze swojej komórki. Kiedy Milch wyszedł z ubikacji, został aresztowany.

Dopiero gdy posadzono go w pokoju przesłuchań, zaczął protestować na dobre. Nie wspomniano o kontaktach bankowych na Kajmanach. Tak ustalili z Dexterem, który tłumaczył, że w ten sposób spaliliby informatora w Kolumbii. Dzięki temu Milch miał jednak pierwszorzędny argument do obrony. Mógł utrzymywać, że przecież „wszyscy popełniamy błędy”. Trudno byłoby mu udowodnić, że parał się tym przez lata. I że chciał przejść na emeryturę jako prawdziwy krezus. Dobry prawnik przed wieczorem wyciągnąłby go z aresztu za kaucją i załatwił mu uniewinnienie, gdyby w ogóle doszło do procesu. Wiadomość, którą przekazał przez podsłuchiwany telefon, była zakodowana — niewinna informacja, że wróci do domu później niż zwykle. Numer, z którym się połączył, nie należał do jego żony, była to komórka, która natychmiast po tej rozmowie zniknęła. Ale każdemu się zdarza wybrać zły numer.

Nadinspektor Ziegler — nie tylko funkcjonariusz urzędu celnego, lecz także dyplomowany prawnik — zdawał sobie sprawę ze słabości argumentów, którymi dysponował. Chciał jednak zablokować wjazd tych dwóch ton kokainy do Niemiec — i mu się udało.

Albańczyk, twardy jak skała, nie powiedział ani słowa poza tym, że jest tylko kierowcą. Policja z Dusseldorfu zrobiła nalot

na hurtownię kawy. Psy policyjne, szkolone do odróżniania zapachu narkotyku od kawy, często używanej jako zasłona dymna, zwietrzyły kokainę i rozszalały się.

I wtedy Ziegler, gliniarz pełną gębą, zdał się na intuicję. Milch nie znał albańskiego. Poza Albańczykami mało kto posługiwał się tym językiem. Ziegler posadził więc celnika przed lustrem weneckim, ale z włączonym na maksimum dźwiękiem z sąsiedniego pokoju przesłuchań. Tak że Milch mógł obserwować zeznającego Albańczyka.

Tłumacz języka albańskiego przekazywał pytania niemieckiego oficera kierowcy i przekładał jego odpowiedzi. Pytania były łatwe do przewidzenia. Milch je rozumiał, padały w jego ojczystym języku, ale w kwestii odpowiedzi musiał się zdać na tłumacza. I chociaż Albańczyk tak naprawdę dowodził, że jest niewinny, to z głośników słychać było, jak wyczerpująco zeznaje, że w razie kłopotów w hamburskim porcie kazano mu się natychmiast odwołać do niejakiego nadinspektora Eberhardta Milcha, który wszystkim się zajmie i wyśle go w dalszą drogę bez kontroli.

W tym momencie zdruzgotany Milch się załamał. Jego pełne zeznania trwały bite dwa dni, a spisywała je cała ekipa stenografów.

• • •

„Orion Lady” wpłynęła do basenu Morza Karaibskiego na południe od Jamajki i na wschód od Nikaragui, kiedy kapitan — stojący w nienagannie odprasowanym garniturze z białego

tropiku obok sternika na mostku — zauważył coś i z niedowierzaniem przetarł oczy.

Szybko zerknął na przeszukujący morze radar. W promieniu wielu mil, od horyzontu po horyzont, nie było żadnego statku. Ale to przecież wyraźnie był śmigłowiec, nic innego. Leciał wprost na nich od strony dziobu, niemal szorując brzuchem powierzchnię niebieskiej wody. Kapitan doskonale wiedział, co przewozi, bo sam pomagał w załadunku trzydzieści godzin wcześniej, i poczuł, że ze strachu serce podchodzi mu do gardła. Śmigłowiec był mały, niewiele większy od zwiadowczego, ale kiedy przemknął po lewej od dziobu, zawrócił i natarł na statek, na brzuchu odsłonił wyraźny napis: Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych. Kapitan wbiegł do salonu, żeby zawiadomić swojego pracodawcę.

Na mostku dołączył do niego Nelson Bianco. Playboy był boso, tylko w kwiecistej hawajskiej koszuli i spodniach bojówkach. Czarne loki miał jak zawsze utlenione i polakierowane, a w rękę trzymał swój znak firmowy — cygaro marki Cohiba. Tym razem, o dziwo, nie wziął na pokład pięciu czy sześciu odlotowych pańienek, ale to tylko z powodu ładunku, jaki wiozł z Kolumbii.

Dwaj mężczyźni patrzyli, jak little bird naciera na nich, tuż nad powierzchnią oceanu. Nagle przez otwarte drzwi śmigłowca zobaczyli, że obok pilota siedzi dobrze przypięty komandos z SEAL w czarnym kombinezonie, zwrócony w ich stronę. Trzymał wycelowany prosto w nich karabin snajperski M-14.

— „Orion Lady”, „Orion Lady”, tu marynarka wojenna

Stanów Zjednoczonych! — zagrzemiał głos z maleńkiego śmigłowca. — Proszę wyłączyć silniki. Wchodzimy na pokład.

Bianco nie wyobrażał sobie, jak zamierzają tego dokonać. Na rufie było wprawdzie lądowisko dla śmigłowców, tyle że stał tam pod brezentem jego sikorsky. Nagle kapitan szturchnął go w bok i wskazał przed siebie. Na wodzie pojawiły się trzy ciemne plamy, jedna wielka i dwie mniejsze; pędziły dziób w dziób, prosto na nich.

— Cała naprzód! — warknął Bianco. — Cała naprzód, już!

Była to durna reakcja, czego kapitan nie omieszkiał natychmiast mu wytknąć.

— Szefie, nigdy ich nie prześcigniemy. A próbując, tylko się zdradzimy.

Bianco zerknął na wiszącego w powietrzu little birda, pędzącego RHIB-y i karabin wycelowany w jego głowę z odległości pięćdziesięciu metrów. Trudno, musieli się zachowywać, jak gdyby nic się nie stało. Skinął głową.

— Wyłączyć silniki — polecił i wyszedł na pokład. Wiatr zmierzwił mu włosy i po chwili przestał wiać. Bianco zdobył się na szeroki, wylewny uśmiech, jakby był zachwycony możliwością współpracy. Pięć minut później komandosi SEAL byli już na jego jachcie.

Komandor porucznik Casey Dixon był uprzedzająco grzeczny. Powiedziano mu, że jego cel „ma towar” — niczego więcej nie było mu trzeba. Odmówił szampana zaproponowanego jemu i jego ludziom, kazał zaprowadzić właściciela i załogę jachtu na rufę i trzymać ich na muszce. „Chesapeake” nie pokazał się jeszcze na horyzoncie. Nurek wdział skafander i resztę

sprzętu do nurkowania Draegera i wyskoczył za burtę. Przebywał pod wodą pół godziny. Gdy się wynurzył, oznajmił, że nie znalazł ukrytych drzwi do schowka, pojemników czy wyrzyszeń na kadłubie ani zwisających nylonowych linek.

Dwaj szperacze zaczęli poszukiwania. Nie wiedzieli, że krótka wiadomość od przerażonego wiejskiego księdza, który zadzwonił z telefonu komórkowego, mówiła tylko o „wielkiej ilości”. Czyli o jakiej?

Spaniel zwęszył trop i wówczas okazało się, że jest tego tona. „Orion Lady” nie należała do statków, w których Juan Cortez wbudował w zasadzie niewykrywalne schowki. Dzięki czystej arogancji Bianco sądził, że mu się upieczce. Zakładał, że tak luksusowy jacht, doskonale znany w najdroższych i najsłynniejszych kurortach świata, od Monte Carlo po Fort Lauderdale, jest poza wszelkim podejrzeniem, co dotyczy również jego. Gdyby chodziło tylko o starego jezuitę, który pochował w dżungli cztery okaleczone ciała, może i miałby rację.

Podobnie jak to było podczas kontroli przeprowadzonej przez SAS, także i teraz superczuły węch naprowadził spaniela na zmiany zapachu powietrza i kazał mu się zainteresować jedną z płyt w podłodze maszynowni. Zbyt świeża woń świadczyła, że ktoś ją niedawno podnosił. Pod nią znajdowało się wejście do ładowni.

I tak jak Brytyjczycy na Atlantyku, tu również szperacze wdziali maski tlenowe i precyzyjnie przeszli przez otwór. Nawet na tak luksusowym jachcie ładownie śmierdzą. Szperacze po kolei wysuwali na górę bele, a ci komandosi, którzy nie pilnowali

więźniów, wyciągali je na pokład i układali między głównym salonem a ładowiskiem dla śmigłowca. Bianco głośno protestował, że nie ma pojęcia, co to takiego... że to jakiś podstęp... nieporozumienie. Że zna gubernatora Florydy. Kiedy włożono mu na głowę czarny kaptur, krzyki przeszły w mamrotanie. Komandor Dixon wystrzelił z raketnicy w powietrze, na co krążący w górze global hawk Michelle wyłączył zagłuszanie. Chociaż na „Orion Lady” nikt nawet nie próbował nic nadać. Gdy odzyskali łączność, Dixon wezwał „Chesapeake”.

Dwie godziny później Nelson Bianco, jego kapitan i załoga byli w ładowni na dziobie, w towarzystwie siedmiu ludzi ze „ścigaczy”, którzy przeżyli. Milioner i playboy zazwyczaj nie obracał się w takich kręgach i wcale mu się to nie podobało. Ale przez dłuższy czas to oni mieli mu dotrzymywać towarzystwa przy stole i poza nim, a wkrótce miał dać upust swojemu upodobaniu do tropików, tyle że na środku Oceanu Indyjskiego. Niestety, w karcie dań nie było zabawowych pańienek.

Nawet pirotechnikowi zrobiło się szkoda pięknej łodzi.

— Naprawdę musimy spisać ten jacht na straty, komandorze? To prawdziwe cacko.

— Takie rozkazy — odparł dowódca. — Żadnych wyjątków.

Komandosi SEAL z pokładu „Chesapeake” patrzyli, jak „Orion Lady” eksploduje i idzie pod wodę. Jeden z nich wzniosł tradycyjny okrzyk zwycięstwa SEAL, ale pobrzmiwała w nim nutka żalu. Kiedy morze opustoszało, „Chesapeake” ruszył w drogę. Godzinę później minął się z innym frachtowcem, którego

kapitan obserwował go przez lornetkę, acz bez specjalnego zainteresowania — ot, kolejny zbożowiec płynący w interesach.

•••

W całych Niemczech organy ścigania miały pełne ręce roboty. W obszernych zeznaniach — teraz już oficjalnie głęboko utajnionych, żeby informator nie stracił życia — Eberhardt Milch wymienił z nazwy kilkunastu wielkich importerów, których kontenery przepuszczał bez odprawy celnej w hamburskim porcie. Na wszystkie te firmy urządzono nalot i zostały zamknięte.

Policja federalna i krajów związkowych przeprowadziła naloty na magazyny, pizzerie (ulubione przykrywki kalabryjskiej 'ndranghety), hurtownie żywności i sklepy z rękodziełem, specjalizujące się w etnicznych rzeźbach z Ameryki Południowej. Rozbebeszano tam puszki z tropikalnymi owocami, żeby wydobyć z nich torebki białego proszku, i rozbijano figurki bożków Majów z Gwatemali. Za sprawą jednego człowieka niemiecka operacja Dona legła w gruzach.

Jednakże Kobra doskonale zdawał sobie sprawę, że importerzy zdążyli już przejąć kokainę, a zatem straty szły na konto europejskich gangów. Kartel poniósłby straty tylko wtedy, gdyby doszło do tego wcześniej. Tak jak w przypadku kontenera z fałszywą tylną ścianką w Hamburgu, który nie opuścił portu, oraz „Orion Lady” wiozącej towar dla kubańskiego gangu z południowej Florydy, która wciąż powinna być na morzu. Fakt,

że nie pojawiła się w Fort Lauderdale, jak dotąd nie wzbudził niepokoju. Jeszcze nie.

Udowodnili jednak, że Lista Łapowników jest wiarygodna. Kobra wybrał przekupionego celnika z Hamburga na chybił trafił, było to jedno ze stu siedemnastu nazwisk, a zatem prawdopodobieństwo, że mieli do czynienia z zawczasu uknutym spiskiem, było minimalne.

— To co, zwolnimy teraz dziewczynę? — zapytał Dexter.

Devereaux skinął głową. Osobiście miał to gdzieś. Uczucie litości było mu z gruntu obce. Ale wykorzystali już dziewczynę i nie była im dłużej potrzebna.

Dexter wprawił tryby maszyny w ruch. Dzięki dyskretnej interwencji inspektor Paco Ortega z UDYCO w Madrycie awansował na nadinspektora. Obiecano mu ponadto, że już wkrótce dostanie Julia Luza i bank Guzmana.

Z drugiej strony Atlantyku wysłuchał Cala Dextera i zaplanował podstęp. W rolę bagażowego wcielił się młody tajniak. Publicznie i z dużym hukiem aresztowano go w barze i podrzucano cynk mediom. Dziennikarze przepytali barmana i dwóch stałych bywalców — ich relacje były ze sobą zbieżne.

Na podstawie informacji uzyskanych z anonimowego źródła dziennik „El País” opublikował wielki artykuł o rozbiciu gangu, który z pomocą bagażowych przemycił narkotyki w walizkach niczego niepodejrzewających podróżnych z madryckiego lotniska Barajas na nowojorskie lotnisko imienia Kennedy'ego. Większość członków gangu zdołała zbiec, ale jeden bagażowy po aresztowaniu podał wykaz lotów, przy których po tradycyjnym prześwietleniu bagażu otwierał walizki i podrzucał kokainę.

Kilka razy potrafił nawet dość dobrze opisać te walizki.

Mecenas Boseman Barrow nie miał natury hazardzisty. Nie przepadał za kasynami, grą w kości i karty czy wyścigami konnymi, uważając, że jest to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Inaczej postawiłby ostatniego centa na to, że señorita Letizia Arenal spędzi długie lata w więzieniu. No i by przegrał.

Akta z Madrytu trafiły do DEA w Waszyngtonie, gdzie bliżej nieznane władze kazały przesłać do prokuratury okręgowej w Brooklynie kopię tego, co dotyczy klientki mecenas Barrowa. A skoro już tam trafiły, należało nadać sprawie bieg. Wbrew obiegowemu przekonaniu prawnicy wcale nie są tacy źli. Prokuratura okręgowa zawiadomiła Barrowa o wieściach z Madrytu, a on natychmiast złożył wniosek o wycofanie zarzutów. Bo chociaż nie udowodniono niewinności jego klientki ponad wszelką wątpliwość, to w świetle nowych informacji akt oskarżenia był dziurawy jak sito.

Na zamkniętej rozprawie, której przewodniczył sędzia studiujący prawo na tym samym roku co Boseman Barrow, przyjęto wniosek obrony. Dalszy los Letizii Arenal zależał teraz już nie od prokuratury, lecz od INS — Służby Imigracji i Naturalizacji. Ta orzekła, że chociaż Kolumbijka nie jest już o nic oskarżona, to jednak nie może pozostać na terenie Stanów Zjednoczonych. Poproszona o wybór miejsca, do którego chce być deportowana, wskazała Hiszpanię. Dwaj oficerowie INS odwieźli ją na lotnisko Kennedy'ego.

•••

Paul Devereaux wiedział, że jego pierwsza przykrywka długo już się nie utrzyma. Polegała na tym, że w zasadzie nie istniał. Studiował wszystkie strzępy informacji zebranych na temat osoby i charakteru don Diega Estebana, uchodzącego za głowę kartelu, chociaż nikt nigdy tego nie udowodnił.

Fakt, że ten bezwzględny *hidalgo*, potomek postimperialnych hiszpańskich arystokratów, tak długo pozostawał nietykalny, wynikał z wielu czynników.

Chociażby z tego, że absolutnie nikt nie zgadzał się zeznać przeciwko niemu. Poza tym wszyscy, którzy mu się sprzeciwiali, jakże dogodnie rozplływali się w powietrzu. Ale nawet to by nie wystarczyło, gdyby nie kolosalne poparcie polityczne. Don Diego miał wpływy w najwyższych kręgach władzy, i to niemałe.

Nieustannie sponsorował akcje dobroczynne, zawsze szeroko nagłaśniane. Wspomagał finansowo szkoły i szpitale, fundował stypendia i nagrody, a wszystko to robił dla biednych mieszkańców dzielnic nędzy.

Finansował także, ale już bez rozgłosu, nie jedną, lecz wszystkie partie polityczne, włącznie z partią prezydenta Álvara Uribe, który poprzysiągł, że zniszczy handlarzy kokainy. Zawsze dbał o to, żeby informacje o datkach dotarły do wiadomości tych, którzy dzierżyli władzę. Płacił nawet za wychowanie sierot po zamordowanych policjantach i celnikach, choć ich koledzy podejrzewali, kto zlecił te zabójstwa.

Przed wszystkim jednak zabiegał o przychylność Kościoła katolickiego. Gdy jakiś klasztor czy plebania zaczynały się sypać, od razu składał datek na odbudowę. Robił to na pokaz, tak

samo jak na pokaz regularnie pojawiał się wśród chłopów i pracowników farmy w parafialnym kościele przylegającym do jego posiadłości, czyli oficjalnej wiejskiej rezydencji, a nie jednej z wielu farm kupionych na podstawione nazwiska, w których spotykał się z innymi członkami Bractwa — tworu powołanego w celu produkcji i sprzedaży do ośmiuset ton kokainy rocznie.

— Toż to prawdziwy mistrz! — mruknął z podziwem Devereaux. Miał tylko nadzieję, że w przeciwieństwie do niego Don nie czytał *Sztuki wojny*.

Kobra zdawał sobie sprawę, że litanii zaginionych transportów, aresztowanych agentów i rozbitych siatek odbiorców nie da się dłużej przypisywać zrządzeniu losu. Mądry człowiek akceptuje określoną liczbę zbiegów okoliczności, tym mniejszą, im większy jest stopień jego paranoi. Pierwsza przykrywka — ta, że Kobra nie istnieje — wkrótce stanie się niewiarygodna i Don sobie uświadomi, że ma nowego, bez porównania groźniejszego wroga, który nie uznaje czystej gry.

Wtedy przyjdzie czas na drugą przykrywkę — niewidzialność. Sun Tsu twierdził, że nie sposób pokonać wroga, którego nie widać. Mądry stary Chińczyk żył na długo przed ultranowoczesną technologią świata Kobry. Ale teraz istniały nowe rodzaje broni, dzięki którym Kobra mógł pozostać niewidzialny długo po tym, jak Don zorientuje się, że ma nowego wroga.

Głównym czynnikiem, który zdradzi jego istnienie, będzie Lista Łapowników. Wykoszenie naraz stu siedemnastu skorpupowanych urzędników w serii nalotów na dwóch kontynentach w ramach jednej operacji to by było za dużo. Dlatego

zamierzał wrzucać łapowników do maszynki do mięsa organów ścigania powolutku, aż w końcu gdzieś w Kolumbii dostaną cynk. A zresztą i tak prędzej czy później dojdzie do przecieku.

Na razie jednak, w sierpniu, wysłał Cala Dextera, żeby przekazał złe wieści władzom trzech krajów, pod warunkiem — miał nadzieję — że zachowają najdalej posuniętą dyskrecję.

W trakcie męczącego tygodnia spędzonego na podróżach i konferowaniu Cal Dexter zawiadomił Amerykanów, że mają zgniłe jabłuszko w porcie San Francisco; Włosi dowiedzieli się, że wysoki stopniem funkcjonariusz celny w Ostii bierze w łapę; a Hiszpanie — że powinni mieć oko na kapitana portu w Santander.

Za każdym razem Dexter upraszał, żeby zaaranżowano przypadkowe wykrycie transportu kokainy, które doprowadziło do aresztowania kogo trzeba. Jego prośby zostały spełnione.

Kobra miał w nosie amerykańskie i europejskie gangi uliczne. Te męty to nie był jego problem. Ale za każdym razem, gdy któryś z pomagierów kartelu zniknął ze sceny, wykrywalność przemytu znacząco wzrastała. A gdy dochodziło do tego przed przekazaniem ładunku za bramą portu, wówczas straty ponosił kartel. No i zamówiony towar należało wysłać raz jeszcze. Oraz uzupełnić braki. A to nie było możliwe.

• • •

Álvaro Fuentes bynajmniej nie zamierzał przepływać Atlantyku takim śmierdzącym kutrem rybackim jak „Belleza del Mar”.

Jako pierwszy zastępca Alfreda Suáreza popłynął na pokładzie frachtowca „Arco Soledad” o wyporności sześciu tysięcy ton.

Statek był na tyle duży, że miał kajutę kapitańską, może nie-
zbyt wielką, za to osobną, i tę właśnie zajął Fuentes. Markotny
kapitan musiał dzielić kaję z pierwszym oficerem, ale znał swo-
je miejsce, więc nie marudził.

Na żądanie Dona zmieniono punkt docelowy „Arco Soledad”
z Monrovii w Liberii na Gwineę Bissau, gdzie — jak się zdawało
— leżał cały problem. Ale frachtowiec nadal miał w ładowniach
pięć ton czystej kokainy.

Był on jednym z tych statków, przy których Juan Cortez
mógł się wykazać swoimi umiejętnościami. Poniżej linii wodnej
przyspawano do kadłuba dwa stabilizatory. Miały one dwojaki
cel. Poza stabilizacją frachtowca, by załoga miała mniejszy dys-
komfort na wzburzonych wodach, były puste w środku i mie-
ściły po dwie i pół tony starannie zapakowanych bel kokainy.

Główny problem z podwodnymi kuframi polegał na tym, że
można je było załadować i opróżnić tylko po wyciągnięciu z
wody. Albo więc trzeba się było zdecydować na skomplikowane
suche doki i całą masę przypadkowych świadków, albo przybi-
jać do brzegu i czekać na odpływ, co mogło trwać godzinami.

Jednakże Cortez zainstalował właściwie niewidzialne za-
trzaski, dzięki którym nurek z akwalungiem mógł szybko usu-
nąć wielkie płyty z każdego stabilizatora. A wtedy bele koki,
starannie uszczelnione i powiązane linami, wyciągano na

powierzchnię, gdzie unosiły się, dopóki nie zabrał ich statek, który wypływał ku nim od brzegu „na powitanie”.

I wreszcie „Arco Soledad” wiózł w ładowniach absolutnie legalny transport kawy, jak wynikało z dokumentów, opłacony i oczekiwany przez przedsiębiorstwo handlowe z miasta Bissau. Na tym jednak dobre wieści się kończyły.

Zła wiadomość była taka, że „Arco Soledad” już dawno wykryto na podstawie opisu Juana Corteza i sfotografowano z powietrza. Gdy statek przekroczył trzydziesty piąty stopień długości geograficznej, krążący nad nim global hawk Sam zrobił mu zdjęcie, porównał z bazą danych, potwierdził identyfikację i zawiadomił bazę sił powietrznych Creech w Nevadzie.

Nevada poinformowała Waszyngton, a obskurny magazyn w Anacostii wysłał rozkaz na m/v „Balmoral”, który ruszył, żeby przejąć frachtowiec. Major Pickering i jego nurkowie już przed wypłynięciem dokładnie wiedzieli, czego mają szukać, gdzie oraz jak uruchomić ukryte zatrzaski.

Przez pierwsze trzy dni na morzu Álvaro Fuentes ściśle trzymał się instrukcji. Co trzy godziny, w dzień i w nocy, sumiennie wysyłał e-maile do „żony”, czekającej w Barranquilli. Były tak banalne i tak typowe dla marynarzy na morzu, że normalnie NSA w Fort Meade w Marylandzie nie zwracałaby sobie nimi głowy. Ale uprzedzona o akcji, wyłapywała z cyberprzestrzeni wszystkie te e-maile i przesyłała dalej, do Anacostii.

Gdy Sam, krążąca na wysokości dwunastu tysięcy metrów, zobaczyła, że „Arco Soledad” i „Balmoral” dzieli czterdzieści

mil, uruchomiła zagłuszanie wokół frachtowca i Fuentes znalazł się w martwej strefie. Widząc nad horyzontem śmigłowce, które skręciły w jego stronę, wysłał alarmową wiadomość, poza ustalonymi godzinami nadawania. Tyle że trafiła w próżnię.

Na „Arco Soledad” próby oporu przeciwko ubranym na czarno komandosom, którzy przeskoczyli przez reling, nie miały sensu. Kapitan, teatralnie odgrywając oburzenie, wymachiwał dokumentami statku, manifestem ładunkowym i kopią zamówienia kawy z Bissau. Ale mężczyźni w czerni to nie obchodziło.

Kapitan, wciąż wykrzykujący o „piractwie”, załoga i Álvaro Fuentes zostali skuci i z kapturem na głowach zapędzeni na rufę. Gdy już nic nie widzieli, zagłuszanie wyłączono i major Pickering wezwał „Balmoral”. Podczas gdy statek pułapka zmierzał w kierunku stojącego frachtowca, dwaj nurkowie przystąpili do pracy. Robota zajęła im niecałą godzinę. Psy nie były potrzebne, zostały na statku bazie.

Zanim „Balmoral” dotarł na miejsce, na wodzie unosiły się już dwa motki powiązanych linami bel. Były tak ciężkie, że wyciągnięcie ich na pokład „Arco Soledad” wymagało użycia żurawia. A potem opiekę nad nimi przejął „Balmoral”.

Fuentes, kapitan i pięciu marynarzy milczeli. Nawet pomimo kapturew słyszeli zgrzytanie żurawia i ciężki stukot, kiedy na pokład seryjnie zrzucano chlupoczące wodą przedmioty. Wiedzieli, co się dzieje. Skargi o rzekomym piractwie ustały.

Kolumbijczycy trafili w ślad za swoim towarem na „Balmorala”. Zorientowali się, że znajdują się na znacznie większym statku, ale nie znali jego nazwy i nie potrafiliby go opisać. Z pokładu zaprowadzono ich do ładowni na dziobie, zdjęto im kaptury i zamknięto w pomieszczeniach oficjalnie zajmowanych przez załogę „Belleza del Mar”.

Na koniec weszli komandosi z SBS i ociekający wodą nurkowie. Normalnie po spotkaniu z „Arco Soledad” zamontowaliby z powrotem zdjęte płyty, ale biorąc pod uwagę dalszy los frachtowca, pozwolili jednostce nabierać wody.

Ostatni wszedł pirotechnik. Kiedy oba statki dzieliło pół mili, nacisnął przycisk detonatora.

— Powąchajcie kawę — zażartował. „Arco Soledad” zdrzął, nabrał wody i zatonął. Morska bryza rzeczywiście przyniosła lekki zapach kawy, gdy PETN w jednej nanosekundzie osiągnął temperaturę pięciu tysięcy stopni Celsjusza. A potem statek zniknął.

Jeden RIB, wciąż jeszcze na wodzie, wrócił na miejsce wybuchu, żeby zebrać unoszące się na powierzchni szczątki, które jakiś bystry obserwator mógłby zauważyć. Opleciono je siecią, obciążono i wysłano na dno. Ocean — błękitny i spokojny, jak to na początku września — znów był taki jak przedtem — pusty.

Po drugiej stronie Atlantyku Alfredo Suárez nie wierzył w to, co do niego docierało, ani nie miał pojęcia, w jaki sposób zakomunikować te wieści don Diegowi i nie stracić życia. Jego bystry młody asystent już od dwunastu godzin przestał nadawać. Takie nieposłuszeństwo oznaczało, że albo oszalał, albo doszło do katastrofy.

Dostał wiadomość od swoich kubańskich odbiorców, którzy opanowali większość handlu kokainą w południowej Florydzie, że „Orion Lady” nie przybiła do Fort Lauderdale. Oczekiwał jej kapitan portu, który zarezerwował bezcenne miejsce postojowe. Dyskretny wywiad potwierdził, że on także próbował nawiązać kontakt ze statkiem, ale bez powodzenia. „Orion Lady” miała trzy dni spóźnienia i nie odpowiadała na wezwania.

Część transportów kokainy nadal docierała bezpiecznie do celu, ale seria straconych statków i samolotów oraz wielka wyspa na cle w Hamburgu zmniejszyły procent skutecznych dostaw do pięćdziesięciu procent tego, co zostało wysłane. Tymczasem Suárez przyrzekł Donowi skuteczność nie mniejszą niż siedemdziesiąt pięć procent. Po raz pierwszy zaczął się obawiać, że jego polityka wielkich, za to rzadszych wysyłek, w przeciwieństwie do metody „drobnicy” stosowanej przez jego świętej pamięci poprzednika, nie zdaje egzaminu. I chociaż nie był wierzący, zaczął się modlić, żeby najgorsze mieli już za sobą — niezbity dowód, że modlitwy niekoniecznie odnoszą skutek. Najgorsze dopiero miało nadejść.

Daleko, w nobliwej historycznej Alexandrii nad brzegami Potomacu, człowiek, który planował zgotować im to „najgorsze”, zastanawiał się nad dotychczasową kampanią.

Stworzył trzy metody ataku. Pierwsza polegała na skorzystaniu z wiedzy o statkach handlowych przerobionych przez Juana Corteza, a następnie wysłaniu organów ścigania — marynarki wojennej, celników, straży przybrzeżnej — żeby zatrzymały te giganty na pełnym morzu, „przypadkiem” odkryły

tajne schowki i w rezultacie skonfiskowały zarówno kokainę, jak statki.

Chodziło o to, że większość frachtowców z rejestru Lloyda była zbyt wielka, by można je było zatopić po cichu, bez wywołania wzburzenia w branży żeglugowej i stanowczych interwencji nawet na szczeblu rządowym. Ubezpieczyciele i właściciele statków pozbyliby się przekupionych załóg i zapłacili grzywny, jednocześnie udając niewiniątka przed radą nadzorczą, ale strata całego statku, nie, tego już byłoby za wiele.

Konfiskaty na morzu dokonywane przez oficjalne organy udaremniały ponadto powszechną praktykę brania kokainy na pokład z kutrów rybackich i przekazywania jej dalej również na wodzie, jeszcze przed zawinięciem do portu. To jednak nie mogło trwać wiecznie ani nawet zbyt długo. Wprawdzie spalone szczątki Juana Corteza rzekomo spoczywały w grobie w Cartagenie, ale wkrótce stanie się jasne, że ktoś wie stanowczo za dużo o stworzonych przez niego tajnych schowkach. Misterne udawanie, że za każdym razem znajduje się te miejsca zupełnie przypadkowo, pewnego dnia się skończy.

Tak czy owak, nie ukrywano dotychczasowych sukcesów władz. Natychmiast podawano je triumfalnie do wiadomości publicznej, czyli że trafiały także do kartelu.

Drugą metodą natarcia Devereaux była seria nieregularnych i na pozór niepowiązanych ze sobą zbiegów okoliczności w różnych portach i na lotniskach na obu kontynentach, gdzie wskutek fatalnego pecha ujawniano transporty kokainy, co

prowadziło do aresztowania zamieszanych w ten proceder skorumpowanych urzędników. Ale i te akcje nie mogły długo uchodzić za zrządzenie losu.

Jako szpieg, który całe życie przepracował w kontrwywiadzie, uchylił kapelusza — rzecz u niego niezwykła — przed Calem Dexterem za to, że zdobył Listę Łapowników. Nigdy nie zapytał go, kto z kartelu sypnął, ale historia dziewczyny z Kolumbii, wrobionej na nowojorskim lotnisku, jasno wskazywała powiązanie.

Miał jednak nadzieję, że ten kret wykopie naprawdę głęboką dziurę, bo nie mógł zbyt długo chronić pomagierów handlarzy kokainą przed aresztowaniem. Z każdą kolejną udaną akcją w portach Stanów Zjednoczonych i Europy stawało się jasne, że ktoś zdradził nazwiska i stanowiska służbowe.

Dla człowieka, który wiedział to i owo o przesłuchaniach i który złamał Aldricha Amesa, dobrą nowinę stanowił fakt, że urzędnicy ci, choć chciwi i skorumpowani, nie byli twardzielniami kierującymi się kodeksem świata przestępczego. Zdema-skowany Niemiec gadał jak najęty. Inni postąpią tak samo. Ci płaczkliwi kapusie wyzwolą reakcję łańcuchową, która doprowadzi do aresztowań i likwidacji uwikłanych w to firm. Kolejne przejęcia towaru będą się mnożyć jak króliki, bez żadnej pomocy ze strony czynników oficjalnych. Tak przewidywała część jego planu.

Ale jego asem atutowym było trzecie natarcie, któremu poświęcił tak wiele czasu, zachodu oraz znaczną część przyznanego budżetu w okresie przygotowawczym.

Nazywał to czynnikiem osłupienia i przez lata korzystał z

niego w świecie szpiegów, który James Jesus Angleton, jego poprzednik w CIA, nazwał kiedyś „dym i lustra”. Chodziło o szereg niewyjaśnionych zniknięć transportu za transportem.

Tymczasem po cichu ujawnił cztery kolejne nazwiska i funkcje łapowników. W połowie września Cal Dexter poleciał do Aten, Lizbony, Paryża i Amsterdamu. W każdym z tych miast jego rewelacje wywołały szok i przerażenie, ale zapewniono go, że każde aresztowanie będzie poprzedzone starannie zaplanowanym „zbiegiem okoliczności” związanym z przybywającym transportem kokainy. Opisał pułapkę zastawioną w Hamburgu i podsunął ją jako przykład do naśladowania.

Przekazał Europejczykom, że w ateńskim porcie Pireus działa przekupiony celnik; że Portugalczycy mają łapownika w małym, acz ruchliwym porcie Faro na wybrzeżu Algarve; że Francuzi dorobili się dużego szkodnika w Marsylii; i że Holendrzy mają problem w największym porcie handlowym na kontynencie, rotterdamskim Europorcie.

• • •

Francisco Pons przechodził na emeryturę i cieszył się z tego jak cholera. Dogadał się wreszcie z pulchną i brzydką żoną Victorią, a nawet znalazł kupca na swój samolot Beech King Air. Wyjaśnił całą sytuację człowiekowi, dla którego latał przez Atlantyk, niejakiemu Suárezowi, a ten zrozumiał jego argumentację, że jest zeszywniały i stary, i ustalili, że we wrześniu po raz ostatni odbędzie lot dla kartelu. To tylko wyjdzie na korzyść, tłumaczył Suárezowi — jego młody drugi pilot aż się pali,

żeby zostać kapitanem i pobierać kapitańską pensję. Tyle że konieczny będzie nowszy i lepszy samolot. Dlatego podkołował na pas startowy w Fortalezie i wzbił się w powietrze. Wysoko w górze małą ruchomą plamkę wychwyił szerokopasmowy radar global hawka Sam i wprowadził ją do bazy danych.

Resztę wykonał bank pamięci. Ustalił, że ruchoma kropka to king air, że maszyna wyleciała z rancza Boavista i nie pokona Atlantyku bez dodatkowych wielkich, wbudowanych zbiorników paliwa, oraz że kieruje się na północny wschód, na trzydziesty piąty stopień długości geograficznej. Dalej znajdowała się tylko Afryka. Ktoś w Nevadzie polecił, żeby major João Mendoza i jego personel naziemny szykowali się do lotu.

Beech leciał już dwie godziny, niemal na oparach z głównych zbiorników paliwa, a za sterem siedział drugi pilot. Dużo niżej i nieco z przodu buccaneer poczuł potężne łupnięcie rakiet systemu RATO, wystrzelił przed siebie i z rykiem silników zniknął nad ciemnym morzem. Noc była bezksiężycowa.

Sześćdziesiąt minut później Brazylijczyk dotarł na miejsce przejścia samolotu i krążył leniwie z prędkością trzystu węzłów. Na południowy zachód od niego leciał niewidoczny w ciemności king air, na paliwie z zapasowych zbiorników, które pompowali dwaj ludzie za kokpitem pilota.

— Wznies się na cztery tysiące i krąż z małą prędkością — powiedział ciepły głos z Nevady. Taki, który jak głos Lorelei zwabiał mężczyzn na pewną śmierć. Polecenie wynikało stąd,

że Sam doniosła, iż king air wzbil się na wyższy pułap, ponad warstwę chmur.

Nawet w bezksiężycową noc gwiazdy nad Afryką są niesamowicie jasne i warstwa chmur wygląda niczym biała kołdra odbijająca światło rzucające cienie na jej bladą powierzchnię. Buccaneera skierowano na tor osiem kilometrów za king airem i trzysta pięćdziesiąt metrów ponad nim. Mendoza patrzył uważnie na białą równinę przed sobą. Nie była całkiem płaska, sterczały z niej grzybki altocumulusów. Zwolnił w obawie, że za szybko prześcignie swój cel.

Nagle go zobaczył. Ot, cień między dwiema górami cumulusów, zniekształcający linię warstwy chmur. Samolot to zniknął, to znów się pojawiał.

— Mam go — powiedział Brazylijczyk. — Nie ma mowy o pomyłce?

— Nie — zapewnił głos w słuchawkach. — Poza nim na niebie nic nie ma.

— Zrozumiałem. Kontakt nawiązany.

— Potwierdzam. Masz zgodę na atak.

Mendoza przesunął nieco dźwignię przepustnicy i zmniejszył dystans. Odsunął bezpiecznik. Obiekt pojawił się na celowniku, był coraz bliżej. Czteryście metrów.

Z działka wystrzeliły dwa strumienie pocisków i skupiły się na ogonie beecha. Ogon samolotu odpadł, ale pociski przebiły poszycie kadłuba, potem zapasowe zbiorniki paliwa i dotarły do kokpitu pilota. Pompiarze, rozerwani na strzępy, zginęli w jednej dziesiątej sekundy. W ich ślady poszliby obaj piloci, ale wybuch paliwa załatwił sprawę szybciej. Podobnie jak transall,

beech eksplodował i rozpadł się na płonące strzępy, które spały w warstwę chmur.

— Cel strącony — poinformował Mendoza.

Kolejna tona kokainy nie dotarła do Europy.

— Wracaj do domu — polecił głos. — Kurs...

•••

Alfredo Suárez z braku wyboru sam musiał przekazać Donowi litanię złych wieści, zanim zostanie wezwany na dywanik. Szef kartelu nie przeżyłby tak długo w jednym z najbardziej bezwzględnych środowisk na świecie, gdyby nie miał szóstego zmysłu ostrzegającego przed niebezpieczeństwem.

Stopniowo, po kolei, zmusił szefa transportu, żeby wyznał mu wszystko. O dwóch statkach, a teraz jeszcze dwóch samolotach, które stracili, zanim dotarły do Gwinei Bissau; o dwóch „ścigaczach” na Morzu Karaibskim, które nigdy nie dotarły na miejsce spotkania i od tej pory zapadły się pod ziemię; o playboyu, który zniknął wraz z toną czystej kolumbijki przeznaczonej dla ważnych odbiorców kubańskich z południowej Florydy. A także o katastrofie w Hamburgu.

Spodziewał się, że Don dostanie napadu furii. Stało się jednak wręcz odwrotnie. Dona już w dzieciństwie nauczono, że o ile ludzie szlachetnie urodzeni mogą się wściekać z powodu błahostek, o tyle w obliczu poważnego kryzysu powinni zachować godny spokój. Kazał więc Suárezowi zostać przy stole, a sam zapalił cienkie, czarne krótkie cygaro i wyszedł się przejść po ogrodzie.

W głębi duszy pałał żądzą mordu. Poprzysiął sobie, że to się skończy krwawą jatką. Będą wrzaski. Będzie śmierć. Ale najpierw – analiza.

Nie było dowodów świadczących przeciwko Robertowi Cárdenasowi – zdemaskowanie jednego z jego opłacanych ludzi w Hamburgu to był prawdopodobnie zwyczajny pech. Zbieg okoliczności. Ale nie dało się tego powiedzieć o pozostałych urzędnikach. O pięciu jednostkach na morzu i o dwóch samolotach w powietrzu. Organy ścigania nie miały z tym nic wspólnego, inaczej zwołałyby konferencje prasowe i afiszowały się ze skonfiskowanymi belami kokainy. Don był przyzwyczajony do tego typu cyrków. Niech się chełpią tymi ochłapami. Obroty z handlu kokainą wynosiły trzysta miliardów dolarów rocznie. Więcej niż dochód narodowy większości krajów spoza grupy najbogatszych państw G30.

Tak kolosalne zyski powodowały, że choćby aresztowania były nie wiadomo jak liczne, i tak nie odstraszały armii ochotników, którzy za wszelką cenę pragnęli zająć miejsce zabitych i uwięzionych; przy tak kolosalnych dochodach Gates czy Buffet wyglądali na ulicznych handlarzy. Ich łączne majątki były mniejsze niż roczne przychody z kokainy.

Natomiast niedostarczenie towaru – to już było niebezpieczne. Potwora – odbiorcę – należało nakarmić. Kartel był bezlitosny i mściwy, ale tacy sami byli Meksykanie, Włosi, Kubańczycy, Turcy, Albańczycy, Hiszpanie i cała reszta. Ich zorganizowane gangi zabijały za jedno nierozważnie wypowiedziane słowo.

Skoro więc nie była to kwestia przypadku — taka możliwość nie wchodziła już w rachubę — to kto kradł jego towar, zabijał jego ludzi i powodował, że transporty rozpyływały się w powietrzu?

Według Dona wiązało się to ze zdradą albo kradzieżą, czyli inną formą zdrady. A metoda postępowania ze zdrajcami była tylko jedna. Znaleźć ich i ukarać z bezprzykładnym okrucieństwem. Don musiał się dowiedzieć, kim są ci ludzie. Osobiście nic do nich nie miał, ale nie wolno traktować go w ten sposób.

Wrócił do swojego roztrzęsionego gościa.

— Sprowadź mi tu egzekutora — polecił.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Paco Valdez, egzekutor, wraz z dwoma kompanami poleciał do Gwinei Bissau. Don nie zamierzał ryzykować, że dojdzie do kolejnych zniknięć na pełnym morzu. Nie zamierzał też dogadzać amerykańskiemu DEA, wysyłając swoich zbirów samolotem rejsowym.

Pod koniec pierwszej dekady trzeciego tysiąclecia inwigilacja i kontrola pasażerów wszystkich lotów międzynarodowych przybrała charakter tak totalny, że Valdez, ze swą charakterystyczną sylwetką, na pewno zostałby zauważony i śledzony. Dlatego też wszyscy trzej przylecieli prywatnym grummanem G-4 Dona.

Don Diego miał absolutną rację... do pewnego stopnia, bo dwusilnikowy luksusowy odrzutowiec tak czy owak musiał polecieć prostą linią z Bogoty do Gwinei Bissau, przez co trafił w szeroki obszar patrolowany przez global hawk Sam. Tak więc grumman został zauważony, zidentyfikowany i wprowadzony do bazy danych. Na wieść o tym Kobra uśmiechnął się z satysfakcją.

Na lotnisku egzekutora powitał przedstawiciel kartelu w Gwinei Bissau, Ignacio Romero. Szef operacji na Afrykę, pomimo iż wyższy rangą w organizacji, był pełen szacunku. Po pierwsze Valdez był osobistym wysłannikiem Dona, po drugie jego reputacja wzbudzała strach w całym środowisku handlarzy kokainy, po trzecie zaś Romero musiał zgłosić zniknięcie czterech wielkich dostaw, dwóch wysłanych drogą morską i dwóch lotniczą.

Strata transportów wynikała z elementu ryzyka, nieodłącznie związanego z tą branżą. Na niektórych trasach, zwłaszcza do Europy i Stanów Zjednoczonych, ich wysokość mogła sięgać nawet piętnastu procent, co dla Dona było do zaakceptowania, jeżeli towarzyszyły temu logiczne i przekonujące wyjaśnienia. Ale w okresie urzędowania Romera w Gwinei Bissau straty w drodze do Afryki Zachodniej spadły niemal do zera i właśnie dlatego w ciągu ostatnich pięciu lat odsetek dostaw do Europy poprzez Afrykę wzrósł z dwudziestu do siedemdziesięciu procent.

Romero był bardzo dumny z bezpieczeństwa transportów na swym terenie. Do dyspozycji miał flotyllę czółen na archipelagu Bijagos oraz kilka szybkich, udających kutry rybackie łodzi, wyposażonych w lokalizatory GPS, zapewniające precyzyjne spotkania na morzu w celu odbioru kokainy.

W dodatku cała wierchuszka wojskowa siedziała u niego w kieszeni. To właśnie żołnierze generała Gómesa odwalali najcięższą robotę i targali bele w trakcie przeładunku, generał zaś otrzymywał stosowną działkę w postaci kokainy, którą przerzucał

następnie na północ, do Europy, ręka w rękę z Nigeryjczykami. Pieniądze dostawał za pośrednictwem armii libańskich finansistów działających na terenie Afryki Zachodniej i jak na warunki zachodnie był już bogaczem, a według miejscowych kryteriów uchodził za krezusa.

I nagle taka historia! Nie dość, że cztery transporty przepały, to jeszcze w niewytłumaczalny sposób rozplynęły się w powietrzu. Nie mógł odmówić współpracy z wysłannikiem Dona, więc z ulgą zobaczył, że człowiek zwany Zwierzęciem jest do niego nastawiony przyjaźnie i życzliwie. Powinien być bardziej podejrzliwy.

Jak zawsze na widok paszportu kolumbijskiego formalności na lotnisku znikają. Trzyosobowa załoga dostała rozkaz, że ma mieszkać w odrzutowcu i korzystać z uroków salonu VIP-owskiego, a ponadto zakazano jej opuszczania samolotu w komplecie — zawsze ktoś musiał pozostać na pokładzie. Potem Romero zawiózł gości luksusowym SUV-em przez zrujnowaną podczas wojny stolicę do swojej posiadłości przy plaży, szesnaście kilometrów za miastem.

Valdez zabrał ze sobą dwóch pomagierów. Jeden był niski, ale niesamowicie barczysty i muskularny, drugi zaś wysoki, chudy i dziobaty. Obaj mieli spluwy, ale przecież nie podlegali kontroli. Każdy ekspert w swoim fachu musi mieć narzędzia pracy.

W charakterze gościa egzekutor wydawał się niekłopotliwy. Zażądał tylko samochodu dla siebie i namiarów na dobrą restaurację poza miastem. Romero zaproponował Mar Azul, nad brzegiem Mansoa za Quinhamel, słynącą ze świeżych langust.

Powiedział, że chętnie zawiezie tam swoich gości osobiście, ale Valdez zbył propozycję, wziął mapę i odjechał z gorylem za kierownicą. Nie wracali prawie przez cały dzień.

Romero był zdezorientowany. Odniósł wrażenie, że Valdeza w ogóle nie obchodzą jego szczelne procedury przejmowania towaru i wysyłania go dalej do Afryki Północnej i Europy.

Drugiego dnia Valdez oświadczył, że skoro wczorajszy lunch nad rzeką był tak wyśmienity, to powinni się tam wypuścić jeszcze raz, we czwórkę. Usiadł w SUV-ie obok goryla, który zastąpił stałego kierowcę Romera, a ich gospodarz i chudzielec zajęli miejsca z tyłu.

Wyglądało na to, że nowo przybyli dobrze znają drogę. Prawie nie korzystając z mapy, bezbłędnie przejechali przez Quinhamel, nieoficjalną stolicę ludu Pepel, pozbawionego wpływów od czasu, kiedy przed rokiem prezydenta Veirę, jednego z nich, wojskowi posiekali maczetami. Wówczas to dyktatorem został generał Gómes z ludu Balanta.

Za miastem drogowskazy prowadzące do restauracji wskazały na odchodzący od autostrady bity trakt, ciągnący się przez dziesięć kilometrów. W połowie drogi Valdez skinął głową w bok, na co kierowca skręcił w jeszcze węższy dukt, na którego końcu znajdowała się porzucona farma orzeszków nerkowca. W tym momencie Romero zaczął błagać.

— Cicho, señor — powiedział spokojnie egzekutor. A kiedy ten wciąż zapewniał o swojej niewinności, chudzielec wyciągnął cienki nóż do filetowania i przystawił mu do gardła. Romero zaczął szlochać.

Budynek na farmie przypominał nędzną budę, lecz było w

nim coś na kształt krzesła. Jego nogi przyśrubowano do podłogi, żeby się nie kiwało, ale tego zrozpaczony Romero nie zauważył.

Przesłuchujący szefa strefy afrykańskiej byli beznamiętni i rzeczowi. Valdez nie robił nic, z tą swoją buzią cherubinka gapił się tylko na okoliczne nerkowce, zbyt wyrosnięte i pełne nie zebranych orzechów. Jego pomagierzy wywlekli Romera z SUV-a, zataszczyli do domu, rozebrali do pasa i przywiązali do krzesła. To, co działo się później, trwało godzinę.

Zaczął El Animal, dlatego że lubił tę robotę, a kiedy indagowany stracił przytomność, przekazał go w ręce kompanów. Ci ocucili go za pomocą soli trzeźwiących, a wtedy Valdez po prostu zadał pytanie. Tylko jedno. Co Romero zrobił ze skradzionymi transportami?

Godzinę później niemal skończyli. Mężczyzna na krześle przestał wyć. Z jego rozkwaszonych na miążgę ust wydobył się tylko jęk i ciche: „Nie-e-e-e-e”, gdy po krótkiej przerwie dwaj oprawcy znów się do niego wzięli. Osilek bił, chudzielec ciął. Każdy robił to, w czym był najlepszy.

Pod koniec Romero był nie do poznania. Nie miał już uszu, oczu ani nosa. Knykcie miał zmiażdżone, paznokcie zerwane. Krzesło stało w kałuży krwi.

Valdez zauważył coś u jego stóp, pochylił się i wyrzucił to przez otwarte drzwi na palące słońce na zewnątrz. W mgnieniu oka pojawił się parchaty pies. Z pyska toczył białą pianę. Wścieklizna.

Egzekutor wyciągnął pistolet, odbezpieczył, wziął zwierzę na muszkę i strzelił. Kula przeszła przez biodra psa. Podobne do

lisa zwierzę zawyło przenikliwie, upadło i drapało przednimi łapami, wlokąc za sobą bezwładne tylne nogi. Valdez odwrócił się i schował pistolet do kabury.

— Skończcie z nim — polecił łagodnie. — On tego nie zrobił.

To, co zostało z Romera, zginęło od ciosu nożem do fileto-
wania w serce.

Trzej ludzie z Bogoty nie próbowali ukryć śladów tego, co zrobili. To będzie zadanie zastępcy Romera, Carlosa Sonory, który przejmie po nim funkcję. Sprzątanie tej jatki będzie pouczającym doświadczeniem i zapewni jego lojalność w przyszłości.

Cała trójka zdjęła zachlapane plastikowe deszczowce i zwinęła je. Byli złani potem. Wychodząc, obchodzili z daleka pokryty pianą pysk zdychającego psa, który bezskutecznie kłapał szczękami o metr od tego czegoś, co wywabило go z legowiska. Był to ludzki nos.

Paco Valdez w towarzystwie Sonory złożył kurtuazyjną wizytę generałowi Djalowi Gómesowi, który przyjął ich w swoim gabinecie w kwaterze głównej armii. Valdez wyjaśnił, że zgodnie z narodowym zwyczajem przywiózł osobisty prezent od don Diega Estebana dla jego szacownego kolegi — ozdobny, ręcznie malowany wazon, wyborny przykład kolumbijskiego garncarstwa artystycznego.

— Na kwiaty — powiedział. — Żeby patrząc na nie, pomyślał pan o naszych zyskownych i opłacalnych stosunkach.

Sonora przetłumaczył jego słowa na portugalski. Chudzielec skoczył po wodę do przylegającej do gabinetu łazienki, a osiłek

przyniósł bukiet kwiatów. W wazonie wyglądały naprawdę ładnie. Generał uśmiechnął się z zadowoleniem. Nikt nie zwrócił uwagi, że w wazonie mieści się wyjątkowo mało wody, a łodygi kwiatów są bardzo krótkie. Valdez zanotował w pamięci numer stojącego na biurku telefonu — jednego z nielicznych działających w tym mieście.

Następnego dnia wypadała niedziela. Goście z Bogoty szykowali się do powrotu. Sonora odwoził ich na lotnisko. Kilometr od kwatery głównej wojska Valdez kazał się zatrzymać. Z telefonu komórkowego w sieci MTN, jednego z miejscowych operatorów — jakich tutaj używała wyłącznie elita, biali oraz Chińczycy — zadzwonił pod numer telefonu stojącego na biurku generała Gómesa.

Przejście z apartamentów prywatnych do sąsiedniego gabinetu zajęło generałowi kilka minut. Podnosząc słuchawkę, stał niecały metr od wazonu. Valdez wcisnął przycisk detonatora.

Wybuch zburzył większą część budynku i zamienił gabinet w gruzowisko. Odnaleziono kilka strzępów ciała dyktatora i zawieziono je później na terytorium ludu Balanta, gdzie wyprawiono mu plemienny pogrzeb pośród duchów przodków.

— Będzie ci potrzebny nowy współnik w interesach — powiedział Valdez Sonorę w drodze na lotnisko. — Uczciwy. Don nie lubi złodziei. Dopilnuj tego.

Grumman, zatankowany pod korek, był gotowy do odlotu. Gdy mijał od północy brazylijską wyspę Fernando do Noronha, zauważyła go Sam i zameldowała do centrali. Zamach w Afryce

Zachodniej trafił do serwisu BBC z wiadomościami ze świata, ale ponieważ była to tylko ustna relacja, niepoparta filmem, szybko znikła z anteny.

• • •

Kilka dni wcześniej inny przekaz telewizyjny przeszedł bez echa, tyle że była to transmisja CNN z Nowego Jorku. Normalnie deportacja z lotniska Kennedy'ego do Madrytu młodej kolumbijskiej studentki, przeciwko której na Brooklynie wycofano zarzuty, nie zasługiwałaby na relację. Ktoś jednak pociągnął za sznurki i wysłano ekipę z kamerą.

Dwuminutową wiadomość zamieszczono w serwisie wieczornym. O dziewiątej redaktor prowadzący zdjął już ją z anteny, ale wcześniej można było zobaczyć, jak pod terminal odlotów międzynarodowych podejżdza samochód INS i dwaj funkcjonariusze prowadzą śliczną, acz przygaszoną młodą kobietę przez halę, po czym niezatrzymywani znikają za bramką kontroli.

Komentarz informował zwięźle, że panna Arenal padła ofiarą bagażowego w Madrycie — przestępcy, który podrzucił do jej walizki kilogram kokainy, żeby nieświadomie przewiozła ją do Nowego Jorku, tyle że kilka tygodni temu, podczas kontroli wyrywkowej na lotnisku Kennedy'ego, narkotyk wykryto. Aresztowanie złoicy w Hiszpanii i jego zeznania oczyściły kolumbijską studentkę, którą zwolniono, by mogła wrócić i podjąć studia malarskie w Madrycie.

Wiadomość przeszła bez echa, chociaż w Kolumbii została zauważona i nagrana. Roberto Cárdenas często odtwarzał

później ten fragment. Dzięki temu mógł zobaczyć córkę, której nie widział od lat, i przypomnieć sobie jej matkę, Conchitę — prawdziwą piękność.

W przeciwieństwie do większości głównych graczy w środowisku handlarzy kokainą Cárdenas nigdy nie zasmakował w ostentacyjnym obnoszeniu się z bogactwem i w luksusie. Wyrwał się z rynsztoka i stopniowo awansował w starych kartealach. Jako jeden z pierwszych zorientował się, że don Diego jest wschodzącą gwiazdą, i zrozumiał korzyści wynikające z centralizacji i skupienia całej branży w jednym ręku. To dlatego Don, przekonany o jego lojalności, przyjął go do nowo powstałego Hermandad już na samym początku.

Cárdenas miał instynkt płochliwego zwierzęcia — znał swój las, potrafił wyczuć niebezpieczeństwo i zawsze wyrównywał rachunki. Jego jedyną słabość ujawnił pewien prawnik, którego zbyt regularne wizyty w Madrycie zainteresowały komputerowego maniaka w dalekim Waszyngtonie. Kiedy Conchita, samotnie wychowująca Letizję po ich rozstaniu, umarła na raka, Cárdenas wyciągnął córkę z gniazda żmij, jakim był świat, w którym z braku wyboru przyszło mu żyć.

Po zniszczeniu Eberhardta Milcha w Hamburgu powinien dać nogę i ukryć się. Zdawał sobie z tego sprawę, instynkt go nie zawiódł. A jednak nie zdecydował się na to. Nienawidził tej całej „zagranicy”. On potrafił zarządzać swoją siecią przekupionych urzędników jedynie za pośrednictwem młodziaków, którzy czuli się tam jak ryby na nieznannej rafie koralowej. Miał świadomość, że sam nie potrafiłby tego zrobić.

Niczym dzikie zwierzę z dżungli nieustannie przemieszczał się z kryjówki do kryjówki, nawet we własnym lesie. Miał pięćdziesiąt met, głównie skupionych wokół Cartageny, i na pęczki kupował telefony na kartę, służące do jednorazowego użytku. Z żadnego nigdy nie korzystał dwa razy, po jednej rozmowie łądowały w rzece. Był tak nieuchwytny, że nawet kartel czasami nie mógł go złapać przez cały dzień, dlatego znany ze skuteczności pułkownik Dos Santos, szef wywiadu wydziału antynarkotykowego w Policía Judicial, nie miał szansy go złapać.

Jego metami były przeważnie byle jakie chaty, wyposażone tylko w najprostsze meble, wręcz spartańskie. Ale jednej słabości nie potrafił się wyrzec — uwielbiał telewizję. Miał najlepszy, najnowszy telewizor plazmowy i najbardziej bajerancką antenę satelitarną, z którymi się nie rozstawał.

Z przyjemnością siadał z sześciopakiem piwa i przerzucał kanały satelitarne albo oglądał filmy z odtwarzacza DVD umieszczonego pod ekranem. Uwielbiał kreskówki, bo Wile E. Coyote go rozśmieszał, a z natury nie był skory do śmiechu. Lubił też kryminały na Hallmarku, bo mógł się naigrawać z nieudolności przestępców, którzy na końcu zawsze wpadali, i z braku kompetencji detektywów, którzy w życiu nie złapaliby Roberta Cárdenasa.

Przed wszystkim zaś kochał nagranie serwisu informacyjnego, które oglądał na okrągło. Ukazywało śliczną, choć wymęczoną młodą kobietę na chodniku lotniska Kennedy'ego. Czasami włączał stopklatkę i gapił się na córkę przez pół godziny.

Wiedział, że po tym, co zrobił, żeby mieć ten fragment filmu, prędzej czy później ktoś popełni błąd.

•••

Błąd, kiedy już do niego doszło, nastąpił w Rotterdamie, jakby już nie miał gdzie. Żaden kupiec, który mieszkał tam przed stu laty, ani brytyjski piechur, obsypywany kwiatami i pocałunkami podczas przemarszu na początku 1945 roku, nie poznały tego miasta obecnie. Tylko na Starym Mieście zachowały się jeszcze eleganckie rezydencje z osiemnastego wieku, natomiast gigantyczny Europort był osobnym, nowoczesnym miastem ze stali, szkła, betonu i chromu, pełnym wody i statków.

O ile rozładunek olbrzymich ilości ropy naftowej niezbędnej dla funkcjonowania Europy odbywa się na wysepkach z rur i pomp, na morzu z dala od miasta, o tyle drugą specjalnością Rotterdamu jest port kontenerowy — wprawdzie nie tak wielki jak w Hamburgu, ale równie nowoczesny i zmechanizowany.

Holenderscy celnicy z pomocą policji, „działając na podstawie uzyskanych informacji”, jak to się tradycyjnie określa, zdemaskowali i aresztowali wyższego funkcjonariusza celnego, niejakiego Petera Hoogstratena.

Ten bystry i przebiegły facet nie miał zamiaru przyznawać się do winy. Wiedział, co zrobił, i wiedział, gdzie zachomikował pieniądze z łapówek — a raczej gdzie ulokował je dla niego kartel. Wybierał się na emeryturę i zamierzał korzystać z tych funduszy ile wlezie. Ani mu się śniło składać zeznania lub choćby przyznać się do czegokolwiek. Miał zamiar do upadłego powoływać się na

„prawa obywatelskie” i „prawa człowieka”. Niepokoilo go tylko jedno — skąd władze mają tak dokładne informacje. Ktoś gdzieś go wystawił, to nie ulegało wątpliwości.

W Holandii, szczycącej się swoim skrajnym liberalizmem, działa rozbudowane podziemie i zapewne to właśnie ów skrajny liberalizm powoduje, że znaczną częścią świata przestępczego rządzą zamieszkali w Europie cudzoziemcy albo ludzie w ogóle spoza Europy.

Hoogstraten pracował głównie dla jednego z takich właśnie gangów, dla Turków. Znał zasady rządzące handlem kokainą. Towar należał do kartelu, dopóki nie wyjechał za bramy portu kontenerowego na autostrady Unii Europejskiej. Wtedy przechodził na własność mafii tureckiej, która płaciła pięćdziesiąt procent z góry i pięćdziesiąt po dostawie. Przechwycenie transportu przez holenderskich celników było ciosem dla obu stron.

Turcy musieli ponowić zamówienie, oczywiście nic nie płacąc. Ale oni też mieli swoich odbiorców, którzy również złożyli zamówienia i domagali się ich realizacji. Talent Hoogstratena do przepuszczania poza kontrolą kontenerów morskich i innych ładunków był bezcenny i znakomicie opłacany. Był on tylko jednym z trybów maszyny, która na etapie od Kolumbii do prozanej kolacji w Holandii składała się nawet z dwudziestu rozmaitych ogni — a każdemu należała się działka — ale za to niezastąpionym.

Błąd spowodowały problemy osobiste nadinspektora Van Der Merwego, który całe życie przepracował w holenderskiej Królewskiej Służbie Celnej. Po trzech latach w zawodzie

przeszedł do wydziału kryminalnego i z biegiem lat przechwycił całe góry kontrabandy. Czas jednak odcisnął na nim swoje piętno. Miał powiększoną prostatę i pił stanowczo za dużo kawy, co tylko nadwerężało jego i tak już słaby pęcherz. Młodszy koledzy podśmiewali się z tego za jego plecami, ale on, jako złożony niemocą, nie widział w tym nic śmiesznego. W samym środku szóstego przesłuchania Petera Hoogstratena po prostu musiał wyjść.

Nie powinno to nastreczyć kłopotów. Ruchem głowy dał znak siedzącemu obok koledze, że obu im należy się przerwa. Kolega rzekł: „Przesłuchanie przerwane o godzinie...” i wyłączył magnetofon. Wtedy Hoogstraten uparł się, że musi zapalić, co oznaczało, że trzeba go wyprowadzić do strefy dla palaczy.

Poprawność polityczna zabrania palenia papierosów, ale prawa człowieka je dopuszczają. Van Der Merwe marzył o emeryturze i przeprowadzce do swojego wiejskiego domku pod Groningen, z ukochanym ogródkiem warzywnym i szklarnią, gdzie do końca życia mógłby robić, co mu się żywnie podoba. Wszyscy trzej wstali.

Kiedy Van Der Merwe się odwracał, poły jego marynarki trąciły leżące przed nim na stole akta. Brudnożółta teczka odwróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i wysunęła się z niej kartka z szeregiem liczb. Sekundę później schowano ją z powrotem, ale Hoogstraten zdążył rzucić na nią okiem. Poznał te liczby. To były wyciągi z jego konta w banku na wyspach Turks i Caicos.

Nie dał po sobie nic poznać, ale w głowie zapaliło mu się światełko. Jakaś świnia dobrała się do danych chronionych tajemnicą bankową. Poza nim tylko dwa źródła znały te liczby i

nazwę banku, która pokazała się na ułamek sekundy. Jednym z nich był sam bank, drugim zaś kartel, który dokonywał wpłat. Hoogstraten nie sądził, żeby przeciek nastąpił w banku, chyba że amerykański DEA złamał komputerowe zabezpieczenia chroniące dane klientów.

Nie można było tego wykluczyć. Nie istnieją już stuprocentowo pewne zabezpieczenia, nawet te chroniące NASA i Pentagon, co zostało dowiedzione. Tak czy owak, należało ostrzec kartel, że jest przeciek, i to poważny. Hoogstraten nie miał pojęcia, jak skontaktować się z kolumbijskim kartelem, o którego istnieniu dowiedział się z długiego artykułu w „Die Telegraf. Ale Turcy będą wiedzieli.

Dwa dni później holenderscy celnicy znów mieli pecha podczas rozprawy w sprawie zwolnienia za kaucją. Sędzią okazał się zagorzały fanatyk na punkcie praw obywatelskich, który prywatnie opowiadał się za legalizacją kokainy, bo sam jej używał. Wyzначzył kaucję, a Hoogstraten wyszedł z sądu i zadzwonił.

• • •

W Madrycie nadinspektor Paco Ortega nareszcie zadał cios, i to z pełnym błogosławieństwem Cala Dextera, który nie miał już żadnego pożytku z Julia Luza, specjalisty od prania pieniędzy. Lista rezerwacji na lotnisku w Bogocie wskazywała, że prawnik wybiera się do Madrytu swoim stałym lotem.

Ortega odczekał, aż Luz wyjdzie od frontu, a dwaj pracownicy banku wytaszczył z tyłu dwie ciężkie, sztywne walizki Samsonite. Nagle opadli ich uzbrojeni funkcjonariusze Guardia

Civil; całą akcją kierował tajniak z UDYCO, siedzący na dachu pięćset metrów dalej.

Na komendę faceta z UDYCO w alejce na tyłach banku zgarnięto dwóch zbirów, w których rozpoznano później najemnych osiłków pracujących dla galicyjskich gangów, a także personel banku i walizki. Zawierały dwutygodniowe „rozliczenia” między połączonymi grupami przestępczymi w Hiszpanii a kolumbijskim kartelem.

Całkowity łup wyniósł ponad dziesięć milionów euro w paczkach banknotów o nominale pięciuset euro. W krajach, gdzie pieniądz ten jest w obiegu, mało kto go widuje, ponieważ tak wysokiego nominału raczej nie używa się na ulicy. W praktyce służy wyłącznie do wielkich rozliczeń gotówkowych, a tylko w jednej branży stosuje się to na co dzień.

Julio Luz został aresztowany przed wejściem do banku, a w środku to samo spotkało braci Guzman oraz ich głównego księgowego. Mając nakaz sądowy, UDYCO zarekwirowała wszystkie księgi i akta. Udowodnienie zmywy i udziału w międzynarodowym praniu pieniędzy wymagało miesięcy pracy najlepszych audytorów, ale te dwie walizki zawierały materiał wystarczający do aresztowania. Przekazanie ich znanym gangsterom nie dawało się bowiem wyjaśnić w świetle prawa. Wszystko stałoby się jednak prostsze, gdyby ktoś złożył zeznania.

W drodze do celi gangsterzy przechodzili obok otwartych drzwi. W środku siedział przybity Julio Luz, a rozanielony Paco Ortega pochylał się nad nim i częstował go kawą i kruchymi ciasteczkami.

Jeden z gwardzistów triumfalnie zerknął na więźnia, którego prowadził.

— Ten facet załatwi ci dożywocie w Toledo Penal — oświadczył z zachwytem.

W pokoju kolumbijski prawnik odwrócił się do drzwi i napotkał wściekły wzrok gangstera. Nie miał czasu zaprotestować. Człowieka w korytarzu odciągnięto dalej, a dwa dni później, kiedy przewożono go z centrum Madrytu do aresztu na przedmieściach, udało mu się uciec.

Wyglądało to na karygodne niedopatrzenie i złamanie procedury, więc Ortega gęsto tłumaczył się przełożonym. Kajdanki więźnia zostały niedokładnie zatrzaśnięte i dlatego w furgonecie zdołał uwolnić jedną rękę. Pojazd nie wjechał na dziedziniec więzienia, tylko zatrzymał się przy krawężniku. Dwóch więźniów prowadzono chodnikiem, gdy naraz jeden z nich wyrwał się i popędził ulicą. Godny pożałowania pościg był tak nieudolny, że gangster zbiegł.

Dwa dni później Paco Ortega wszedł do celi prawnika i oznajmił, że niestety, nie ma zgody na przedłużenie jego tymczasowego aresztu. Julio Luz był wolny. Mało tego, policja miała odstawić go na poranny lot Iberii do Bogoty i dopilnować, żeby wsiadł do samolotu.

Julio Luz przez całą noc w celi nie zmrużył oka, zastanawiając się nad sytuacją. Cieszył się, że nie ma żony ani dzieci. Jego rodzice nie żyli. Nic nie wiązało go z Bogotą, a śmiertelnie bał się don Diega.

Więzienna poczta pantoflowa huczała o ucieczce galicyjskiego zbira i o tym, że władze nie mogą go znaleźć. Niewątpliwie

jego kumple z północnego zachodu w Madrycie, przeważnie także przestępcy, dadzą mu schronienie i przemycą go do domu.

Julio Luz pomyślał o strzępach kłamstw, które usłyszał z ust gwardzisty w korytarzu. Rano odmówił opuszczenia więzienia. Jego obrońca był zdumiony, ale Luz uparcie nie zgadzał się wyjść.

— Nie ma pan wyboru, señor — tłumaczył nadinspektor Ortega. — Wygląda na to, że nie możemy pana o nic oskarżyć. Pański prawnik jest dla nas za sprytny. Musi pan wrócić do Bogoty.

— A jeśli złożę zeznania?

W celi zapadła cisza. Obrońca Kolumbijczyka podniósł tylko ręce i wyszedł nabzdyczony. Zrobił, co do niego należało. Odnosił sukces. Ale nawet on nie mógł bronić durnia.

Paco Ortega zaprowadził Luza do pokoju przesłuchań.

— No to pogadajmy — powiedział. — Byle serio. O wielu różnych rzeczach. Oczywiście, jeżeli chce pan tu znaleźć schronienie.

I Luz zaczął mówić. Gadał jak najęty. Wiedział mnóstwo, nie tylko o banku Guzmana, ale i o innych. Podobnie jak Eberhardt Milch z Hamburga nie był stworzony do takiej roboty.

• • •

Trzeci atak João Mendoza przypuścił na wycofany ze służby francuski samolot transportowy Noratlas, jakże charakterystyczny w świetle księżyca z ogonem na podwójnych wysięgnikach i

otwieranymi z tyłu drzwiami do ładowni. Maszyna wcale jednak nie leciała do Gwinei Bissau.

Wody w okolicach Dakaru — stolicy Senegalu, graniczącego od północy z Gwineą Bissau — obfitują w olbrzymie ryby, które przyciągają zapalonych wędkarzy. Na Atlantyku, pięćdziesiąt mil od Dakaru, stał na kotwicy wielki harteras do połowów wędkarskich. Stanowił znakomitą przykrywkę, bo widok szybkiego statku należącego do białych, z pływakami i rzędem sterujących na rufie wędek, zwykle odsuwa podejrzania.

„Blue Marlin” kiwał się łagodnie na nocnej martwej fali, jakby czekał na wschód słońca, kiedy ryby zaczną wreszcie brać. Dzięki nowoczesnej technologii GPS znajdował się tam, gdzie miał się znaleźć, z dokładnością do stu metrów kwadratowych. Załoga czekała z potężnymi latarkami Maglite w rękach, by na dźwięk zbliżających się silników błysnąć w niebo ustaloną sekwencję świateł. Ale nie usłyszała dźwięku silników.

Przestały się obracać osiemset kilometrów na południowy zachód i leżały z pozostałymi szczątkami noratlasa na dnie oceanu. O świcie załoga hatterasa, której łowienie ryb nie interesowało, wróciła do Dakaru i nadała zaszyfrowany e-mail, donosząc, że nie doszło do spotkania i że w ładowni pod maszynownią nie mają tony kokainy.

• • •

Gdy wrzesień przeszedł w październik, don Diego Esteban zwołał posiedzenie rady w trybie nadzwyczajnym. Jej przedmiotem miała być nie tyle analiza, ile dociekanie przyczyn porażki.

Nie stawili się dwaj członkowie zarządu. Przyjęto do

wiadomości fakt aresztowania Julia Luza, ale nic nie wiedziano o tym, że prawnik zmienił front.

Z Robertem Cárdenasem nie udało się skontaktować. Don tracił cierpliwość wobec zwyczajów cartageńczyka, który zniknął w dżungli i nie był osiągalny przez telefon komórkowy. Jednak głównym punktem zebrania były liczby, w związku z czym na ławie oskarżonych znalazł się Alfredo Suárez.

Wiadomości były złe, coraz gorsze. Złożone zamówienia opiewały na dostarczenie zarówno do Stanów Zjednoczonych, jak do Europy po trzysta ton czystej kokainy rocznie. Do tej pory bezpiecznie powinno tam dotrzeć po dwieście ton. A trafiło niecałe sto.

Katastrofy następowały na trzech frontach. Kontenery w portach rozrzucanych po Stanach Zjednoczonych i Europie coraz częściej zatrzymywano i poddawano kontroli wyrывkowej, która aż nazbyt często trafiała w dziesiątkę. Dla Dona od dawna było jasne jak słońce, że jest pod ostrzałem. Czarna chmura podejrzeń zawisła na ekspedytorem, Suárezem. Tylko on jeden dokładnie wiedział, które kontenery wiozą dodatkowy ładunek kokainy.

Na swoją obronę Suárez przytaczał fakt, że na ponad sto portów obsługujących kontenery na obu kontynentach tylko w czterech celnicy dokonali skutecznych konfiskat towaru. Nie wiedział, bo i skąd, że w kolejce czeka siedem następnych, bo Kobra stopniowo ujawniał nazwiska skorumpowanych urzędników.

Na drugim froncie znalazły się statki handlowe na morzu. Nastąpił gwałtowny wzrost liczby zatrzymań wielkich frachtowców

na środku oceanu, wchodzono na ich pokłady. Wyłapywano wyłącznie wielkie jednostki. W niektórych wypadkach kokainę ukryto na pokładach w portach, z których wypływały, i znajdowała się tam aż do wyładowania w porcie docelowym.

Jednak Suárez był zwolennikiem wypuszczania z portu czystego frachtowca, który dopiero na pełnym morzu brał na pokład kilka ton kokainy z kutrów rybackich albo ślizgaczy. Ładunków tych pozbywano się w ten sam sposób przed zawinięciem wielkiego statku do portu, dobre sto mil od punktu docelowego. Dzięki temu przybijał do brzegu czysty, tak jak „Virgen de Valme” do Seattle.

Wada tej metody polegała na tym, że całe załogi były świadkami transferu towaru po obu stronach, czego nie sposób było uniknąć. Czasami frachtowce rzeczywiście nie wiozły kokainy i oddział abordażowy, po przeprosinach, wracał z pustymi rękami. Jednak procent znalezienia ładunków w schowkach, które nigdy nie powinny zostać odkryte, był stanowczo za wysoki.

W sektorze zachodnim brały, w tym udział marynarki wojenne trzech krajów — Kanady, Stanów Zjednoczonych i Meksyku — wraz z celnikami i patrolami straży przybrzeżnej, zapuszczającymi się daleko w morze. Na wschodzie coraz większą aktywność przejawiały marynarki wojenne czterech państw europejskich.

Według oficjalnej zachodniej propagandy konfiskaty te były zasługą wdrożenia nowej technologii — urządzenia wykrywającego zwłoki zalane betonem i powszechnie stosowanego przez wydziały zabójstw na całym świecie. Ten rodzaj promieniowania,

według oficjalnych wyjaśnień, przenika przez stal tak, jak promienie rentgena prześwietlają tkankę miękką, i pokazuje paczki oraz bele ukryte w schowkach stworzonych przez świętej pamięci Juana Corteza.

Jednak zarekwirowany statek nie zarabia na sobie, więc nawet ten ułamek światowej floty handlowej, który był skłonny podejmować ryzyko przewożenia kontrabandy, pomimo finansowych korzyści zwrócił się teraz przeciwko kartelowi.

Dona najbardziej jednak niepokoił trzeci front. Błędy zawsze wynikają z jakichś powodów, nawet katastrofy dają się jakoś wyjaśnić. Najbardziej więc dręczyli go przewoźnicy, którzy zniknęli bez śladu.

Nie wiedział, że dwa samoloty Global Hawk działają w systemie BAMS — wielkoobszarowego systemu rozpoznania morskigo — nad Karaibami i Atlantykiem. Nie wiedział o identyfikacji statków na podstawie pokładów, którą Michelle i Sam przekazywały w ciągu kilku sekund do bazy sił powietrznych Creech w Nevadzie, ani o liście spisanej przez Juana Corteza, a spoczywającej obecnie w magazynie w Waszyngtonie. Nie wiedział, że hawki potrafią odciąć wszelką łączność komputerową i telefoniczną ze wszystkimi jednostkami na morzu w promieniu jednej mili. No i nie miał pojęcia o dwóch statkach pułapkach, które udając zwykle jednostki handlowe, patrolowały Morze Karaibskie i Atlantyck.

Przed wszystkim zaś nie wiedział, że zmieniły się zasady gry i że jego statki wraz z załogami były unicestwiane, zatapiające, więzione albo konfiskowane bez jakiegokolwiek rozgłosu czy procesów sądowych. Don wiedział tylko tyle, że kolejne

statki i samoloty po prostu znikają. Nie zdawał sobie sprawy, że w świetle prawa on i jego kartel są traktowani jako działający z zewnątrz terroryści.

Operacja ta przynosiła rezultaty. Coraz trudniej było znaleźć duże statki handlowe gotowe podjąć ryzyko, a nowi sternicy „ścigaczy” — żeglarze o najwyższych kwalifikacjach, a nie pierwsi lepsi marynarze — byli prawie nieosiągalni. Piloci pracujący na własną rękę zaczęli łąć, że ich maszyny uległy awarii i nie nadają się do lotu.

Don Diego z jednej strony kierował się logiką, z drugiej zaś zżerała go paranoja. To dzięki tym dwóm czynnikom wciąż żył i był bogaty. Teraz już nie miał cienia wątpliwości, że w samym sercu jego kartelu, Hermandad, ulokował się zdrajca. Nocą bawił się myślami o tym, co zrobi z tym draniem, kiedy już go złapie.

Po lewej ręce Dona ktoś zakaszlał dyskretnie — José-Maria Largo, szef dystrybucji.

— Don Diego, mówię to z wielką przykrością, ale muszę. Nasi klienci na obu kontynentach zaczynają się niepokoić, zwłaszcza Meksykanie i włoska 'ndrangheta, która opanowała większą część Europy. To pan przypieczętował dwa porozumienia... z La Familia w Meksyku i z Kalabryjczykami, którzy odbierają lwią część naszych dostaw do Europy. A teraz narzekają na brak towaru, nierealizowanie zamówień i wzrost cen z powodu braku dostaw.

Don Diego pohamował się, żeby mu nie przyłożyć, i pośpiesznie pokiwał głową.

— Drogi kolego, myślę, że powinieneś wybrać się w objazd.

Zbierz naszych dziesięciu największych klientów. Powiedz im, że wystąpiły chwilowe problemy, ale ustaliliśmy już źródło kłopotów i nim się zajęliśmy.

Po czym gładko zwrócił się do Suáreza:

— Przyznasz, Alfredo, że trzeba się tym zająć?

Groźba, która zawisła w powietrzu, odnosiła się do wszystkich obecnych. Należy zwiększyć produkcję w celu pokrycia braków. Do przewozów przez Atlantykę należy pozyskać albo zwerbować kutry rybackie i małe frachtowce, z których dotychczas nie korzystano. Nowym pilotom trzeba zaproponować takie sumy, żeby nie mogli się oprzeć i zaryzykowali przeloty do Afryki i Meksyku.

W duchu zaś Don poprzysiął sobie, że poszukiwania zdrajcy należy zintensyfikować, aż w końcu dopadną renegata. A kiedy się nim zajmą, czeka go wyjątkowo niemiła śmierć.

• • •

Na początku października Michelle zauważyła kropkę, która wyleciała z kolumbijskiej dżungli i skierowała się nad oceanem na północ. Powiększone zdjęcie pokazało, że jest to dwusilnikowa cessna 441. Zwróciła na siebie uwagę, bo wyruszyła z małego pasa startowego na jakimś zadupiu, skąd nie startowały międzynarodowe samoloty pasażerskie; nie był to samolot firmowy pełen dyrektorów i prezesów; no a kurs 32.5 stopnia wskazywał, że kieruje się do Meksyku.

Michelle zawróciła za tym dziwolągiem i śledziła go wzdłuż wybrzeży Nikaragui i Hondurasu, gdzie musiałby wylądować i uzupełnić zapas paliwa, gdyby nie miał dodatkowych zbiorników.

Ale nie wylądował. Przeleciał nad Belize i dalej, nad Jukatąnem. Wtedy baza lotnicza Creech zaproponowała przejęcie cessny meksykańskim siłom powietrznym, które przyjęły to z radością. Głupiec za sterami tego samolotu leciał w biały dzień, nie mając pojęcia, że jest śledzony i że ten, kto go obserwuje, wie, że już dawno powinno mu się skończyć paliwo.

Cessnę przechwyciły dwa meksykańskie odrzutowce, które próbowały nawiązać z nią kontakt radiowy. Bez skutku. Pokazali pilotowi, że ma zmienić kurs i lądować w Meridzie. Przed nimi kłębiły się wielkie zwały chmur. Znienacka cessna zanurkowała w ich stronę, usiłując uciec. Widocznie pilot należał do nowych nabytków Dona i nie miał jeszcze doświadczenia. Piloci myśliwców dysponowali natomiast radarem, a brakowało im poczucia humoru.

Cessna została zestrzelona i spadła do morza na wysokości Campeche. Próbowła dostarczyć towar na pas startowy na farmie bydła pod Nuevo Laredo na granicy z Teksasem. Nikt nie przeżył. Miejscowe kutry rybackie wyciągnęły z płyčizny bele kokainy o łącznej wadze pięciuset kilogramów. Część przekazano władzom, ale niewiele.

W październiku oba statki pułapki musiały uzupełnić zapasy. „Chesapeake” spotkał się ze statkiem pomocniczym na pełnym morzu na południe od Jamajki. Wziął na pokład pełny zapas paliwa, żywności oraz pluton SEAL, który zastąpił poprzednich komandosów — tym razem z oddziału drugiego z Coronado w Kalifornii. Poza tym wysadził wszystkich dotychczas pojmanych więźniów.

Ludzie ci, którym przed wyjściem z pozbawionego okien więzienia znów włożono kaptury na głowy, poznali po głosach, że są w rękach Amerykanów, ale nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują ani na jakim statku. Później, wciąż w kapturach, przetransportowano ich na brzeg i przewieziono busem o czarnych szybach do bazy lotniczej Eglin, skąd na pokładzie samolotu transportowego C-5 wylecieli w długi rejs na wyspy Czagos, gdzie przynajmniej mogli zobaczyć światło dzienne i przecze-kać wojnę.

„Balmoral” także uzupełnił paliwo na morzu. Komandosi z SBS zostali na pokładzie, bo jednostka została powiększona o dwa pełne szwadrony rozlokowane w Afganistanie. Więźniów odstawiono do Gibraltaru, skąd zabrał ich ten sam amerykański C-5. W Gibraltarze Brytyjczycy przekazali Amerykanom także osiemnaście ton przejętej kokainy.

Skonfiskowaną kokainę — dwadzieścia trzy tony z „Chesapeake” i osiemnaście z „Balmorala” — przerzucono na inny statek, niewielki frachtowiec, którym zarządzał Kobra.

Kokaina przechwycona w różnych portach w Europie i Stanach Zjednoczonych została zniszczona przez siły policyjne danych krajów. Ta, którą zarekwirowano na morzu, trafiła na odpowiednie jednostki marynarki wojennej bądź straży przybrzeżnej i po przewiezieniu na ląd również była niszczone. Ładunki samolotów zestrzelonych nad morzem przepadły na dobre. Ale to, co przejął Kobra, na jego rozkaz zmagazynowano na małej wydzierzawionej wysepce w archipelagu Bahamów, pod silną strażą.

Pod plandeką w barwach ochronnych, rozciągniętą między

palmami, ułożono niską górkę z rzędów bel kokainy, a w samochodach mieszkalnych ustawionych w cieniu tuż przy plaży zakwaterowano nieliczny oddział amerykańskich marines. Odwiedzał ich jedynie mały frachtowiec, dostarczający świeże produkty. To właśnie on wypłynął na spotkanie statków pałapek, żeby uwolnić je od pierwszych skonfiskowanych partii narkotyku.

W połowie października wiadomość od Hoogstratena dotarła do Dona. Nie uwierzył, że banki zdradziły władzom swoje najskrytsze tajemnice. Jeden to jeszcze od biedy możliwe, ale dwa — w żadnym razie. Pozostawał więc tylko jeden człowiek znający numery kont, na które przelewano łapówki zapewniające bezpieczne przepuszczenie na cle transportów kokainy w amerykańskich i europejskich portach. Krótko mówiąc, Don znalazł zdrajcę.

Roberto Cárdenas patrzył właśnie, jak na ekranie jego córka idzie chodnikiem na lotnisku Kennedy'ego, gdy nagle wykopano drzwi. Jak zawsze, miał pod ręką pistolet maszynowy Uzi i wiedział, jak się z nim obchodzić.

Zanim go obezwładnili, skosił sześciu ludzi egzekutora, a nawet przestrelił dłoń El Animala. Jednak przewaga liczebna robi swoje, a Paco Valdez, wiedząc, z kim ma do czynienia, wziął dwunastu ludzi.

Za życia Roberto Cárdenas był brutalny, twardy i zły. Po śmierci został tylko kolejnym trupem. W pięciu kawałkach, kiedy już wyłączyli piłę łańcuchową.

Miał jedną, jedyną córkę. I bardzo ją kochał.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Bezlitosne ataki Kobry na kokainowe imperium don Diega trwały przez cały październik, aż w końcu pojawiły się na nim pierwsze rysy. Pozycja kartelu wśród licznych, niebywale brutalnych odbiorców na obu kontynentach pogarszała się z każdą chwilą i sytuacja stała się poważna, wręcz śmiertelnie groźna.

Don Diego już dawno zdał sobie sprawę, że jeśli nawet Roberto Cárdenas go zdradził, to niemożliwe, żeby człowiek kontrolujący Listę Łapowników był jego jedynym wrogiem. Cárdenas nie mógł wiedzieć o przemyślnych schowkach skonstruowanych przez Juana Corteza. Nie mógł znać nazw statków, terminów ani portów, z których wypływały. Nie mógł wiedzieć o nocnych lotach do Afryki Zachodniej ani znać modeli używanych samolotów. Był tylko jeden człowiek, który o tym wiedział.

Paranoja Dona zwróciła się ku temu, kto wiedział wszystko na ten temat — Alfredowi Suárezowi. Suárez doskonale się

orientował, jaki los spotkał Cárdenasa, i zaczął się obawiać o swoje życie.

Głównym problemem była jednak produkcja. Skoro konfiskaty, niszczenie, straty na morzu i zniknięcia towaru sięgały pięćdziesięciu procent wyekspediowanej ilości, Don polecił Emiliowi Sanchezowi, żeby zwiększył produkcję w dżungli do niespotykanego jak dotąd poziomu. Coraz większe koszty zaczynały nadgryzać niebывałe bogactwo kartelu. A potem Kobra dowiedział się o Cárdenasie.

Poćwiartowane zwłoki znaleźli chłopci. Brakującej głowy nigdy nie odszukano, ale użycie piły łańcuchowej powiedziało pułkownikowi Dos Santosowi, że to robota kartelu. Poprosił więc kostnicę w Cartagenie o próbkę DNA. I właśnie na tej podstawie zidentyfikowano starego gangstera.

Dos Santos poinformował o tym rezydenta DEA w Bogocie, Amerykanin zaś przekazał to na Army Navy Drive w Arlington. Kobra zobaczył tę wiadomość na kopiach wszelkich połączeń docierających do centrali Urzędu do spraw Walki z Narkotykami.

Dotychczas, żeby nie narażać życia informatora, złapano ledwo dwunastu przekupionych urzędników, a i to na pozór przez przypadek. Ale skoro Cárdenas nie żył, nie trzeba go było dłużej chronić.

Cal Dexter w towarzystwie głównego łowcy narkotyków w DEA, Boba Berrigana, objechał Europę i przekazał informacje zachwyconym szefom urzędów celnych w dwunastu krajach. Dyrektor DEA zrobił to samo w Ameryce Północnej — Meksyku, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Za każdym razem

zachęcano celników do skorzystania z podstępu zastosowanego w Hamburgu. Proszono ich, żeby zamiast natychmiastowych aresztowań skorzystali z nowych informacji i za jednym zamachem złapali i skorumpowanych urzędników, i ładunki, które ci chronili.

Niektórzy się zgodzili, inni nie mogli czekać. Ale zanim ostatni z Listy Łapowników trafił za kratki, ujawniono i skonfiskowano ponad czterdzieści ton kokainy. I wcale nie był to koniec.

Cárdenas przekazywał łapówki do banków w sześciu tajnych rajach podatkowych. Odpowiednio przyduszone, banki te zaczęły, acz niechętnie, wypływać sumki odłożone u nich na czarną godzinę. W sumie odzyskano pół miliarda dolarów i lwia część tych pieniędzy zasiliła kasy agencji antynarkotykowych.

To jednak dalej nie był koniec. Znakomita większość urzędników przebywających w aresztach śledczych nie należała do twardzieli. W obliczu pewnej ruiny i zapewne wyroków dożywocia chcieli poprawić swoją sytuację, idąc na współpracę. Nagrody za ich głowy, wyznaczone przez mafiosów, wywierały najczęściej odwrotny skutek. Bo groźba natychmiastowego zwolnienia i wypuszczenia na ulice była tym bardziej przerażająca. Jediną szansę na pozostanie przy życiu dawało głęboko utajnione więzienie i całodobowa ochrona strażników, a to mogła zapewnić jedynie współpraca.

Aresztowani — sami mężczyźni — przypomnieli sobie firmy krzaki, do których należały ciężarówki przewożące kontenery po zwolnieniu z cła. Celnicy i policja przeprowadzili naloty na

magazyny i hurtownie, z których gangsterzy pośpiesznie próbowali wywieźć towar. Kolejne tony kokainy zostały skonfiskowane.

Większość tych nalotów nie uderzyła bezpośrednio w kartel, bo towar przeszedł już na własność odbiorcy, ale krajowe gangi straciły fortuny i musiały ponowić zamówienia, a także ugłaskać pośredników i odbiorców, którzy wszczęli raban. Podsumowano im wiadomość, że przeciek, który kosztował ich majątek, nastąpił w Kolumbii, co bynajmniej ich nie ucieszyło.

Kobra od dawna zakładał, że prędzej czy później dojdzie do złamania jego zabezpieczeń — i miał rację. Nastąpiło to pod koniec października. Kolumbijski żołnierz stacjonujący w Malambo wyszedł na przepustkę i przechwalał się w barze, że w bazie wchodził w skład jednostki ochraniającej zamknięty teren Amerykanów. Zdradził swojej pełnej podziwu dziewczynie, a przy okazji facetowi, który skwapliwie nastawiał ucha z drugiej strony baru, że z silnie strzeżonej strefy jankesi wysyłają bardzo dziwny samolot. Wysoki mur uniemożliwiał podejście, w jaki sposób jest tankowany i serwisowany, ale widać go było podczas startu i odlotu. I chociaż samolot ten startował i lądował nocą, żołnierz widział go w świetle księżyca.

Powiedział, że maszyna wyglądała jak ze sklepu z zabawkami — napędzana śmigłem umieszczonym z tyłu. Co dziwniejsze, nie miała pilota, ale w kantynie szeptano, że wyposażona jest w niesamowite kamery, które widzą na odległość wielu kilometrów, nawet nocą, i przebijają się przez chmury czy mgłę.

Rozwlekłą opowieść kaprała przekazano kartelowi. Oznaczało to tylko jedno: że Amerykanie wysyłają z bazy w Malambo bezzałogowe pojazdy latające UAV, żeby szpiegować wszystkie samoloty startujące z karaibskiego wybrzeża Kolumbii.

Tydzień później przypuszczono atak na bazę Malambo. Do grupy szturmowej Don nie zatrudnił egzekutora, który wciąż kurował ranną lewą dłoń. Skorzystał z prywatnej armii byłych partyzantów z grupy terrorystycznej FARC, nadal dowodzonej przez weterana walk w dżungli, Rodriga Pereza.

Atak nastąpił nocą. Grupa uderzeniowa przedarła się przez główną bramę i ruszyła od razu na zamknięty teren Amerykanów w samym sercu bazy. Pięciu żołnierzy kolumbijskich pilnujących bramy zginęło, ale strzały postawiły na nogi amerykańskich marines, którzy strzegli wewnętrznego azylu. W samą porę.

W samobójczej szarży atakujący przeskoczyli przez wysoki mur, lecz zostali skoszeni, kiedy próbowali się dostać do wzmocnionego hangaru, w którym trzymano UAV. Dwóch terrorystów z FARC, którzy wdarli się do środka na chwilę przed śmiercią, czekało rozczarowanie. Michelle była trzysta kilometrów dalej, krążąc leniwie nad morzem i blokując łączność dwóm „ścigaczom”, które właśnie przechwycili komandosi SEAL z „Chesapeake”.

Pomijając kilka dziur w betonie, ani hangar, ani warsztaty nie poniosły żadnych szkód. Nie zginął ani jeden amerykański marine i tylko sześciu żołnierzy kolumbijskich. Rano naliczono ponad siedemdziesiąt zwłok członków FARC. Tymczasem na

morzu dwa kolejne „ścigacze” zniknęły bez śladu, ich załogi trafiły do przedniej ładowni poniżej linii wodnej i skonfiskowano cztery tony kokainy.

Dwadzieścia cztery godziny później Kobra dowiedział się, że kartel już wie o Michelle. Don Diego nie miał jednak pojęcia, że drugi UAV działa z bazy na nieznaną brazylijską wysepce.

Naprowadzany przez Michelle i Sam major Mendoza zestrzelił czterech kolejnych przemytników kokainy, mimo że kartel zrezygnował z rancza Boavisty jako punktu uzupełniania paliwa na rzecz innej hacjendy, ukrytej jeszcze głębiej w buszu. El Animal i jego zbiry długo torturowali czterech pracowników Boavisty, podejrzewając, że to oni są źródłem przecieku o planach lotów.

Pod koniec października brazylijski finansista, przebywający na wakacjach na Fernando de Noronha, rozmawiał przez telefon ze swoim bratem w Rio o dziwnym samolociku, który Amerykanie wysyłają z drugiej strony lotniska. Dwa dni później w porannym dzienniku „O Globo” pojawił się sensacyjny artykuł i historia ujrzała światło dzienne.

Leżąca daleko od kontynentu wyspa była jednak niedostępna nawet dla oddziałów FARC Dona. Bazę Malambo wzmocniono i oba samoloty bezzałogowe kontynuowały loty. W sąsiedniej Wenezueli skrajnie lewicowy prezydent Hugo Chavez, wbrew moralizatorskim zapędom tolerujący sytuację, w której jego kraj, a zwłaszcza północne wybrzeże, był głównym punktem wysyłki transportów kokainy, dawał upust swojej wściekłości i pomstował, ale niewiele więcej mógł zrobić.

Piloci decydujący się na ryzyko przelotu przez Atlantyk, wierząc, że nad Gwineą Bissau ciąży jakaś klątwa, upierali się, żeby zmienić punkt docelowy. Nic to nie dało, bo czterej zestrzeleni w listopadzie kierowali się do Republiki Gwinei, Liberii i Sierra Leone, gdzie mieli zrzucić ładunki z powietrza, lecąc na małej wysokości nad czekającymi kutrami rybackimi. Żaden z nich nie dotarł jednak do celu.

Skoro przeniesienie punktu tankowania z Boavisty na nowe ranczo oraz zmiana punktów docelowych nie przyniosły rezultatów, zabrakło pilotów gotowych podjąć się kolejnych lotów, bez względu na wynagrodzenie. Pośród załogantów w Kolumbii i Wenezueli trasa atlantycka zyskała miano *los vuelos de la muerte* — trasy śmierci.

W Europie dochodzenia prowadzone dzięki pomocy Eberhardta Milcha ujawniły na kilku kontenerach małe, wymalowane za pomocą szablonu znaczki z dwoma koncentrycznymi kółkami i krzyżem maltańskim w środku. Prześledzono ich drogę wspan, do Paramaribo — stolicy Surinamu i zarazem portu — i dalej w głąb kraju, do plantacji bananów, z której przyjechały. Z pomocą Amerykanów i za ich pieniądze dokonano na nią nalotu i zlikwidowano.

Rozgorączkowany Alfredo Suárez, który za wszelką cenę chciał sprawić przyjemność don Diegowi, zorientował się, że żaden statek nie wpadł na Pacyfiku, a skoro wybrzeże Kolumbii obejmuje oba oceany, dużą część transportów przerzucił z Morza Karaibskiego na zachodni brzeg.

Michelle zauważyła tę zmianę, kiedy dostrzegła parowiec ze swojej bazy danych, jeden z szybko kurczącej się listy Corteza,

płynący na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża Panamy. Na przechwycenie go było już za późno, ale sprawdzono, że wyruszył z kolumbijskiego portu Tumaco nad Pacyfikiem.

W listopadzie don Diego Esteban zgodził się przyjąć wysłannika jednego z największych, a więc najbardziej wiarygodnych europejskich klientów kartelu. Niezwykle rzadko spotykał się osobiście z kimś spoza nielicznej koterii Kolumbijczyków, tym razem jednak ubłagał go José-Maria Largo, szef dystrybucji odpowiedzialny za kontakty z klientami na całym świecie.

Podjęto niezwykle środki ostrożności, żeby dwaj Europejczycy, mimo że bardzo ważni, nie mieli pojęcia, na której hacjendzie odbywa się spotkanie. Nie było problemów językowych — obaj byli Hiszpanami z Galicji.

Nawiedzana burzami północno-zachodnia prowincja Hiszpanii od dawna była przemytniczym centrum tego starego europejskiego królestwa. Od pradawnych czasów rodzili się tam żeglarze, którym nawet najbardziej wzburzone morze nie było straszne. Podobno na tym dzikim wybrzeżu między Ferrol a Vigo, poprzecinanym tysiącem rzek i zatoczek i z setką rybackich wiosek, wszyscy mają żeglowanie we krwi.

Do tradycji należy tam też kawaleryjska fantazja, z jaką traktuje się niepożądane wizyty celników i poborców akcyzy. Przemytników często przedstawia się w romantycznym świetle, ale doprawdy nie ma nic zabawnego w bezwzględności, z jaką walczą z przedstawicielami władz i wymierzają karę kapusiom. Gdy narkotyki zakorzeniły się w Europie, Galicja stała się jednym z głównych ośrodków przemytniczych.

Przez lata handlem kokainą w Galicji rządziły dwa gangi — Charlins i Los Caneos. W latach dziewięćdziesiątych między byłymi sprzymierzeńcami doszło do poważnej kłótni i krwawych waśni, ale ostatnio obie grupy doszły do porozumienia i znów podjęły współpracę. To właśnie zastępcy szefów obu tych gangów przylecieli do Kolumbii, żeby się poskarżyć. Don Diego zgodził się ich przyjąć ze względu na stare i silne związki Ameryki Łacińskiej z Galicją, na dziedzictwo wielu żeglarzy z Galicji, którzy dawno temu osiedli w Nowym Świecie, oraz na wielkość dotychczasowych zamówień kokainy.

Goście nie tryskali radością. To właśnie ich ludzi nadinspektor Paco Ortega aresztował z dwiema walizkami zawierającymi wyprane dziesięć milionów euro w banknotach o najwyższym nominale. Goście z Galicji utrzymywali, że nie doszłoby do tej katastrofy, gdyby nie złamanie zasad bezpieczeństwa przez prawnika Julia Luza, który w obliczu dwudziestoletniej odsiadki w hiszpańskim więzieniu podobno śpiewa jak kanarek, licząc na złagodzenie wyroku.

Don Diego wysłuchał tego w lodowatym milczeniu. Najbardziej na świecie nienawidził upokorzenia, a teraz, gotując się w duchu z wściekłości, musiał znosić połajanki ze strony dwóch wieśniaków z La Coruñy. Co gorsza, mieli rację. To Luz ponosił całą winę. Gdyby ten dureń miał rodzinę, boleśnie zapłaciłaby za nieobecnego zdrajcę. Ale ludzie z Galicji mieli więcej do powiedzenia.

Ich głównymi odbiorcami były brytyjskie gangi, importujące kokainę do Wielkiej Brytanii. Czterdzieści procent brytyjskiej

kokainy przechodziło przez Galicję, do której docierała przez Afrykę Zachodnią wyłącznie drogą morską. Ta część towaru z Afryki Zachodniej, którą przewożono łodem na wybrzeże między Marokiem a Libią i przetrucano do południowej Europy, trafiała do innych gangów. Galicja zależała więc od transportu morskiego, a ten się skończył.

W podtekście wyraźnie kryło się pytanie: Co zamierzacie zrobić w tej sprawie? Don uprzejmie zaproponował gościom, żeby napili się wina na słońcu, a sam wszedł do domu, żeby się naradzić.

— Ile ci z Galicji są dla nas warci? — zapytał José-Marie Larga.

— Za dużo — odparł szef dystrybucji. Z mniej więcej trzystu ton, które co roku powinny trafiać do Europy, Hiszpanie — innymi słowy Galicja — brali dwadzieścia procent, czyli sześćdziesiąt ton. Więcej odbierała tylko 'ndrangheta — większa nawet od neapolitańskiej kamorry i sycylijskiej cosa nostry. — Potrzebujemy ich, don Diego. Suárez musi się uciec do jakichś nadzwyczajnych środków, byleby byli zadowoleni.

Przed połączeniem minikarteli w kolosalne Bractwo gangi z Galicji zaopatrywały się głównie w kartelu Valle del Norte, kierowanym przez Montoyę, który obecnie siedział w amerykańskim więzieniu. Valle del Norte jako ostatni niezależny kartel opierał się zjednoczeniu, ale wciąż produkował własne zapasy. Gdyby potężne gangi z Galicji wróciły do poprzedniego dostawcy, inni mogliby pójść ich śladem, co stopniowo doprowadziłoby do rozpadu imperium.

Don Diego wrócił na taras.

— Señores, macie słowo don Diega Estebana — obiecał. — Dostawy zostaną wznowione.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Rezygnacja Suáreza z metody tysięcy „mrówek” połykających po kilogramie koki albo przewożących po dwa, trzy kilogramy w walizce z nadzieją, że nie wpadną podczas kontroli na lotniskach, swego czasu wydawała się rozsądna. Ale teraz niewidoczne urządzenia prześwietlające ubrania i ciało powodowały, że przemysł w żołądkach był z góry skazany na niepowodzenie. Mało tego, wzmożone kontrole bagażu w halach przylotów, za które Don winił muzułmańskich fundamentalistów i których przeklinał dzień w dzień, skutkowały tym, że konfiskaty towaru przemycanego w walizkach wzrosły niebotycznie. Mało transportów, za to wielkich, wydawało się rozsądnym nowym kierunkiem działania. Tyle że od lipca nastąpił zalew przejęć i zaginięć dostaw, a każda wiązała się ze stratą od jednej do dwunastu ton koki.

Don stracił speca od prania pieniędzy, człowiek kontrolujący Listę Łapowników go zdradził, a ponad stu urzędników, potajemnie pracujących dla niego, wylądowało za kratkami. Na morzu zatrzymano przeszło pięćdziesiąt dużych frachtowców przewożących kokainę, osiem par „ścigaczy” plus piętnaście mniejszych trampów znikło bez śladu, a most powietrzny do Afryki Zachodniej przeszedł do historii.

Don Diego wiedział, że ma wroga, i to wyjątkowo paskudnego. Doniesienia o dwóch samolotach bezzałogowych, które nieustannie patrolowały niebo i wypatrywały z powietrza jego

statków, a być może i samolotów, mogły tłumaczyć część poniesionych strat.

Ale gdzie były amerykańskie i brytyjskie okręty wojenne, które zatrzymywały przemytników? Gdzie się podziały jego zajęte statki? Co się stało z ich załogami? Dlaczego nie pokazywano ich, jak zwykle, przed kamerami? Dlaczego celnicy nie ustawiali się triumfalnie na tle bel skonfiskowanej kokainy?

„Oni”, kimkolwiek byli, nie mogli więzić jego ludzi potajemnie. To byłoby naruszeniem praw człowieka. Nie mogli zatapiać jego statków. To sprzeczne z prawem morskim, z zasadami CRIJICA. No i nie mogli zestrzeliwać jego samolotów. Nawet jego najgorsi wrogowie, amerykański DEA i brytyjska SOCA, musieli przestrzegać własnych praw. I wreszcie dlaczego żaden z przemytników nie wysłał choćby jednej zaprogramowanej wiadomości alarmowej?

Don podejrzewał, że za tym wszystkim stoi jeden mózg — i miał rację. Kiedy zapraszał gości do SUV-a, którym miał ich odwieźć na lotnisko, Kobra siedział w swoim eleganckim domu w Alexandrii nad Potomakiem i z przyjemnością słuchał nagrania jednego z koncertów Mozarta.

• • •

Pod koniec listopada niewinny na pozór zbożowiec, m/v „Chesapeake”, przepłynął Kanałem Panamskim na Pacyfik. Gdyby ktoś się pytał albo — co zgoła nieprawdopodobne — miał dość władzy, by zażądać okazania papierów, okazałoby się, że frachtowiec płynie na południe, do Chile, z kanadyjską pszenicą.

Rzeczywiście, wypłynąwszy na Pacyfik, statek skręcił na południe, ale tylko dlatego, że miał rozkaz trzymać się w odległości pięćdziesięciu mil od wybrzeża Kolumbii i czekać na pasażera.

Pasażer ten przyleciał ze Stanów Zjednoczonych odrzutowcem firmowym CIA i wylądował w bazie Malambo na karaibskim wybrzeżu Kolumbii. Obyło się bez kontroli celnej, ale nawet gdyby do niej doszło, paszport dyplomatyczny Amerykanina chronił go przed kontrolą bagażu.

Bagaż ten składał się z jednego ciężkiego plecaka, z którym pasażer nie chciał się rozstać i uprzejmie podziękował zwalinstemu amerykańskiemu marine, gdy ten zaproponował pomoc. Poza tym człowiek ten nie zabawiał w bazie — czekał już na niego blackhawk.

Cal Dexter znał pilota, który powitał go szerokim uśmiechem.

— Dokąd tym razem, proszę pana? — zapytał pilot, ten sam, który zdjął Dextera z balkonu hotelu Santa Clara po ryzykownym spotkaniu z Cárdenasem. Sprawdził plan lotu, śmigłowiec uniósł się z lądowiska, wzbił w powietrze i skręcił na południowy zachód, nad zatoką Darien.

Z wysokości tysiąca pięciuset metrów pilot i siedzący obok pasażer widzieli przesuwającą się w dole dżunglę, a dalej błyszczący Pacyfik. Dexter po raz pierwszy zobaczył dżunglę jako nastoletni żołnierz, kiedy zawieziono go do Żelaznego Trójkąta w Wietnamie. Wkrótce stracił wszelkie złudzenia na temat lasów deszczowych i nigdy ich nie odzyskał.

Z góry zawsze wydawały się bujne, gąbczaste, wygodne,

wręcz serdeczne, a tak naprawdę czaiła się tam śmierć. Zostawili za sobą zatokę Darien i przelecieli nad przesmykiem na południe od granicy z Panamą.

Nad oceanem pilot nawiązał kontakt ze statkiem, sprawdził kurs i skorygował go o kilka stopni. Dziesięć minut później na horyzoncie pojawiła się kropeczka — czekający „Chesapeake”. Morze było puste, jeśli nie liczyć kilku rybaków niedaleko brzegu, a z trawlerów na dole i tak nikt nie zauważyłby przesiadki.

Gdy blackhawk obniżał lot, pasażer i pilot ujrzeli kilka osób stojących na pokrywach luków i czekających na powitanie gościa. Za plecami Dextera ładowniczy uchylił drzwi i do kabiny wpadł ciepły wiatr, wywoływany przez wirniki. Ponieważ z pokładu „Chesapeake” sterczał żuraw, a śmigłowiec miał duży rozstaw płatów, ustalono, że opuszczą Dextera na szelkach.

Najpierw na cienkiej stalowej linie zjechał jego plecak. Kiwał się na prądzie zstępującym, dopóki nie chwyciły go i nie odczepiły silne ręce. Linka wjechała na górę. Ładowniczy skinął głową na Dextera, a ten wstał i podszedł do drzwi. Do szelek przypięto mu dwie podwójne knagi, po czym wyszedł.

Dzięki pilotowi śmigłowiec wisiał piętnaście metrów nad pokładem statku nieruchomy jak skała, morze było płaskie jak stół. Wyciągnięte ręce chwyciły Dextera i pomogły mu pokonać ostatni odcinek. Kiedy jego buty dotknęły pokładu, knagi puściły i linkę szybko wciągnięto. Dexter odwrócił się, pokazał uniesiony kciuk, po czym blackhawk zawrócił do bazy.

Grupę powitalną tworzyły cztery osoby: kapitan statku — komandor marynarki wojennej udający zwykłego marynarza; jeden z dwóch łącznościowców utrzymujących stały kontakt między „Chesapeake” a dowództwem Projektu Kobra; komandor porucznik Bull Chadwick dowodzący trzecim oddziałem SEAL; i wreszcie krzepki komandos z tej jednostki, który wziął plecak. Dexter po raz pierwszy rozstał się ze swoim bagażem.

Gdy zesłi pod pokład, maszyny „Chesapeake” ożyły i wypłynęły na pełne morze.

Czekali dwadzieścia cztery godziny. Dwaj łącznościowcy na zmianę urzędowali w kabinie radiowej, aż w końcu następnego dnia po południu w bazie sił powietrznych Creech w Nevadzie na ekranach pojawił się obraz przesyłany przez global hawk Michelle.

Gdy dwa tygodnie wcześniej ekipa Kobry w Waszyngtonie zobaczyła, że kartel zmienił trasę z Karaibów na Pacyfik, zmieniono także rejon patrolowania Michelle. Teraz unosiła się na wysokości dziewiętnastu tysięcy metrów, sączyła benzynę i obserwowała wybrzeże od Tumaco na południowym krańcu Kolumbii po Kostarykę oraz pas oceanu szerokości dwustu mil. Właśnie coś zobaczyła.

Z Creech przekazano obraz do Anacostii w Waszyngtonie, gdzie Jeremy Bishop, który najwyraźniej nigdy nie sypiał i jadł zabójcze śmieciowe jedzenie, nie odchodząc od komputerów, wrzucił go do bazy danych. Statek, który z wysokości dziewiętnastu tysięcy metrów był ledwo widoczną kropką, teraz wypełnił cały ekran.

Był to jeden z ostatnich statków, na których Juan Cortez dokonał cudów swoją spawarką. Zauważono go i zidentyfikowano na samym końcu, gdy kilka miesięcy wcześniej stał na kotwicy w porcie w Wenezueli; jego obecność na Pacyfiku potwierdzała zmianę taktyki.

Jednostka ta była zbyt mała, by znaleźć się w rejestrze Lloyd'a — ot, przeżarty rdzą parowiec o wyporności raptem sześciu tysięcy ton, który powinien pływać przy karaibskich wybrzeżach albo zapuszczać się na liczne wysepki obsługiwane tylko przez takie kabotażowce. Nazywał się „Maria Linda” i dopiero co wypłynął z Buenaventury. Na Michelle przesłano polecenie, żeby śledziła go w drodze na północ, a czekający „Chesapeake” ruszył mu na spotkanie.

Po kilku udanych zatrzymaniach komandosi SEAL nabrali już wielkiej wprawy. „Chesapeake” ustawił się dwadzieścia pięć mil dalej od brzegu, niż płynął frachtowiec, i tuż po świcie trzeciego dnia wyciągnięto na pokład little birda.

Gdy ocepiono śmigłowiec od żurawia, wirniki poszły w ruch i little bird wzbił się w powietrze. Wielki RHIB i dwa mniejsze zodiaki CRRC były już na wodzie i w ślad za śmigłowcem natychmiast pognały w kierunku frachtowca za horyzontem. Na rufie RHIB-a, obok dwóch szperaczy oraz przewodnika psa i jego spaniela, siedział Cal Dexter, ściskając swój plecak. Morze było spokojne, więc śmiercionośna mała flotylla płynęła na pełnym gazie z prędkością czterdziestu węzłów.

Oczywiście śmigłowiec dotarł na miejsce pierwszy. Zakręcił ostro przed mostkiem „Marii Lindy”, żeby kapitan zobaczył na

jego brzuchu napis: Marynarka Wojenna USA, a potem zawisł przed statkiem. Z kabiny little birda karabin snajpera celował prosto w twarz kapitana, a z megafonu padł rozkaz zatrzymania maszyn.

Kapitan posłuchał. Miał wytyczne. Rzucił krótki rozkaz oficerowi, niewidocznemu w korytarzu prowadzącym do kajut, a ten spróbował wysłać wiadomość do czekającego na nasłuchu operatora kartelu. Nic z tego. Spróbował połączyć się z telefonu komórkowego, potem wysłać SMS, e-mail z laptopa, aż w desperacji sięgnął po staroświecki radionadajnik. Nad nim, poza zasięgiem wzroku i słuchu, Michelle zawróciła i uruchomiła zagłuszanie. Nagle kapitan zobaczył pędzące ku niemu RHIB-y.

Opanowanie statku nie stanowiło problemu. Komandosi, ubrani na czarno, w kominiarkach i z pistoletami maszynowymi HK MP5 u pasa, po prostu przeskoczyli przez burty, a załoga podniosła ręce. Kapitan, rzecz jasna, protestował, a komandor porucznik Chadwick, ma się rozumieć, był oficjalny i uprzedzająco grzeczny.

Załoga statku zdążyła jeszcze zobaczyć, jak wchodzi szperacze i spaniel, po czym w kapturach na głowach została spędzona na rufę. Kapitan, doskonale wiedząc, co przewozi, modlił się, żeby napastnicy niczego nie znaleźli. Bo inaczej czeka go wieloletnia odsiadka w jankeskim więzieniu. Znajdowali się na wodach międzynarodowych; prawo było po stronie Amerykanów; najbliższy ląd to Panama, która współpracuje z Waszyngtonem, więc załatwi ich ekstradycję i wyśle za tę koszmarną granicę. Wszyscy słudzy kartelu, od najwyższych rangą po tych

na samym dole, drżą ze strachu na myśl o ekstradycji do Stanów Zjednoczonych. Bo zawsze oznaczało to długie wyroki bez szansy na szybkie zwolnienie w zamian za łapówkę.

Kapitan nie zobaczył starszego pana z zeszytowanymi stawami i plecakiem w ręku, któremu pomagano wejść na pokład. Gdy zakryto im głowy, stracił nie tylko wzrok, ale i słuch — kaptury były wyściełane od środka, żeby wytłumić dźwięki.

Dzięki zeznaniom Juana Corteza, które nadzorował osobiście, Dexter dokładnie wiedział, czego ma szukać i gdzie. Podczas gdy reszta ekipy udawała, że przeszukuje „Marię Lindę” od stępki po mostek i od dziobu po rufę, Dexter cicho wszedł do kajuty kapitańskiej.

Koja była przymocowana do ściany czterema grubymi śrubami z mosiądzu. Ich główki specjalnie zabrudzono na znak, że od lat nikt ich nie ruszał. Dexter usunął brud i odkręcił śruby. Teraz mógł odsunąć koję i odsłonić kadłub. Załoga statku zrobiłaby to samo godzinę przed spotkaniem z odbiorcą towaru.

Stalowy kadłub wyglądał na nietknięty. Dexter pomacał ręką w poszukiwaniu zatrzasku, znalazł go i przekręcił. Rozległo się ciche kliknięcie i stalowa płyta się poluzowała. Ale do kabiny nie wdarła się woda — w tym miejscu kadłub był podwójny. Dexter delikatnie odsunął stalową płytę i zobaczył bele kokainy.

Wiedział, że schowek rozciąga się daleko na prawo i lewo od otworu, a także w górę i w dół. Bele były w kształcie cegieł

grubości najwyżej dwudziestu centymetrów, bo taka była głębokość schowka. Ułożone jedna na drugiej, tworzyły mur. Każdy blok składał się z dwudziestu cegiełek zapakowanych w wiele warstw plastikowej folii. Bloki z kolei opakowane były w jutowe worki, przewiązane na krzyż sznurem, żeby łatwiej można je było nosić. Dexter oszacował, że są tu dwie tony czystej kolumbijki, po „ochrzczeniu” i napompowaniu do sześciokrotnej objętości warte na amerykańskich ulicach ponad sto milionów dolarów.

Ostrożnie rozpakował jeden blok. Tak jak się spodziewał, każda zapakowana w folię cegła miała na opakowaniu logo oraz oznakowanie numeru partii.

Gdy skończył, schował cegiełki na miejsce, zawinął w jutowy worek i obwiązał sznurkiem dokładnie tak, jak je zastał. Stałowa płyta wsunęła się na miejsce i zaskoczyła z trzaskiem, jak to zaprojektował Juan Cortez.

Na koniec wstawił koję na miejsce i przyśrubował. Posmarował kciukiem główki śrub tak, by znów były brudne i zakurzone. Skończył robotę, po czym nabałagał w kajucie, jak gdyby bezskutecznie czegoś tam szukał, i wrócił na górę.

Gdy Kolumbijczykom włożono kaptury, komandosi z SEAL mogli zdjąć kominiarki. Komandor porucznik Chadwick spojrział na Dextera i uniósł brew. Amerykanin skinął głową, wgramolił się przez burtę do pontonu i znów włożył maskę. Komandosi też naciągnęli kominiarki. Załodze statku zdjęto kaptury i kajdanki.

Wprawdzie Chadwick nie mówił po hiszpańsku, ale komandos Fontana znał ten język. Za pośrednictwem swojego oficera

dowódca oddziału SEAL z całego serca przeproszał kapitana „Marii Lindy”.

— Najwyraźniej dostaliśmy błędne informacje, *capitan*. Proszę przyjąć przeprosiny w imieniu marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Jesteście wolni. Życzę miłego rejsu.

Słyszac *Buen' viaje*, kolumbijski przemytnik nie wierzył we własne szczęście. Nawet nie udawał oburzenia z powodu tego, co go spotkało. Bo jeszcze jankesi zaczęliby od początku i tym razem coś by znaleźli. Wciąż uśmiechał się przyjaźnie, gdy szesnastu zamaskowanych ludzi i pies wsiedli do pontonów i odpłynęli z rykiem silników.

Począł, aż znajdą się daleko za horyzontem, a „Maria Linda” znów będzie płynęła na północ, po czym przekazał ster oficerowi, a sam zszedł pod pokład. Śruby wydawały się nietknięte, ale na wszelki wypadek odkręcił je i odsunął koję na bok.

Wyglądało na to, że nikt nie ruszał kadłuba, wołał się jednak upewnić, więc otworzył schowek i sprawdził bele. Ich też nikt nie tykał. W duchu podziękował rzemieślnikowi, kimkolwiek był, który zrobił tak zdumiewająco pomyslową skrytkę. Prawdopodobnie uratował mu życie, a już na pewno wybawił go od więzienia. Trzy dni później, w nocy, „Maria Linda” przybiła do brzegu.

W Meksyku istnieją trzy wielkie kartele kokainowe i kilka mniejszych. Te największe to La Familia, Kartel Zatokowy działający głównie na wschodzie, przy Zatoce Meksykańskiej, oraz Sinaloa, która opanowała wybrzeże Pacyfiku. Spotkanie na morzu „Marii Lindy” ze śmierdzącym starym kutrem do

połowu krewetek odbyło się na wysokości Mazatlán, w sercu terytorium Sinaloa.

Kapitan i załoga dostali kolosalne (jak dla nich) wynagrodzenie oraz premię za skuteczną dostawę — przynętę wprowadzoną przez Dona w celu zwiększenia liczby ochotników. Kapitan nie widział powodu, żeby wspominać o incydencie u wybrzeży Panamy. Po co wszczynać raban, skoro szczęśliwie uciekli? Załoga była tego samego zdania.

•••

Tydzień później bardzo podobna sytuacja wydarzyła się na Atlantyku. Odrzutowiec CIA bez rozgłosu wylądował na lotnisku na Sal, najbardziej wysuniętej na północny wschód wyspie Republiki Zielonego Przylądka. Jedyne pasażer miał paszport dyplomatyczny, więc przepuszczono go bez kontroli paszportowej i celnej. Do ciężkiego plecaka nikt nie zaglądał.

Po wyjściu z lotniska człowiek ten nie pojechał autobusem na południe, do jedyne go kurortu na wyspie w Santa Maria, lecz wziął taksówkę i zapytał, gdzie mógłby wynająć samochód.

Kierowca najwyraźniej nie wiedział, wobec tego przejechali trzy kilometry do Espargos i tam zasięgnęli języka. W końcu wylądowali na przystani promu w Palmeira, gdzie miejscowy właściciel warsztatu samochodowego wynajął Amerykaninowi małego renaulta. Dexter z nawiązką zapłacił mu za fatygę i odjechał.

Sal, czyli „sól”, nazywa się tak nie bez powodu. Jest płaska i bezbarwna, z wyjątkiem ciągnących się kilometrami panwi

solnych, które niegdyś stanowiły źródło krótkotrwałego dobrobytu wyspy. Teraz są tam tylko dwie szosy i bita droga. Jedna szosa biegnie ze wschodu na zachód, z Pedra Lume przez lotnisko do Palmeiry. Druga prowadzi na południe do Santa Maria. Dexter wybrał bity trakt.

Biegnie on na północ przez smętną, pustą okolicę do latarni morskiej na cyplu Fiura. Dexter zostawił samochód, przylepił na przedniej szybie karteczkę z informacją dla zaciekawionego znalazcy, że niedługo wróci, wziął plecak i ruszył na plażę obok latarni. Zapadał zmrok, więc automatycznie sterowane światło zaczęło się obracać. Dexter zadzwonił z telefonu komórkowego.

Kiedy little bird nadleciał ku niemu z atramentowego nieba, było już prawie całkiem ciemno. Dexter wysłał latarką rozpoznawczą serię świateł i mały śmigłowiec delikatnie osiadł na piasku obok niego. Zamiast drzwi miał tylko pusty owal. Dexter wsiadł, wepchnął plecak między nogi i zapiął pasy. Siedzący obok człowiek zaproponował mu taki sam kask, jaki miał na głowie.

Amerikanin włożył kask i usłyszał na wskroś brytyjski akcent.

— Czy podróż minęła przyjemnie, proszę pana?

Dlaczego oni zawsze biorą cię za starszego stopniem? — pomyślał Dexter. Naszywki pilota świadczyły, że jest podporucznikiem. Dexter dochrapał się zaledwie sierżanta. To pewnie przez te siwe włosy. Ale i tak lubił tych młodych zapaleńców.

— Jeszcze jak! — krzyknął w odpowiedzi.

— W samą porę. Do bazy jest dwadzieścia minut. Chłopaki już parzą herbatę.

Rzeczywiście w samą porę, przyznał Amerykanin w duchu. Przyda mi się filiżanka herbaty.

Tym razem wylądował na pokładzie, nie musiał się opuszczać na linie. Little birda, znacznie mniejszego od blackhawka, podniesiono ostrożnie za pomocą żurawia, opuszczono do lądowni i zamknięto luk. Pilot przeszedł stalowymi drzwiami na dziób, do mesy sił specjalnych. Dextera zaprowadzono w przeciwnym kierunku, na pokład rufowy, gdzie poznał kapitana statku oraz dowódcę drużyny SBS, majora Pickeringa. Podczas kolacji spotkał się z również z dwoma krajanami z Ameryki, łącznościowcami, którzy utrzymywali kontakt między m/v „Balmoral” a Waszyngtonem i Nevada oraz, za ich pośrednictwem, z UAV Sam, krążącym gdzieś w ciemności nad ich głowami.

Zanim UAV dostrzegł obiekt, przez trzy dni musieli czekać na południe od Wysp Zielonego Przylądka. Celem okazał się kolejny kuter rybacki, podobny do „Belleza del Mar”, o nazwie „Bonita”. Bez reklamy kierował się on na spotkanie na morzu, w namorzynowych bagnach Republiki Gwinei — kolejnego zbankrutowanego państwa pod rządami brutalnej dyktatury. Śmierdział tak samo jak „Belleza”, żeby maksymalnie zamaskować zapach kokainy.

„Bonita” kursowała z Ameryki Południowej do Afryki Zachodniej siedem razy i chociaż dwukrotnie zauważył ją Tim Manhire i jego ekipa antynarkotykowa MAOC w Lizbonie, to nigdy nie było pod ręką okrętu wojennego NATO. Tym razem

znalazł się odpowiedni statek, choć nie wyglądał na okręt i nawet MAOC nie wiedział o zbożowcu „Balmoral”.

„Bonita” należała do pierwszych statków, nad którymi pracował Juan Cortez. Spawacz umieścił schowek na samym końcu rufy, za maszynownią, która cuchnęła olejem silnikowym i rybami.

Akcja przebiegła niemal dokładnie tak samo jak na Pacyfiku. Gdy komandosi opuścili „Bonitę”, oszołomiony i wdzięczny z całego serca kapitan osobiście przyjął przeprosiny w imieniu Jej Królewskiej Mości za kłopot i zwłokę. A kiedy dwa „arktyczne” RIB-y i little bird znikły za horyzontem, kapitan odkręcił płyty za silnikami, odsunął fałszywy fragment kadłuba i sprawdził zawartość schowka. Nikt jej nie ruszał. Nie było mowy o podstępie. *Gringos* i ich węszące psy nie znaleźli tajnego ładunku.

„Bonita” stawiała się na spotkanie, przekazała towar, a inne kutry rybackie przewiozły go wzdłuż wybrzeża Afryki, przez Cieśninę Gibraltarską, obok Portugalii i dostarczyły gangowi z Galicji. Tak jak obiecał Don. Całe trzy tony. Tyle że nieco inne od oryginalnych.

Little bird odstawił Dextera na smętny skrawek plaży obok latarni morskiej na Fiura. Poobijany renault czekał na niego, nikt go nie ruszył. Dexter pojechał nim na lotnisko, zostawił napiwek i notkę dla właściciela warsztatu samochodowego, żeby sam odebrał swój wóz, po czym wypił kawę w restauracji. Odrzutowiec CIA, zawiadomiony przez łącznościowców z „Balmorala”, odebrał go godzinę później.

Wieczorem, podczas kolacji na pokładzie „Balmorala”, kapitańska zżerała ciekawość.

— Jesteś pewny, że na tym kutrze niczego nie było? — zapytał majora Pickeringa.

— Tak twierdził Amerykanin. Siedział w tej maszynowni z zamkniętym lukiem przez całą godzinę. Wylazł utyłany olejem i śmierdział tak, że urywało nos. Powiedział, że sprawdził wszelkie możliwe miejsca i że statek jest czysty. Widocznie dostał błędne informacje. Strasznie mi przykro.

— To dlaczego nie został z nami?

— Nie mam pojęcia.

— Wierzysz mu?

— Za cholere — odparł major.

— To co tu jest grane? Myślałem, że mamy porwać załogę, zatopić tę kupę złomu i skonfiskować kokę. W co on pogrywa?

— Cholera go wie. Wypada zacytować starego Tennysona. „My nie musimy wiedzieć dlaczego”.

W ciemności dziesięć kilometrów nad nimi Sam znów zawróciła i poleciała z powrotem na brazylijską wyspę, żeby uzupełnić paliwo. A dwusilnikowy odrzutowiec, wypożyczony od coraz bardziej zirytowanej CIA, wziął kurs na północny zachód. Jedyne pasażer na propozycję szampana odparł, że woli piwo z butelki. On wiedział, dlaczego Kobra nie chciał, żeby skonfiskowany towar trafił do pieca. Zależało mu na tym, żeby dostać opakowania.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przeprowadzenie nalotów spadło na brytyjską Agencję do spraw Przystępności Zorganizowanej oraz londyńską policję miejską. Już od pewnego czasu obie te służby szykowały się do akcji. Ich celem był gang przemytników narkotyków zwany Essex Mob.

Zespół Projektów Specjalnych Scotland Yardu już od jakiegoś czasu wiedział, że Essex Mob, dowodzony przez osławionego Benny'ego Danielsa, gangstera urodzonego w Londynie, należy do największych importerów marihuany, heroiny i kokainy i znany jest ze skrajnej brutalności wobec tych, którzy mu wchodzi w paradę. Jedynym powodem, dla którego gang przybrał taką nazwę, był fakt, że zyski z działalności przestępczej Daniels zainwestował w budowę olbrzymiej, niezwykle szpanerskiej posiadłości w Essex, na wschód od Londynu i na północ od ujścia Tamizy, pod pocziwym miasteczkiem targowym Epping.

Jako młody opryszek londyńskiego East Endu Daniels zdobył

reputację brutala oraz bogatą kartotekę w policji. Jego sukces położył jednak kres kolejnym odsiadkom. Stał się zbyt potężny, żeby osobiście tykać towar, a świadków było jak na lekarstwo. Co bardziej płochliwi szybko zresztą zmieniali zeznania, odważni zaś znikali na dobre albo w nadrzecznych moczarach znajdowano ich zwłoki.

Benny Daniels był cennym obiektem, jednym z dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców na liście policji stołecznej. Okazja, na którą od dawna czekał Scotland Yard, nadarzyła się w związku z Listą Łapowników, dostarczoną przez świętej pamięci Roberta Cárdenasa.

Wielka Brytania miała szczęście w tym sensie, że na liście tej występował tylko jeden Brytyjczyk — celnik z portu Lowestoft na wschodnim wybrzeżu. Dlatego już na wczesnym etapie operacji zostało wtajemniczone szefostwo Urzędu Celnego i Akcyzy.

Po cichu, w najgłębszej tajemnicy, zmontowano wielozadaniową grupę uderzeniową i wyposażono ją w najnowocześniejsze urządzenia podsłuchowe i namierzające.

Służba bezpieczeństwa, czyli MI5 — jeden z partnerów SOCA — użyczyła swojego zespołu inwigilacyjnego zwanego po prostu Obserwatorami, uchodzącego za jeden z najlepszych w kraju.

Skoro obecnie hurtowy import narkotyków traktowany był na równi z terroryzmem, Scotland Yard oddał do dyspozycji również CO 19 — jednostkę strzelców wyborowych. Grupą uderzeniową dowodził Peter Reynolds, komendant policji miejskiej, ale najbliższe łapownika byli jego koledzy z urzędu celnego.

Nieliczni, którzy wiedzieli o jego przestępstwach, darzyli go teraz szczerą, acz skrywaną nienawiścią i to właśnie oni mieli najlepszą pozycję, by śledzić każdy jego ruch. Ten przekupny celnik nazywał się Crowther.

Jeden z szefów urzędu celnego w Lowestoft jakże dogodnie miał ciężki atak wrzodów żołądka i poszedł na chorobowe. Zastąpił go spec od inwigilacji elektronicznej. Komendant Reynolds nie chciał zgarnąć tylko jednego „kupionego” urzędnika i jednej ciężarówki — przy pomocy Crowthera pragnął zwinąć całą siatkę przemytników narkotyków. Uzbroidł się więc w cierpliwość, nawet jeśli oznaczało to przepuszczenie kilku transportów.

Skoro port Lowestoft leży na wybrzeżu Suffolk, o rzut beretem na północ od Essex, podejrzewał, że Benny Daniels także macza w tym palce — i miał rację. W porcie Lowestoft przyjmowano między innymi tiry przepływające Morze Północne i właśnie niektóre z tych olbrzymich ciężarówek Crowther starał się obsługiwać osobiście i przepuszczać je przez kontrolę celną. Ale w grudniu popełnił błąd.

Promem z Flushing, w Holandii, przyjechała ciężarówka z transportem holenderskiego sera dla znanej sieci supermarketów. Młody celnik już miał zarządzić kontrolę ładunku, gdy nadbiegł Crowther i wykorzystując wyższy stopień służbowy, błyskawicznie zwolnił ciężarówkę.

Młody celnik nie był dopuszczony do tajemnicy, ale zdarzenie obserwował człowiek, który pojawił się w zastępstwie chorego. Udało mu się podczepić mikroskopijny lokalizator GPS pod tylny zderzak holenderskiej ciężarówki, gdy wyjeżdżała za

bramę portu. Następnie szybko gdzieś zadzwonił. Za tirem ruszyły trzy nieoznakowane samochody, na wszelki wypadek zmieniając się na prowadzeniu, żeby nie wpaść w oko kierowcy, ale ten niczym się nie przejmował.

Śledzona ciężarówka przejechała przez pół Suffolku, aż wreszcie zjechała na parking. Czekala tam na nią grupa mężczyzn w czarnym mercedesie. Mijając go, pierwszy samochód ze śledzącymi nie zwolnił, tylko zapisał numer rejestracyjny. W ciągu kilku sekund ustalono właściciela merca. Należał do jakiejś firmy krzak, ale kilka tygodni wcześniej widziano go, jak wjeżdża na teren posiadłości Benny'ego Daniela.

Holenderskiego kierowcę serdecznie ugoszczono w kawiarni przy parkingu. Dwaj członkowie gangu dotrzymywali mu towarzysztwa przez dwie godziny, bo na tyle zniknęła ciężarówka. Zwrócono mu ją wraz z grubym plikiem banknotów i mógł ruszyć dalej, do magazynów sieci handlowej w środkowej Anglii. Procedura ta była wierną kopią metody sprowadzania do Anglii nielegalnych imigrantów, więc grupa uderzeniowa obawiała się, że złapie tylko zdumionych i przybitych Irakijczyków.

Podczas gdy Holender popijał kawę w przydrożnym zajezdni, pozostali dwaj ludzie z mercedesa odjechali jego ciężarówką, żeby wyładować prawdziwy skarb — nie Irakijczyków szukających lepszego życia, lecz tonę wysokoprocentowej kolumbijskiej kokainy.

Tira śledzono od parkingu przy autostradzie w drodze na południe, aż do Essex. Tym razem kierowca i jego kompan

przez cały czas mieli się na baczności, więc prowadzący śledzące ich samochody musieli użyć wszelkich umiejętności, by wyprzedzać i zmieniać się tak, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Kiedy przekroczyli granicę hrabstwa, policja z Essex przydzieliła im do pomocy kolejne dwa samochody.

W końcu dotarli na miejsce, do starego, na pozór opuszczonego hangaru lotniczego na słonych mokradłach po obu stronach ujścia Blackwater. Teren był tak płaski i smętny, że obserwatorzy nie śmieli zapuścić się dalej, ale śmigłowiec z drogówki w Essex zauważył, jak opuszczają się drzwi hangaru. Ciężarówka przebywała w nim przez czterdzieści minut, a potem wyjechała i wróciła do holenderskiego kierowcy, czekającego w kawiarni przy autostradzie.

Odjeżdżający z parkingu tir nie budził już zainteresowania, ale głęboko w trzcinach ukryło się czterech specjalistów od inwigilacji w terenie wiejskim, zaopatrzonych w potężne lornetki. Potem z magazynu ktoś zadzwonił; rozmowę nagrała SOCA i Zarząd Główny Łączności Rządowej — GCHQ w Cheltenham. Odebrał ktoś w rezydencji Benny'ego Danielsa, położonej trzydzieści kilometrów dalej. Rozmowa dotyczyła przeniesienia „towaru” następnego dnia rano, więc komendant Reynolds z braku wyboru musiał dokonać nalotu jeszcze tej nocy.

Wychodząc naprzeciw wcześniejszym prośbom Waszyngtonu, ustalono, że akcja zostanie szeroko nagłośniona w mediach, dlatego do udziału w niej dopuszczono ekipę telewizyjną z programu *Crimewatch*.

• • •

Don Diego Esteban też miał problem z wizerunkiem publicznym, i to nieelichy. Tyle że jego widownia ograniczała się do dwudziestu głównych klientów — dziesięciu ze Stanów Zjednoczonych i dziesięciu z Europy. Kazał więc José-Marii Largowi objechać Amerykę Północną i zapewnić dziesięciu największych odbiorców produktu kartelu, że kłopoty, z którymi borykali się od lata, zostaną przezwyciężone i wkrótce wznowią dostawy. Klienci byli jednak rozeźleni nie na żarty.

Jako członkowie wielkiej dziesiątki mieli przywilej płacenia tylko pięćdziesięciu procent należności z góry. A i tak wynosiło to dziesiątki milionów dolarów na każdy gang. Pozostałe pięćdziesiąt procent mieli regulować po bezpiecznym dostarczeniu towaru.

Przejęcie, utrata czy zniknięcie kokainy w drodze z Kolumbii do punktu odbioru odbijały się na finansach kartelu. Ale nie w tym tkwił problem. Dzięki ujawnieniu Listy Łapowników amerykańscy celnicy oraz policja stanowa i miejska przeprowadzili dziesiątki skutecznych nalotów na magazyny w kraju, a takie straty były naprawdę dotkliwe.

Lecz to nie wszystko. Każdy wielki importer miał rozległą siatkę mniejszych klientów, których należało zaopatrzyć. W tej branży lojalność nie istnieje. Jeżeli stały dostawca nie potrafi się wywiązać z zamówienia, ale może to zrobić kto inny, wtedy odbiorca przechodzi do tego nowego.

Poza tym skoro na miejsce docierało tylko pięćdziesiąt procent zamówień, w całym kraju zaczynało brakować towaru. Ceny szły w górę zgodnie z prawami rynku. Importerzy pompowali objętość czystej koki już nie sześć- czy siedmiokrotnie, ale

nawet dziesięciokrotnie, żeby jak najoszczędniej gospodarować zapasami i nie stracić klientów. Ale niektórzy odbiorcy kręcili nosem już na siedmiokrotnie chrzczony towar. Wypełniacze były coraz gorsze, chemicy dodawali szalone ilości zamienników takich jak ketamina, żeby użytkownikom zdawało się, że wciągają wysokiej jakości używkę, a nie potężną dawkę środka uspokajającego dla koni, który przypadkiem wygląda i pachnie tak samo.

Niedobór towaru miał jeszcze jeden niebezpieczny skutek uboczny — zaczęła się ujawniać paranoja, nieodłącznie towarzysząca przestępczości zorganizowanej. Gangi podejrzewały się wzajemnie, że ten drugi może być traktowany na preferencyjnych warunkach. Całkiem realna możliwość, że magazyny danego gangu obrabia konkurencja, groziła wybuchem w podziemiu niezwykle zacieklej wojny.

Largo miał uspokoić to stado rekinów, zapewniając ich o szybkim powrocie do normalnej obsługi. Na początek musiał polecieć do Meksyku.

Wprawdzie Stany Zjednoczone są zalewane kokainą dostarczaną przez awionetki, ślizgacze, prywatne jachty, pasażerów samolotów rejsowych oraz „mrówki” z pełnymi żołądkami, to jednak o największy ból głowy przyprawia Amerykanów kręta, mająca cztery i pół tysiąca kilometrów długości granica z Meksykiem. Biegnie ona od San Diego do Zatoki Meksykańskiej, wzdłuż granic Kalifornii, Arizony, Nowego Meksyku i Teksasu.

Północny Meksyk od lat jest prawdziwą strefą wojenną rywalizujących gangów, walczących o przywództwo albo o ochłap

z pańskiego stołu. Zwłoki tysięcy zamęczonych na śmierć ludzi zalegają ulice i pustynie, bo przywódcy karteli i szefowie gangów zatrudnili kompletnie obłąkanych egzekutorów w celu eksterminacji rywali. Przy okazji w strzelaninach giną też tysiące Bogu ducha winnych przechodniów.

Largo miał za zadanie przemówić do rozsądku szefom karteli znanych jako Sinaloa, Zatokowy oraz La Familia, które brak dostaw doprowadzał do szewskiej pasji. Chciał zacząć od Sinaloa, bo to oni obsługiwali większość wybrzeża Pacyfiku. Tak się pechowo dla niego złożyło, że chociaż „Maria Linda” dotarła do celu, to w dniu, kiedy wyleciał na północ, kolejny statek po prostu przepadł bez śladu.

Europą miał się zająć zastępca Larga, Jorge Calzado — bystry młody człowiek po studiach, który poza ojczystym hiszpańskim mówił biegle po angielsku i całkiem niezłe radził sobie z włoskim. Przyleciał on do Madrytu tej samej nocy, gdy SOCA zrobiła nalot na stary hangar na mokradłach Essex.

• • •

Nalot okazał się udany, a byłoby jeszcze lepiej, gdyby zjawili się tam i dali aresztować wszyscy gangsterzy z Essex, a przynajmniej Benny Daniels. Gangster był jednak za sprytny, by znajdować się w pobliżu narkotyków, które sprowadzał na południe Anglii. Od tego miał podwładnych.

W podsłuchanej rozmowie wspomniano, że przewiezienie zawartości hangaru nastąpi „rano”. Tuż przed północą wyznaczona do nalotu grupa cichutko zajęła pozycje, po ciemku,

i wtopiona w czarne tło czekała. Obowiązywał całkowity zakaz rozmów, używania latarek, a nawet odkręcania termosów z kawą, żeby nie rozległ się brzęk metalu. Dochodziła czwarta rano, gdy jakiś samochód z zapalonymi światłami podjechał traktem do zaciemnionego budynku.

Obserwatorzy usłyszeli hurgot podnoszonych drzwi hangaru i zobaczyli w środku blade światło. Nie nadjeżdżał już żaden inny pojazd, więc przystąpili do ataku. Najpierw magazyn otoczyli strzelcy z CO19. Dalej pojawiły się wzmacniacze, z których grzmiały rozkazy, psy szarpały się na smyczach, snajperzy mrużyli oczy przy celownikach na wypadek zbrojnego oporu, szperacze załączyli cel ostrym białym blaskiem.

Zważywszy na to, że w trzcinach czało się pięćdziesięciu uzbrojonych mężczyzn i kobiet, zaskoczenie było całkowite. W kwestii narkotyków połów był udany, ale jeśli chodzi o przestępców, już niekoniecznie.

Złapano ich tylko trzech. Dwóch przyjechało ciężarówką. Na pierwszy rzut oka byli popychadłami najniższego szczebla. Należeli do gangu ze środkowej Anglii, dla którego przeznaczona była część transportu. Resztę miał rozprowadzić Benny Daniels.

Jedynym członkiem Essex Mob, który wpadł w sieć, był nocny strażnik, niejaki Justin Coker. Pod trzydziestkę, śniady i przystojny, należał do facetów, na których lecą wszystkie babki, i miał za sobą długą kryminalną przeszłość. Ale nie zaliczał się do głównych graczy.

To, po co przyjechała ciężarówka, leżało zwalone na betonową podłogę, gdzie kiedyś serwisowano awionetkę należącą

do aeroklubu, który dawno zwinął żagle. Było tego około tony — towar wciąż znajdował się w jutowych workach, przewiązanych na krzyż sznurkiem.

Wpuszczono kamerzystę z telewizji i fotografa pracującego dla jednej z większych agencji prasowych. Sfotografowali i sfilmowali stos bel i patrzyli, jak wysoki rangą funkcjonariusz urzędu celnego, w masce ukrywającej jego tożsamość, przecina sznury i jutowe worki, odsłaniając zapakowane w plastikową folię kostki kokainy. Na jednej z kostek widać było papierową nalepkę z numerem. Wszystko znalazło się na zdjęciach, łącznie z trzema aresztowanymi, którym zarzucono na głowy koce, tak że widać było tylko skute kajdankami ręce. Było tego aż nadto, żeby trafić do telewizji w najlepszym czasie antenowym i na czołówki gazet. W końcu nad mokradłami Essex wstał różowy, jak to w środku zimy, świt. Wysokich rangą policjantów i celników czekał długi dzień.

• • •

Kolejny samolot spadł do morza na wschód od trzydziestego piątego południka. Zdesperowany młody pilot, który nie posłuchał rad starszych i zdecydował się na lot, zgodnie z instrukcjami wysyłał przez radio krótkie, nic nieznaczące sygnały na znak, że żyje. Odkąd opuścił wybrzeże Brazylii, powtarzał to co piętnaście minut. Nagle przestał. Leciał w kierunku pasa startowego w niepatrolowanej części Liberii, ale nigdy tam nie dotarł.

Mając z grubsza pojęcie o miejscu, gdzie musiał spaść, karatel w biały dzień wysłał samolot obserwacyjny, by przeleciał tą

samą trasą, ale tuż nad wodą, wypatrując jakichś śladów. Niczego nie znalazł.

Jeżeli samolot spada do morza w jednym kawałku, czy nawet w kilku, części unoszą się na powierzchni, aż w końcu nasiąkają wodą i toną. Mogą to być poduszki z foteli, ubrania, książki w miękkich okładkach, zasłony... wszystko, co jest lżejsze od wody. Ale kiedy samolot zmienia się w kulę ognia po eksplozji paliwa na wysokości trzech tysięcy metrów, płomień trawią wszystko, co się pali. Do morza spada tylko metal, a ten tonie. Samolot obserwacyjny dał za wygraną i zawrócił. To była ostatnia próba lotów przez Atlantyki.

• • •

José-Maria Largo poleciał z Meksyku do Stanów Zjednoczonych wynajętym prywatnym samolotem — krótki skok z Monterey do Corpus Christi w Teksasie. Posługiwał się hiszpańskim paszportem, zresztą autentycznym, który załatwił mu usłużny, acz nieczynny już bank Guzmana. Bank go zawiódł, ale dokument powinien się przydać.

Paszport ten należał kiedyś do prawdziwego Hiszpana, bardzo podobnego do Larga. Urzędnik imigracyjny na lotnisku w Teksasie pewnie dałby się nabrać, gdyby ograniczył się jedynie do porównania twarzy. Jednak poprzedni posiadacz tego dokumentu odwiedził swego czasu Stany Zjednoczone i długo wpatrywał się w obiektyw kamery do badania siatkówki. Largo zrobił to samo. Siatkówka ludzkiego oka jest jak próbka DNA. Nie kłamie.

Na twarzy urzędnika imigracyjnego nie drgnął ani jeden mięsień. Popatrzył na ekran, odczytał z niego informacje

i poprosił pasażera, który przyleciał w interesach, żeby przeszedł do sąsiedniego pokoju. Formalności trwały pół godziny. Potem serdecznie przeproszono Larga i go zwolniono. Przerazenie ustąpiło, poczuł ulgę. A jednak przeszedł, nie rozpoznali go. Był w błędzie.

Obecnie prędkość transmisji jest taka, że jego dane przekazano do INS, FBI, CIA, a także — zważywszy na to, skąd przyleciał — do DEA. Potajemnie zrobiono mu zdjęcia i przesłano je na ekrany komputerów przy Army Navy Drive w Arlington, w stanie Wirginia.

Jak zawsze skory do pomocy pułkownik Dos Santos dostarczył portrety wszystkich najważniejszych członków kartelu, a jednym z nich był José-Maria Largo. Przyjeźdnego, który czekał na lotnisku w południowym Teksasie, dzięki nowoczesnej technice rozpoznawania twarzy zidentyfikowano w pół sekundy.

Na południu Teksasu, terenie największej jak dotąd kampanii antynarkotykowej w Stanach Zjednoczonych, aż się roi od agentów DEA. Gdy Largo wyszedł z hali przylotów, wynajął samochód w wypożyczalni i wyjechał z parkingu, ruszyli za nim dwaj tajniacy z DEA w nieoznakowanym coupé. Nigdy się nie zorientował, że na każde spotkanie w interesach ciągnął za sobą ogon.

Kazano mu nawiązać kontakt i uspokoić trzech największych importerów kokainy ze Stanów Zjednoczonych — gangi motocyklistów, składające się wyłącznie z białych: Hells Angels, Outlaws i Bandidos. Wiedział, że chociaż cała trójka to brutalni psychopaci nienawidzący się nawzajem, to żaden

z nich nie jest aż tak głupi, żeby się porwać na wysłannika kolumbijskiego kartelu, jeżeli chcieli jeszcze kiedyś zobaczyć choćby gram kokainy Dona.

Poza tym miał się skontaktować z dwoma gangami czarnych: Bloodsami i Cripsami. Na liście miał jeszcze pięć grup latynoskich: Latin Kings, Kubańczyków, swoich rodaków, czyli Kolumbijczyków, Portorykańczyków i najgroźniejszych z nich Salwadorczyków, znanych po prostu jako MS-13, działających przede wszystkim w Kalifornii.

Przez dwa tygodnie rozmawiał, przekonywał, zapewniał i oblewał się potem, aż wreszcie pozwolono mu uciec z San Diego do bezpiecznej ojczystej Kolumbii. Tam również nie brakowało brutalni, ale pocieszał się, że oni przynajmniej są po jego stronie. Przekaz, jaki otrzymał od amerykańskich klientów kartelu, był jasny: zyski spadają na łeb, na szyję, a winę ponoszą Kolumbijczycy.

Podzielił się z don Diegiem swoim zdaniem: jeśli nie uda się zaspokoić wilków odpowiednimi dostawami towaru, to między gangami dojdzie do wojny, przy której to, co się dzieje w północnym Meksyku, będzie wyglądało jak potańcówka w remizie. Cieszył się, że nie jest na miejscu Alfreda Suáreza.

Don doszedł do nieco innych wniosków. Być może będzie musiał się pozbyć Suáreza, ale to niczego nie rozwiązywało. Problem polegał na tym, że ktoś kradł olbrzymie ilości jego towaru, a to niewybaczalny grzech. Musiał znaleźć złodziei i ich zniszczyć, inaczej sam zostanie zniszczony.

• • •

Rozprawa wstępna Justina Cokera przed sądem w Chelmsford nie trwała długo. Zarzucono mu posiadanie narkotyków klasy A w celu dalszej sprzedaży, co jest sprzeczne z... itp., itd.

Prokurator odczytał akt oskarżenia i wniósł o przedłużenie aresztu na tej podstawie — co Wysoki Sąd, rzecz jasna, rozumie — że policja prowadzi dalsze postępowanie itp., itd. Wszyscy wiedzieli, że to tylko formalność, a jednak obrońca z urzędu wstał i poprosił o wyznaczenie kaucji.

Niezawodowa sędzia pokoju słuchała tego, kartkując przepisy na temat zwolnienia za kaucją z roku 1976. Zanim zgodziła się zostać sędzią pokoju, przez lata była dyrektorką wielkiej szkoły dla dziewcząt i słyszała wszelkie wymówki, jakie rasa ludzka zdołała wymyślić.

Coker, tak samo jak jego pracodawca, pochodził z londyńskiego East Endu. Jako nastolatek zaczął od drobnych przestępstw, zyskał opinię „obiecującego małolata”, aż w końcu zwrócił na siebie uwagę Benny'ego Danielsa. Przywódca gangu wziął go do siebie jako chłopaka na posyłki. Coker nie nadawał się na silnorękiego — Daniels miał zresztą świtę zbudowanych jak czołgi zbirów do takich zadań — za to był z niego lepszy cwaniak i znakomity goniec. To dlatego zlecono mu nocne pilnowanie tony kokainy.

Obrońca, czyli „papuga”, zakończył swój beznadziejny wniosek o zwolnienie za kaucją, a sędzia pokoju uśmiechem dodała mu otuchy.

— Oskarżony pozostanie w areszcie przez siedem dni —

oznajmiła. Cokera zabrano z ławy oskarżonych i sprowadzono schodami do celi na dole. Stamtąd wsadzono go do pozbawionej szyb białej furgonetki, eskortowanej przez czterech motocyklistów ze Specjalnej Grupy Konwojowej, na wypadek gdyby Essex Mob wpadł na pomysł odbicia więźnia.

Wyglądało jednak na to, że Daniels i jego ludzie są pewni, iż Coker będzie trzymał język za zębami, bo nigdzie nie było ich widać. Wszyscy się gdzieś zaszyli.

Przed laty brytyjscy gangsterzy szukali schronienia na południu Hiszpanii, gdzie kupowali wille na Costa del Sol. Szybkie podpisanie umowy ekstradycyjnej między Hiszpanią a Wielką Brytanią sprawiło, że Costa del Sol przestała być bezpieczną przystanią. Benny Daniels zbudował sobie chatę w Republice Tureckiej Cypru Północnego — nieuznanym przez nikogo minipaństewku, które nie zawarło umowy z Wielką Brytanią. Podejrzewano, że po nalocie na hangar uciekł tam i czekał, aż sprawa przycichnie.

Tak czy owak Scotland Yard chciał mieć Cokera pod ręką w Londynie. Essex nie zgłaszało zastrzeżeń, wobec tego przewieziono go z Chelmsford do londyńskiego więzienia Belmarsh.

Historia o przejęciu tony kokainy w magazynie na mokradłach nadawała się do prasy ogólnokrajowej, a jeszcze bardziej do mediów lokalnych. „Essex Chronicle” na pierwszej stronie zamieściła wielkie zdjęcie zatrzymanego łupu. Obok stosu cegiełek kokainy stał Justin Coker, z zamazaną dla niepoznaki

twarzą, jak wymaga tego prawo. Ale rozbebeszone jutowe wor-ki były doskonale widoczne, tak samo jak blade cegły w środku oraz papier pakowy z numerem przesyłki.

• • •

Dla Jorgego Calzada objazd Europy wcale nie był przyjemniejszy niż doświadczenia José-Marii Larga w Ameryce Północnej. Z każdej strony napotykał gniewne wyrzuty i żądania wznowienia regularnych dostaw. Zapasy malały, ceny rosły, klienci przrzucali się na inne narkotyki, a europejskie gangi rozcieńczały towar dziesięciokrotnie, więc był słaby jak nigdy.

Calzado nie musiał odwiedzać gangów z Galicji, bo te Don już uspokoił osobiście, ale pozostali główni klienci i importerzy mieli kluczowe znaczenie.

Mimo że od Irlandii po granice Rosji kokainą handluje ponad sto gangów, to większość z nich zaopatruje się u dwunastu gigantów na rynku, którzy handlują bezpośrednio z Kolumbią, i kiedy towar dociera bezpiecznie do Europy, rozprowadzają go wśród podwykonawców.

Calzado nawiązał kontakt z Rosjanami, Serbami i Litwinami; z Nigeryjczykami i Jamajczykami; z Turkami, którzy choć pochodzą z południowego wschodu, opanowali rynek niemiecki; z Albańczykami, którzy go przerażali; i z trzema najstarszymi gangami w Europie — sycylijską mafią, neapolitańską kamorrą oraz z największą, budzącą postrach 'ndrangheta.

Na mapie Republika Włoska wygląda jak but do jazdy konnej,

którego czubek, na południe od Neapolu, stanowi Kalabria, położona naprzeciwko Sycylii, po drugiej stronie Cieśniny Mesyńskiej. Na tej surowej, spalonej słońcem ziemi niegdyś założyli swoje kolonie Grecy i Fenicjanie, a miejscowy język, prawie niezrozumiały dla Włochów z innych stron kraju, wywodzi się z greki. Słowo 'ndrangheta oznacza „Towarzystwo Honorowe”. W przeciwieństwie do nagłaśnianej w mediach mafii sycylijskiej i od niedawna słynnej neapolitańskiej kamorry, Kalabryjczycy szczycą się tym, że się nie wychylają i są prawie niewidoczni.

A mimo to ich mafia jest najliczniejsza i ma największy zasięg międzynarodowy. Jest także najtrudniejsza do spenetrowania — o czym dobitnie przekonały się włoskie władze — i wyłącznie w niej przysięga dozgonnego milczenia, *omertà*, nigdy nie została złamana.

W przeciwieństwie do mafii sycylijskiej 'ndrangheta nie ma szefa wszystkich szefów, jej struktura nie tworzy piramidy. Nie jest oparta na hierarchii, a przynależność do niej wynika wyłącznie ze związków rodzinnych i więzów krwi. Infiltracja tej mafii przez obcych absolutnie nie wchodzi w rachubę, o zdrajcy we własnych szeregach jak dotąd nie słyszano, a wyroki skazujące jej członków należą do rzadkości. Jest to nieustający koszmar rzymskiej Komisji Antymafijnej.

Ojczyzną 'ndranghety, w głąb lądu od stolicy prowincji Reggio di Calabria i głównej autostrady nadbrzeżnej, są zamknięte przed obcymi wioski i miasteczka wdzierające się w masyw górski Astromonte. Do niedawna w tamtejszych jaskiniach trzymano jeńców oczekujących na zapłatę okupu albo

śmierć i to tu leży nieoficjalna stolica 'ndranghety — Plati. Każdego obcego jadącego nieznanym samochodem wykrywa się z odległości wielu kilometrów i daje mu się odczuć, że nie jest mile widziany. To nie jest mekka dla turystów.

Ale na spotkanie z szefami 'ndranghety Calzado wybrał się gdzie indziej, bo Towarzystwo Honorowe opanowało bez reszty podziemie Mediolanu — największego miasta, przemysłowej potęgi i ośrodka finansowego Włoch. Prawdziwa 'ndrangheta przeniosła się na północ i w Mediolanie stworzyła krajowe, a może nawet kontynentalne centrum handlu kokainą.

Żadnemu przywódcy 'ndranghety nie przyszłoby do głowy zaprosić nawet najważniejszego emisariusza do swojego domu. Od tego są restauracje i bary. Kalabryjczycy opanowali trzy przedmieścia na południu Mediolanu, więc spotkanie z człowiekiem z Kolumbii odbyło się w barze Lions w Buccinasco.

Naprzeciwko Calzada, słuchając jego wymówek i zapewnień, zasiedli *capo locale* oraz dwaj członkowie wysokiego szczebla, w tym *contabile* — księgowy, który przedstawił ponure dane na temat zysków.

To dzięki szczególnym zdolnościom Towarzystwa Honorowego, jego tajemniczości i bezlitosnym, brutalnym metodom egzekwowania rozkazów don Diego Esteban przyznał mu zaszczytny tytuł głównego partnera w Europie. W rezultacie takiej relacji kalabryjska mafia stała się największym indywidualnym importerem i dystrybutorem kokainy na całym kontynencie.

Oprócz portu w Gioia, pozostającego pod ich całkowitą kontrolą, mafia odbierała znaczną część dostaw z przerzutów drogą lądową z Afryki Zachodniej do Północnej, na wprost południowego wybrzeża Europy, oraz od galicyjskich żeglarzy z Hiszpanii. Calzado usłyszał bez ogródek, że obie te metody zaopatrzenia zaczęły poważnie szwankować i w tej sytuacji Kalabryjczycy oczekują, że Kolumbijczycy coś z tym zrobią.

Jorge Calzado spotkał się z jedynymi donami w Europie, którzy ośmielali się mówić z przywódcą kolumbijskiego Hermandad jak równy z równym. Wrócił do hotelu, tęskniąc, podobnie jak Largo, za szybkim powrotem do rodzinnej Bogoty.

• • •

Pułkownik Dos Santos nieczęsto zapraszał na lunch dziennikarzy, nawet redaktorów naczelnych. Powinno być odwrotnie. To oni mieli olbrzymie fundusze reprezentacyjne. Ale rachunek za lunch zwykle trafia w ręce tego, kto akurat zwraca się o przysługę. Tym razem padło na szefa wywiadu w Policía Judicial, który w dodatku robił to dla kolegi.

Pułkownik Dos Santos miał dobre relacje zawodowe z szefami placówek amerykańskiego DEA i brytyjskiej SOCA w swoim mieście. Współpraca, o wiele łatwiejsza od czasów objęcia rządów przez prezydenta Álvaro Uribe, przynosiła obopólne korzyści. Wprawdzie Kobra trzymał Listę Łapowników dla siebie, bo nie dotyczyła Kolumbii, ale inne skarby wykryte przez stale krążącą na niebie Michelle okazały się niezwykle pożyteczne. Teraz jednak przysługę wyświadczał koledze z brytyjskiej SOCA.

— To świetna historia — upierał się policjant, jak gdyby redaktor naczelny „El Espectador” nie potrafił poznać znakomitego materiału, kiedy mu wpadał w ręce. Dziennikarz upił wina i spojrzał na garść informacji, które mu zaoferowano. Jako dziennikarz miał wątpliwości; jako naczelny widział w perspektywie osobiste korzyści, jeżeli okaże się pomocny.

Informacja dotyczyła nalotu policji na stary magazyn w Anglii, gdzie znaleziono świeży transport kokainy. Fakt, że duży, była tego cała tona, ale takie konfiskaty zdarzały się przez cały czas i za bardzo spowszedniały, żeby stanowiło to dobry materiał. Wszystkie były takie same. Stosy bel koki, triumfujący celnicy, ponurzy więźniowie wyprowadzani w kajdankach... Dlaczego historia z Essex, o którym nigdy nie słyszał, miałaby być warta wzmianki? Pułkownik Dos Santos wiedział, ale nie ośmielił się tego ujawnić.

— Pewien senator w tym mieście regularnie odwiedza dyskretny dom rozkoszy — mruknął policjant.

Redaktor naczelny liczył na coś w zamian, ale to było śmieszne.

— Pan senator lubi dziewczyny — odparł. — Powiedz mi, że słońce wstaje na wschodzie.

— A kto mówił o dziewczynach? — rzucił Dos Santos.

Redaktor naczelny z uznaniem pociągnął nosem. A jednak mogło się to opłacać.

— Niech ci będzie, twoja historia o *gringo* ukaże się jutro na drugiej stronie.

— Na pierwszej — nalegał policjant.

— Dzięki za lunch. To rzadka przyjemność zjeść na czyjś koszt.

W głębi duszy redaktor naczelny zdawał sobie sprawę, że jego przyjaciel coś kombinuje, tylko nie wiedział co. Zdjęcie z podpisem przysłała duża agencja prasowa z siedzibą w Londynie. Przedstawiało młodego bandytę nazwiskiem Coker obok stosu zbelowanej kokainy; na jednej rozbebeszonej paczce widać było papier opakowaniowy. No i co z tego? A jednak nazajutrz zamieścił zdjęcie na pierwszej stronie.

Emilio Sanchez nie czytywał „El Espectadora”, zbyt wiele czasu zajmowało mu nadzorowanie produkcji w dżungli, rafinacja towaru w rozmaitych laboratoriach i pakowanie go do wysyłki. Ale dwa dni po publikacji gazety, w drodze powrotnej z Wenezueli, przechodził obok kiosku z gazetami. Kartel ulokował największe laboratoria zaraz za granicą wenezuelską, gdzie w związku z paskudnymi stosunkami między Kolumbią a lennem Hugo Chaveza nie groziło im, że pułkownik Dos Santos zainteresuje się nimi i naśle swoją policję.

Sanchez kazał kierowcy zatrzymać się przed małym hotelem w granicznym mieście Cucuta, bo chciał skorzystać z łazienki i napić się kawy. W holu na stojaku leżał egzemplarz „El Espectadora” sprzed dwóch dni. W zdjęciu na pierwszej stronie było coś, co przykuło jego uwagę. Kupił jedyny egzemplarz w kiosku i zamartwiał się przez całą drogę powrotną do swojego nijakiego domu w rodzinnym Medellin.

Tylko nieliczni potrafią trzymać wszystko w głowie, ale Emilio Sanchez żył pracą i szczycił się tym, że jest metodyczny i

prowadzi akta nienagannie. Tylko on wiedział, gdzie je trzyma, i na wszelki wypadek dotarcie do nich wymagało całego dnia. Wybrał się po nie z silną lupą i porównawszy zdjęcie w gazecie z danymi dotyczącymi wysyłek, zbladł jak ściana.

Po raz kolejny upodobanie Dona do procedur bezpieczeństwa opóźniło spotkanie. Dopiero po trzech dniach mężczyznom udało się spotkać. Kiedy Sanchez skończył, don Diego nie odezwał się ani słowem. Wziął szkło powiększające i obejrzał kartotekę Sancheza oraz zdjęcie w gazecie.

— Nie ma najmniejszych wątpliwości? — zapytał śmiertelnie spokojnie.

— Najmniejszych, don Diego. Ten numer przesyłki dotyczy wyłącznie transportu wysłanego do Galicji na wenezuelskim kutrze „Belleza del Mar”, kilka miesięcy temu. Statek nie dotarł do celu. Zaginął bez śladu na Atlantyku. Ale ładunek się odnalazł. To właśnie ta dostawa. O pomyłce nie ma mowy.

Don Diego Esteban milczał przez dłuższą chwilę. A kiedy Emilio Sanchez próbował coś powiedzieć, ruchem ręki nakazał mu milczenie. Szef kolumbijskiego kartelu nareszcie miał pewność, że ktoś kradnie jego towar podczas transportu i okłamuje go, twierdząc, że nie dotarł. Przed podjęciem zdecydowanych działań musiał się jednak dowiedzieć wielu rzeczy.

— Chcę, żebyś mi przygotował dwie listy — polecił Sanchezowi. — Jedną z numerami partii wszystkich bel kokainy płynących na tych statkach, które zaginęły bez śladu. A drugą z nazwami wszystkich statków, które dotarły do celu, wraz z numerami przesyłek na ich pokładzie.

Wyglądało na to, że bogowie wreszcie zaczęli nad nim czuwać. Już dwa razy los się do niego uśmiechnął. Na granicy Meksyku ze Stanami Zjednoczonymi amerykańscy celnicy z Arizony, w pobliżu miasta Nogales, zatrzymali ciężarówkę, która przekroczyła granicę w ciemną bezksiężycową noc. Było to wielkie przejęcie i towar leżał w miejscowym magazynie, czekając na umieszczenie. Operacji nadano rozgłos. Tyle że ochrona była kiepska.

Don Diego musiał się wykosztować na sporą łapówkę, ale dzięki temu skorumpowany policjant spisał numery zarekwirowanych partii. Część towaru płynęła na pokładzie „Marii Lindy”, która bezpiecznie dotarła do celu i przekazała kokainę kartelowi Sinaloa. Inne beły pochodziły z dwóch „ścigaczy”, które kilka miesięcy wcześniej przepadły na Karaibach. One również wiozły dostawę dla kartelu Sinaloa. A teraz ten sam towar przechwycono w Nogales.

Drugi raz szczęście dopisało Donowi we Włoszech. Tym razem chodziło o ciężarówkę pełną włoskich garniturów od bardzo wziętego projektanta z Mediolanu, która zamierzała przejechać przez Alpy do Francji, a następnie do Londynu.

Tak się pechowo złożyło, że przy przekraczaniu Alp ciężarówka złapała gumę i spowodowała koszmarny korek. Karabiniery kazali usunąć ją z drogi, co jednak wymagało częściowego rozładowania i odciążenia pojazdu. Jedna ze skrzyń pękła i wysypały się z niej jutowe worki z czymś, co z pewnością nie miało ozdabiać grzbietów modnych maklerów z Lombard Street.

Kontrabandę natychmiast skonfiskowano, a skoro nadawcą

była firma z Mediolanu, karabinierzy nie potrzebowali Alberta Einsteina, żeby wykombinować, iż chodzi o 'ndranghetę. Nocą złożyli więc wizytę w tamtejszym magazynie. Niczego nie zabrano, spisano tylko numery partii i wysłano e-mailem do Bogoty. Część towaru płynęła na „Bonicie”, która bezpiecznie przybiła do wybrzeża Galicji. Reszta była ukryta w kadłubie „Arco Soledad”, który najwyraźniej zaginął wraz z całą załogą oraz Álvarem Fuentesem, w drodze do Gwinei Bissau. Oba transporty jechały na północ, do Galicji i do 'ndranghety.

Don Diego Esteban znalazł złodziei i zaczął kombinować, jak im odpłacić.

Ani amerykańscy celnicy w Nogales, ani karabinierzy na przejściu w Alpach nie zwracali specjalnie uwagi na cichego Amerykanina, który — jeśli wierzyć dokumentom — pracował w DEA i z godną podziwu punktualnością zjawił się na miejscu obu incydentów. Mówił płynnie po hiszpańsku i nieco łamanym włoskim. Był szczupły, żyłasty, w dobrej formie i siwowłasy. Miał postawę byłego żołnierza. Spisał wszystkie numery partii przejętego towaru, ale nikt nie pytał, po co mu one. Jeśli wierzyć legitymacji DEA, nazywał się Cal Dexter. Wścibski agent DEA, który również był obecny w Nogales, zadzwonił do centrali w Arlington, tam jednak nikt nie słyszał o żadnym Dexterze. Nie było w tym nic podejrzanego — tajni agencji nigdy nie występują pod swoimi prawdziwymi nazwiskami.

Agent DEA z Nogales przestał się tym interesować, a karabinierzy w Alpach z wdzięcznością przyjęli hojny dowód

przyjaźni w postaci skrzynki trudnych do zdobycia kubańskich cygar Cohiba i pozwolili amerykańskiemu sojusznikowi i kole-dze zajrzeć do magazynu, gdzie triumfalnie trzymali swój łup. W Waszyngtonie Paul Devereaux z uwagą wysłuchał raportu Dextera.

— Podstęp się udał w obu przypadkach?

— Na to wygląda. Trzej tak zwani Meksykanie muszą od-siedzieć trochę w więzieniu w Arizonie, a potem chyba ich wy-ciągniemy. Ten amerykański Włoch, który prowadził ciężarówkę w Alpach, zostanie zwolniony, bo nie ma dowodów łą-czących go z ładunkiem. Myślę, że za jakieś dwa tygodnie sprowa-dzę ich wszystkich z powrotem, razem z rodzinami i premią.

— Czytałeś kiedyś o Juliuszu Cezarze? — zapytał Kobra.

— Niewiele. Wykształcenie zdobywałem częściowo w przyczepie, a częściowo na kolejnych placach budowy. A bo co?

— Kiedyś walczył z plemionami barbarzyńców w Germa-nii. Otoczył swój obóz wielkimi dołami, zakrytymi cienkimi gałęziami. Dno i boki tych dołów naszpikował zaostrzonymi palami. I kiedy Germanie przypuścili atak, wielu z nich nadzia-ło się na te pale.

— Bolesne, ale skuteczne — podsumował Dexter, który widywał takie pułapki przygotowane przez Wietkong.

— Otóż to. A wiesz, jak nazwał te pale?

— Nie mam pojęcia.

— „Bodźce”. Zdaje się, że stary Juliusz gustował w czar-nym humorze.

— No i?

— No i miejmy nadzieję, że nasz bodziec dotrze do don Diega Estebana, gdziekolwiek teraz jest.

Don Diego przebywał właśnie na swojej hacjendzie na wschód od Kordylierów. Mimo że było to prawdziwe odludzie, informacja rzeczywiście do niego dotarła.

•••

Gdy otworzyły się drzwi celi więzienia w Belmarsh, Justin Coker oderwał się od tandetnej książki. Osadzono go w izolacie, więc nikt nie mógł podsłuchać jego rozmowy z gościem, który go odwiedził.

— Zbieraj się — powiedział komendant Peter Reynolds. — Zarzuty wycofano. O nic nie pytaj. Ale musisz wyjść na powierzchnię. Kiedy to się rozniesie i tak będziesz spalony. Świetna robota, Danny, naprawdę znakomita. Mówię to w imieniu swoim i samej góry. I tak sierżant Danny Lomax, który przez sześć lat jako tajniak infiltrował londyński gang narkotykowy, wyszedł z ukrycia i w nagrodę awansował na inspektora.

CZEŚĆ CZWARTA

Jad

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Don Diego Esteban wierzył w trzy rzeczy: Boga, swoje prawo do niesłychanego bogactwa i straszliwą karę dla tych, którzy podawali w wątpliwość jedno albo drugie.

Po skonfiskowaniu w Nogales partii kokainy, która rzekomo zniknęła wraz z jego „ścigaczami” na Karaibach, nie miał wątpliwości, że jeden z jego głównych klientów okradał go ile wlezie. Motyw był jasny — pazerność.

Tożsamość złodzieja łatwo można było wywnioskować z miejsca i rodzaju akcji celników. Nogales to kompletnie nieważne miasteczko na samej granicy, a także środek niewielkiego terytorium, które po stronie meksykańskiej kontroluje wyłącznie kartel Sinaloa. Po drugiej stronie granicy swoją siedzibę ma gang uliczny Wonderboys.

Tak jak to zaplanował Kobra, don Diego nabrał pewności, że kartel Sinaloa przechwytuje kokainę na morzu i w ten sposób podwaja swoje zyski jego kosztem. Na początek polecił więc Alfredowi Suárezowi, żeby unieważnił wszystkie zamówienia

Sinaloa i od tej pory nie wysyłał im więcej ani grama. Decyzja ta spowodowała kryzys w Meksyku, jakby ten nieszczęsny kraj miał mało własnych kłopotów.

Szefowie Sinaloa wiedzieli, że nigdy nie okradli Dona. U innych mogłoby to wywołać zdziwienie, ale gangi kokainowe poza satysfakcją znają tylko jedno uczucie — wściekłość.

W końcu Kobra, poprzez kontakty DEA w północnym Meksyku, rozpowszechnił wśród meksykańskiej policji informację, że to Kartel Zatokowy oraz ich sojusznik, La Familia, wystawili amerykańskim władzom przerzut przez granicę w Nogales. Prawda wyglądała zupełnie inaczej, bo to Kobra obmyślił całą intrygę. Ale skoro połowa policjantów pracowała dla gangów, wiadomość szybko się rozeszła.

Dla Sinaloa było to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny, więc sami też ją wypowiedzieli. Kartel Zatokowy i zaprzyjaźniona z nim La Familia nie mieli pojęcia dlaczego, skoro nikogo nie wsypali, ale z braku wyboru musieli podjąć walkę. Do roli katów sprowadzili Zetas — najemnych gangsterów pełniących najbardziej makabryczne mordy.

W styczniu 2012 roku liczba zabitych bandytów z Sinaloa szła w dziesiątki. Rząd Meksyku, wojsko i policja czekali z założonymi rękami i tylko próbowali zbierać setki zwłok.

— Co ty właściwie wyprawiasz? — zapytał Cal Dexter Kobre.

— Pokazuję, jak wielką siłę ma celowa dezinformacja — odparł Paul Devereaux. — Przez czterdzieści lat zimnej wojny niektórzy z nas boleśnie przekonali się o tym na własnej skórze.

W tamtych czasach wszystkie agencje wywiadowcze zdały sobie sprawę, że największą szkodę, jaką można wyrządzić przeciwnikowi — poza umieszczeniem u niego prawdziwego kreta — jest przekonanie go, że ma się wtyczkę w jego szeregach. Trwająca latami obsesja Jamesa Angletona, poprzednika Kobry, na punkcie tego, że Ruscy ulokowali w CIA kreta, omal nie rozwaliała całej agencji.

Po drugiej stronie Atlantyku Brytyjczycy latami bezowocnie próbowali rozszyfrować „piątego człowieka” (poza Burgessem, Philbym, Macleanem i Bluntem). Podejrzenia padające na niewinnych ludzi niejednemu zniszczyły karierę.

Devereaux, który wówczas był jeszcze nowicjuszem po studiach, ale już zaczynał robić szybką karierę w CIA, obserwował to i się uczył. Tym zaś, czego się dowiedział przez ostatni rok — a zarazem jedynym powodem, dla którego uznał, że zniszczenie handlarzy kokainą jest wykonalne, i podjął się tego zadania, chociaż inni szybko dali za wygraną — był fakt, że istnieją wyraźne podobieństwa między kartelami i gangami z jednej strony a agencjami szpiegowskimi z drugiej.

— I jedni, i drudzy to zamknięte bractwa — wyjaśnił Dexterowi. — Mają skomplikowane, tajne rytuały inicjacji. Żywią się podejrzliwością graniczącą z paranoją. Wobec lojalnych są lojalni, ale dla zdrajców nie mają litości. Wszyscy obcy są z zasady podejrzani, tylko dlatego że nie są swoi. Oni się nie zwierają nawet swoim żonom i dzieciom, nie mówiąc o znajomych, dlatego obracają się wyłącznie we własnym kręgu. W rezultacie plotki rozprzestrzeniają się jak ogień w lesie.

Prawdziwa informacja to podstawa, błędna to godny ubolewania pech, ale umiejętna dezinformacja to śmiertelna broń.

Już pierwszego dnia badań Kobra zdał sobie sprawę, że sytuacja Stanów Zjednoczonych i Europy różni się w jednym zasadniczym punkcie. Do Europy narkotyki docierają w niezliczonych punktach, ale dziewięćdziesiąt procent dostaw do Ameryki idzie przez Meksyk — kraj, który sam nie produkuje ani grama.

Gdy trzech meksykańscy giganci i różne mniejsze kartele skoczyli sobie do gardeł, walcząc o coraz mniejsze dostawy i wyrównując rachunki, które wciąż rosły w związku z nowymi zabójstwami po obu stronach, na północ od granicy powstał nie tyle niedobór towaru, ile zapanowała prawdziwa susza. Aż do tej zimy władze amerykańskie czuły nieustającą ulgę, że ta szaleńcza żądza krwi została na południe od granicy. Jednakże w styczniu przemoc przekroczyła granicę.

Żeby wprowadzić w błąd meksykańskie gangi, Kobra musiał tylko nakarmić kłamstwami meksykańską policję, a już ona odwali za niego resztę roboty. Na północ od granicy nie było to takie proste. Ale w Stanach Zjednoczonych istnieją dwie inne drogi rozpowszechniania dezinformacji. Jedna to sieć tysięcy stacji radiowych. Niektóre są na tyle podejrzane, że właściwie pracują na rzecz podziemia, inne z kolei prowadzą młodzi i ambitni prezenterzy, którzy za wszelką cenę dążą do bogactwa i sławy. Ci akurat mają w głębokim poważaniu prawdę, oni pragną jedynie zaspokoić nienasycony apetyt na sensacyjne materiały na wyłączność.

Druga metoda to Internet i jego przedziwny pomiot — blog. Za pomocą genialnej technologii Jeremy'ego Bishopa Kobra utworzył blog, którego źródło było nie do wykrycia. Jego autor przedstawiał się jako stary wyjadacz funkcjonujący w rozmaitych gangach, od których roi się w USA. Twierdził, że ma kontakty w większości z nich, a nawet że ma swoje źródła w organach ścigania.

Dzięki informacjom przekazywanym mu przez DEA, CIA, FBI i kilkanaście innych agencji na podstawie rozkazu prezydenta bloger ujawniał strzępy prawdziwych danych, które zaszokowały największe gangi na kontynencie. Część tych perełek traktowała o nich samych, część o konkurencji albo o wrogach. Ale pośród prawdziwych informacji przemycono kłamstwa, które doprowadziły do wybuchu drugiej wojny domowej — między gangami więziennymi, ulicznymi i motocyklowymi, kontrolującymi handel kokainą od Rio Grande po Kanadę.

Pod koniec miesiąca radiowe młode wilczki dzień w dzień korzystały z blogu o gangach, podając wyczytane tam historie jako świętą prawdę i rozpowszechniając je w kolejnych stacjach.

W rzadkim przebłysku humoru Paul Devereaux nazwał blogera Kobrą. Na dobry początek wziął na warsztat największy i najbardziej brutalny z gangów ulicznych — salvadorski MS-13.

Ten olbrzymi gang był pozostałością po krwawej wojnie domowej w Salwadorze. Młodzi terroryści, nie znający skruchy i litości, zostali nagle bez pracy i bez szans na zatrudnienie. Nazwali swój gang La Mara, od ulicy w mieście San Salvador. A kiedy tak mały kraj miał już serdecznie dość ich przestępstw,

przenieśli się do sąsiedniego Hondurasu i zwiększyli liczebność do trzydziestu tysięcy.

Ponieważ Honduras wprowadził drakońskie prawo i wsadził do więzienia tysiące gangsterów, przywódcy przenieśli się do Meksyku, ale i ten kraj uznali za zbyt mały, wobec tego ruszyli dalej, do Los Angeles, i dodali do swojej nazwy trzynastkę od Ulicy Trzynastej.

Kobra dogłębnie zbadał zwyczaje tego gangu — pokrywające całe ciało tatuaże, biało-jasnoniebieskie stroje w barwach flagi Salwadoru, upodobanie do siekania ofiar maczetami — a także reputację. Była taka, że nawet w mozaice amerykańskich gangów nie znaleźli przyjaciół ani sojuszników. Wszyscy się ich bali i nienawidzili, dlatego Kobra zaczął właśnie od MS-13.

Wrócił do konfiskaty w Nogales i zawiadomił Salwadorczyków, że transport przejęty przez władze był przeznaczony dla nich. A potem podrzucił im jeszcze trzy informacje: dwie prawdziwe i jedną fałszywkę.

Pierwsza była taka, że ludziom prowadzącym ciężarówkę pozwolono uciec; druga — że skonfiskowana kokaina zniknęła w drodze z Nogales do stolicy hrabstwa, Flagstaff, gdzie miała być spalona. Kłamstwo zaś polegało na tym, że odbili ją Latin Kings, a zatem okradli gang MS-13.

Ponieważ MS-13 miał oddziały zwane koteriami w stu miastach w dwudziestu stanach, było niemożliwe, żeby się o tym nie dowiedzieli, mimo że wiadomość nadała tylko lokalna radiostacja w Arizonie. W ciągu tygodnia MS-13 wypowiedział wojnę drugiemu z wielkich gangów latynoskich w Stanach Zjednoczonych.

Na początku lutego gangi motocyklowe zakończyły długotrwały rozejm — Hells Angels zwrócili się przeciwko Bandidos i niedawnym sprzymierzeńcom, Outlaws.

Tydzień później rozlew krwi i chaos dotarły do Atlanty, nowego amerykańskiego centrum handlu kokainą. W Atlantycie rządzą Meksykanie, którym podlegali pracujący z nimi Kubańczycy i Portorykańczycy.

Od granicy między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem do Atlanty biegnie cała sieć wielkich autostrad międzystanowych, a druga sieć prowadzi albo na południe, na Florydę, gdzie akcje DEA przy Key West praktycznie zlikwidowały przemyt drogą morską, albo na północ, do Baltimore, Waszyngtonu, Nowego Jorku i Detroit.

Na skutek dezinformacji Kubańczycy wystąpili przeciwko Meksykanom, bo nabrali pewności, że ci oszukują ich przy podziale zmniejszonych dostaw z południowej granicy.

Hells Angels, zdziśiátkowani przez Outlaws i Bandidos, zwrócili się o pomoc do zaprzyjaźnionego Bractwa Aryjskiego, składającego się wyłącznie z białych, i wywołali lawinę zabójstw w więzieniach w całym kraju, bo tam władzę dzierżyli Aryjczycy. Wtedy włączyły się murzyńskie gangi Crips i Bloods.

Cal Dexter widział niejedną krwawą jatkę i nie był przesadnie wrażliwy. Ale wraz ze wzrostem liczby zabitych coraz częściej zadawał sobie pytanie, co też ten Kobra wyprawia. Paul Devereaux, który z zasady nie ufał nikomu, szanował swojego zastępcę, zaprosił go więc na kolację do Alexandrii.

— Calvin, w naszym kraju jest mniej więcej czterysta mniejszych i większych miast. Przynajmniej trzysta z nich boryka się z poważnym problemem narkotykowym. Rozkłada się to pomiędzy marihuanę, haszysz, heroinę, metamfetaminę oraz kokainę. Zlecono mi zniszczenie handlu kokainą, bo związana z nią przestępczość kompletnie wymknęła się spod kontroli. Kłopot wynika głównie stąd, że tylko w naszym kraju roczne zyski z kokainy wynoszą czterdzieści miliardów dolarów, a na całym świecie drugie tyle.

— Czytałem dane — mruknął Dexter.

— Świetnie, ale prosiłeś o wyjaśnienie.

Paul Devereaux jadł niewiele — niemal wszystko robił oszczędnie — a najbardziej lubił kuchnię włoską. Na kolację podano więc cienkie jak płatki piccata al limone, skropioną oliwą sałatę i miseczkę oliwek, a do tego schłodzone frascati. Dexter pomyślał, że w drodze powrotnej będzie się musiał zastrzymać na coś rodem z Kansas — mięso z rusztu i frytki.

— Tak oszłamiające pieniądze przyciągają wszelkiego rodzaju hieny. Ten narkotyk rozprowadza blisko tysiąc gangów. W całym kraju do gangów należy siedemset pięćdziesiąt tysięcy ludzi, z czego połowa pracuje w narkotykach. A więc, wracając do twojego pytania: co ja właściwie robię i jak?

Dolał im do kieliszków bladeżółtego wina i upił łyk, starannie dobierając słowa.

— W tym kraju istnieje tylko jedna siła, która może zniszczyć bliźniaczą tyranię gangów i narkotyków. Nie ty, nie ja, nie DEA, FBI ani inna z licznych i koszmarnie drogich w utrzymaniu agencji. Nawet nie prezydent. A już z pewnością nie lokalna

policeja, która jest jak ten holenderski chłopczyk, co to próbował zatkać palcem dziurę w tamie, żeby zapobiec powodzi.

— Cóż to za jedyzna siła?

— Oni sami. Wykończą się nawzajem. Calvin, jak ci się zdaje, co robiliśmy przez ostatni rok? Najpierw, za cenę olbrzymich nakładów, spowodowaliśmy suszę na rynku kokainy. Zrobiliśmy to celowo, ale to nie mogło trwać wiecznie. Ten brazylijski pilot na Wyspach Zielonego Przylądka. Te statki pułapki na morzu. Nie da się tego ciągnąć w nieskończoność, należy z tym skończyć. Ale jak tylko odpuścimy, handel znów rozkwitnie. Nic nie jest w stanie powstrzymać tak zyskowego procederu dłużej niż na mgnienie oka. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to ograniczyć dostawy o połowę, powodując wściekły głód wśród klientów. A kiedy dziczące zwierzęta są głodne, rzucają się na siebie. Poza tym zarzuciliśmy przynętę, która sprowokowała te dzikie bestie do przemocy nie wobec praworządnych obywateli, tylko wobec siebie nawzajem. Niestety ta krwawa jatka szpeci nasz kraj. Powoli stajemy się tacy jak północny Meksyk. Jak długo te wojny gangów muszą trwać? Calvin, przemoc była tu zawsze, wszechobecna, tyle że ukryta. Oszukiwaliśmy się, że to się dzieje tylko na ekranach telewizorów albo w kinie. No więc teraz przemoc wyszła na ulice. Na pewien czas. Jeżeli dostanę szansę prowokowania gangów dopóty, dopóki nie wykończą się wzajemnie, ich władza legnie w gruzach na całe pokolenie.

— A tak na krótką metę?

— Niestety, wydarzy się jeszcze wiele okropnych rzeczy. Takich jak te, do których doprowadziliśmy w Iraku i Afganistanie. Czy nasi przywódcy i naród mają dość hartu ducha, żeby zgodzić się na coś takiego tutaj?

Cal Dexter przypomniał sobie, co wyrządzono w Wietnamie czterdzieści lat temu. Widział to na własne oczy.

— Wątpię — odparł. — Zagranica to bardzo wygodne miejsce na uprawianie przemocy.

• • •

W całych Stanach Zjednoczonych członkowie Latin Kings padali jak muchy, mordowani przez lokalne koterie MS-13, przekonane, że to one są celem ataku, i próbujące przejąć zarówno towar, jak i klientów Kingsów. Kingsi otrząsnęli się z początkowego szoku i wzięli odwet w jedyny znany sobie sposób.

Masakra między Bandidos i Outlaws z jednej strony a Helis Angels i Bractwem Aryjskim z drugiej zasypała trupami Stany Zjednoczone od Zachodniego Wybrzeża po Wschodnie.

Oslupiali przechodnie oglądali słowo ADIOS, nabazgrane na ścianach i mostach. Skrót ten oznacza Angels Die In Outlaws States (Angelsi zdychają w stanach Outlawsów). Wszystkie cztery gangi mają wielu ludzi w najbardziej surowych więzieniach amerykańskich i tam właśnie morderczy szal rozprzestrzenił się jak zaraza. Tymczasem w Europie zemsta Dona dopiero się zaczynała.

• • •

Kolumbijczycy wysłali za Atlantyk czterdziestu doborowych zabójców. Mieli oni złożyć rzekomo przyjacielską wizytę gangowi z Galicji i poprosić o dostawę broni maszynowej z zapasów Los Caneos. Prośba została spełniona.

Kolumbijczycy przylatywali różnymi lotami w ciągu trzech dni. Wysłana wcześniej mała grupa zaopatrzyła ich we flotyllę przyczep kempingowych i karawaningów. Mściciele pojechali nimi na północny zachód do Galicji, o tej porze roku pustoszonej przez deszcz i wichury.

Zbliżyły się walentynki. Spotkanie wysłanników Dona z niczego nie podejrzewającymi gospodarzami odbyło się w jakimś magazynie w pięknym historycznym mieście Ferrol. Przybysze z uznaniem obejrzelni przygotowany dla nich arsenał, z trzaskiem załadowali magazynki, odwrócili się i otworzyli ogień.

Gdy ucichło echo ostatniej serii z broni maszynowej, odbijające się od ścian magazynu, większość gangsterów z Galicji była martwa. Przywódca Kolumbijczyków — mały mężczyzna o twarzy dziecka, zwany w swoim kraju El Animal — stanął nad ledwo dychającym Hiszpanem i spojrzał na niego z góry.

— Nie ma w tym nic osobistego — powiedział cicho. — Ale nie wolno traktować Dona w ten sposób.

A potem strzelił umierającemu w głowę.

Dalszy pobyt zabójców w Hiszpanii nie miał sensu. Wsiedli więc do swoich pojazdów i w Hendaye przejechali przez granicę do Francji. Hiszpania i Francja należą do strefy Schengen, której członkowie na mocy układu swobodnie przekraczają granice bez żadnej kontroli.

Zmieniając się za kierownicą, Kolumbijczycy jechali na

wschód u podnóży Pirenejów. Minęli równiny Langwedocji i przez Riwierę Francuską dotarli do Włoch. Samochody na hiszpańskich numerach rejestracyjnych nigdzie nie były zatrzymywane. Dotarcie do Mediolanu zajęło trzydzieści sześć godzin wyteżonej jazdy.

Kiedy don Diego ujrzał nie pozostawiające żadnych wątpliwości numery partii kokainy wysłanej za Atlantyk na pokładzie „Belleza del Mar”, które pojawiły się na mokradłach Essex, szybko ustalił, że cały transport dotarł do Anglii przez Holandię, chociaż od 'ndranghety — stałego dostawcy tego angielskiego gangu. A zatem Kalabryjczycy, którym nadał suwerenną władzę na terenie Europy, również zwrócili się przeciwko niemu.

Ekipa wysłana w celu ukarania winnych godzinami uczyła się po drodze topografii Mediolanu i zapamiętywała wskazówki wysłane im przez mały zespół łączników z Bogoty, mieszkających w tym włoskim mieście.

Wiedzieli dokładnie, jak trafić na trzy przedmieścia na południu Mediolanu — Buccinasco, Corsico i Assago — skolonizowane przez Kalabryjczyków. Przedmieścia te są dla mieszkańców głębokiego południa Włoch tym, czym nowojorska Brighton Beach dla Rosjan — drugim domem.

Imigranci sprowadzili ze sobą całą Kalabrię. Szyldy sklepów, barów, restauracji, kawiarni — prawie wszystkie mają nazwy i serwują potrawy z południa. Państwowa Komisja Antymafijna szacuje, że osiemdziesiąt procent kolumbijskiej kokainy trafiającej do Europy wjeżdża przez Kalabrię, ale centrum dystrybucyjne mieści się w Mediolanie, zwłaszcza w tych trzech gminach.

Zabójcy przyjechali nocą.

Nie mieli złudzeń co do zajadłości Kalabryjczyków. Ich nikt nigdy nie atakował. Walczyli wyłącznie między sobą. Rezultatem tak zwanej drugiej wojny 'ndranghety w latach 1985-1999 było siedemset trupów na ulicach Kalabrii i Mediolanu.

Historia Włoch to cała litania wojen i rozlewu krwi. To kraj nie tylko wielkiej kuchni i kultury — stary bruk na ulicach wielokrotnie spływał krwią. Zdaniem Włochów neapolitańska Czarna Ręka i mafia sycylijska budzą grozę, ale z Kalabryjczykami nikt nigdy nie zaczyna. A raczej nie zaczynał do tej nocy, kiedy przyjechali Kolumbijczycy.

Mieli adresy siedemnastu rezydencji. Ich rozkaz brzmiał: odciąć głowę węża i zniknąć, zanim setki żołnierzy zdążą się zmobilizować.

Rankiem kanał Naviglio był czerwony. Piętnastu z siedemnastu szefów przebywało we własnych domach, więc tam zginęło. Sześciu Kolumbijczyków zajęło się Ortomercato, ulubionym przez młodzież klubem nocnym. Spokojnie mijając zaparkowane przed wejściem ferrari i lamborghini, zastrzelili czterech bramkarzy w progę, weszli i zasypali klub gradem kul, które skosiły wszystkich pijących przy barze oraz jedzących kolację przy czterech stolikach.

Kolumbijczycy stracili jednego człowieka. Barman, w geście poświęcenia, wyciągnął broń spod kontuaru i wypalił na chwilę przed śmiercią. Celował w małego mężczyznę, który najwyraźniej dyrygował atakiem, i wpakował mu kulkę w różane usta. A potem sam połknął trzy pociski z pistoletu maszynowego MAC-10.

Przed świtem postawiono na nogi Specjalną Grupę Operacyjną karabinierów z Via Lamarmora, a mieszkańców włoskiej stolicy handlu i mody obudziło wycie sygnałów karetek i zawołanie syren policyjnych.

Król umarł, niech żyje król! — tak brzmi prawo dżungli i świata przestępczego. Towarzystwo Honorowe nie umarło, więc we właściwym czasie wyrze straszną zemstę na Kolumbijczykach — obojętne, winnych czy niewinnych. Kartel z Bogoty miał jednak asa w rękawie: mimo że rzeka kokainy zmniejszyła się do wąskiej strużki, to jednak strużka ta nadal pozostawała w gestii don Diega Estebana.

Amerykańscy, meksykańscy i europejscy gangsterzy w zasadzie mogli szukać nowych źródeł w Peru albo Boliwii, ale i tak na zachód od Wenezueli ostatecznie trzeba było dogadać się z Donem. Ten, kogo wyznaczycy na odbiorcę swojego towaru po wznowieniu dostaw, zostanie beneficjentem. A chciał nim być każdy z gangów w Europie i Stanach Zjednoczonych. Nowy monarcha mógł dowieść, że jest godny zaufania, tylko w jeden sposób — likwidując inne książątka.

Pozostałą wielką szóstkę tworzyli Rosjanie, Serbowie, Turcy, Albańczycy, neapolitańczycy i Sycylijczycy. Łotysze, Litwini, Jamajczycy i Nigeryjczycy byli chętni, gotowi i brutalni, ale nie tak liczni. Musieli czekać na zawiązanie sojuszu z nowym monarchą. Gangi niemieckie, francuskie, holenderskie i brytyjskie nie były gigantami, lecz ich klientami.

Nawet po rzezi w Mediolanie pozostali przemytnicy kokainy w Europie mogli sięgnąć po ostatnią deskę ratunku, jaką jest Internet — międzynarodowy i przeglądany na całym świecie.

Niezidentyfikowane i niemożliwe do wykrycia źródło pozornie niezawodnych informacji, które ustanowił Kobra, opublikowało rzekomy przeciek z Kolumbii.

Był to podobno cynk od kogoś pracującego w wywiadzie Policji Judicial. Informator ten twierdził, jakoby don Diego Esteban podczas prywatnego spotkania przyznał, że obdarzy przyszłymi łaskami tego, kto ostatecznie wygra porachunki w europejskim podziemiu. Była to jawna dezinformacja. Don nigdy nic podobnego nie powiedział. Ale wystarczyło to do rozpoczęcia wojny gangów, która ogarnęła cały kontynent.

Słowianie, w postaci trzech głównych gangów rosyjskich oraz Serbów, zawiązali sojusz. Tych jednak nienawidzili nadbałtyccy Litwini i Łotysze, gotowi wesprzeć wrogów Rosjan.

Albańczycy, jako teoretycznie muzułmanie, współdziałają z Obszcziną (Czecenami) i Turkami. Jamajscy Yardbirds i Nigeryjczycy są czarni, więc mogą pracować razem. We Włoszech dotychczasowi antagoniści, Sycylijczycy i neapolitańczycy, utworzyli tymczasowy sojusz przeciwko gangom z zagranicy i zaczęła się rzeź.

Masakra rozprzestrzeniła się w Europie tak, jak wcześniej w Stanach Zjednoczonych. Żaden kraj Unii Europejskiej nie był od tego wolny, chociaż najbardziej ucierpiały oczywiście największe, a więc i najbogatsze rynki.

Media usiłowały tłumaczyć swoim czytelnikom, słuchaczom i widzom, co właściwie się dzieje. Zabójstw w ramach porachunków gangów dokonywano od Dublinu po Warszawę. Turcyści z wraskiem padali na podłogę barów i restauracji, gdy

serie z broni maszynowej wyrównywały rachunki w trakcie kolacji i przyjęć firmowych.

W Londynie niania podczas spaceru z dzieckiem ministra spraw wewnętrznych w Primrose Hill znalazła w krzakach czyjeś zwłoki. Były bez głowy. W Hamburgu, Frankfurtie i Darmstadt przez tydzień co noc znajdowano trupy na ulicach. Tylko jednego dnia rano z francuskich rzek wyłowiono ciała czternastu ludzi. Dwaj byli czarni, a badania uzębienia pozostałych wykazały, że to nie Francuzi, tylko przybysze ze Wschodu.

Nie wszyscy ginęli w strzelaninach. Karetki i sale operacyjne nie nadążały z ratowaniem rannych. Z czołówek gazet zniknęły dyskusje o Afganistanie, somalijskich piratach, gazach cieplarnianych i dzianych bankierach — tytuły grzmiały o skandalicznej bezsilności.

Szefów policji wzywano na dywanik, ochrzaniano i odprawiano, żeby z kolei opieprzali podwładnych. Posłowie z dwudziestu siedmiu parlamentów europejskich, kongresmani z Waszyngtonu i politycy z pięćdziesięciu stanów próbowali nadrabiać miną, ale bez skutku, bo wyborcy gołym okiem widzieli ich skrajną niekompetencję.

Polityczny zamęt zaczął się w Stanach Zjednoczonych, Europa nie pozostawała jednak daleko w tyle. Telefony burmistrzów, posłów i senatorów amerykańskich urywały się od skarg oburzonych bądź przerażonych obywateli. W mediach po dwadzieścia razy dziennie występowali dostojni eksperci, tyle że każdy miał odmienne zdanie od pozostałych.

Szefowie policji z kamiennymi twarzami musieli występować na konferencjach prasowych, po których uciekali w zacisze

gabinetów. Policja była zavalona robotą, podobnie jak karetki pogotowia, kostnice i koronerzy. W trzech miastach zarekwirowano rzeźnie, żeby było gdzie trzymać trupy zbierane z ulic, podziurawionych samochodów i niemal zamarzających rzek.

Najwyraźniej nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, jak dalece świat przestępczy potrafi zaszokować, zastraszyć i zniesmaczyć obywateli dwóch rozpieszczonych, unikających ryzyka kontynentów, kiedy powodowany żądzą zysku wpadnie w morderczy szal.

Łącznie liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła pięćset, i to na każdym kontynencie. Gangsterów nikt specjalnie nie opłakiwał, może poza najbliższą rodziną, ale w strzelaninach ginęły także przypadkowe osoby. W tym także dzieci, w związku z czym pismaki z brukowców zaczęły wertować słowniki w poszukiwaniu słów wyrażających skrajne oburzenie.

Dopiero cichy naukowiec kryminolog wyjaśnił w telewizji, jakie przyczyny spowodowały wybuch wojny domowej, która okaleczyła trzydzieści krajów. Otóż, powiedział łagodnie, wynika to z kompletnego braku kokainy na rynku, w związku z czym męty społeczne walczą o te mizerne resztki, które jeszcze pozostały.

Zamienniki — marycha, metamfetamina i heroina — nie wypełniają tej luki. Kokaina od wielu lat była zbyt łatwo dostępna, wyjaśnił starszy pan. Dla licznych grup społecznych stała się nie tyle źródłem przyjemności, ile czymś niezbędnym. Zbyt wielu ludzi zbiło na niej kolosalne majątki, a dalsi liczyli na to samo. Interes, który na obu zachodnich kontynentach

przynosił rocznie po pięćdziesiąt miliardów dolarów zysku, zdycha i jesteśmy świadkami wyjątkowo gwałtownych drgawek przedśmiertnych potwora, który zbyt długo funkcjonował wśród nas całkiem bezkarnie. Prezenter słuchał tego jak rażony gromem i podziękował profesorowi dopiero wtedy, gdy ten już wychodził ze studia.

W rezultacie tego programu przekaz wysyłany przez ludność swoim władcom się zmienił. Nareszcie stał się jasny — załatwicie to albo podajcie się do dymisji.

Kryzysy społeczne występują na różnych poziomach, ale nie ma nic gorszego niż perspektywa, że politycy będą zmuszeni zrezygnować ze swoich intratnych posadek. Na początku marca zadzwonił telefon w eleganckim domu sprzed wojny secesyjnej w Alexandrii.

— Niech pan nie odkłada słuchawki! — ryknął szef personelu Białego Domu.

— Ani mi się śni, panie Silver — odparł Paul Devereaux.

Obaj zwracali się do siebie per pan, co obecnie w Waszyngtonie jest zgoła niespotykane. Ale po co udawać, skoro serdeczność nie była mocną stroną żadnego z nich?

— Czy mógłby pan — każdemu innemu podwładnemu Jonathan Silver kazałby „ruszyć dupsko”, ale nie temu rozmówcy — stawić się w Białym Domu dziś wieczorem o osiemnastej? Wie pan, w czyim imieniu mówię.

— Z przyjemnością, panie Silver — odparł Kobra i odłożył słuchawkę. To nie będzie przyjemność. Zdawał sobie z tego sprawę. Ale wiedział też, że to raczej nieuniknione.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jonathan Silver cieszył się reputacją człowieka o najbardziej wybuchowym temperamentem w Zachodnim Skrzydle. I kiedy Paul Devereaux wszedł do jego gabinetu, od razu pokazał, że nie zamierza się hamować.

Podniósł egzemplarz „Los Angeles Timesa” i pomachał nim starszemu mężczyźnie przed nosem.

— Czy to pan jest za to odpowiedzialny?

Devereaux spojrzał na wielkoformatową gazetę z obojętnością entomologa obserwującego niezbyt ciekawą larwę. Większość pierwszej strony zajmowało zdjęcie i biegnący przez całą szerokość tytuł: „Piekło na Rodeo”. Fotografia przedstawiała restaurację, w której za pomocą dwóch pistoletów maszynowych dokonano prawdziwej jatki.

Artykuł podawał, że w czterech z siedmiu zabitych rozpoznano szefów podziemia; pozostałą trójkę stanowił przechodzień mijający restaurację w chwili, gdy weszli do niej mordercy, oraz dwaj kelnerzy.

- Nie osobiście — odparł Devereaux.
- Wielu ludzi w tym mieście jest odmiennego zdania.
- Do czego pan zmierza, panie Silver?
- Zmierzam do tego, panie Devereaux, że pański cholerny Projekt Kobra przybrał postać wojny domowej, która zmieniła ten kraj w kostnicę, jaką przez dziesięć lat stał się północny Meksyk. To się musi skończyć.

- Pozwoli pan, że przejdę do sedna?

- Bardzo proszę.

- Osiemnaście miesięcy temu nasz wspólny zwierzchnik zapytał mnie, bardzo konkretnie, czy da się zniszczyć producentów kokainy i handlarzy tego narkotyku, którzy najwyraźniej wymknęli się spod kontroli i stanowią prawdziwą plagę dla tego kraju. Po gruntownych badaniach odpowiedziałem, że jest to możliwe przy spełnieniu pewnych warunków i za cenę poniesienia pewnych kosztów... oby krótkotrwałych.

- Zapomniał pan tylko wspomnieć, że ulice trzystu miast spłyną krwią. Zażądał pan dwóch miliardów dolarów i je pan otrzymał.

- To jedynie koszt finansowy.

- Ale o kosztach społecznych, o oburzeniu obywateli nic pan nie mówił.

- Bo pan nie pytał. Niech pan posłucha, ten kraj wydaje rocznie czternaście miliardów dolarów za pośrednictwem kilkunastu agencji rządowych i nic z tego nie ma. Dlaczego? Bo branża kokainowa w Stanach Zjednoczonych, pał łącznie Europę, jest warta czterokrotnie więcej. Pan sobie wyobrażał, że producenci kokainy przerzucą się na żelki, jeśli ich o to poprosimy?

Naprawdę pan sądził, że amerykańskie gangi, jedne z najbardziej bezwzględnych na świecie, bez walki zaczną handlować batonikami?

— To jeszcze nie powód, żeby zamienić nasz kraj w strefę działań wojennych.

— Wręcz przeciwnie. Dziewięćdziesiąt procent tych, którzy zginęli, to psychopaci, obłąkani w sensie klinicznym. Te kilka tragicznych ofiar, które znalazły się na linii ognia, to mniej, niż ginie na drogach w weekend poprzedzający Święto Niepodległości.

— Niech pan lepiej popatrzy, co pan narobił. Psycholi i innych świrów zawsze trzymaliśmy w ściekach, w rynsztokach. A pan ich wywabił na główną ulicę. Tę samą, gdzie mieszka szary obywatel, a szary obywatel dysponuje głosem. Jesteśmy w roku wyborczym. Za osiem miesięcy człowiek urzędujący na końcu tego korytarza poprosi społeczeństwo, żeby znów mu zaufało i powierzyło kraj na kolejne cztery lata. A ja, drogi panie, nie dopuszczę do tego, żeby odmówili jego prośbie, ponieważ boją się wychodzić z domu.

Jak zwykle podniósł głos do krzyku. Za drzwiami młodszy stażem pracownicy nastawiali uszu, żeby usłyszeć, o co chodzi. Ale w pokoju drugi z obecnych mężczyzn zachowywał lodowaty, pogardliwy spokój.

— Nie zrobią tego — powiedział. — Jeszcze miesiąc i będziemy świadkami, jak amerykańskie gangi zniszczą się nawzajem, a w każdym razie przestaną istnieć na najbliższe pokolenie. A kiedy to się stanie jasne, w moim przekonaniu ludzie uświadomią sobie, jaki ciężar zdjęto im z barków.

Paul Devereaux nie był politykiem. W przeciwieństwie do Jonathana Silvera, który doskonale wiedział, że w polityce nie liczą się realia. Ważne jest to, co można przedstawić naiwnemu społeczeństwu jako rzeczywistość. Media rozpowszechniają to, co wydaje się realne, a naiwniacy to kupują. Szef personelu pokręcił więc głową i dźgnął palcem w pierwszą stronę gazety.

— Tak dalej być nie może. Bez względu na ewentualne korzyści. Trzeba to przerwać, za wszelką cenę.

Podniósł kartkę, która leżała na biurku, i rzucił ją emerytowanemu szpiegowi.

— Wie pan, co to jest?

— Nie wątpię, że z przyjemnością mnie pan poinformuje.

— To dekret prezydencki. Zamierza pan mu się sprzeciwić?

— W przeciwieństwie do pana, panie Silver, służyłem kilku zwierzchnikom sił zbrojnych i nie zdarzyło mi się nie wykonać rozkazu.

Pod wpływem tego afrontu na twarzy szefa personelu wykwitły czerwone plamy.

— Bardzo dobrze. Świetnie się składa. Ponieważ ten dekret nakazuje panu ustąpić. Projekt Kobra zostaje zamknięty. Skończony. Przerwany. Od tej chwili. Wróci pan do swojej centrali i ją zlikwiduje. Czy to jasne?

— Jak słońce.

Paul Devereaux, Kobra, złożył kartkę, schował ją do kieszeni marynarki, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Poleciał kierowcy zawieźć się do obskurnego magazynu w Anacostii, gdzie na

piętrze pokazał dekret prezydencki osłupiałemu Calowi Dexterowi.

— A już byliśmy tak blisko.

— Nie aż tak bardzo. Miałeś rację. Nasz wspaniały naród potrafi mordować miliony za granicą, ale ani procentu z tej liczby, jeśli chodzi o rodzimych gangsterów. Bo mdleje ze strachu. Jak zawsze, szczegóły muszę przekazać w twoje ręce. Odwołaj oba statki pułapki. Podaruj „Balmoral” brytyjskiej marynarce wojennej, a „Chesapeake” naszym komandosom z SEAL. Może przyda im się w celach treningowych. Oba global hawki także odwołaj i zwróć je siłom powietrznym USA. Wraz z moimi podziękowaniami. Nie wątpię, że ich zdumiewająca technologia ma przed sobą przyszłość. My jej nie mamy. Zostaliśmy zwolnieni. Czy mogę zostawić cały ten kram na twojej głowie? Razem z używanymi ubraniami na parterze, które można przekazać bezdomnym?

— A co z panem? Będzie pan pod telefonem w domu?

Kobra się zastanowił.

— Może przez tydzień. Później chyba czeka mnie podróż. Takie tam dopinanie paru spraw na ostatni guzik. Nic ważnego.

•••

Jedną z fanaberii don Diega Estebana był fakt, że chociaż w wiejskiej posiadłości w Kordylierach miał prywatną kaplicę, to lubił pokazywać się w kościele w pobliskim miasteczku.

Dzięki temu mógł z powagą i grzecznością przyjmować pełne szacunku hołdy peonów i ich opatulonych chustami żon. Dzięki temu mógł uśmiechać się promiennie do oniemiałych

z wrażenia bosonogich dzieciaków. Przy okazji rzucał też na tacę datek na tyle hojny, żeby ksiądz miał na wielomiesięczne utrzymanie.

Gdy zgodził się zobaczyć z człowiekiem z Ameryki, który go o to poprosił, na miejsce spotkania wybrał kościół, ale przyjechał z potężną obstawą. Zresztą Amerykanin sam zaproponował, żeby umówili się w domu Boga, którego obaj czcili, najlepiej w obrządku katolickim, skoro obaj do niego należeli. Don nigdy nie spotkał się z tak dziwną prośbą, ale zaintrygowały go jej prostota i pomysłowość.

Kolumbijski *hidalgo* zjawił się pierwszy. Ochroniarze przeczesali budynek i odprawili księdza. Diego Esteban zanurzył dwa palce w kropielnicy, przeżegnał się i podszedł do ołtarza. Wybrał pierwszy rząd ławek, uklęknął, pochylił głowę i zaczął się modlić.

Kiedy się wyprostował, usłyszał za plecami skrzypienie starych, spłowiających od słońca drzwi, poczuł podmuch gorącego powietrza z zewnątrz, a potem dobiegł go trzask zamykanych wrót. Wiedział, że jego ludzie kryją się w cieniu, z bronią gotową do strzału. Było to świętokradztwo, ale zawsze mógł się z tego wyspowiadać i uzyskać rozgrzeszenie. Po śmierci spowiadać się nie sposób.

Przybysz podszedł od tyłu i także usiadł w pierwszym rzędzie, półtora metra dalej. On także się przeżegnał. Don zerknął na niego z ukosa. Amerykanin, szczupły, w zbliżonym wieku, o spokojnej twarzy i w ascetycznym, nienagannym kremowym garniturze.

— Señor?

- Don Diego Esteban?
- To ja.
- Paul Devereaux, z Waszyngtonu. Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć.
- Doszły mnie pogłoski. Zwykłe plotki, nic konkretnego. Ale wciąż się powtarzają. Słuchy o człowieku zwanym Kobra.
- Głupie przezwisko. Ale muszę się do niego przyznać.
- Świetnie pan mówi po hiszpańsku. Pozwoli pan, że o coś spytam?
- Oczywiście.
- Co miałoby mnie powstrzymać przez zabiciem pana? Na zewnątrz mam setkę ludzi.
- No tak, a ja tylko pilota śmigłowca. Ale chyba mam coś, co kiedyś należało do pana i co być może będę mógł zwrócić. Jeżeli zawrzemy porozumienie. Oczywiście gdybym stracił życie, nic z tego nie wyjdzie.
- Wiem, co przez pana straciłem, señor Kobra. Wyrządził mi pan olbrzymie szkody. A przecież ja nic do pana nie mam. Dlaczego pan to zrobił?
- Ponieważ prosił mnie o to mój kraj.
- A teraz?
- Przez całe życie służyłem dwóm panom. Bogu i ojczyźnie. Bóg nigdy mnie nie zdradził.
- Ale ojczyzna tak?
- Owszem.
- Dlaczego?
- Dlatego, że nie jest to już ten sam kraj, któremu jako

młody człowiek przysięgałem wierność. Jest przeżarty korupcją, słaby, lecz arogancki, i dba tylko o grubasów i głupców. To już nie jest mój kraj. Więzi zostały zerwane, nie jestem już jego lennikiem.

— Ja nigdy nie byłem aż tak lojalny wobec żadnego kraju, nawet tego. A to dlatego, że państwami rządzą ludzie, którzy często na to nie zasługują. Ja również mam dwóch panów. Boga i moje bogactwo.

— I dla tego drugiego zabił pan wielu ludzi, don Diego.

Devereaux nie wątpił, że siedzący półtora metra dalej mężczyzna — pomimo zewnętrznych pozorów i wdzięku — to wysoce niebezpieczny psychopata.

— A czy pan, señor Kobra, nie zabijał dla swojego kraju? Wielokrotnie?

— Oczywiście, że tak. Może więc mimo wszystko jesteśmy do siebie podobni.

Psychopatom należy schlebiać. Devereaux wiedział, że takie porównanie polechce próżność barona kokainowego. Stawiania żądy pieniądza na równi z patriotyzmem nie można poczytać za obrazę.

— Całkiem możliwe, señor. Jaką część mojej własności pan sobie zatrzymał?

— Sto pięćdziesiąt ton.

— To zaledwie jedna trzecia tego, co zniknęło.

— Większość, którą skonfiskowali celnicy, straż przybrzeżna i marynarka wojenna, została spalona. Część spoczywa na dnie morza. A jedną trzecią mam ja.

— W bezpiecznym miejscu?

— Bardzo bezpiecznym. A wojna przeciwko panu się skończyła.

— O? To na tym polegała ta zdrada.

— Jest pan bardzo przenikliwy, don Diego.

Don przemyślał propozycję. Gdy już produkcja w dżungli ruszy pełną parą, konfiskaty na morzu spadną do minimum, a także wznowi się transport drogą powietrzną, będzie mógł zacząć od nowa. Ale na razie musiał na gwałt zorganizować towar, żeby zapchać dziurę na rynku, nakarmić wilki, zakończyć wojnę. Sto pięćdziesiąt ton w sam raz powinno wystarczyć.

— A pańska cena, señor?

— Muszę wreszcie przejść na emeryturę. Gdzieś daleko. W willi nad morzem. Na słońcu. Z moimi książkami. I oficjalnie muszę być martwy. To wszystko nie jest tanie. Miliard dolarów, jeśli łaska.

— Czy moja własność jest na statku?

— Tak.

— Da mi pan numery kont bankowych?

— Owszem. A pan powie mi, do którego portu dostarczyć towar?

— Oczywiście.

— Więc jak brzmi pańska odpowiedź, don Diego?

— Myślę, señor, że zawarliśmy porozumienie. Odjedzie pan stąd bezpiecznie. Proszę uzgodnić szczegóły z moim sekretarzem na zewnątrz. Teraz chciałbym się pomodlić. Sam. *Vaya con Dios, señor.*

Paul Devereaux wstał, przeżegnał się i wyszedł z kościoła.

Po godzinie był już z powrotem w bazie lotniczej Malambo, skąd odleciał grummanem do Waszyngtonu. Na otoczonym murem terenie, sto metrów od miejsca, gdzie firmowy odrzutowiec skręcił na pas startowy, obsługę global hawka o kryptonimie Michelle poinformowano, że za tydzień będą zwolnieni i dwoma ciężkimi samolotami transportowymi C-5 wrócą do Nevady.

• • •

Cal Dexter nie wiedział, dokąd wyjechał jego szef, i wcale się nie dopytywał. Zajął się tym, co mu zlecono, i kawałek po kawałku demontował strukturę Kobry.

Dwa statki pułapki skierowały się do domów — obsadzony przez Brytyjczyków „Balmoral” do Lyme Bay w Dorset, a „Chesapeake” do Newport News. Brytyjczycy serdecznie podziękowali za sprezentowanie „Balmorala”; uznali, że przyda się do zwalczania somalijskich piratów.

Dwie bazy obsługujące bezzałogowe pojazdy latające wezwały oba global hawka do powrotu do Stanów Zjednoczonych. Zatrzymały jednak olbrzymie ilości danych zebranych przez wielkoobszarowy system rozpoznania morskiego, który w przyszłości z pewnością odegra znaczącą rolę, zastępując bardziej kosztowne i wymagające obecności pilotów samoloty szpiegowskie.

Więźniów — a było ich stu siedmiu — sprowadzono z Eagle Island w archipelagu Czagos samolotem dalekiego zasięgu C-130, należącym do sił powietrznych Stanów Zjednoczonych. Każdemu pozwolono wysłać krótką wiadomość do uszczęśliwionych rodzin, które sądziły, że zginęli na morzu.

Konta bankowe, niemal opróżnione, zamieniono na jedno, żeby pokryć ostatnie rachunki, a centrum łączności działające z magazynu w Anacostii zamknięto i przewieziono do domu Jeremy'ego Bishopa, wraz z jego komputerami. Nagle pojawił się Paul Devereaux. Wyraził swoje zadowolenie i wziął Cala Dextera na stronę.

— Słyszałeś może o Spindrift Cay? — zapytał. — To taka malutka wysepka, właściwie atol koralowy, na Bahamach. Jedna z tak zwanych wysp zewnętrznych. Bezludna, jeśli nie liczyć oddziału amerykańskich marines, którzy rzekomo są tam na szkole przetrwania. Środek zajmuje gąszcz palm, pod którymi leżą ułożone rzędami bele. Sam się domyśl, co zawierają. Należy je zniszczyć, całe sto pięćdziesiąt ton. Powierzam to zadanie tobie. Czy masz pojęcie, jaka jest wartość tego towaru?

— Chyba się domyślam. Kilka miliardów dolarów.

— Masz rację. Do tej roboty potrzebuję kogoś, do kogo mam absolutne zaufanie. Od wielu tygodni czekają tam beczki z benzyną. Najłatwiej można się tam dostać hydroplanem z Nassau. Proszę cię, żebyś tam poleciał i zrobił to, co należy.

Cal Dexter widział niejedno, ale nie górę o wartości kilku miliardów dolarów, nie mówiąc już o niszczeniu czegoś takiego. Jedna taka bela, mieszcząca się w dużej walizce, zapewniała bogactwo do końca życia. Poleciał lotem rejsowym z Waszyngtonu do Nassau i zameldował się w hotelu Paradise Island. Zasięgnął języka w recepcji, po czym jeden szybki telefon załatwił, że przed świtem następnego dnia czekał na niego hydroplan.

Lot na położoną w odległości ponad stu mil wysepkę trwał godzinę. Jak to w marcu, było ciepło; morze między wyspami miało ten jedyny w swoim rodzaju odcień akwamaryny, blednący na mieliznach. Cel podróży leżał na takim uboczu, że pilot dwukrotnie sprawdzał GPS i upewniał się, że leci na właściwy atol.

Godzinę po świcie pochylił samolot i wskazał na coś palcem.

— To tutaj, proszę pana! — zawołał.

Dexter spojrzał w dół. Ta wysepka powinna się znaleźć na pocztówkach dla turystów. Niecały kilometr kwadratowy powierzchni i rafa koralowa otaczająca bladą lagunę, do której prowadził tylko jeden przesmyk. Ciemna kępa palm pośrodku nie zdradzała, jak śmiertelny skarb kryje się pod pierzastymi liśćmi.

Z lśniącej białą plaży wystawało rozklekotane molo, do którego zapewne przybijał statek z zaopatrzeniem. Dexter patrzył, jak dwaj ludzie wychodzą z namiotu w barwach ochronnych rozbitego między palmami a brzegiem i spoglądają w górę. Hydroplan zawrócił, zmniejszył moc silników i opadł na wodę.

— Wysadź mnie na molu — powiedział Dexter.

— Nawet nie chce pan zamoczyć nóg? — odparł pilot z uśmiechem.

— Może później.

Dexter wysiadł, stanął na pływaku i przeskoczył na molo. Skulił się, przeszedł pod skrzydłem i stanął twarzą w twarz z wyprostowanym jak struna starszym sierżantem. Za strażnikiem

wyspy stał żołnierz z piechoty morskiej; obaj mieli broń krótką.

— Pan w jakiej sprawie?

Pytanie było zadane grzecznie, ale znaczenie nie pozostawiało wątpliwości. Ani kroku dalej, chyba że naprawdę masz dobry powód, żeby tu być. Zamiast odpowiedzi Amerykanin sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podał sierżantowi złożony list.

— Niech pan to uważnie przeczyta, sierżancie, i zwróci uwagę na podpis.

Czytając, zaprawiony w boju marine zeszytywniał i tylko dzięki wieloletniej dyscyplinie wewnętrznej nie okazał po sobie zdumienia. Wielokrotnie widywał portrety zwierzchnika sił zbrojnych, ale nigdy nie sądził, że zobaczy odręczny podpis prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Dexter wyciągnął rękę po list.

— Jak widzicie, sierżancie, obaj służymy temu samemu dowódcy. Nazywam się Dexter, jestem z Pentagonu. Zresztą nieważne. Ten list przebija mnie, pana, a nawet sekretarza obrony. Wymagam tylko pańskiej współpracy. Mogę na nią liczyć?

Żołnierz stanął na baczność, ze wzrokiem utkwionym w horyzont nad głową Dextera.

— Tak jest! — rzucił.

Pilot był wynajęty na cały dzień. Usadowił się w zacienionym miejscu na molu pod skrzydłem i czekał. Dexter z sierżantem przeszli mołem na plażę. Było tam dwunastu twardych, opalonych młodych ludzi, którzy tygodniami łowili ryby,

pływali, słuchali radia, czytali gazety i codziennie zażarcie ćwiczyli, dbając o formę.

Dexter zauważył ustawione w cieniu beczki benzyny i ruszył w stronę drzew. Kępa palm zajmowała powierzchnię niecałych dwóch akrów. Środkiem biegła wykarczowana ścieżka, a po bokach, ukryte w cieniu palm, leżały bele kokainy, ustawione w niskie kostki. Było ich około stu, a każda ważyła mniej więcej półtorej tony — plon dziewięciu miesięcy spędzonych na morzu przez dwa statki pułapki.

— Czy wiecie, co to takiego? — zapytał Dexter.

— Nie, proszę pana — odparł starszy sierżant.

— Dokumenty. Stare akta. Ale wyjątkowo delikatnej natury. To dlatego prezydent nie chce, żeby kiedykolwiek wpadły w ręce wrogów naszego kraju. Gabinet Ovalny postanowił, że należy je zniszczyć. Stąd ta benzyna. Proszę kazać swoim ludziom przytaszczyć tu beczki i oblać każdy stos.

Wzmianka o wrogach ojczyzny aż nadto wystarczyła starszemu sierżantowi.

— Tak jest! — ryknął i odmaszerował z powrotem na plażę.

Dexter przespacerował się ścieżką między palmami. Od lipca widywał już bele koki, ale czegoś takiego jeszcze nie widział. Za nim pojawili się marines. Każdy dźwigał wielką beczkę. Zaczęli oblewać wszystkie stosy. Dexter nie wiedział, jak pali się kokaina, ale mówiono mu, że dość łatwo, jeżeli jej się pomoże na początku.

Od lat nosił przy kluczach mały szwajcarski scyzoryk, a że podróżował na paszporcie dyplomatycznym, nie skonfiskowano mu go na lotnisku Dullesa. Z ciekawości otworzył krótkie

ostrze i dźgnął najbliższą belę. A co tam, pomyślał. Nigdy wcześniej tego nie próbował i pewnie już nigdy nie spróbuje.

Krótkie ostrze przebiło opakowanie z płótna introligatorskiego, grubą plastikową folię i zagłębiło się w proszek. Gdy je wyciągnął, na czubku była grudka białego pyłu. Stał tyłem do marines na końcu ścieżki, więc nie mogli widzieć tych „dokumentów”.

Zlizał biały proszek z czubka noża. Przesunął go w ustach, aż w końcu narkotyk zmieszany ze śliną dotarł do kubków smakowych. Dexter z zaskoczeniem stwierdził, że jednak zna ten smak.

Podszedł do następnej beli i zrobił to samo. Tym razem rozciął ją szerzej i pobrał większą próbkę. A potem z jeszcze jednej, i kolejnej. Jako młody człowiek, zwolniony z wojska po powrocie z Wietnamu, studiował prawo na Uniwersytecie Fordham w Nowym Jorku i żeby zarobić na czesne, miał się rozmaitych niewdzięcznych zajęć. Między innymi pracował w cukierni i doskonale znał smak sodы oczyszczonej.

Naciął jeszcze dziesięć innych bel, zanim je zalano i wszystko przytłoczył smród benzyny. Wtedy w zadumie wrócił na plażę. Przysunął sobie pusty kanister, usiadł na nim i wpatrzył się w morze. Trzydzieści minut później podszedł starszy sierżant i stanął obok.

- Zrobione, proszę pana — zameldował.
- Podpalać — zarządził Dexter.

Usłyszał, jak sierżant wykrzykuje komendę „cofnąć się” i głuchy huk, gdy parujące paliwo zajęło się ogniem, a z kępy

palm buchnął dym. Silny wiatr zamienił pierwsze płomienie w pochodnię.

Dexter odwrócił się i patrzył, jak ogień pożera palmy i ukryty pod nimi towar. Pilot hydroplanu zerwał się na równe nogi i obserwował to z otwartymi ustami. Dwunastu marines także podziwiała swoje dzieło.

— Powiedzcie mi, sierżancie...

— Tak?

— Jak przywieziono tu te beły z dokumentami?

— Statkiem, proszę pana.

— Całość za jednym razem?

— Nie, zwozili je partiami, kilkanaście razy. Przez te wszystkie tygodnie, kiedy tu stacjonujemy.

— Zawsze tym samym statkiem?

— Tak jest, proszę pana.

No jasne. Musiał być jeszcze jeden statek. Jednostki pomocnicze zaopatrujące komandosów z SEAL i brytyjskiej SBS zabierały śmiecie i więźniów. Przywoziły żywność i paliwo. Ale skonfiskowany towar nie wracał do Gibraltaru ani do Wirginii. Kobra potrzebował numerów partii i kodów identyfikacyjnych, żeby wyprowadzić kartel w pole. Dlatego trzymał tę zdobycz. Najwyraźniej tutaj.

— Opiszcie mi ten statek.

— Nieduży, proszę pana. Parowy kabotażowiec.

— Z jakiego kraju?

— Nie wiem, proszę pana. Na rufie miał banderę. Coś jakby dwa przecinki. Jeden czerwony, drugi niebieski. Załogę stanowili Azjaci.

— Nazwa?

Starszy sierżant zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć. Nagle odwrócił się.

— Angelo?!

Musiał wrzeszczeć, żeby przekrzyczeć ryk płomieni. Jeden z marines przytruchtał do niego.

— Jak się nazywał ten parowiec, którym przywożono tutaj te bele?

— „Sea Spirit”, sierżancie. Widziałem napis na rufie. Świeża biała farba.

— A pod spodem?

— Pod spodem, sierżancie?

— Miejsce rejestracji zwykle znajduje się pod nazwą na rufie.

— A, tak. Pu coś tam.

— Pusan?

— O właśnie, proszę pana. Pusan. Czy to wszystko?

Dexter skinął głową. Komandos Angelo truchtem wrócił do swoich. Dexter wstał i przeszedł na koniec mola, z dala od innych, z nadzieją, że jego komórka złapie zasięg. Cieszył się, że zostawił ją na noc podłączoną do ładowarki. Z ulgą przekonał się, że jak zawsze wierny Jeremy Bishop siedział przy swoich komputerach — w jednym z ostatnich obiektów Projektu Kobra, jaki jeszcze pozostał.

— Czy ta twoja motorowa puszcza sardynek potrafi tłumaczyć na koreański? — zapytał.

Odpowiedź dobiegła czysto i wyraźnie.

— Na każdy język świata, jeśli uruchomię odpowiedni program. Gdzie jesteś?

— Nieważne. Ta komórka to mój jedyny środek łączności. Jak będzie po koreańsku „Sea Spirit” albo „Spirit of the Sea”? Tylko nie marnuj mojej baterii.

— Oddzwonię.

Telefon zabrzączał dwie minuty później.

— Masz czym pisać?

— Nieważne. Mów.

— Dobra. Te słowa to „Hae Shin”. H jak...

— Wiem, jak to się pisze. Możesz mi wyszukać parowego trampa? Mały. Nazywa się albo „Hae Shin” albo „Sea Spirit”. Jest z Korei Południowej, zarejestrowany w porcie Pusan.

— Odezwe się za dwie minuty.

Bishop rozłączył się, ale dotrzymał słowa. Oddzwonił po dwóch minutach.

— Mam go. Pięć tysięcy ton, frachtowiec. „Sea Spirit” to nazwa zarejestrowana w tym roku. Coś z nim jest nie tak?

— Gdzie on się teraz znajduje, dokładnie?

— Chwileczkę.

Wysoko nad dzielnicą Anacostia Jeremy Bishop gorączkowo stukał w klawiaturę. W końcu odezwał się:

— Najwyraźniej nie ma agenta i nie zgłosił żadnego rejsu. Może być gdziekolwiek. Moment. Kapitan ma adres e-mailowy.

— Złap go i zapytaj, gdzie jest. Współrzędne. Kurs i prędkość.

Kolejna zwłoka. Bateria komórki się kończyła.

— Wysłałem mu e-mail. Zadałem pytania. Odmawia odpowiedzi. Pyta, kim jesteś.

— Powiedz, że to Kobra.

Przerwa.

— Jest bardzo uprzejmy, ale nalega na podanie, jak to określił, „upoważnienia”.

— Chodzi mu o hasło. Przekaż mu HAE-SHIN.

— Skąd wiedziałeś? — zapytał Bishop z podziwem. — Mam, czego chciałeś. Zanotujesz?

— Nie mam tu map, do cholery! Po prostu gadaj, gdzie on jest.

— Nie gorączkuj się tak. Sto mil na wschód od Barbadosu, kurs dwieście siedemdziesiąt stopni, prędkość dziesięć węzłów. Mam podziękować kapitanowi „Sea Spirit”?

— Tak. I spytaj go, czy mamy jakiś okręt wojenny między Barbadosem a Kolumbią.

— Oddzwonię.

„Sea Spirit” znajdował się na wschód od Barbadosu i płynął dokładnie na wschód. Między Wyspami Zawietrznymi, obok Antyli Holenderskich i prosto na wody Kolumbii. Koreański przemytnik był tak daleko na południe, że z pewnością nie wracał na Bahamy. Wziął ostatni ładunek z „Balmorala” i dostał rozkazy, gdzie ma płynąć dalej. Trzysta mil, trzydzieści godzin. Jutro po południu.

Na linii znów się odezwał Jeremy Bishop.

— Guzik. Na Karaibach nic nie mamy.

— A ten brazylijski major wciąż jest na Wyspach Zielonego Przylądka?

— Owszem. Jego uczniowie za dwa dni zdają egzamin końcowy, więc ustalono, że dopilnuje tego osobiście, a potem

zrezygnuje i przyprowadzi nam samolot. Ale ci dwaj łącznościowcy z Ameryki zostali wycofani. Są już w kraju.

— Zrób coś dla mnie i złap go. Obojętne w jaki sposób.

— Mogę mu wysłać e-mail albo SMS.

— Zrób jedno i drugie. Chcę dostać numer telefonu, pod którym ma czekać na mnie dokładnie za dwie godziny. Muszę kończyć. Do ciebie zadzwonię z hotelu, za sto minut. Tylko miej dla mnie ten numer. *Ciao*.

Dexter wrócił do hydroplanu. Na wyspie migoczące płomienie przygasaly. Z większości palm zostały tylko osmalone pnie. W sensie ekologicznym była to zbrodnia. Dexter pomachał ręką stojącym na brzegu marines i wdrapał się na fotel.

— Do portu w Nassau poproszę. Najszybciej jak się da.

Dziewięćdziesiąt minut później siedział już w swoim pokoju w hotelu, a po kolejnych dziesięciu zadzwonił do Bishopa.

— Mam — powiadomił go wesoło głos z Waszyngtonu i podyktował numer. Dexter zadzwonił tam, nie czekając na ustaloną godzinę. Ktoś odebrał od razu.

— Major João Mendoza?

— Tak.

— Spotkaliśmy się w Scampton, w Anglii. To ja prowadziłem pana podczas misji w ostatnich miesiącach. Przed wszystkim serdecznie dziękuję i składam szczerze gratulacje. A po drugie, czy mogę pana o coś spytać?

— Tak.

— Czy pamięta pan, co ci dranie zrobili pańskiemu młodszemu bratu?

Zapadła długa cisza. Gdyby Brazylijczyk się obraził, to pewnie by się rozłączył. Ale głęboki głos rozległ się ponownie.

— Pamiętam doskonale. A co to ma do rzeczy?

— Czy wie pan, ile gramów wystarczyło do zabicia pańskiego brata?

— Kilka. Może z dziesięć. Ale powtórzę: co to ma do rzeczy?

— Jest pewien cel, którego nie mogę dopaść. Ale pan może. Ma na pokładzie sto pięćdziesiąt ton czystej kokainy. Dosyć, żeby zabić pańskiego brata sto milionów razy. To statek. Czy może go pan dla mnie zatopić?

— Miejsce i odległość od Fogo?

— Nie mamy już w powietrzu samolotów bezzałogowych. Ani Amerykanów w pańskiej bazie. Ani naprowadzania z Nevady. Będzie pan musiał sam robić za nawigatora.

— W siłach powietrznych Brazylii lataliśmy na jednoosobowych myśliwcach. Więc musieliśmy radzić sobie sami. Niech pan mi poda położenie celu.

Południe w Nassau. Południe na Barbadosie. Lot na zachód, za słońcem. Start i dwa tysiące sto mil, cztery godziny. Przy prędkości zbliżonej do prędkości dźwięku. O szesnastej wciąż jest jasno. Dla „Hae Shin” przy dziesięciu węzłach to sześć godzin.

— Czterdzieści mil morskich na wschód od Barbadosu.

— Nie dam rady wrócić.

— Niech pan ląduje na miejscu. W Bridgetown na Barbadosie. Na Saint Lucii. Na Trynidadzie. Załatwię wszelkie formalności.

— Proszę mi podać współrzędne. Stopnie w minutach i sekundach, na północ od równika i na zachód od Greenwich.

Dexter przekazał mu nazwę i opis statku, banderę, pod jaką płyńie, oraz współrzędne obliczone dla sześciu godzin rejsu kursem dokładnie na zachód.

— Poradzi pan sobie? — upewnił się. — Bez nawigatora, bez namiarów radiowych, bez pelengatora. Maksymalny zasięg. Da pan radę?

Po raz pierwszy wyglądało na to, że obraził Brazylijczyka.

— Señor, mam swój samolot, GPS i oczy, a do tego mam słońce. Jestem lotnikiem. To mój fach.

Rozłączył się.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Od chwili gdy major João Mendoza wyłączył swoją komórkę, do momentu gdy poczuł przyływ mocy z ostatnich dwóch rakiet RATO, jakie miał na pokładzie, a stary buccaneer wzbił się w powietrze na ostatnią misję, minęło pół godziny.

Mendoza nie zamierzał oszczędzać na przygotowaniach, byleby cel mógł przepłynąć kilka mil morskich mniej. Patrzył, jak brytyjska obsługa naziemna tankuje bucca do pełna; jedenaście i pół tony paliwa pozwoli pokonać w powietrzu mniej więcej dwa tysiące dwieście mil morskich.

Działo załadowano w stu procentach amunicją przeciwpancerną. Za dnia pociski smugowe nie były potrzebne, a zapalające również się nie nadawały. Cel był ze stali.

Major zajął się mapami, opracowując wysokość, prędkość i kurs przelotu oraz czas dotarcia do celu w staroświecki sposób, za pomocą mapy i komputera Dalton. Mapę, złożoną w podłużny arkusz, przypiął sobie do prawego uda.

Wyspa Fogo przypadkiem leży niemal dokładnie na piętnastym

stopniu szerokości geograficznej, tak samo jak Barbados. Kurs dwieście siedemdziesiąt stopni prowadził prosto na zachód. Mendoza dostał dokładne współrzędne pozycji celu, które Amerykanie zdobyli dwie godziny wcześniej. Za cztery godziny na wyświetlaczu swojego GPS zobaczy własną pozycję, z taką samą dokładnością. Musiał tylko dodać sześć godzin na przemieszczanie się celu, zejść na niski pułap i ruszyć w pogoń na ostatnich kilogramach paliwa. A potem, już na oparach, wziąć kurs na Bridgetown na Barbadosie. Łatwizna.

Spakował swoje nieliczne wartościowe rzeczy, paszport i nieco dolarów do małej torby na zakupy i wsadził ją między nogi. Pożegnał się na dobre z ekipą naziemną, ściskając wszystkich zażenowanych Anglików.

Uruchomiwszy rakiety „pomocnicze”, jak zwykle poczuł się, jakby go kopnął muł, i mocno trzymał przyrządy sterownicze, aż w dole pokazały się niebieskie, spienione grzywacze. Wtedy zredukował moc i odleciał.

Po kilku minutach znalazł się na piętnastym równoleżniku, z dziobem wycelowanym dokładnie na zachód. Wzniósł się na optymalną wysokość przelotową jedenastu tysięcy metrów i ustawił moc na maksymalny zasięg przy najmniejszym zużyciu paliwa. Osiągnąwszy pułap, ustawił prędkość na osiem dziesiątych macha i patrzył, jak GPS odlicza pokonane mile.

Między Fogo a Barbadosem nie istnieją żadne punkty orientacyjne. Brazylijski as spojrział w dół na pierzaste białe altocumulusy daleko pod nim i widoczny między kłębami chmur głęboki błękit Atlantyku.

Trzy godziny później uświadomił sobie, że znajduje się nieco bliżej, niż początkowo zakładał, i zdał sobie sprawę, że leci pod silniejszy wiatr, niż przewidywano. Kiedy GPS dał znać, że jest już dwieście mil od szacowanej pozycji celu, zmniejszył moc silników i zaczął opadać w stronę oceanu. Dziesięć mil za „Hae Shin” chciał się znaleźć na pułapie stu sześćdziesięciu metrów.

Na trzystu metrach wyrównał lot, zmniejszył prędkość i ustawił moc na maksymalną oszczędność paliwa. Szybkość nie miała już znaczenia — potrzebował czasu na poszukiwania, bo morze było puste, a lecąc pod wiatr, zużył więcej paliwa, niż przewidywał. Nagle zobaczył mały parowy kabotażowiec. Płynął po jego lewej ręce, do Barbadosu miał tylko sześćdziesiąt mil morskich. Mendoza pochylił dziób maszyny i zaczął krążyć wokół rufy statku, wypatrując nazwy i bandery.

Lecąc na wysokości trzydziestu metrów, z prędkością trzystu węzłów, na początek zobaczył banderę. Nie rozpoznał jej, nie wiedział, że to flaga Bonaire — wyspy wchodzącej w skład Antyli Holenderskich. Ludzie z zadartymi głowami gapili się na czarną zjawę wyjąca nad rufą. Na pokładzie zauważył transport drewna, a potem nazwę: „Prins Willem”. Była to jednostka holenderska, wioząca deski na Curaçao.

Mendoza wzniósł się na trzysta metrów i sprawdził zapas paliwa. Niedobrze.

Według systemu GPS marki Garmin jego pozycja niemal dokładnie pokrywała się ze współrzędnymi „Hae Shin”, jakie dostał sześć godzin wcześniej. Poza Holendrem z boku nie

widział żadnego parowca żeglugi przybrzeżnej. Może zmienił kurs? Mendoza nie mógł złapać i zapytać Amerykanina, który tymczasem obgryzał w Nassau paznokcie. Postawił więc na to, że przemytnik kokainy jest wciąż przed nim i zgodnie ze wskazaniami kompasu obrał kurs dwieście siedemdziesiąt stopni. Miał rację.

W przeciwieństwie do odrzutowca, który na pułapie jedenastu tysięcy metrów leciał pod wiatr, „Hae Shin” płynął z prądem i jego prędkość wzrosła z dziesięciu do dwunastu węzłów. Mendoza znalazł go w odległości trzydziestu mil od karaibskiego kurortu. Zataczając koło nad rufą, zobaczył dwie łezki, czerwoną i niebieską — banderę Korei Południowej — oraz nazwę „Sea Spirit”. I znów małe postacie wybiegły na pokrywy luków i zadarły głowy.

Major Mendoza nie pragnął zabijać załogi. Postanowił zrezerwować dziób i rufę statku. Wzbił buccaneera wyżej i zatoczył szerokie koło, żeby podejść do celu z boku. Odbezpieczył działą, zawrócił, opuścił dziób i zanurkował. Nie miał bomb, musiało mu wystarczyć samo działą.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Królewska Marynarka Wojenna zamówiła nowy samolot szturmowy o napędzie odrzutowym i niskim pułapie lotu do zwalczania zagrożenia ze strony radzieckich krążowników klasy Swierdłow. Rozpisano przetarg, by wybrać najlepszy ze zgłoszonych projektów. Blackburn Aircraft Company zaproponowała buccaneera, na który złożono ograniczone zamówienie. Po raz pierwszy model ten wystartował w roku 1962 jako tymczasowy samolot szturmowy. W 1991 roku wciąż jeszcze latał w Królewskich Siłach Powietrznych

przeciwko Saddamowi Husajnowi, tyle że nad lądem.

W chwili powstania firma Blackburn produkowała metalowe pojemniki na pieczywo i cienko przędła. Z perspektywy czasu bucc okazał się niemal dziełem geniusza. Nie był ładny, ale twardy i łatwy do adaptacji. Poza tym niezawodny, napędzany dwoma silnikami Rolls-Royce Spey, które nigdy nie odmawiały posłuszeństwa.

Przez dziewięć miesięcy major Mendoza przechwytywał nim inne jednostki w powietrzu — zestrzelił siedemnastu przemytników kokainy i posłał dwadzieścia ton białego proszku na dno oceanu. Ale kiedy teraz przypuścił niski atak tuż nad powierzchnią, wysłużony bucc wrócił do swojej pierwotnej roli — pogromcy statków.

Z odległości ośmiuset metrów Mendoza nacisnęła kciukiem spust i patrzył, jak seria trzydziestomilimetrowych pocisków przeciwpancernych pędzi ku dziobowi „Hae Shin”. Zanim odebrał kciuk, zawrócił i przeleciał z wyciem silników nad trampem, zobaczył, jak pociski rozrywają dziób.

Tramp zarył w wodzie, gdy zderzył się ze ścianą wód oceanu, które wdarły się z hukiem do przednich ładowni. Małe postacie rzuciły się do szalup i zaczęły zrywać zakrywający je brezent. Buccaneer wzbil się wyżej i znów zatoczył szerokie koło, a Mendoza patrzył sponad osłony kabiny pilota na swoją ofiarę.

Drugi atak nastąpił od strony rufy. Major Mendoza miał nadzieję, że mechanik zdołał uciec z maszynowni, którą miał na celowniku. Druga salwa pocisków z działa rozerwała rufę,

zniszczyła ster i śruby, dwa wały napędowe oraz silnik i przerobiła je na złom.

Ludzie na pokładzie spuścili szalupę na wodę i wskakiwali do niej. Krążąc na wysokości trzystu metrów, pilot widział, jak „Hae Shin” tonie z podziurawionym dziobem i rufą. Mając pewność, że statek idzie na dno, a „Prins Willem” uratuje załogę, major Mendoza zawrócił na Barbados. Nagle zapalił się jeden z silników Spey, który przy drugim podejściu leciał już na oparach.

Rzut oka na wskaźnik paliwa powiedział pilotowi, że drugi silnik też pracuje już na oparach. Wykorzystał więc ostatnie kilka kilogramów paliwa, żeby się wznieść wyżej, i kiedy drugi Spey także zdechł, bucc znajdował się już na pułapie tysiąca metrów. Jak zawsze po pożarze, zapadła niesamowita cisza. Brazylijczyk widział przed sobą wyspę, tyle że była poza zasięgiem. Lot ślizgowy nie zanieśie go aż tak daleko.

Pod dziobem miał białe piórko na wodzie — kilwater małego jachtu wędkarzy. Zanurkował w jego kierunku, przemknął nad głowami gapiów na wysokości trzystu metrów, po czym poderwał maszynę, nacisnął przycisk katapulty i wystrzelił nad obudowę kabiny.

Panowie Martin i Baker znali się na swojej robocie. Fotel wyniósł go w górę, z dala od umierającego samolotu. Przycisk ciśnieniowy uwolnił go od stalowego fotela, który nie wyrządzając mu krzywdy, spadł do wody, a Mendoza kiwał się w ciepłym powietrzu, wisząc na spadochronie. Kilka minut później kaszlał i krztusił się, gdy wciągano go na pokład rufowy jachtu „Bertram Moppie”.

Dwie mile dalej z morza wystrzelił biały gejzer, gdy buccaneer wpadł do Atlantyku. Pilot leżał między trzema martwymi rybami wahoo a miecznikiem. Pochylali się nad nim dwaj amerykańscy wędkarze.

— Żyjesz, chłopie? — zapytał z troską jeden z nich.

— Jasne, dzięki. Nic mi nie jest. Muszę zadzwonić do jednego faceta na Bahamach.

— Nie ma sprawy — odparł starszawy wędkarz, jakby pilotowi samolotów szturmowych co dzień spadali na niego z nieba. — Weź moją komórkę.

W Bridgetown majora Mendozę aresztowano. Przed zachodem słońca urzędnik z ambasady amerykańskiej załatwił mu zwolnienie i przyniósł ubranie na zmianę. Władze Barbadosu kupiły bajeczkę, jak to podczas lotu treningowego samolot z amerykańskiego lotniskowca daleko na morzu miał awarię silników, a pilot, mimo że pochodził z Brazylii, był oddelegowany do amerykańskiej marynarki wojennej. Dyplomata, zaskoczony zadaniem, jakie mu zlecono, wiedział, że to kompletna bzdura, ale nauczono go przekonująco kłamać. Następnego dnia Barbados chętnie pozwolił odlecieć Brazylijczykowi do domu.

EPILOG

Skromny samochód wtoczył się do miejsciny Pennington w stanie New Jersey. Kierowca rozglądał się za swoim domem, którego nie widział od tak dawna.

Na południe od skrzyżowania w samym centrum miasteczka minął biały, oszalowany deskami dom z okresu wojny secesyjnej, z szyldem kancelarii Calvina Dextera, adwokata. Dom wydawał się zapuszczony, ale Dexter wiedział, że doprowadzanie go do ładu sprawi mu przyjemność i pozwoli sprawdzić, czy nie wyszedł z wprawy.

Na skrzyżowaniu Main Street i West Delaware Avenue, w samym sercu Pennington, zastanawiał się, czy wypić mocną czarną kawę w kawiarni Cup of Joe, czy zjeść coś konkretniejszego w Vito's Pizza. Nagle zobaczył nowy sklep spożywczy i przypomniał sobie, że w domu przy Chesapeake Drive nie ma nic do jedzenia. Zaparkował samochód kupiony z drugiej ręki u handlarza w pobliżu lotniska Newark, gdzie wylądował, i wszedł do sklepu.

Zapełnił zakupami cały wózek i podszedł do kasy. Urzędował w niej młody chłopak, pewnie student, który zarabiał na chesne, tak jak on sam przed laty.

— Coś jeszcze, proszę pana?

— A właśnie — rzekł Dexter. — Zapomniałem o jakichś napojach gazowanych.

— Są tam, w lodówce. Mamy specjalną promocję coki. Dexter się zastanowił.

— Może innym razem.

•••

Alarm wszczął proboszcz kościoła Świętej Marii przy South Royal Street. Był pewien, że jego parafianin wrócił do Alexandrii, bo widział jego gospodynię Maisie z wózkiem pełnym zakupów. A mimo to starszy mężczyzna nie był na dwóch kolejnych mszach, co wcześniej mu się nie zdarzało. Dlatego po porannym nabożeństwie ksiądz przeszedł kilkaset metrów do eleganckiego starego domu przy skrzyżowaniu South Lee i South Fairfax.

Ku jego zdziwieniu brama do otoczonego murem ogrodu, choć na pozór jak zwykle zamknięta, ustąpiła pod lekkim naciskiem. Dziwne. Pan Devereaux zawsze odzywał się przez głośnik i naciskał przycisk zwalniający zamek.

Ksiądz przeszedł ścieżką z różowej cegły i stwierdził, że drzwi frontowe również są otwarte. Zbladł i przeżegnał się na widok Maisie, która nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy, a teraz leżała na posadzce w holu, z dziurą po kuli w sercu.

Już miał zadzwonić z telefonu komórkowego na policję i

wezwać pomoc, gdy ujrzał, że drzwi do gabinetu również stoją otworem. Zdjęty strachem podszedł i roztrzęsiony zajrzał do środka.

Paul Devereaux siedział przy biurku, w fotelu z uszakami, który podtrzymywał jego tułów i odrzuconą do tyłu głowę. Niewidzące oczy z lekkim zdziwieniem wpatrywały się w sufit. Później lekarz sądowy orzekł, że przyczyną śmierci były dwa postrzały z bliska w pierś oraz jeden w czoło — metoda zawodowych zabójców.

Nikt w Alexandrii w stanie Wirginia nie miał pojęcia, dlaczego do tego doszło. Cal Dexter, który dowiedział się o tym z wieczornych wiadomości w swoim domu w New Jersey, rozumiał powód. Nie było w tym nic osobistego. Ale nie wolno traktować Dona w ten sposób.

Spis treści

Osoby	7
Skróty i akronimy	9
CZĘŚĆ PIERWSZA	
Pętla	11
CZĘŚĆ DRUGA	
Syk	75
CZĘŚĆ TRZECIA	
Uderzenie	259
CZĘŚĆ CZWARTA	
Jad	395
Epilog	444